Marzec — 1857.

IGNACEGO DOMEJKI

CZTEROMIESIĘCZNA PODRÓŻ

z Paryża do Chili w roku 1838.

Część Pierwsza.

PODRÓŻ MORSKA.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Rio Janeiro. —

7 kwietnia. — O świcie, były przed nami skaliste brzegi Rio Janeiro i wejście do portu. Z lewéj strony w dziwacznych kształtach góry przedłużają się w wązkie międzymorze i otulają od południa zatokę, stawiąc u samego do niéj wejścia potężną górę zwaną *Pano de*

*) Patrz zeszyt styczniowy i lutowy.

azugar. Po drugiéj stronie, od północy, niższe i łagodniéj pozaokrąglane wzgórza powolnie schodzą ku morzu i na ich końcu stoi zamek śgo Krzyża (Sta Cruz). W głębi obrazu widać było okręta, i za niemi daleki łańcuch Brezylijskich Andów, ostremi wierzchami ponastrzępiany i jakby jednym perłowym kolorem pociągnięty.

Miasta niewidać jeszcze było; zupełna cisza zatrzymała nas na gładkiem, błękitnem morzu, pod turkusowem niebem. Słońce wschodziło od Przylądka Nero, zaczerwieniły się góry, i posłyszeliśmy wystrzały działowe z zamków Rio Janeiro. Przybyły z nami na okręcie Brezylijczyk wytłumaczył, że wystrzały te znaczyły obchód rocznicy abdykacyi Don Pedra I i wstąpienia na tron Don Pedra II, która to rocznica przypadała właśnie 7 kwietnia na nasze przybycie.

Wiedzieć potrzeba, że na Brezylijskich brzegach a mianowicie u zatoki Rio Janeiro panują wiatry peryodyczne, które przez całą noc wieją od lądu, potem słabieją, następuje cisza i przed południem poczyna się wiatr od morza, który łagodzi gorąco, ożywia całą wegietacyą i jest prawdziwem dobrodziejstwem dla mieszkańców.

Cisza która nas zatrzymała u wejścia zatoki, przypadała w godzinę przemiany wiatru wschodniego na lądowy. O godzinie 8méj wiatr nadszedł od lądu i sześć okrętów z pełnemi żaglami wyszło na przeciwko nas z zatoki. Mijały nas prędko, podczas kiedy nasz okręt ubijał się przeciw wiatru idąc kręto i podpływając już to ku Głowie Cukru (Pano de Azugar) już to ku zamku śgo Krzyża. W ciągłym ruchu przed nami była cała okolica; obracały się skały strojne w podzwrotnikową zieloność. Ciągłe gorąco i deszcze na tym brzegu czynią, że tu kamienie nawet prędko się okrywają drzewami i rozmaitą krzewiną; urwiste tylko brzegi i stro-

mo sterczące wierzchy nagie są i wprowadzają do tego obrazu piękną rozmaitość kolorów i nagłe przejście od zieloności do żółtych czerwonawych urwisk. Wyniosłe palmy i długie ramiona bananów dziwnie upiękniają tę naturę i nadają jéj charakter różny od naszych najpiękniejszych widoków. Piękny las wspina się aż na grzbiet najwyższéj góry Korkowado; — a w dolinach i między górami kawa, pomarańcze i tysiące innych drzew i krzewów.

Gorąco było wielkie, (86 F.) słońce prawie u zenitu, kiedy o samem południu wpłynęliśmy na zatokę górami i skałami w koło osłonioną. Wiatr ucichł jakby dla dania czasu do przypatrzenia się portowi, najpiękniejszemu z portów na świecie.

Droga dla większych okrętów, czyli koryto głębsze zatoki idzie po za północnéj forteczce śgo Krzyża, na przeciw któréj na południowym brzegu widać drugi mniejszy zamek, a między niemi na wyspie trzecią fortecę, zwaną Villagalhaô — (od nazwiska jednego z najdawniejszych osadników vice admirała Villegagnon który za Henryka II (1555) założył tu był osadę wespół z ówczesnymi nowatorami kościoła, a wróciwszy po niejakim czasie do katolicyzmu odpędził od siebie sekciarzy na powrót do Francyi).

Zatoka Rio Janeiro rozciąga się więcéj niż na parę mil od północnego do południowego brzegu a od zachodu zajmuje daleko więcéj obszaru i rozgałęża się tworząc wiele wysp ogrodami okrytych. Miasto leży na południowym brzegu, na północnym zaś widać piękny rzęd wsi *Praya Grande*.

W którąkolwiek stronę obróciłem oczy, było co widzieć i czém się zadziwić. Począwszy od téj potężnéj Głowy Cukru będącéj filarem u wejścia, widać we wschodnio-południowéj stronie gromadę pięknych, wspaniałych gór i skał, otaczających jedno nizkie okrągłe

wzgórze palmami uwieńczone, przy którém leży wieś Bota-Fogo na parę mil od miasta. Od niéj po za samym brzegu ciągnie się łańcuch plantacyj, ogrodów i posiadłości możnych, a na pół drogi do miasta, stoi piękny, wysmukły kościołek Sta Madre da Gloria na skale wśród bananowych bukietów. Miasto nie wydaje się być rozległem z przyczyny że większa jego część i długie ulice zachodzą za górę. Pałac cesarza, potężny klasztor Benedyktynów, kilka kościołów, arsenał i komora celna górują nad pryncypalną częścią miasta u samego brzegu. Okręta wojenne stoją naprzeciwko miasta prawie na środku zatoki, okręta zaś handlowe zachodzą daléj, za wyspę zwaną *Wyspą Szczurów*, za którą widać jakoby las jakiś z niezliczonéj liczby lin i masztów złożony. Daléj ku zachodowi, zmienia się obraz; nizka równina od brzegu powoli się podnosi, a przy horyzoncie łańcuch gór, którego wyższe cyple chowają się w obłokach. Blade i mgliste kolory odcieniają tę część obrazu kiedy tymczasem dziwna jaskrawość na północnym brzegu, różnokolorowe skały wpośród gęstéj krzewiny i bielejące wsi przy wodzie wykończają z téj strony obraz w sposób bardzo wesoły i malowniczy.

O południu, kiedyśmy wpływali na zatokę Rio Janeiro, strzelano z harmat w mieście i w tymże czasie odpowiadały na salwę wszystkie zamki i forteczki po brzegach i na zatoce. Huk dział zachodził w góry i łamał się między skałami do koła, a po nad spokojną wodą utworzył się lekki dym perłowy. Dwa statki parowe biegały przez zatokę między miastem a Praya Grande, napełnione wystrojonemi damami i świątkującym ludem; trzeci takiż statek wychodził do Santos. W tymże czasie muzyki grały na brezylijskich fregatach, w różnokolorowe bandery i wstążki przybranych.

Wszystko zapowiadało wielką patryotyczną uroczystość w mieście. Niecierpliwość nas brała czém prędzéj sta-

nąć na kotwicy i dopłynąć do brzegu. Nie mogąc doczekać się wiatru, kazał Kapitan połowie swoich majtków wysiąść na czółna, i uwiązawszy liny do okrętu pomykać okręt za pomocą wioseł. O trzeciej przybliżyliśmy się do angielskiej wojennej korwety *Rober* i tu nasz okręt zatrzymał się obok pięknéj fregaty Stanów Zjednoczonych *Independent*. Natychmiast przybywa do nas urzędnik policyjny dla rewizyi pasportów i dopełnienia innych formalności. Większa część podróżnych nie miała pasportów. Młody konstytucyjny urzędnik był w ambarasie, zaczął się srożyć i cytował prawa tak jasne jak dzień, które cudzoziemcom niemającym pasportów nie pozwalają wylądować i odpowiedzialnym czynią samego Kapitana. Ale Kapitan nieco z góry traktował urzędnika i ten ostatni w większym znalazł się kłopocie od bezpasportowych Anglików. Przybył też i oficer jakiś z wielkiemi czarnemi wąsami, smagławéj twarzy, i bardzo na pozor surowy. I ten niewiedział co począć z niemającemi pasportów. Daremna to bowiem zaprowadzać reglamenta policyjne ze starej Europy, pierwéj nim się wynajdzie siła na ich wykonanie. Dobrzy urzędnicy odpłynęli jak przypłynęli a w półgodziny wylądowaliśmy na zamkowym Placu wszyscy bez wyjątku podróżni ze Speya.

Nad spodziewanie moje, nie znalazłem tu uciech ni narodowej uroczystości, która tak pompatycznie wystrzałami, muzyką i kolorowemi banderami na zatoce szumiała. Pałac Monarszy nie wielki, nieozdobny, zaledwo się tem od innych domów różni, że w nim żadnych kram ni magazynów niemasz. Nie było tu owéj ciżby, która się w koło Tuilleries podczas dni *lipcowych* kręci. Pomimo tego, że miasto Rio Janeiro liczy do półtora kroć sta tysięcy mieszkańców, nie było nawet, komu patrzeć na dwóch jakichś ministrów, suto haftowanych złotem, i obwieszonych wstęgami i krzyżami,

którzy w oknie cesarskiem rozmawiali z sobą. Wszakże, zwyczajem Państw cywilizowanych, ogromne afisze i programmy konstytucyjnego święta poprzylepiane były po murach. Ogłoszono, że Cesarz i księżniczki będą tego dnia w teatrze, że się widowisko rozpocznie od narodowego hymnu, i że potem dana będzie reprezentacya drammy Święta Izabella królowa Hiszpańska; — ale pod afiszem było dodane, że dla ważnych przyczyn (por justos motivos) nie ogłasza się kiedy widowisko ma się zacząć.

Gorąco dnia tego dochodziło do 90° F. w ludności na ulicach nic nie okazywało niezwyczajnéj uciechy lub przerwy w zatrudnieniach. Murzyni ciężko pracowali; blade i jakby zmordowane twarze białych wyglądały z ciemnych kram i magazynów, francuskiemi i angielskiemi towarami zarzuconych; od czasu tylko do czasu przeciągały w koczykach jakieś urzędowsze figury z gwiazdami; nie było nawet podchmielonych żołnierzy.

O zmroku, mówiąc gazeciarskim językiem uilluminowano miasto: to jest budynki skarbowe i niektóre większe domy przystrojono lampami. W tém nawet daleko wyżéj tu postąpiono niżli na Europejskich rocznicach: bo zamiast lamp dymiących i czerniących mur, używają tu latarni różnokolorowych, które ani budynków nie psują, ani światło w nich nie gaśnie od wiatru. Cóż kiedy nie było komu na to patrzeć! — Oprócz nielicznych grup Francuzów i Anglików, którzy dla dobrego tonu, i mając zmysł konstytucyjnych uciech lepiéj rozwinięty, żółwim przechadzały się krokiem koło illuminacyi, krajowcom zdaje się ani przeszło przez głowę że to pięknie; co zaś murzyni, to jakby żartowali sobie z tych światełek, oni którzy takie piękne słońce mają w domu. Liczniejsze ich gromady czerniły się po dalekich od pałacu ulicach, gdzie jak na przedmieściu St. Marceau w Paryżu ani jednego patryotycznego knota,

nie zapali policya. Zmordowany od dźwigania ciężarów, do bioder i od kolan nagi murzyn, przechodzi jak filozof jaki po za oświeconym pałacem, utopiony w brzękaniu gęśli swojéj, którą przyciska do kokosowéj skorupy, aby mu więcéj dźwięku dała; przechodzi ze schyloną głową i ani oczu niepodniesie na konstytucyjne światło, — ciągnie do swoich, gdzieś na ciemne przedmieście, gdzie więcéj takiego brząkania, które mu jego Afrykańską pustynię przypomina.

8. — Nazajutrz przypadało wielkie kościelne święto, jedno z najmilszych, święto wierzbnéj, a jak tu w kraju palm zowią, palmowéj niedzieli. — Z wieczora już w sobotę, małe dzieci czarne i białawe biegały po ulicach z długiemi palmami i jakiemiś z zielonéj kory trąbkami. Z rana kościoły wszystkie były napełnione, w nich miły chłodek, pełno zieloności, świeżość w ustrojeniu ołtarzów, zapach kwiatów i dziwnie przyjemna spokojność. Szedłem jeszcze ze ściśniętem sercem od widoku tej ludności czarnej, która tak upodlona pracuje w niewoli, nagości, pogardzie i ukrzywdzona wydaje się być od saméj nawet natury kolorem i organizacyą, Ale zaledwo kościelny próg przestąpiłem, otworzyły mi się oczy i lżej mi się na duszy zrobiło. Tu znikła różnica koloru, różnica ras, siły, przemysłu i bogactwa. Czarni i biali wszyscy pospołu klęczą, bez żadnego odróżnienia miejsc; wyjąwszy małe po bokach odgrodzenia dla kobiet. Wszyscy tu już bracia, dzieci jednego Boga: równość radykalna. Te afrykańskie głowy, które erudycyą szkolną nawykłem był do małpich czaszek porównywać, wydały mi się teraz tak uszlachetnione prostą, spokojną pobożnością, że jakkolwiek drogo i ciężko ci ludzie okupują wielkie światło które im przez białych Bóg posyła, dziękowałem Bogu za niezbadane Jego sądy i za wprowadzenie do kościoła naszego tylu braci, wyznawających jednego co my Ojca. — Po mszy

podano księdzu pęki powiązanych palm długich pięknych, zielonych, i cały lud ruszył do ołtarza, a ksiądz rozdawał palmy. Patrzyłem w oczy jednego murzyna kiedy przyjmował święconą palmę: — było w nich coś wyższego, głębszego, szlachetniejszego od całéj filozofii dzisiejszego wieku; to czoło zniżone zdawało się podnosić, słodycz, łagodność i rezygnacya były na twarzy, a kolor jej był jako cień od zasłony, która ją dzieliła jeszcze od wyższego światła. Trzeba też było widzieć jak się ten lud różnokolorowy, cisnął do ołtarza, i z jaką cichą wesołością rozchodził się z palmami do domów.

Wielka to roskosz o parę tysięcy mil od domu, znaleźć też same obrządki co i u nas przez Kościół Święty zaprowadzone. Wiele też zwyczajów, jak mi powiadał mój znajomy Brezylijczyk, zachowuje się dotąd w familijnem życiu, zwyczajów podobnych tym jakie się praktykują u nas przy nadchodzącéj Wielkanocy. Czerwono farbowane jaja przedawano po ulicach, przygotowania czyniono po domach do święconego i szczęśliwe familije zbierały się do przepędzenia razem świąt wesoło. Zwyczaje te szczególnie egzystują na wsi; w mieście zaś przez Francuzów i Anglików wyśmiane, odmieniły się jak i po naszych miastach.

Tegóż dnia poszliśmy z Panem L. do botanicznego ogrodu, położonego o trzy godziny pieszéj podróży od środka miasta, w stronie południo-zachodniej. Po drodze widzieliśmy piękny publiczny ogród, starannie utrzymany, pełen rzadkich drzew i kwiatów; dalej ów kościół Sta. Maria da Gloria o którym już wpomniałem Od tego kościoła aż do wsi Bota-Fogo idą rezydencye możnych, pałace i ogrody, pomarańczowe i bananowe gaje, między brzegiem zatoki a łańcuchem gór ciągnące się. Wieś Bota-Fogo bardzo czysta i cała nowo zbudowana, leży na południowym brzegu jeziora w koło skałami i po skałach lasami otoczona. Jezioro to łączy

się z portową zatoką, ale ich połączenia niewidać ze wsi, za jednem wzgórzem wysokiemi palmami porosłem. Brzeg jeziora od strony wsi płaski, na brzegu domy w jeden rzęd stawione, a przed domami sadzone drzewa rozmaite, między któremi kwitły drzewa *rajskie* z których te ziarna służą na paciorki do koronek.

Minąwszy Bota-Fogo widać naturę dzikszą, saméj sobie zostawioną. Wąska, krzywa, podobna do naszych parafialnych drożka idzie doliną przy której poczynają się lasy czarnéj zieloności, podnoszące się na górę, i poplątane ową rośliną pasożytną, która w kształcie nici a raczéj powrozów zielonych spada z drzewa na drzewo, czepia się po gałęziach i czyni obronnemi, niepodobnemi do przebycia puszcze w głębi kraju po których się jeszcze kryją dzicy Amerykanie. — Na tej dolinie widziałem też motyle, sławne wielkością i przepychem kolorów swoich, unoszące się po nad krzewami jakoby latające kwiaty. Brezylia ma być ojczyzną najpiękniejszych motylów i ptaków na świecie: z ptaków jednak nic szczególnego niezdarzyło nam się widzieć, albowiem najpiękniejsze daleko jak mówią, odleciały od miasta, przestraszone drapiestwem kupców i naturalistów.

Po drodze zwiedziliśmy miejsca po których łamano skały na bruk i na budynki. Skały te są granitowe, a między niemi, wiele gneisu dającego się bardzo łatwo łamać na szerokie płyty nic więcéj jak sześć do dwónastu cali grubości mające.

Przyszliśmy nakoniec do ogrodu. Chociaż niedawno założony i daleko od oka ministrów i urzędników pielęgnowany, ogród ten mógłby iść w zawód o pierwszeństwo z wielu królewskiemi ogrodami w Europie. Widać w nim treść całéj wegetacyi między zwrotnikowéj w drzewach i krzewach najrzadszych i najpożyteczniejszych. Tu się uprawiają przyniesione z dalekich części świata rośliny, na próbę, czy ich uprawa może przynieść jaką

korzyść dla kraju. Zaraz u wejścia, po lewéj stronie ogrodu, widać szerokie kwatery sadzonéj herbaty, która się poczyna z wielką korzyścią uprawiać w prowincyi Rio Janeiro; i jak mi mówiono, niektórzy właściciele mają wyborną herbatę ze swoich ogrodów. Szerokie ulice, najstaranniej wygracowane krzyżują ten ogród i dzielą na regularne kwatery, po których widzimy zasadzone cynamon, goździki, muszkatowe drzewo, kamforowe drzewo, bawełna i wiele innych drzew i krzewów które nam handel tak pożytecznemi uczynił. Dwa potężne bambusowe krzaki, gęste że ledwieby się przez nie wąż przecisnął wyrastają do wysokości najwyższych prawie drzew tego ogrodu. W pomniejszych gaikach znaleźliśmy wiele drzew wielkości śliw naszych, które wyborny dają owoc zwany *karambola,* soczysty i ochładzający jako limonada. Dodać winienem że w pośród tego bogactwa i obfitości rzadkich i ciekawych roślin, żadna może tak silnie ku sobie nie pociąga oczu, świeżo z Europy przybyłego gościa, jako rozmaite gatunki palm, które tu rozkosznie i swobodnie, bo we własnym domu rosną. Ich postać wachlarzowa, bardziej się oddala od formy naszych drzew północnych niż inne jakie drzewo z gorącego pasa. Blado i zniewieściale wyglądają przy nich wszelkie iglaste drzewa w tym ogrodzie: nie widać na nich ani smolastych szyszek, ani grubych kolców, ani żadnej zalety naszych czarnych lasów: wszystkie mają tu coś bławatnego tak z wejrzenia, jako z koloru i giętkości swojej, a niedochodzą wielkości sosien naszych. Ale obok wysmukłych, delikatnych, pod tém ciepłem niebem wypielęgnowanych roślin, zastanowił mię wielce jeden gatunek drzew które z postawy swojéj silniejsze i poważniejsze, jako dęby między naszego kraju florą wyglądają. Ich zieloność nieco czarniejsza od innych, liście nakształt dębowych powykrawane, a częstokroć więcéj niż na łokieć długie i szerokie, jakaś barczystość w rozgałęzieniu się i obfity cień

pod którym się chowają gromady drzew innych, wszystko w nich zapowiada jakieś wyższe przeznaczenie; — duże na nich owoce, kóliste, zielone, nie są do zaprawienia potraw możniejszym i do rozpalenia namiętności: te poważne owoce są chlebem dla wyspiarzy oceanu Spokojnego, a drzewo nazywa się *chlebowem* i zostało sprowadzone z wyspy Otaity, pamiętnej poświęceniem się i śmiercią kapitana Cooka.

Nie myślę tu opisywać flory tego pięknego ogrodu. Niemam do tego ni czasu ni potrzebnych wiadomości. Rzuciłem tylko kilka wyrazów na zatrzymanie miłego wrażenia, którego doznałem przebiegając piękne jego kwatery i ulice. Jakoż sądzę, że mi na zawsze w pamięci zostanie cała ta okolica wśród któréj ów ogród leży. Ciche, piękne jezioro podchodzi tu pod plantacye które dotykają ogrodu. Niemasz piędzi ziemi, któraby gęsto kwieciem i zielonością nie była okryta: góry do koła, zdają się być przedłużeniem téj zieloności która się na dolinę zlewa.

Spotkaliśmy murzynów niosących ogromne kosze ananasów, bananów i pomarańczy. Za trzy sztuki miedziane (wielkości dawnych *pietanów* ruskich) dano nam dwa ananasy największe jakie były w koszu, a jakich ani na królewskim stole nie ujrzysz; za grosz miedziany sześć wielkich pomarańcz.

Późno o zmroku wróciwszy do miasta, trafiliśmy na pogrzeb poczciwego człowieka Don Jose Bonifacio de Andra da é Silva. Był to jeden z najstarszych patryotów tego kraju, pochodził z dawnéj, bogatéj familii, był ministrem i przyjacielem D. Pedra Igo i pierwszy upomniał się o prawa i konstytucyą dla swojej ojczyzny. Obrany potem opiekunem młodego Cesarza, regentem, najwyższą piastował godność z umiarkowaniem i sprawiedliwością; a kiedy intrygi na dworze i swawola coraz bardziéj górę brać zaczęły, nie widząc sposobu o-

parcia się zawiściom i niedowierzaniu, usunął się od spraw publicznych i mieszkał na ustroniu, na jednéj z pięknych wysp rozrzuconych po zatoce. Przezwano go Lafayetem Brezylijskim, jako niezachwianego w opinijach swoich i wzór uczciwości. Wojsko, ministrowie, wszyscy możni i urzędnicy państwa towarzyszyli wylądowaniu i zaprowadzeniu ciała do kościoła, gdzie we drzwiach spotkał je młody Cesarz, podniósł rękę i wespół z przedniejszymi panami niósł trumnę.

Na dobrej stopie były w tym czasie interesa polityczne Brezylijskie. Stary regent Diego Feijoó, ksiądz, człowiek spokojny i umiarkowany nie mogąc wydołać ustawicznym buntom i zawichrzeniom po prowincyach, złożył był dobrowolnie rządy państwa pod małoletność Cesarza w ręce ministra Pedro de Aranjo Lima i mianował go tymczasowie regentem. Ztąd zmiany w urzędnikach, nowość, nadzieja czegoś lepszego, ożywiły nieco, że użyję wyrażenia jednego Brezylijczyka, duch publiczny patryotyzmu. Świeże zwycięztwo w Bahia, umocniło rząd; powszechnie chwalono energiczne rozporządzenia ministra wojny i czynność tymczasowego regenta. Czyniono też przygotowania do obioru nowego regenta a z tych którzy się o tę dostojność ubiegają rzecz ma się rozstrzygnąć między tymczasowo mianowanym regentem Lima, a człowiekiem bardzo popularnym i bogatym Cavalcanti. Z ludzi wyższego rozumu i niepospolitych zdolności słyszałem często cytowane imie ministra Vasconcelos przezwanego tu Mirabeau Brezylijskim: ma to być człowiek mówny, zręczny, bez wielkich skrupułów, filozof, i nie bardzo surowych obyczajów.

Nie przestawano też mówić jeszcze o odwiedzinach Xcia Joinville, który miał oczarować tutejszy świat pięknym balem danym na „Herkulesie“. Jakoby sześćset osób było zaproszonych; tańcowano przez całą noc i

była suta wieczerza. Tyle się tylko dowiedzieć było można o pobycie tu syna Filipowego.

9.— Dzień następny poświęciłem zwiedzeniu pracowitéj części miasta która po za brzegi zatoki ciągnie się ku wyspie Szczurów i handlowym okrętom. W téj stronie idąc od pałacu widzimy piękny rynek rybny na którym dziwna rozmaitość konch, żółwi i ryb różnokolorowych. Daléj, komora celna, warsztaty okrętowe, magazyny i targ niewolników. Na tym targu można każdego dnia kupić silnego, młodego człowieka za 200 dolarów (mniéj więcéj tysiąc franków). Dawniéj murzyni tańsi byli; cena mężczyzny nie przechodziła 150 dolarów; ale od czasu owych traktatów obalających handel niewolnikami, handel ten przeszedł w ręce kontrabandzistów i cena towaru podrosła.

Murzyni użyci są do dźwigania ciężarów i łamania kamieni w mieście; na wsi zaś do uprawy trzciny cukrowéj i plantacyi. Między tymi którzy łamali kamienie po nadbrzeżnych karyerach, widziałem pospołu pracujących kryminalistów okutych, po większéj części białych lub metysów.

Rozmaitéj siły, organizacyi i wejrzenia widać tu murzynów, stósownie do prowincyi z których przybywają; a jako między nimi na pustyni są odróżnienia i kasty, tak i w niewoli, mówiono mi że są dystynkcye. Widziałem niektórych, co od wiérzchu czoła w linii prostéj aż do końca nosa, mają rząd brodawek wielkości grochu. Inni szerokością policzków i szpetnością przechodzą drugich a nizkiéj są budowy i krępi. Po większéj zaś części zdaje się tu być wybór czarnych ludzi. Niektórzy jak ulani, bardzo kształtnych rąk i piersi, ani nadto barczyści, ani ociężali, czarniejsi od innych połyskują się na słońcu i ani tak szerokich nozdrzy, ani tak płaskich czoł jak nam zazwyczaj malują wojażerowie nie mają. Ci którzy są prosto z Afryki sprowadze-

ni, mają piętna na czole lub na piersiach, lub téż na ramionach; drudzy zrodzeni w Brezylii nie mają tych znaków.

Rzecz godna uwagi, że ci ludzie ciągle śpiewają przy pracy i zdaje się nie mogliby pracować bez śpiewu, który im zapewne łagodzi wszelką boleść i sił dodaje. Śpiew ten jest zawsze powtórzeniem jednego akordu bardzo prostego i smutnego. Ciężary noszą na głowie, a idą w takt podskakując, dosyć prędko, jak gdyby byli pędzeni od kogo. Najczęściéj widać po dwóch lub po trzech biegących z workami, jeden za drugim i dopomagających sobie śpiewem: pierwszy poczyna akord, drugi za nim bierze pośrednie nóty, a trzeci kończy. Na każdy taki akord, po kilka kroków czynią podskakując. Są to jakby preludye jakie smutne, które częstokroć na stękanie zakrawają. Nieraz ten śpiew pełen jest boleści i płaczu w starym negrze, którego chudość niczem nie przykryta, a skurczone barki uschły prawie od ciężarów.

Patrząc na to, trudno się uchronić od gniewu na białych. Cała mechaniczna praca nie wymagająca żadnego myślenia ni rachunku, żadnej zdolności ni dowcipu spada na czarnych; kiedy tymczasem lud biały, despota, odpoczywać zdaje się, próżnuje. — W istocie, byłoby tu miejsce wypalić liberalną jaką rozprawę o ludzkości.

Przypatrzywszy się jednak nie teoretycznym owym tym na pozór odpoczywającym ludziom, nie tak łatwo filozofować, nie tak łatwo sądzić ludzi i potępiać ludzkość. Twarz europejczyka blada, myśląca, spokojna lecz cierpiąca w pośród téj czerni, jest jakby posłana na zaprowadzenie nowego na téj ziemi porządku, na przygotowanie czegoś gruntowniejszego przyszłym pokoleniom. W pośród prostéj, mozolnéj pracowitości czarnych, widać po kowalskich i ślósarskich warsztatach biały lud pracujący umiejętnie, z rozumem, i zachęcający ku prze-

myślniejszéj pracy plemię murzynów. Widziałem już czarnych zręcznie koło budowy statków pracujących i biorących się do ślósarskiej jako też ciesielskiéj sztuki. Wielu z dawna zaprzedanych tworzy już kolorem i zdolnościami przejście od białych i czarnych i są twarze, tak na pograniczu z jednego do drugiego plemienia że z ich odcienia trudno odgadnąć do którego należą.

Nie widziałem negrów na wsi, przy uprawie roli, plantacyach i fabrykach. Mówią powszechnie ludzie tego kraju, że trzech białych nie zrobi tyle co jeden silny murzyn. Mówią, że od gorąca niepodobna byłoby białym wziąść się do ciężkiéj pracy i jéj wydołać; że ani właściciele szukają białych do posługi, ani biali chcą pracować wespół z czarnymi; mówią nakoniec że uwolnienie czarnych a raczéj wytępienie zupełne handlu niewolnikami byłoby ruiną kraju.

Jakimże sposobem niegodny ten handel, hańba dzisiejszego wieku, przeciąga się jeszcze pomimo tylu parlamentarskich rozpraw, traktatów i silnéj marynarki państw które się mu sprzeciwiły? Handel ten, kupno i przedaż potępione od filozofów, polityków i całéj ludności, dotąd się utrzymują na brzegach Brezylii, kryjomo, tak jednak, że wszyscy o tém wiedzą. Rząd patrzy przez szpary, pobłaża a nawet jak mi mówiono sam cesarz i jego ministrowie kupują negrów, do utrzymania i uprawy rozległych plantacyj. Naładowane murzynami okręty, nie wchodzą do zatoki portowéj przez obawę wojennych okrętów angielskich i francuzkich które się w niéj znajdują; ale zazwyczaj, ze świeżym towarem z Afryki przybywające statki zatrzymują się przed wejściem do zatoki przy brzegu, w stronie wsi Bota Fogo i wysadziwszy nocą czarnych odpływają czém prędzéj; a sprzedaż odbywa się w mieście bez żadnéj tajemnicy, jakoby ci ludzie byli zrodzeni w Brezylii lub dawno przed potępieniem handlu sprowadzeni.

Tym sposobem, jak mi mówili ludzie godni wiary, co rok po kilkadziesiąt tysięcy negrów wylądowywa po rozmaitych miejscach na Brezylijskim brzegu w Bahia, Pernambuko, Rio Grande i Rio Janeiro. Kapitan okrętu na którym przypłynęliśmy do tego portu powiadał mi, że jednego razu był bal u posła angielskiego w jego pięknéj rezydencyi niedaleko Bota Fogo. W nocy kiedy się rozjeżdżała kompania, zabrakło wiele pojazdów i dowiedziano się potem, że przekupieni byli furmani do przewiezienia świeżo wysadzonych na ląd negrów z nadbrzeża wspomnianéj wsi do miasta.

Ciekawy jestem coby na to powiedzieli dzisiejsi cywilizowani ludzie, gdyby zamiast wszelkich teoryi i abstrakcyi znalazł się jaki rząd energiczny, coby przedsięwziął a miał ku temu dobrą wolę i pieniądze, ułatwiać jakim godziwym sposobem przesiedlanie czarnych i zaludnianie nimi któréjkolwiek z owych pięknych i żyznych części Ameryki gdzie na niczem nie braknie tylko na ludności. Wiemy, że wszelkie usiłowania europejczyków około poprawy bytu negrów w ich własnéj ojczyznie, bezskuteczne dotąd były; wszystkie tam osady białych i lud posłany na ich utrzymanie wymierają od niewdzięcznego klimatu i gorąca; kiedy tymczasem pomimo całego barbarzyństwa i nikczemności tego obydnego handlu niewolnikami, tysiące liczymy familij czarnych w Ameryce osiadłych, cywilizowanych, chrześcian, i kto wié, ludność negrów zrówna się tu zresztą mieszkańców za jakie może lat pięćdziesiąt? Przyodziać nagiego, dać mu poznanie prawdziwego Boga, nauczyć pracować i zabezpieczyć lepszy i godniejszy byt całemu pokoleniu, a pustą i we wszystko obfitą prowincyą zaludnić, nie jestże wielką rzeczą godną zabiegów najpotężniejszego państwa? Wyrwany z barbarzyństwa i pustyni negr zostałby chrześcijaninem, właścicielem, wolnym. Zamiast przyzwalania tajemnie na ową kradzież

ludzi, lub utrudzanie tylko handlu na korzyść kontrabandzistów, czemużby się nie znalazł rząd jaki, któryby się zajął wyzwalaniem z barbarzyństwa, wykupywaniem z pustyni, opieką małoletniego ludu i jego hodowaniem pod łagodniejszą i piękniejszą strefą nieba.

Ale wróćmy do swego. Nie wiele co mi pozostaje powiedzieć o Rio Janeiro. Miasto jako miasto nic w sobie nie ma godnego do zanotowania. Kościoły nie wielkie ale czyściej może i staranniej utrzymywane niżeli gdziekolwiek na świecie. Klasztory prawie już wszystkie puste lub od małéj liczby mnichów zamieszkałe. Najbogatszy i najobszerniejszy, na wysokiem wzgórzu klasztor benedyktynów, panuje nad miastem a ma tylko kilku księży. Rząd tutejszy, izby i cywilizowani ministrowie nie chcą czy nie śmieją otwarcie pokasować zakonów, ale trwożliwi i łakomi na dobra kościelne uchwalili naprzód prawo aby nikt nieśmiał zostać zakonnikiem bez pozwolenia rządu, i skoro to prawo zapadło postanowili wzbraniać wszystkim bez wyjątku wejścia do zakonów. Odtąd starsi zakonnicy powoli wymierają, a nie wolno im nikogo przyjąć do klasztoru. Brzydki ten i podstępny system, zdaje się być wynalezienia europejskiego, a jednak tutejsi ludzie Stanu bardzo się z niego chełpią, liczą dni dogorywających mnichów i ostrzą zęby na obszerne ich posiadłości. System ten niesłuszny jest i niepolityczny w kraju, gdzie stan moralny Indyan wewnątrz państwa i stan moralny negrów po całéj Brezylii przez księży tylko i pobożnych ludzi poprawionym być może.

Dodać winienem, że od czasu zaprowadzenia filozofii monarchiczno-konstytucyjnéj w tych krajach, zupełnie zaniedbano moralną poprawę czarnych, a niewola pozostała w całéj swéj srogości, jako *zło konieczne i potrzebne do utrzymania industryi.* Dawniéj pamiętano przynajmniéj ochrzcić negra, nauczyć go pacierza i zaszcze-

pić mu ospę: dzisiejsi *industriele* nie mają czasu tém się zajmować a przez ludzkość pozwalają negrom raz w tydzień pracować na siebie, w niedzielę. Dla tego to kwietnéj niedzieli widziałem po wszystkich częściach miasta pracujących negrów, tak właśnie, jak się to widzi w Paryżu pracujących *uwrierów* we dni świąteczne.

Trzy gazety rozmaitych *kolorów*, jedna francuzka (l'echo francais), gabinety dziennikarskie, czytelnia romansów, bursa, assygnaty (nie więcéj jak 60 za sto kursujące) dwa teatry, mnóstwo wekslarzy i marchands de modes, porządne kawiarnie, bilardy i wielka liczba kram na sposób nowy urządzonych; oto jest w czem to miasto najbardziéj do nowożytnych miast europejskich przybliża się. Mając tu nawet pewien rodzaj *marsowego pola La praca de aclamacio* gdzie była niegdyś ogłoszona konstytucya: plac obszerny, dosyć brudny; kobiety na nim bieliznę suszyły i przewietrzano stare rupiecie. Jest jedna ulica samymi prawie złotnikami i jubilerami zamieszkała. Brylanty droższe tu niż w Europie a nieszlifowanych kamieni do mineralogicznych kollekcyj dostać trudno. U jedego tylko spekulanta mającego stosunki z Londynem i Paryżem widziałem piękne euklazy, szafiry, ogromnéj wielkości zielone turmaliny, topazy etc., a cena ich była we troje droższa aniżeli cena tych kamieni w Paryżu: za kryształ euklazu na jeden cal długości żądano 60 dolarów. Kiedym się pytał o przyczynę tak wysokiéj ceny, powiadano mi że kupcy Europejscy a raczéj kompanie kupieckie zakupują hurtem wszystkie drogie kamienie w Brezylii a kiedy się kto zdarzy z amatorów w Rio Janeiro musi drogo przepłacać i z trudnością wynajdzie co nadzwyczajnie pięknego. Rzecz też dziwna, że ptaki nawet, kolibry, tygrysie skóry i wszelkie inne osobliwości, takiéj prawie ceny są po magazynach w tem mieście co w Paryżu. Godne uwagi są kwiaty, które tu bardzo

pięknie z rozmaitych piór robią kobiety. Jest też muzeum mineralogiczne po większéj części z Europejskich kamieni złożone; jest medyczna szkoła, kolegium i wiele publicznych i prywatnych szkół w mieście.

Położenie geograficzne tego miasta niewiele sprzyja koncentracyi sił i bogactw jakichby wymagała stolica rozległego państwa. Niemasz tu ujścia żadnéj rzeki; okolice miasta w około górami poprzecinane, i kommunikacye lądem z prowincyami trudne, długie i niepewne. O rewolucyi w Pera rząd dowiedział się z dzienników Angielskich; o zwycięztwie w Bahia wiadomość we 13 dni nadeszła; posłać wojsko do Rio Grande na przytłumienie rewolucyi, jest jakby jaką ekspedycyą przedsięwziąć na podbicie dalekiego narodu. Przy tém, umysły po prowincyach bardziéj ku federacyjnemu związku niż ku zupełnéj jedności zdają się przechylać. Bezsilne tu jest nazwanie monarchii, a młody dwunastoletni cesarz ni wiele miłości ni wiele blasku nie posiada. Słyszałem utrzymujących ludzi świadomych kraju, że gdyby w jednym czasie kiedy wybuchła rewolucya w Bahia, przypadło najmniejsze zaburzenie w Pernambuko, nie chybnieby się rozwiązało całe Brezylijskie cesarstwo i potworzyłyby się udzielne prowincye żadnego związku niemające z Rio Janeiro.

Cała zatem ważność tego miasta na przyszłość zawisła od handlowych jego stosunków z Europą. Wygodny i bezpieczny port, lepszy od któregokolwiek portu na wschodnich brzegach Ameryki południowéj; przy tem stalszy nieco od innych i cywilizowańszy rząd, tradycyą przynajmniéj jednający więcéj zaufania u Europejskich kupców, niżeli młode świeżo zawiązujące się rządy; te i tym podobne przyczyny czynią że dotąd jest tu wielka przystań, skład główny handlowy i wymiana krajowych płodów na europejskie.

Nie od rzeczy będzie, dla dania dokładniejszego wyobrażenia o handlu w tym porcie i jego ważności, przytoczyć tu niektóre data statystyczne wyciągnięte z raportów celnych na miesiąc marzec r. b.

Wywóz główniejszych płodów krajowych w miesiącu marcu 1838 roku.

Kawa 65,458 worów 314 baryłek.
Cukier 918 skrzyń 1,142 baryłek 56 worów.
Skór 27,734.
Rogów 41,718.
Ryż 600 worów.
Tytuń —
Wódka 544 kuf.
Tapioca 104 baryłek.
Jacaranda 1,026 tablic.
Mandioca 440 worów.
Mięso suszone 264 arobas (każda aroba waży 25 funt).

Przychód celny w miesiącu marcu 1838 — 364,780, dolarów [1], 298 reisów.
„ „ w miesiącu marcu 1837 — 433,103, dol. 420 reis.
„ „ w miesiącu marcu 1836 — 386,004, dol. 933 reis.

Z towarów, które w miesiącu marcu r. b. weszły do portu Rio Janeiro z portów zagranicznych celniejsze są:

---

[1]) Jeden *dolar* brezylijski znaczy 6 franków, 12 c. (10 złp.), w jednym dolarze mieści się tysiąc *reisów*. Nie łatwo jest nawyknąć do téj drobnéj monety, która się na tysiące liczy. Zdziwiło mię wielce kiedy mi szewc za parę butów kazał zapłacić sześć tysięcy *reisów*. — W istocie wynosiło to na 36 fr. 72 c.

Fajans (714 koszów) miedź, żelazo, obręcze żelazne, ołów, dziegieć, węgiel ziemny, deski jodłowe (855 tuzinów), farby, wina francuzkie i hiszpańskie (900 kuf, 209 beczek etc.) wódka, oliwa tłustość rybia, piwo, mąka pszenna (7,790 beczek), suchary, mydło, świece, mięso wędzone (36,388 kintalów), łój, skury, sól, tytuń, cygara, szkło, papier, liny okrętowe, wosk, słoniowa kość (64 zęby) etc. Towary bawełniane (1,922 pak) płótna (115 pak) sukna (293 pak).

Cło od towarów zagranicznych 15% wyjąwszy herbatę, która przynosi 300% i proch od którego cło 500%; nadto płaci się 1½ % wydatków komornych i ¼ % składowego. Cło od wywozu 2% i 1½ % wydatków.

Nie miałem czasu dobrze się rozpatrzyć w geologicznéj posadzie okolic tego miasta. Rio Janeiro leży na granitowym pokładzie Brezylijskich Andów, które się ciągną w kierunku południowo zachodnim i których *formacyi* przypisać należy odpowiedni kierunek wschodnich brzegów południowej Ameryki. Nowsi geografowie upatrują w tym *systemie* gór trzy główne łańcuchy: ten który widzimy za miastem i za zatoką od strony zachodniéj, jest łańcuch równoległy od brzegu morza, zwany od Brezylijczyków *Serra do mar.* Poczyna się niedaleko Rio de la Plata i acz przerywany idzie po za brzegiem oceanu, przerzyna prowincye nadmorskie i dochodzi, aż do Olinda, gdzie łańcuch ten niknie a brzeg lądu zawraca się ku północy. Za tym łańcuchem jest drugi, przeciągający przez najbogatszą w złoto i diamenty prowincyą Mina Geraes; zowią go krajowcy *serra do Espinhaço* i ma być nieco wyższy od nadbrzeżnego; nieprzechodzi jednak wysokości 900 sążni nad p. m. Za tym nakoniec łańcuchem poczyna się trzeci, którego przypłaszczone góry zlewają się w środkową wyniosłość Ameryki Południowéj rozdzielającą wody

między spad północnych rzek i Rio de la Plata. Kierunek tego trzeciego łańcucha oddala się już znacznie od kierunku nadbrzeżnych gór, nie tworzy ciągłego pojedyńczego pasma, ale raczej ma to być szereg wierzchów przerywanych pasem rozmaitego nazwania. Temu trzeciemu łańcuchowi a raczéj gromadzie Brezylijskich gór dano nazwanie *Serra dos Vertentes.*

Rzecz godna uwagi, że Brezylijskie państwo zajmuje całą tę gromadę czyli *system* gór, których skład, forma i kierunek różne są od głównego łańcucha zachodnich Andów, i których fizyczne, naturalne granice nie od trafu zapewne znalazły się w związku z politycznemi granicami Brezylii. Góry te jakem powiedział oznaczały kierunek brzegom oceanu atlantyckiego, podobnie jak łańcuch Cordylierów wytknął niejako liniją brzegom oceanu spokojnego. Dwa te olbrzymie pasma czy gromady gór przedzielone wyniosłą płaszczyzną od któréj ku północy odrywa się trzecia mniejsza gromada (system) gór (sierra de Parime, sierra de Pacaraine etc.) podzieliły całą Amerykę południową na trzy rozległe łożyska (bassins) wód: to jest Rio de la Plata Orenok i rzekę Amazońską [1]).

Rio Janeiro i jego zatoka leżą w szczerbie granitowej nadmorskiego łańcucha gór Brezylijskich, Serra do Mar. Główna massa granitu składa się z kwarcu, czarnej miki i zielonego felspatu. Oprócz tych głównych elementów, daje się widzieć w tymże granicie mika biała, w szerokich blaszkach, przezroczysta, i drugi gatunek felspatu, czerwonawy, podobny do czerwonego felspatu Baweno. Częstokroć oba te gatunki felspatu widzimy w jednej i tejże samej maści: tamten białawy, łupa się na trzy kierunki (à trois clivages) prawie jednostajnie łatwe i nietworzy osobnych kryształów, kiedy ów drugi

[1]) **Humboldt.**

czerwony, ma tylko dwa *kliváże* i wszystkie posiada charaktery felspatu *Ortozy*. Ten ostatni pokazuje się najczęściej w żyłach i pojedyńczych ziarnach, tworząc sześcio-ścienne pryzmy podwójnemi płaszczyznami zakończone, a towarzyszą mu biała mika i kryształy kwarcu. Z minerałów dosyć obficie rozsianych po tym granicie, napotykamy piękne, przeświecające granaty z rodzaju *Almandynu*, zielone i czarne turmaliny, wiele chlorytu, piryt żelazny, i w tymże granicie leżą owe żółte topazy, euklazy, beryle i wielka rozmaitość innych kamieni.

Rozmaitego ziarna i trwałości jest ten granit. — W ogólności łatwo się rozkłada od wpływu powietrza i wilgoci, a rozpadając zostawia środki czyli jądra gór, w kształcie ostrokręgów podobnych do głów cukru. Od tego to nazwaną została góra u wejścia do portu *Pano do Azugar* i takiejże formy widać inne góry w okolicach Rio Janeiro jako też wierzchy łańcucha gór od zachodu. Forma ta ma być właściwą całemu pasmu gór Brezylijskich i zależy niewątpliwie od natury skał i sposobu w jaki się tworzyły.

Gliniaste pokłady pochodzące z rozkładu skał granitowych są albo białe (*Kaolin*) z ziarnami kwarcu, albo też rozmaitych kolorów żółtych, czerwonych i pstrych, tworzące ziemię tłustą i urodzajną.

Oprócz granitu w massach bezkształtnych, widzimy tu pokłady gneisu z takichże samych co granit części złożone. Skały te gneisowe, warstwowane, zdają się być trwalsze od granitu i z nich utworzone widzimy wszystkie przypłaszczone wzgórza w samem mieście i jego okolicach. Warstwowanie się tych skał nic w sobie nie ma stałego; warstwy powyginane w rozmaitych kierunkach i nachyleniu, a sama skała z bardzo drobnych blaszek miki i drobnych ziaren felspatu złożona, nieznacznie przechodzi w granit za ukazaniem się kwarcu. W niektórych miejscach skała ta dzieli się łatwo na

ogromne plity, od 5 do 10 cali grubości mające używane tu do brukowania ulic, do murowania mostów, ogrodzeń i domów. Widziałem ulice wyłożone na całą swą szerokość sztukami na 3, do czterech łokci długiemi, i z takichże sztuk porobione trotuary.

Pokłady gneisu poprzerzynane widzimy wielką ilością żył, które podobnież jak żyły w granicie z czerwonawego felspatu, i wielkich kryształów miki i kwarcu są złożone. Żyły te niemają stałego kierunku ni nachylenia, przecinają zazwyczaj kierunek warstw, krzyżują się a częstokroć przybliżają się do kierunku prawie poziomego. Rozsiane po tym gneisie granaty należą raczej do jego massy niż do żył i zdarza się je widzieć w takiej obfitości, że skała przybiera osobne wcale wejrzenie.

Godzien jest uwagi jeden gatunek gneisu, który się tu napotyka i któryby nazwać należało gneisem porfirowym, z przyczyny, że w głównéj jego massie ziarnistéj widzimy kryształy czerwonego felspatu, już to pojedyńcze mające formę graniastosłupów czworościennych już to podwójne (hemitropies). Kryształy te rozsiane są po całéj massie gnejsowej, w takiż sposób jak widzimy podobnież kryształy felspatu rozsiane po porfirowym granicie w Cewenach, (Lozera) z tą różnicą, że w tutejszym gnejsie kryształy te uwięzione widzimy między cienkiemi warstwami drobnej miki i białego felspatu, kiedy w porfirowych granitach środkowego podniesienia Francyi, takież kryształy leżą w ziarnistej massie nie warstwowanej, a złożonej z drobnych ziarek miki i innego felspatu, bielszego nieco i łatwiej rokładającego się od powietrza niżli same kryształy.

To podobieństwo skał, tak daleko od siebie położonych, dwojaki w nich felspat i porfiryczna budowa, tem bardziej mię zastanowiły, że w ogólnym utworze tutejszych granitów, gneisów i porfirowych gneisów, tenże

sam czerwony felspat, który się pokazuje w kryształach rozrzuconych między drobno ziarnistą massą, wchodz do składu żył (filons et veines) przecinających te skały, kiedy tym czasem drugi gatunek felspatu zdaje się należeć wyłącznie do samej massy pokładu. Zkąd wnosićby należało, że uwięzione w pośród tej massy kryształy nadające jéj porfiryczną budowę, w takiż sposób powstały i potworzyły się, od takichże samych przyczyn, co i żyły, które tę massę przecinają. Co większa żyły te niekiedy zdają się być powiązaniem tylko tychże samych kryształów, które gdzie indziej potworzyły się każdy pojedynczo w pośród porfirowej massy; żyły te częstokroć zamykają się nieprzerwane żadnemi innemi żyłami i bynajmniej nie trzymają się żadnych stałych kierunków jakem powiedział: z czegoby też wnosić należało, że te żyły (jak zapewne wiele żył metalicznych) nie powstały ze szczepania się czy pękania skał przez podziemne rewolucye i z zapełnienia rozpadlin krystaliczną materyą, (jak to geologowie zwykli tłumaczyć) ale zapewne z powolnego układania się w kryształy cząstek materyi czasu jej stygnienia, w epokach już późniejszych od jej wylania się na powierzchnią ziemi.

VII.

Wyjazd z Rio Janeiro. — Dalszy ciąg podróży morskiéj aż do ujścia rzeki Rio de la Plata–Montewideo.

11 kwietnia.—Okręt *Spey* na którym przybyliśmy do Rio Janeiro powracał do Anglii, a drugi okręt (packetboat) angielski, utrzymujący pocztę między Rio-Janeiro

a Monte-Video i Buenos-Ayres odpływał dziś rano. Na tym okręcie zwanym *Spider*, pod dowództwem kapitana O'Reilly zamówił dla mnie i dla siebie miejsca pan Lambert i wcześnie z wieczora przesiedliśmy się dnia 10 kwietnia na korwetę Spider po dwumiesięcznym pobycie na Speyu.

Tu mała zdarzyła mi się przygoda z paszportem.— W urządzeniach policyjnych tego portu, egzystuje rozkaz niewypuszczania podróżnych z portu, nie mających formalnego brezylijskiego paszportu. Każdy cudzoziemiec przybywający do Rio Janeiro, winien natychmiast złożyć swój paszport w policyi a prosić o inny, krajowy, za który się płaci rządowi kilka dolarów. Do otrzymania takiego paszportu potrzeba najmniéj trzy dni czasu na ogłoszenie po gazetach, lub też poręki którego z konsulów czy ambasadorów. Prawo to może być nawet koniecznie potrzebne w tym porcie, z przyczyny wielkiéj liczby spekulantów, uciekających z pieniędzmi i fałszywych bankrutów. Nie miałem czasu czekać na wymianę paszportu, i nie miałem konsula do któregobym się udał po porękę. Z rana więc, kiedy ów grzeczny z czarnemi wąsami komendant przybył dla rewizyi okrętu, bardzo się zagniewał na widok mojego francuzkiego, emigranckiego paszportu, i znalazł się w większym jeszcze ambarasie niż ja. Pomimo bowiem wszelkich z naszéj strony argumentów, prawo przeciwko mnie było, a dobre serce Brezylijczyka i względy jakie miał dla mego ojczystego kraju i dla kapitana nie dozwalały mu postąpić według całéj surowości swoich obowiązków. Mocno się osrożył gdy mu zaczęto przekładać, że takie urządzenia nie egzystują w żadnem cywilizowanem państwie. „My nie idziemy stanowić, rzecze, praw między waszemi cywilizowanemi państwami, dajcież nam rządzić się w domu, jak się nam podoba“. Te słowa poważnie wyrzekł, i i dał przy tém poznać że nie są mu nieznajome cywi-

lizowane prawa, na mocy których, przyaresztowanoby mię niechybnie w podobnym razie, we Francyi w Anglii, że nie powiem w Rossyi.

Cywilizowaniéj postąpił ze mną komendant, ukłonił się grzecznie, i odpłynął a okręt nas Spider podjął kotwicę, rozpiął żagle i o 10éj rano pożegnał piękną zatokę Rio Janeiro.

Okręt ten mniejszy i chyższy od Speya miał w sobie coś faryzeuszowskiego. Zewnątrz czysty, pomalowany, po kilkakrotnie myty na dzień, miał wewnątrz wiele brudu, plugastwa, prusaków, pająków etc., a przy tem dobrze był opatrzony w grog, oporto, mięsiwa, ser i całe angielskie *confortable*. Była na nim familia kapitana, żona i piękna córka, jeden obywatel z Monte-Video, konsul téj rzpltéj przy Brezylijskim dworze z synowcem swoim, i jeden młody sowizdrzał, anglik, wojażujący przez ekonomiją, z nudy i niecierpliwości.

11—14. — Za pięknéj pogody i o piękném jeszcze morzu płynęliśmy przez pierwsze dwa dni po wyjściu z portu, ale zaledwośmy przeszli za liniją 25° szerokości, temperatura nagle z 85° F spadła do 67° F i morze przybrało tęż samą groźną powierzchowność jaką miało na Biskajskiéj zatoce. Nawykły już do cichéj, łagodnéj żeglugi wpadłem w recydywę ale choroba morska tą razą prędko minęła.

Na téj drodze po za Brezylijskich brzegach nie masz wiatrów *stałych;* żegluga niepewna, a częstokroć długa i nieprzyjemna. Zdarza się że okręta, ledwo we cztery tygodnie po wyjściu z Rio przychodzą do Buenos Ayres; kiedy zazwyczaj podróż tę za pomyślnych wiatrów w dziesięć, lub dwanaście dni odbywają żeglarze. Wiatry północne prawie zawsze są wilgotne; przypadkowe są i mało trwałe. Płynące za tem okręta do Buenos Ayres zmuszone są najczęściéj posługiwać się południowo-zachodnim wiatrem, który się téż często odmienia i prze-

chodzi w południowy. Ale z pomiędzy innych znają tu żeglarze, i nieraz się im we znaki daje wiatr południowo-zachodni, wiejący od pustyni Pampa, zawsze prawie suchy i zdrowy, ale częstokroć tak gwałtowny że okręta na rzece la Plata już będące, muszą uciekać na morze i zdarza się że więcéj niż na sto mil odbijają od brzegów. Wiatr ten nazywa się *Pampero.*

Od wyjścia z Rio Janeiro ciągle prawie mieliśmy na oku wyniosłe nadbrzeże Brezylii, przypominające mi ze kształtu gór swoich, piękną zatokę którą rzuciłem. 14go po południu ujrzeliśmy wyspę Sta Catarina.

Patrząc na nią, mówił mi konsul z Montewideo, człowiek poważny, mówiący dobrze po francuzku, dyplomata krajów tutejszych, właśnie powracający z ważnéj bardzo i delikatnéj missyi, którą sprawował przy Brezylijskim dworze: „Na téj wyspie i przyległych brzegach mam wiele przyjaciół szkolnych, kolegów, z którymi młodość moją przepędziłem w Buenos-Ayres—potem, zasady polityczne rozdzieliły nas, oni zostali *unitaryuszami* i emigrować musieli; Bóg wié jak się im powodzi". Piérwszy raz posłyszałem to nazwanie *unitaryusz.* Prosiłem o wytłumaczenie mi, co znaczy ten wyraz i jaka była zbrodnia tych wygnańców, z kraju wolnego, rzpltej! — „Ha! rzecze, ci zapaleńcy chcieli despotyzmu, koncentracyi sił i władzy w jednéj osobie, połączenia wszystkich prowincyi w jedną całość. Daremne były ich usiłowania; żyjemy w epoce postępów, liberalne instytucye i federacyjny porządek rozwijać się codziennie muszą. Człowiek poznał się na swéj godności, i uczuł mocną wolę. Wiek przesądów, ciemnoty i jezuityzmu dawno już przeminął. Co téż ci Jezuici wyrabiali za swojego czasu. Patrz Pan, niedaleko ztąd, tam, na Paraguay, poczynają się owe *Misiones,* zawiązane przez tych fanatyków, jezuitów, za czasów ciemnoty i barbarzyństwa. Ogromne wsi Indyan, dotąd pogrążone zostały w ciemnocie i zabobo-

nach; lud pracowity, spokojny, uprawia rolę, ma piękne plantacye; cóż kiedy fanatycznie nabożny. Dotąd jeszcze, gdy wielki tydzień nadejdzie, lud ten rozpamiętywa mękę Jezusa, czyni posty i są którzy w osobie Jezusa przyjmują chłostę i naigrawanie".

Na to rzekłem: zapewne w kraju wolnym rzpltéj, macie Panowie nie mało Indyan osiadłych i wolnych, uprawiających rolę, ale bardziéj cywilizowanych niźli ci Indyanie z Missiones — „Bezwątpienia, rzecze, ale, — Indyan nie wiele mamy w rzpltéj orientalnéj; nie więcéj może, nad kilkadziesiąt familij. — Dzicy to są ludzie, i nie można im zawierzać. Dawniéj, było ich daleko więcéj u nas; kilkaset familij w jednéj dolinie nad Uruguay liczono. Byli nawet pomocni liberalistom czasu wojny o niepodległość. Ale potém, potrzeba było ich mieć na oku. W ostatniéj rewolucyi, pod pozorem że się czyni wyprawa na Brezylijczyków wezwano Indyan do broni. Wystąpili wszyscy, i jak ich obyczaj niesie, z żonami i dziećmi. Postawiono ich w miejscu bezpieczném, tak, iżby ani szkodzić ani uciekać nie mogli, i potem, za danym znakiem rzucono się na nich i prawie do jednego wycięto. Obes który był podał radę i plan do téj wyprawy na Indyan, jest teraz wygnańcem w Rio Janeiro, i rzecz szczególna, w téj akcyi jednego tylko żołnierza patryoci stracili a był to syn jego jedyny. Mała garstka tych dzikich uciekła jakimś przypadkiem; pogonili za nią nasi, a między innymi, jeden dzielny jeździec odważny i silny, brat, czy też powinowaty Rivery. Indyanie zręcznie ich wywiedli w pole i porozłączali tak, że ów waleczny człowiek znalazł się sam jeden w pośród dzikich. Miał dzielnego konia i nie lękał się choćby na dziesięciu uderzyć; ale Indyanie nie przybliżali się do niego; ciśnięto *bolasami* między nogi konia, zwinął się koń, ciśnięto raz drugi i obwinęły się bolasy w koło ramion jeźdźca; wtenczas rzucono arkan, i ściągniętego z konia

wlekli ci barbarzyńce. Mówił mi jeden Indyanin obecny temu zdarzeniu, że kiedy go postawiono na śmierć, a każdy wymyślał tylko męczarnie, odbiegła od niego odwaga i prosił o życie. Przyrzekał powrócić im żony i dzieci ich które tylko zostały przy życiu.—A ci których już nie masz, kto nam ich powróci, zawołał jeden ze zgrai; i rzucili się nań ze wściekłą rozkoszą i z tryumfem że przymusili nieprzyjaciela swego prosić o życie, i rozszarpali go najokrutniéj".

Wiele tym podobnych scen i wydarzeń opowiadał mi konsul z nowszych czasów, i niemógłem się wstrzymać od zrobienia uwagi, że nie potrzeba wielkiej odwagi ni cywilizacyi niszczyć Indyan, lub odpędzać ich w lasy i na pustynie: księża umieli ich pokonywać pokojem i cierpliwością, zaszczepili w nich wiarę, nauczyli pracować i zostawili przykład jaką drogą człowiek z dziczyzny wychodzi.

Zadziwiła nieco konsula ta niespodziana uwaga i nie zbijał mi jej; zdawał się podzielać moje zdanie, a to dało mu okazyą do pokazania mi niedawno wydanych w Buenos-Ayres dokumentów tyczących się historyi, organizacyi politycznej i dzisiejszego stanu tych Indyjskich missyi: ([1]) *Historia del Paraguay, Rio de la Plata y Tucuman por el P. Guevara S. J.* — ([2]) *Memoria Hist. geogr. polit. y econom. sobre la provincia de Misiones por D. Gonzalo de Doblas).* — W ostatniem dziele znalazłem ciekawe porównanie stanu tych prowincyj za czasu Jezuitów ze stanem w jakim je znaleziono we cztery lata po wypędzeniu Jezuitów. — Popis ludności, i ocenienie całego dobytku Indian czynione było przez jednego z urzędników, który w tym dziele zdaje się być raczej nieprzyjacielem Jezuitów niżli ich stronnikiem. Rzecz ta wydała mi się bardzo ważną i zanotowałem w dzienniku moim liczby, które D. Gonzalo de Doblas podał w raporcie swoim oficyalnym.

Stan własności Indian w Missiones.

	Woły	Konie	Klacze	Muły	Owce	Osły
w roku 1768	44,114	31,603	64,352	12,705	225.486	6,055
w roku 1772	25,493	18,149	34,605	8,145	93,739	—

w ogólności Bydła rozmaitego sztuk (Ganado de rodeo)
743,608 — za Jezuitów.
158,699 — po ich wypędzeniu. Przy tem czytamy w tymże urzędowym raporcie (z roku 1772) że przy wypędzeniu Jezuitów liczono więcéj 100,000 dusz ludności a w r. 1777 nie pozostało po wsiach więcej nad 60,000 Indian oprócz 8 do 10 tysięcy nie osiadłych.

15. Święto Wielkiej Nocy smutnie i nieprzyjemnie mi przeszło: nie miałem nawet ustroni pomodlić się i pomyślić o domie, krewnych i przyjaciołach. W Anglikach i tem co ich otaczało, nie było najmniejszego znaku wielkiej uroczystości. Ludzie ci po części z uporu, nienawiści i dumy, po części z fałszywej filozofii wyrzekli się najmilszéj w życiu ludzkiem pociechy, obchodzenia uroczyście wielkich świąt kościelnych.

Dnia tego napadła na nas cisza i trwała dwa dni.

18. Zawiał Pampero; morze się wielce wezbrało, byliśmy rzucani jakby od największej burzy, pozmniejszano żagle i termometr spadł do 65° F. — (Barometr Kapitana wskazywał 29° 70). — Na tej drodze między Rio a Montewideo barometr jak mi powiadał Kapitan doznaje silnych odmian i częstokroć podchodzi aż do 31 60 cali ang.) O południu dnia tego byliśmy pod 31°, 49 S. i 49°, 49 Dł, G. (od poł. Lond).

Wieczorem, równaliśmy się z Rio-Grande, gdzie jak nam powiadano w Rio-Janeiro, cała prowincya była w zaburzeniu. Ciekawy szczegółów tej rewolucyi, pytałem konsula, jako człowieka stanu i obywatela sąsiedniej prowincyi w jakim celu podniesiono rewolucyą

w Rio-Grande i jakie były zamiary rewolucyonistów. — Niewiadomo jeszcze było czego żądali naczelnicy ani też jacy to byli ludzie i jakiej siły. Prowincya ta graniczy z rzplitą Uruguay ciągle zaburzona i niedaleko położona od Związku Argientyńskiego, gdzie też niewiele było dotąd pokoju. Przykład sąsiadów i daleka odległość od centralnego rządu wielce sprzyjały wszelkim politycznym odmianom. Lada herszt poburzał ludzi przeciw miejscowym władzom, ogłaszał rzeczpospolitę, wolność i udzielną egzystencyę państwa. — Wojna ta bezustanna wiele już kosztuje rząd Brezylijski i bezwątpienia zakończy się uznaniem niepodległości Rio-Grande. Niedawno ogłoszono wolność czarnym w tej prowincyi, ale tym tylko, którzy się do broni wezmą przeciw Brezylijczykom. — „Ministeryum dzi„siejsze w Rio-Janeiro, rzekł konsul, miało w podejrze„niu rząd rzpltej orientalnéj, jakoby sprzyjał rewolu„cyonistom w Rio-Grande, dawał im posiłki i poburzał „ich przeciw monarchicznemu rządowi. Dzienniki w pra„wdzie nasze ogłosiły po kilkakrotnie wiadomość o zwy„cięstwie liberalistów i przemawiały dosyć śmiało w ich „interesie. Minister Wasconcellos wymawiał mi, ale się „tłumaczyłem, że w kraju wolnym, każdemu jest wolno „pisać co się mu podoba, i z tej okazyi wymawiałem „Ministrowi, że pozwalał swoim rządowym dziennikom „ogłaszać artykuły i wiadomości przeciwne interesom „dzisiejszego rządu w Montewideo. Z tąd pochodzą roz„maite plotki i nieporozumienia między dwoma rząda„mi. — Trudno było wybić z głowy tym ludziom, że „Montevideo bynajmniej nie życzy sobie ustalenia rzplitéj „w Rio-Grande. Rozmaite dowody i przyczyny dawa„łem w notach na zbicie tego uprzedzenia; — i ludzie „ci, nie widzą istotnej przyczyny, którą mamy niepo„magać rewolucyonistom, — przyczyny, o któréj rzecz „jasna, nie było wzmianki w moich stosunkach z rzą-

„dem Brezylijskim. — Rewolucyoniści bowiem dotąd „mocniejsi są od *leitimistów*; w razie zawiązania się „rzpltéj silnéj w Rio-Grande, i zaprowadzenia w niéj „porządku, nasza rzplta dostałaby niebespiecznego są„siada, któryby się mieszał do interesów naszych i da„wał przytułek malkontentom. — Kiedy tymczasem Bre„zylia mając u siebie domowego nieprzyjaciela ani nam „szkodzić może ani jest niebespieczną". Ale w razie tryumfu wojska leitimistów, zapytałem, czy też mogą liczyć na pomoc sąsiedniego rządu republikanie z Rio-Grande? — „Rząd mój, odpowiedział konsul, nie zej„dzie z linii umiarkowania i słuszności jaką mu intere„sa jego państwa nakazują".

Takto daleko już zabiegła dyplomatyczna rachuba, najdroższe dziecko nowéj cywilizacyi. Nieokrzesany Pampero niepozwolił nam długo rosprawiać o polityce, i pobnrzoną falą ze słonéj wody pospędzał nas z pokładu — pozamykano kajuty i przez całą noc bałwany morskie przerzucały przez okręt: Przededniem kiedy się burza wolnieć zdawała, uderzył raz jeszcze silny wicher i poszarpał nam żagiel od wielkiego masztu.

19. — O południu nastała cisza, a majtkowie jęli się do przyrządzenia nowego żaglu, który wyjęto z okrętowych składów. Pomimo ciszy, morze tak było poburzone, że trudno było ustać na pokładzie.

20. Z rana wiatr północny; po południu znowu południowo-zachodni, (Pampero) który nas daleko na wschód odpędza. — Byliśmy tego dnia pod 33° S. a 48° Dł. o więcéj niż 300 mil od Montewideo. — Br. 29;96 — Ter. 67 - WSW.

21. Pampero. — Odbiegamy ciągle ku południo-wschodniej stronie. — Ter. 65,—Bar 31.00 SW.

22. Po krótkiej ciszy, wiatr południowo-wschodni. Zawracamy się prosto ku celowi naszéj podróży. Br. 30.43 Ter. 65 — SE.

23. O południu 51° 46 Dł.—34° 51 S. — Bar. 30,52 Ter. 69 — wiatr N.

24. O południu mijamy szerokość przylądka S. Marie — wiatr północny — ubiegamy po 7 do 8 węzłów (mil) na godzinę [1]. — Morze zmieniło swój kolor i od wczora, z błękitnego przemieniło się w zielonawe. Ta przemiana koloru pochodzi zapewne od wody słodkiej, która się tu już miesza ze słoną, i od niewielkiej głębokości, nieprzechodzącéj w tem miejscu 50 do 70 sążni.

O 3ciej kiedyśmy u obiadu spijali szampańskie, dano znać, że się pokazuje ziemia.— W tym momencie mijaliśmy duży bryg Hiszpański, który od rana na parę mil ang. biegł przed nami.

O pół do szóstej zrównaliśmy się z wyspą Lobos tak nazwaną od wielkiego mnóstwa fok, które na tę wyspę wyłażą i w koło niej krążą. Rząd rzpltej Orientalnej i obywatele nie mały mają przychód z ich połowu, który nie wiele kosztuje pracy i nakładu, a skóry i tłustość tych źwierząt dobrze się popłacają.

O północy obaczyliśmy światełko od latarni morskiéj na wyspie Flores. Wiatr silny i pomyślny pędził nas prosto do celu. Upływaliśmy po 9 do 10 *węzłów* na godzinę a jednak ruch okrętowy tak był słaby, nieznaczny, jak gdybyśmy na miejscu stali. Woda była mętna, światło po fali i w koło okrętu białawe, przeciągłe, słabe, bez iskier i błyskotek: patrząc w wodę z tyłu okrętu, widać było jak to światło głęboko zachodziło w rzekę potem się wynurzało na powierzchnię i szeroki szlak zostawiało po drodze którędy biegł okręt.

---

[1] W języku żeglarzy często się używa wyraz *węzły* za *mile*, albowiem sznurek który się puszcza na morze dla mierzenia chyżości ma na sobie węzły i na ile węzłów rozciągnie się sznur na minutę tyle mil na godzinę ubiegamy.

25. Rano o wschodzie słońca byliśmy już niedaleko Montewideo: widać było miasto na równinie i za niem jednę samotną górę w kształcie ostrokręgu, od którój port i miasto wzięły nazwanie. Wiatr słabiał, i napotkaliśmy silny ciąg od rzeki, który nas ku mieliznie posuwał. Kapitan zmuszony był na czas rzucić kotwicę, ale w godzinę wiatr nadszedł i zawinęliśmy do portu.

Montewideo.

Wylądowałem o południu. — Znaleźliśmy w tej rzpolitéj domową wojnę: dwóch prezydentów, dwa wojska i rozdwojone państwo. Stolica Montewideo i większość mieszkańców na prowincyi były przy legalnym prezesie Oribes, któremu deputowani dali na czas wojny nieograniczoną władzę rządzenia. Człowiek to ma być sprawiedliwy, umiarkowany, czynny, ale zdaniem cudzoziemców tu zamieszkałych nie wielki polityk i bez energii. Przeciw niemu utrzymuje się w polu na czele ochotników, *gauczów*, rozmaitego rzędu ludzi i partyzantów z rozmaitych stron Ameryki, dawny prezes, potem główny dowódzca wojsk rzpolitej Frutos Ribera. Człowiek silnéj woli i silnéj budowy, bitny, wytrwały i że użyję wyrazu, przybyłego z nami konsula istny *toro* (byk). Przy tém, nie bardzo surowych obyczajów, rozrzutny, popędliwy; wiele położył zasług w ojczyznie, pobił Portugalczyków, porozbijał partye, ustalił udzielność rzplitej; ale kiedy był Prezesem żył jakoby w obozie, ani pożyczonych pieniędzy nie płacił ani o pożyczone nie upominał się. Główny jego talent polegać ma na zręcznem zażyciu i ciągłem oszukiwaniu swoich nieprzyjaciół. Podejrzliwy, nieprzebacza i najbliższym przyjaciołom, skoro się znajdą na zawadzie. Pyta o radę, słucha, ale zawsze według swojego widzimisię postępuje i nikt go jeszcze nie zbadał. Raz pobity (w 1837)

od przeciwnej partyi, nie mając co począć, poradził żołnierzom swoim zaciągnąć się na czas do Brezylijskiego wojska na pograniczu Rio-Grande, a sam z niewielką garstką Gauczów koczował po nieludnym a rozległym swoim kraju. Rząd ówczasowy nie mógł się upomnieć u Brezylijskiego dworu o wydanie lub odpędzenie malkontentów, albowiem mu odpowiedziano, że byli to zaciężni żołnierze a nie emigranci. Po niejakim czasie Ribera znowu zebrał garstkę ludu, wrócili partyzanci i znowu liczy do dwóch tysięcy wojska a coraz straszniejszy rządowi. Unika spotkania się i walnej rosprawy, wycieńcza siły i cierpliwość rządu, licząc na jego nieudolność i brak wytrwałości w jego zwolennikach. Jakież są jego zamiary? — prowadzić wojnę, obozować, a zwyciężywszy nieprzyjaciół swoich znowu być Prezesem, mieć pieniądze, przyjaciół. — Ogromne trzody koni, bydła i nieprzejrzane okiem pola i równiny czynią weselszem i mniej może kosztownem prowadzenie wojny na tym nadbrzeżnym szlaku orientalnéj rzpolitéj, niźli zaprowadzenie porządku i industryi. Podczas kiedy hucznie i gromadnie plondrowali po rozległéj stepie wolni buntownicy, prawodawcze izby naradzały się i spór wiodły o instytucye i prawa, w nudném mieście, na piaszczystym brzegu, wpośród kram i cudzoziemców.

W takim stanie rzeczy znalazłem w tem nowém, udzielnem państwie, które od wypędzenia Hiszpanów, a potém Portugalczyków przybrało nazwanie wschodniej rzpltéj Uruguay. Państwo to, jakem powiedział przygranicza od północy do zaburzonych prowincyj Rio-Grande, a z drugiej strony oddzielone jest od kłótliwego też Argientyńskiego związku, rzekami Uruguay i Parasio. Niepiękne są jego brzegi od morza, płaskie, suche; ale wewnątrz kraju, ma być jako źwierzyniec jaki, trzodami, i wszelkiego gatunku ptastwem przepełniony; ziemia żyzna, w piękne różno owocowe drzewa obfitu-

jąca, klima łagodne, powietrze czyste i zdrowe; umysł tylko mieszkańców niespokojny.

Miasto i port leżą na północnym brzegu Rio de la Plata; niewielka zatoka wzębia się między miasto i ową piękną górę Montewideo, na któréj widać niewielki zameczek opuszczony dziś od ludzi. Nie zupełnie bezpieczny jest ten port i zwłaszcza wrazie silnego Pamperu większe statki uciekać muszą na morze. Handel jednak ma być bardzo czynny, i tego dnia znaleźliśmy więcéj sześciudziesiąt okrętów na zatoce.

Miasto nie piękne; domy jednopiętrowe a ich pokrycia płaskie, poziome, z parapetami, służą czasu deszczów na zebranie wody do cyterny (do sporządzonych na to studzien) a razem na przechadzkę czasu pogody. Ulice proste, krzyżujące się pod kąt prosty ale niegodziwie brukowane i większa ich część bez bruku. Dawna część miasta daleko regularniejsza od téj którą teraz budują. Domy najwięcéj w kwadrat murowane, z cegieł, a na dziedzińcach widać niemało kwiatów i wazonów. Z resztą ani drzew ani żadnych ogrodów niemasz w koło miasta, co nadaje mu wejrzenie suche i nieprzyjemne.

Jedyną ozdobą tego miasta jest kościół porządnie zabudowany na wielkim rynku. W tym kościele widziałem kilka pięknych obrazów i wszystkie ołtarze czysto i starannie utrzymane.

Na przeciw kościoła *cabildo* (czyli ratusz) daléj nieco więzienie, i za niem w ulicy, rynek owocowy, na którym wielka obfitość jabłek, gruszek i wszelkiéj leguminy europejskiéj.

Wyszliśmy za miasto. Jakże odmienna tu natura od téj którąśmy tylko co rzucili; od téj gorącéj, w palmy, banany i ananasy bogatéj ziemi. Znaleźliśmy tu już jesień cichą łagodną; mnóstwo koni i bydła pasło się

po równinie; ciepło umiarkowane, przyjemne; zboża i warzywo zebrane już były z pola.

Tuż przy brzegu łamano skały na bruk i budowle, i w temże samem miejscu robiono cegły z wierzchniéj gliniastéj ziemi, a wypalano je kościami. W tym albowiem szczególnym kraju więcéj bydła i koni niż drzew; przemysł niedoszedł jeszcze do tego stopnia, iżby ze zwierzęcego węgla korzystać. Słyszałem że są tu właściciele, którzy po kilkanaście tysięcy sztuk bydła zabijają na rok ze swoich własnych trzód przedają skóry a mięso krajane w cieńkie pasy i suszone, uchodzi w handlu pod nazwaniem *czarki*.

Przebiegając raz jeszcze przez miasto, uderzało mię najbardziéj owe pospólstwo dziwnie malownicze, lud na koniach ze wsi przybywający, owi *gaucze* w rozmaitość żywych i jaskrawych kolorów przybrani, w których władaniu są żyzne i obszerne stepy południowéj Ameryki. Widziałem ich tylko w mieście, nie wiele więc o nich na ten raz mam do powiedzenia. Ich płaszcze z jednéj sztuki, bez rękawów, z otworem tylko na głowę, spadają po niżéj kolan, a są rozmaitych kolorów, najczęściéj czerwonem podszyte. Z pod takich płaszczów zwanych *pończo* spada aż do stóp czerwona jakoby spódnica z pąsowego sukna, którem to suknem zwanem *czylipa* okręca sobie jeździec nogi i aż do pasa kiedy jest na koniu. Ich kapelusze wysokie wstążkami przepasane, buty z długiemi ostrogami, a u pasa nóż. Kilkadziesiąt takich *gauczow* siedziało i przechadzało się u wejścia do koszar, byli to żołnierze, mniéj podobni do naszych żołnierzy niżeli turki lub araby. Z oczu im nieuległość i pustynia wyglądały; każdy innym kolorem przybrany; długie piki, i długie pałasze z pod poważnych płaszczów spadające, noże i pistolety za pasem a ciemne twarze; — w istocie takich jeszcze republikanów nie było na świecie.

Nie mało tu jest murzynów ale niemasz handlu niewolnikami, i żaden kupiec nieśmiałby tu już zawinąć z nowym transportem negrów. Ci którzy z dawnych czasów pozostali, należą jeszcze do swych panów, ale mają prawo wykupywać się i niewolno panom więcéj od nich żądać nad to co zapłacili za nich; tak przynajmniéj mówi tutejsze republikanów prawo. Murzyni tutejsi zachowali jeszcze po większéj części kolor i włosy właściwe ich pokoleniu; ale wszyscy porządnie ubrani, poważniejsi są i rozumniejsi od Brezylijskich, stracili już całą dzikość i zaszła jakaś szlachetna odmiana w ich twarzach. Widziałem metysów, którzy mieli piękne hiszpańskie twarze ciemnym tylko kolorem powleczone.

Kawiarnie i traktyery urządzono już na sposób europejski; *garsony* tylko mniéj wyelegantowani i dzienniki nie tak świegotliwe. Te ostatnie na ten raz dosyć nawet znalazłem skromne i prawie rumieniące się. Przyczyną tego było, że niedawno prezes powagą swoją i dyktatorskiém prawem kazał oppozycyjnym redaktorom milczeć, niektórych przepędził a jednego panflecistę, jak wieść niesie, własną swoją dyktatorską ręką wybił. Pomimo to jednak, śmiało tu i głośno rozprawiają o polityce po traktyerach, jak tego byłem świadkiem przy obiedzie.

Pod wieczór przechadzała się po ulicy ludność *wyższego tonu*, takaż sama co i po naszych miastach. Kobiety białe, urodziwe, z wachlarzami i wysokiemi grzebieniami, na których poupinane weluny chociaż nienajświeższéj mody dodają wiele wdzięku i powagi.

Niemiałem czasu zebrać statystycznych wiadomości tego udzielnego państwa na samym rogu między dwoma zaburzonemi państwami kłócącego się. Jego ludność nieprzechodzi sta tysięcy mieszkańców, a co do saméj stolicy, chociaż wspomniany konsul téj Rzpltéj zaręczał

mi, że Montewideo liczy już więcéj 20,000 ludności, czytałem po statystykach i słyszałem mówiących, że niemasz tu i 10,000 mieszkańców.

Powiedzmy też cokolwiek o geologii tego miejsca: to przynajmniéj com widział na swoje oczy za miastem. Cała nadbrzeżna płaszczyzna jest z granitu, mało podniesiona nad poziom morza, i żadnych na niéj gór niewidać, wyjąwszy ową okrągłą ostrokrężną górę Monte Video, która tu zdaje się być ostatnim ogniwem łańcucha gór Brezylijskich. Po drugim bowiem brzegu rzeki poczynają się owe południowe stepy Ameryki zachodzące aż w Patagonią, i żadnéj góry niemasz, ni śladu granitu. Z opowiadania krajowców, poczynają się wzgórza ciągłe i miejsca skaliste o 20 mil na północ za miastem, a nierówności te są przedłużeniem łańcucha którośmy widzieli w Rio Janeiro. Forma tych gór podobna do głów cukru, zapewne i téj części łańcucha jest właściwą gdyż jak mi mówiono, są i w tutejszym kraju pojedyńcze góry zwane *Pan de azucar* (głowa cukru).

Jednakże granit przy Monte Video różni się od granitu jakiśmy widzieli w Rio Janeiro. Tutejsza skała składa się z kwarcu i miki bronzowego koloru. Jest to prawdziwy łupek mikowy (mica chiste) poprzerzynany w rozmaitych kierunkach żyłami felspatowemi, w podobny sposób co gneis i granity Brezylijskie. Żyły te mają takąż samą grubość co w Rio Janeiro, nieprzechodzącą dwóch do trzech cali.

Godną jest uwagi i dokładnego zastanowienia się natura felspatu wchodzącego do składu żył, i sposób w jaki się łamią te skały.

1) Łupek ten mikowy łamie się we trzy kierunki: najłatwiejszy i według którego brukarze łamią tę skałę na płyty od 8 do 12 cali grubości mające, zapada prawie pionowo i odpowiada południowo-wschodnim brze-

gom Ameryki. Kierunek ten pochodzi od położenia blaszek mikowych, bardzo drobnych i cieńkich, które téj skale jakby wejrzenie warstw nadają; — co wcale nie do pojęcia być się wydaje jakim sposobem skała warstwować się mogła pionowo i utworzyć płaszczyznę (plateau) równą. Drugi kierunek płaszczyzn według których dają się łupać te skały, jest prawie poziomy, czyniący z poprzednim kąty proste; trzeci nakoniec, odpowiadający kierunkowi brzegów rzeki, odpowiada też wielkiéj liczbie żył felspatowych.

2) Gatunek felspatu w tych żyłach zdaje się różnić od feldspatu ortozy granitowych żył w Rio Janeiro. Tutejszy niema dwóch kliważów łatwych, blaszki krzywe częstokroć o kątach wklęsłych, rozmaitego koloru, i zdarzyło mi się znaleźć ułamek jeden feldspatu takichże samych tęczowych kolorów jakie się zazwyczaj dają widzieć na labradorze. Jakoż z zewnętrznych charakterów felspat ten raczéj do *labradoru* niż do innych gatunków felspatu należy. Jemu też towarzyszy kwarc nie krystalizowany (amorph) i żyły te po większéj części tak się szczepią i rozpadają jak gdyby od ognia były przyprażone.

VIII.

Żegluga po rzece Rio de la Plata — Blokus Francuski — Buenos-Ayres.

25 Kwietnia. Okręt odpływał tego wieczora po zachodzie słońca, przybyło do nas trzech oficerów francuskich i popłynęliśmy z pomyślnym wiatrem w poprzek przerzynając rzekę ku południowi. O parę mil znaleźliśmy wojenną fregatę francuską *la Minerve* na

któréj był admirał le Blanc. Oficerowie przesiedli na swój okręt, a my niezatrzymując się, w dalszą ruszyliśmy drogę.

Admirał ten, fregata i oficerowie należeli do eskadry która oblegała port Buenos Ayres. Niemiło dla mnie było znaleźć tu trzykolorową flagę, kłócącą się z młodemi rzpltemi. Dumma z cywilizacyi i filozofii swojéj, Francya zarozumiała, przewodniczka do złego jak też czasem do dobrego, by pokryć obelgi od sąsiadów swoich, szuka nieprzyjaciół za morzem, i latwego tryumfu. Znajdzie kij kto chce uderzyć, nie zabrakło też i pretekstu do wojny cywilizatorom świata. Szeroko się o tém rozpisali konsul i admirał francuski i szeroko im odpowiedziano z Buenos Ayres. Ale jak się często zdarza, nie masz i wzmianki o istotnéj przyczynie w długich manifestach, a przyczynę tę zbliska łatwiej spostrzedz i i odgadnąć.

Chwalą się aż nadto Francuzi i Anglicy, że dali pochop Amerykanom do wybicia się z pod Hiszpańskiego rządu. Tak było weszło w modę krzyczeć na Hiszpanów, na ich inkwizycyą i ścieśnienie handlu, tyle narobiono hałasu o wolności i wolnych instytucyach w Paryżu, że przy pierwszéj okazyi, nie trudno było poburzyć całą Amerykę południową i oderwać ją od Europy. Każdy Francuz był natenczas rewolucyonista *natus*; garsony i butikiery przemienili się na żurnalistów, panfleciarzy i instytutorów pensyi, a gospodarni Anglicy z kontrabandzistów przeszli na wolnych handlarzy. Ale skoro raz przepędzono dawnych posiadaczy, których pradziadom tyle krwi i mozołu kosztowało odkrycie i zawojowanie nowego świata, reformatorowie-spekulanci pomyślili tylko jak korzystać z nowego, zawięzującego się porządku. Chociaż poklaskiwali republikanckim formom, nie mieli ochoty zostać republikanami. Liczne familie cudzoziemców, od dawnych lat osiadłe, wolały

żyć pod protekcyą królewskich konsulów, niżli przyjąć obywatelstwo świeżych rzeczypospolitych z obowiązkami, które do niego były przywiązane. Tysiące Francuzów w samém Buenos-Ayres, pożenionych już w tym kraju, i których dzieci już dorosłe pozbogacały się; wiele właścicieli ziemnych, od wielu lat żyjących w tém mieście, wyrzeka się prerogatyw, i wszelkich obywatelskich godności, byle nieponosić żadnych ciężarów, nienależeć do milicyi, któréj instytucyę tak zachwalali sami liberaliści; a nadewszystko, żeby mieć prawo do protekcyi swego dawnego kraju, w razie nieporozumień z rządem, do którego ustanowienia sami przyczynili się. Ztąd powstała i równie pasożytna klasa spekulatorów w narodzie, którzy ani o jego dobro, ani o jego chwałę ni świetność niedbają. Zwadliwi, a po większéj części z kupieckiej klasy konsulowie, sędziami chcą być między rządem rzplitej a swymi dawnymi krajowcami. Licząc na siłę morską swojego narodu, lada kaprys grożą temuż rządowi blokusem portów, a na nieszczęście, dosyć jednéj fregaty na odjęcie całemu państwu jego głównych dochodów z komory i zagranicznego handlu pochodzących. Ta widoczna przemoc i niebezpieczeństwo od silnych na morzu potencyj, cięższéj już daje się czuć młodym rzplitym, bardziej je upokarza niżeli dawna Hiszpańska niesłuszność. Korzyść niezaprzeczona jest przy cudzoziemcach. Tutejsze państwa nie mają flot, nie mają protektora, ani pomyśleć mogą o odporze. Wytrawniejsi Anglicy powoli, systematycznie i z niejakiém umiarkowaniem używają téj korzyści, ale języczność francuska, chciwość i duch niespokojny obrażają dumę narodową; mieszają się do domowych rzeczy, szyją pokątnie intrygi i podają kraj swój na nienawiść u tutejszych ludzi. Bolesną nadewszystko dla krajowców już obeznanych z dzisiejszą cywilizacyą Europejską, ta pogarda i ton wyższości zja-

kim lada Francuz ich traktuje, prześmiewa im obyczaje i religijne obrządki, wyszydza domową cnotę i wszelką tradycyą; odejmuje powagę i moralną siłę publicznym władzom, i zdaje mu się, że wszystko mu wolno, byle paplać o wolności, równości, i łajać dawnych tyranów Hiszpańskich. Najszkodliwszą jest, bo najdłuższą nienawiść i za nią wojna, która się powoli, przez wzajemne urazy i niesłuszność między partykularnymi ludźmi zawięzuje. Tego to gatunku nienawiść podsyciła i ów blokus dzisiejszy.

W ostatniej domowéj wojnie między *federalistami* i *unitaryuszami*, Francuzi połączyli się z unitaryuszami i czynny mieli udział. Ich partya była słabsza; rząd pozostał przy federalistach, a dowódzcy unitaryuszów poszli na wygnanie. Francuzi tylko, stronnicy tych ostatnich pozostali na miejscu, pod protekcyą swojego konsula; i niepoprzestali sarkać na rząd nowozaprowadzony. Łatwo pojąć, że w takim stanie rzeczy, lada okoliczność, mnożyły się wzajemne urazy i nieporozumienia między rządem i cudzoziemcami, a publiczna opinija, niesprzyjająca tym ostatnim, powiększała zło i przyśpieszyła wojnę. Chwycili się Francuzi pozoru, jaki im dało do oblężenia portu, uwięzienie jednego Francuza z rozkazu Prezesa, i zaciągnienie wielu innych do milicyi; a przy tej okazyi upomnieli się o przyznanie sobie takichże samych korzyści handlowych jakie osobnym traktatem zawarowane były Anglii. Świeża jeszcze była pamięć świetnego balu Joinvila, danego Brezylijskiemu Cesarstwu na „Herkulesie“, kiedy trzy małe okręta i jedna fregata pod dowództwem Admirala Blanc weszły na Rio de la Plata i zamknęły port. Ustał handel, zamknięto komorę; Prezes czem prędzej kazał sądzić uwięzionego Francuza i osądzonemu przebaczył; posłał rozkazy do wojska i milicyi by dać dymissyę Francuzom, którzy się *jakim przypadkiem* pod narodo-

we znaki zaciągnęli; — ale na ostatni artykuł odpowiedział, że co do korzyści handlowych, te osobnym traktatem, dobrowolnym a nie wymuszonym mogą być przyrzeczone. Buenos-Ayres miało prawo dać pierwszeństwo Anglii jako przyjaznemu narodowi; przyjaźnią tylko i zobopólną posługą wielki naród jak Francya powinien szukać korzyści w handlowych i politycznych stósunkach z wolnemi chociaż słabszemi państwami.

26. Przez całą noc był wiatr pomyślny; obudziliśmy się daléj niż o 50 mil od Monte-Video. Woda żółta, fala jak zazwyczaj na rzece, okręt po trzy do czterech mil uchodził na godzinę. W południowéj stronie widać było brzeg niski, równy, piaszczysty i gdzie niegdzie wierzby na nim. W téj stronie o podal od brzegu, pokazał mi Kapitan dwa maszty z pod wody wystyrkłe, z których jeden, z poprzeczną jeszcze od żagla belką, wyglądał jako krzyż na mogile niedawno rozbitego okrętu. Nie mało takich mogił widać na la Plata, i tuż przy porcie Monte-Video pokazano mi wczora jedną podobną na zatopionej przed kilku laty Brezylijskiej fregacie.

Jakoż, niełatwa jest żegluga na téj rzece, a wiatr Pampero co roku rozbija nie mało statków na niej. Woda na rzece i na niewielkiej głębini, daleko prędzéj i gwałtowniej wzburza się od nagle nadchodzącego wichru niżli na oceanie. Dno rzeki jest z miałkiego piasku mielizny poczynają się tuż od Monte-Video. Jedna największa, idzie prawie środkiem rzeki i nazywa się *banco de Ortiz;* druga niebespieczniejsza, między poprzednią a południowym brzegiem, wąska i stromo w głąb zachodząca znajoma jest pod nazwiskiem *banco Chico.* Wychodzące okręta z portu Monte-Video, płyną naprzód ku południowi dla okrążenia pierwszéj, i zostawiwszy ją po prawéj ręce, zawracają się na zachód i z wielką ostrożnością, sądując bezprzestannie

rzekę, trafiają już to na drogę między mielizną Ortiz i Chico idącą, już to na szerszy nieco ale mniej głęboki trakt między tą ostatnią a południowym brzegiem. Są ludzie, doświadczeni żeglarze, którzy całe swoje życie na tej rzece spędziwszy, częstokroć wielkiemi nieszczęściami nauczeni, użyci są jedynie do przeprowadzenia okrętów z Monte-Video do Buenos-Ayres i z Buenos-Ayres na morze. Mieliśmy jednego takiego żeglarza na naszym okręcie, więcej sta razy przepłynął tę niebezpieczną toń bez żadnego przypadku; przyjęto go w Monte-Video i zapłacił mu Kapitan sto piastrów (500 fr.) za przeprowadzenie okrętu do Buenos Ayres i na powrót do Monte-Video.

Płynęliśmy drogą między dwoma środkowemi mieliznami, a widać było pomniejsze statki płynące drugą głębinią między banco Chico i brzegiem położoną. Na tej drodze pod wieczór, spostrzegli nasi żeglarze jeden bryg Amerykański kupiecki, niedaleko brzegu, i domyślili się, że ten bryg stoi tam dla przemycania kontrabandy. Jakoż o zmroku spotkaliśmy jeden wojenny okręt francuski, który, jakeśmy się potém dowiedzieli, śpieszył na spędzenie owego brygu z nadbrzeża.

Już była ósma, kiedy się nasz okręt zatrzymał; brzęk łańcucha od kotwicy dał wiedzieć, że już przypłynąłem na miejsce i cały ocean oddziela mię od kraju. Wieczór był pochmurny, ciemny; wiatr zimny wiał od południa, i fala była wielka. Wahały się na wodzie po rozmaitych stronach okrętowe światła; ale niesłychać było majtków i najmniejszego znaku życia w tym porcie nie było.

Stanęliśmy między dwoma francuzkiemi brygami, które ten port w oblężeniu trzymały i kilkanaście rozmaitych statków miały na oku. Pomimo surowości z jaką ta francuzka eskadra traktuje mniejsze okręta, wolno było angielskiemu *paketbotowi* wylądować pasażerów swoich.

Jakoż równo ze świtem, rzuciliśmy nasz okręt i popłynęliśmy na pożyczonym angielskim bacie do miasta. Port Buenos-Ayres jest jeden z najniewygodniejszych do wylądowania portów. Wszystkie większe okręty zatrzymują się o ośm mil morskich od brzegu; w miejscu gdzieśmy zastali brygi wojenne francuskie. Ztamtąd na pół drogi do miasta, widać drugą linią mniejszych handlowych statków, a jeszcze bliżéj brzegu trzecia dla najlżejszych. Do czterdziestu rozmaitéj wielkości i rozmaitego narodu statków było w tych dwóch ostatnich linijach: Statki te znajdowały się w porcie jeszcze przed ogłoszeniem blokady i dla tego mają sobie dozwolone wyjście z portu aż do 14 czerwca. Po tym terminie żaden okręt nie będzie mógł ruszyć z miejsca.

Zdarza się że kiedy nadejdzie Pampero, podróżni przybywający do portu, przez kilka dni czekać muszą na okrętach, nim wylądują: żadną albowiem miarą niepodobna jest w tenczas dobić do brzegu. Dziś na szczęście wiatr był od rzeki, i chociaż fala bardzo wielka, nie wahali się na moment podróżni przesiąść na czółno. Płynęliśmy więcéj godziny i dosyć szczęśliwie przybliżyliśmy się do brzegu; ale sam brzeg od miasta tak jest płytki że nasz bat nie mógł do niego dopłynąć. Nadbrzeżna fala podnosiła się wysoko i oblewała podróżnych jakby w kąpieli przez długi czas, nim dopłynęli do nas z miasta na małych czółnach szypry, którzy nas przesadzili o kilkadziesiąt kroków od brzegu na wysokie dwókołowe wozy i na tych wozach wjechaliśmy do miasta.

Zaledwo człowiek dotknął suchéj ziemi zapomniał o trudach i niewygodach żeglugi; odetchnął zdrowém, czystém powietrzem, które mi przypominało słowa pierwszych ludzi co tu wylądowali: *que buenos ayres* etc. (jakże dobre powietrze ztąd wieje).

Zaprowadzono nas na komorę; nie z potrzeby, ale z nałogu: komora bowiem była pusta, zamknięta;— mówiono, że prezes Rosas odprawić miał oficialistów, z tém, że ani komory, ani Francuzów, ni handlu ni ich pieniędzy niepotrzebuje.

Poszedłem naprzód podziękować Bogu za szczęśliwie odbytą podróż morską, a potém poszedłem widzieć miasto.

Buenos Ayres jest rozległe, porządnie zabudowane mające już wejrzenie stolicy. Proste, szerokie, w kąt prosty krzyżujące się ulice, jak po wszystkich Hiszpańskich w Ameryce miastach. Rynek duży na którym ze trzech stron kramy pod kolumnami, policya, ratusz etc. a z czwartéj kościół katedralny z ogromnym portykiem architektury greckiéj.

Liczą w tém mieście do 80,000 mieszkańców; a pomimo tego że między nimi tysiące znajduje się familij europejskich, i kramy po europejsku urządzone, miasto ma swój charakter właściwy nie łatwy do opisania.

Domy są nizkie, jednopiętrowe, o płaskiém pokryciu, bez dachów i po większéj części bez okien:— przybywającemu z północnéj Europy, nawykłemu do wysokich dachów, mają te domy wejrzenie świeżo pogorzałych.

Cicho w mieście, niewidać prawie pojazdów, cały handel chowa się po kramach; przelatują tylko szybko po ulicach konni ludzie, owi gaucze jaskrawo przybrani, a tu i owdzie przy domach stoją osiodłane konie, same sobie zostawione, ze spuszczonemi na ziemię cuglami.

Wielka rozmaitość ludzi: począwszy od białéj europejskiéj twarzy, widać wszystkie odcienia kolorów aż do ciemnéj brązowéj, z któréj oczu jakaś nieznajoma dziczyzna wygląda; od tych brązowych naresztę napotykamy przejścia i odmiany aż do czarnych, afrykańskich twarzy. Nie widać było wojska ni policyi, a je-

dnak głucho po ulicach i smutno, ni śpiewu; ni muzyki ni wieczorami zabaw, jako po naszych wioskach.

Wśród tego miasta, na pobrzeżu morskiem, siedzi w najeżonéj działami forteczce *restaurador* [1]) Rosas. Gromada gauczów w pąsowych płaszczach stoi na straży. Tysiące sprzecznych wieści o tym człowieku biega między ludźmi. Nielubią go cudzoziemcy i lękają się; krajowce służą mu i lękają się. Właściciel ziem rozległych, i nieprzeliczonych stad koni i bydła; zażyły z ludem konnym, sam gaucza i przyjaciel gauczów, nie wiele waży ludzi frakowych, filozofów i cywilizowanych. Mówiono mi że nieraz kiedy się radcy i posłowie zbiorą dla dyskutowania trudnych i głębokich kwestyj politycznych, on z kilku wieśniakami, ze swojéj komnaty szydzi z nich i żartuje, ubrany w *ponczo czylipali* i przy ostrogach. Odważny, porywczy, silny; pobił przeciwników swoich *unitariuszów*, przepędził hersztów; potem ukrócił swawolę swoich, połowił zbójców, złodziei a dziennikarzom milczeć kazał. Zwołuje on od czasu do czasu izbę poselską i pozwala naradzać się, głosować, ale sam dzierży dyktatorską władzę i do innych *rzeczpospolitych* federacyjnego związku posyła swoich aby się wszystko podług jego woli działo. Mówiono mi też że przywrócił jezuitów, wypędził kilku nieprzykładnych księży, a protestantom odebrał wolność uczenia po szkołach i kolegiach.

Nie widziałem tego człowieka, ale gdziemkolwiek się obrócił, wszędzie widziałem jego portrety. U wejścia do ratuszu, do policyjnéj sali, i po wszystkich rządowych domach, wielkiemi literami na drzwiach napisano Viva

---

[1]) ***Restaurador de las leyes*** **restaurator praw, tytuł nadany mu od narodu, a raczéj tytuł przybrany przez samegoż Rosas. Wszyscy tutejsi przywłaściciele i samowładzcy w nowych Rzpltych amerykańskich przybierają tytuły filantropiczne jako to:** ***Restaurator praw*****,** ***libertador*****,** ***protektor*** **etc.**

la Federacion, mueran los unitarios (niech żyje Federacya, śmierć Unitariuszom) i przy tych napisach popiersia restaurodora, nie jako naczelnika Rzpltéj, ale jako generała, w wojskowym mundurze z generalską miną. Urzędnicy, podwładni, straż, wojsko, kupcy, gaucze nawet, każdy nosi czerwoną wstążkę z powyższym napisem i twarzą restauradora. Widziałem księży, zakonników z takiemi wstążkami; spotkałem biskupa w pięknéj fioletowéj sukni z takąż wstążką; — uważałem że na duchownych osobach nie było drugiéj połowy napisu, a tylko „niech żyją Federaliści.“ — Spotkałem jednę żebraczkę u progu kościoła, bardzo biedną, i starą, była to murzynka czarna jako węgiel; włos miała jako mech na grobowéj desce; spokojne miała oczy, nienatrętne; w jednéj ręce trzymała u swych ust cygaro, drugą wyciągała po jałmużnę, a na piersiach przy koronce i krzyżu, miała czworogranną blaszkę z napisem „Mueran los Unitarios:“ było to pozwolenie jéj przez policyą do żebrowania.

Cudzoziemcy tylko wolni są od noszenia tych znamion mimowolnego patryotyzmu: oni też nieprzestają mówić źle o restauradorze, chociaż ciszéj nieco niż przed czasem, albowiem coraz bardziéj wzmaga się ku nim nieprzyjaźń ludu, a propaganda francuzka powiewająca we trójkolorowéj chorągwi na rzece, nie o sympatyi i braterstwie ludów przyszła mówić.

Koniec części pierwszéj.

NEGOCYACYE ZE SZWECYĄ

O POKÓJ

1651 — 1653.

(Przyczynek do historyi wojen Szwedzkich).

III.

Wolne narody stoją w każdéj epoce jednym lub kilkoma wielkimi ludźmi, którzy ciężar sprawy publicznéj dźwigają, a owoce ich usiłowań zależą od tego, o ile w massie narodu znajdą poparcie, często nawet o ile nie znajdą przeszkód. Ta zasada da się przystósować do historyi państw starożytnego i nowożytnego świata. Ale rzeczpospolita polska, gdzie elekcyjność królów, a bardziéj jeszcze zbytnia może fantazya narodu, niedo-

---

Zobacz zeszyty styczniowy i lutowy.

zwoliła uformować stałych instytucyj i wyrobić długich, dziedzicznych, wiekowych tradycyj politycznych; gdzie interes ogólny rozrywany był nieustannie milionem interesów i ambicyj prywatnych; taka rzecz publiczna potrzebowała więcéj niż inne spółcześnie w Europie istniejące, indywiduów nieporównanéj zacności i dzielności. Jeźli, nawet z mniejszą ich liczbą, za dziedziczności królów państwo kwitnąć mogło; to późniéj, ze zmienioną formą rządu, wszyscy, ilu ich było naszych mężów Plutarchowych, zaledwo wydołać potrafili trudnościom utrzymania jedności i całości kraju. I w istocie, niejestże to na pierwsze wejrzenie zadziwiającém, że Polska za Batorego i Zygmunta III, mimo tylu wodzów i mężów stanu pierwszego rzędu, nic wiekopomnego niezdziałała, nie zawsze nawet zdołała się obronić, i w szeregu europejskiego wpływu i znaczenia stanęła niżéj niż Szwecya, niżéj nawet niż Holandya. Jeśli wolno jest porównywać ludzi w różnych okolicznościach i społeczeństwach postawionych, to zapytamy, czyli Gustaw Adolf, lub Oxenstierna, albo później Kromwell mieli więcéj geniuszu niźli Jan Zamojski? Nie sądzimy. A jednak co za różnica ich dzieł w historyi europejskiéj? Bo tamci żyli w narodach, które umiały dzielnie popierać, tego zaś życie na nieszczęście zmarniało na pasowaniu się z przeszkodami, które jego właśni stawiali; bo niezbitą jest prawdą, i któraby zawsze w pamięci ludzkiéj trwać powinna, że każdy naród o tyle tylko ma wielkich ludzi, o ile umié pomagać swym naczelnikom lub głównym działaczom.

Już za Władysława IV spostrzedz było można, że charakter i dzielność najwyższych rzpltéj urzędników zmalały; w braku Tarnowskich, Zamojskich, Żółkiewskich, Chodkiewiczów, hetmaństwa i kanclerstwa przeszły w rodziny Potockich, Leszczyńskich, Lubomirskich, Sapiehów, Rzewuskich i w ich ręku, z małemi przerwami, aż

do upadku kraju utrzymały się. W państwie tak oligarchiczném jak rzplta polska, zjawiskiem jest naturalném, że każda epoka ma swoje rodziny, przez jéj czas zupełnéj przewagi używające. Lecz jeśli to prawda, co dosyć często słyszeć i czytać można, że ogół szlachty był u nas zawsze jeden i ten sam, w XVI, w XVII, ba nawet w XVIII wieku, zawsze od prywaty daleki, do poświęceń skory i sprawę publiczną nad wszystko miłujący, skądże się wzięło u jego szczytu tak wielkie zepsucie i zimno, jaka przyczyna tych plam które od połowy siedemnastego wieku, na powierzchni jego ciała tak są rażące? Naród jak ziemia, stósownie do ciepła które je ogrzewa, różne z siebie wydaje płody, a drzewo zdrowe spruchniałych owoców nie rodzi. Bywa to, że dla zakrycia powszechnéj winy wyszukać trzeba kozła ofiarnego; lecz jeśli tak wciąż historycy składać będą nieszczęścia na złość lub pomyłki jednego lub kilku to się podobno nigdy niedopatrzą złego, które było i jest w gruncie, i nie podadzą na nie lekarstwa.

Powiedzieliśmy poprzednio, że za drugiego Wazy, prócz Koniecpolskiego i Ossolińskiego, nie było już w rzpltéj senatora, któryby o jéj dobru jako o swojém myślał. Podczas gdy Europa tonęła w wojnach krwawych, kraj nasz używał pokoju głębokiego; można zaś uważać w historyi aż do połowy XVIII w., że każdy długi pokój rozsprzęgał rzpltę coraz bardziéj, osłabiał władzę królewską, i niweczył moralne i materyalne siły państwa ich zaniedbaniem i nieużyciem. Usiłowania króla aby z szczęśliwych okoliczności korzystać, wywieść rzpltę z jéj politycznego odosobnienia, i zmusić ją do zajęcia stanowiska w polityce europejskiéj, rozbiły się o ciemnotę i obojętność szlachty i senatu, rządzących się tak w wewnętrznych jak zewnętrznych stosunkach jedną tylko zasadą: *wygodą szlachecką*. Z całego narodu podobno sam tylko Władysław wiedział pod-

ówczas co się w Europie działo; a cóż mógł poradzić, kiedy wola jego niepierwéj wziąść mogła skutek, aż była na sejmikach potwierdzoną *jednomyślnie*, przez dwakroć lub trzykroć sto tysięcy prawodawców! Tymczasem razem z pomnażającą się swawolą możnych, wzrastał ucisk słabszych; na wielu złoczyńców nie było inszéj kary jak potępienie opinii publicznéj, które możnych rzadko dosięgało; jeśli zaś któremu z królów przyszło na myśl dać uczuć zbrodniarzom moc prawa, był to krok tak nadzwyczajny i zdumiewający, że po upływie dwóch lub trzech wieków występni znajdowali i znajdują jeszcze swych obrońców. Wszakże czytamy, prawie wciąż, obrony Zborowskich, Zebrzydowskich, Radziejowskich!

Od śmierci Władysława stan rzpltéj pogorszył się, nietylko w skutek straty tak myślącego i do wojny ochoczego króla, ale i tém że gdy państwom europejskim traktat westfalski rozwiązał ręce, spółcześnie w Polsce wybuchła od wschodu wojna domowa. Niecny egoizm niektórych panów, zamiast bronić rządu własnego, doradzał im szukać dla siebie opieki i schronienia u obcych. Znajdujący się w czasie bezkrólewia w Warszawie, poseł szwedzki radzca Skytte, przestrzegał swój rząd (17 listop. 1648) aby miał w pogotowiu wojsko dla korzystania z wypadków mogących w Polsce rozwinąć się, „a mianowicie, pisze on, jeśli przy trwających rozruchach, jedna lub druga partya pomocy naszéj zażąda, co już *per primarios Lithuaniae* sekretnie stało się z propozycyą oddzielenia Litwy od Polski, a połączenia jéj ze Szwecyą [1])“. Domyśleć się wypada, że podobne projekta i do innych zapewne dworów były wówczas posyłane; bo anarchia i gnusność ten owoc zawsze wydają, że odejmują wiarę we własne siły, które tylko przez

---

[1]) Carlson Fr. *Geschichte Schweden's*. Gotha 1855. IV. 27.

ład i przez nieustającą czynność stają się każdemu niewątpliwe. Cóżkolwiekbądź, następca Władysława miał zadanie bardzo trudne; ażeby kraj z tak zadawnionéj choroby wyleczyć, i tyle przeszkód zwyciężyć, było potrzeba w nowym monarsze człowieka zarówno silnéj głowy, jak wielkiéj energii i nieugiętego hartu. — Spróbujmy skreślić obraz Jana Kazimierza, jak go nam przedstawiają ci co go osobiście znali; on nam odpowié czyli to był król, którego stan rzpltéj wówczas potrzebował.

Urodził się Jan Kazimierz w r. 1609; miał więc wstępując na tron czterdzieści lat. Zostając zbyt długo pod władzą matki i dworskich kobiet, odebrał wychowanie, które go raczéj na spokojnego dóbr ziemskich posiadacza, niż na przyszłego monarchę sposobiło. Do śmierci ojca, to jest do 23 r. życia, sypiał zawsze razem z braćmi młodszymi, a oprócz nich i sług domowych, z nikim niewolno mu było przestawać. Dorósłszy, zachował zwyczaj unikania poważnego towarzystwa; nikogo ze znakomitszych nie miał na swém dworze, i król Władysław musiał zawsze pamiętać aby brat jego wyjeżdżał za granicę w przyzwoitém otoczeniu. Póki żył Zygmunt wychowaniem Kazimierza trudnili się Jezuici, lecz nie mając żadnéj do nauk ochoty, nie wiele z nich korzystał. Nie starano się bynajmniéj oswoić go ze sprawami Rzpltéj i Europy. Umiał po łacinie, po niemiecku i po francuzku, atoli przez całe życie, jak świadczy de Noyers, jednéj książki od deski do deski nie przeczytał [2]). Nuncyusz Visconti, który go znał jeszcze królewiczem, upewnia, że starszy brat, Władysław, źle wpłynął na jego edukacyą. „Obawiając się, mówi tenże, zamysłów macochy i chcąc stłumić w Kazimierzu wszelką ambicyą, a oraz zapobiedz planom któreby młodszemu bratu

---

[2]) *Portofolio Maryi Ludwiki* I. 182.

intrygant jakiś mógł podsunąć, starał się wprawdzie być z nim jak najlepiéj i przywiązać go do siebie, ale zanadto podzielał z nim swoje rozrywki i nie najlepszym bezwątpienia był dla niego przykładem [3])".

O ile hojną była natura dla Władysława, o tyle skąpo obdarzyła Kazimierza. Umysł jego ciężki myślić nie lubił, powoli przywykał do całodziennego próżnowania i nabierał wstrętu do wszelkiego zajęcia. Skoro tylko mógł u siebie zamykał się i na fraszkach godziny trawił, zwoływał ulubionych karłów, z nimi bawił się jak z pieskami, chował małpy i ptaszki. Te zabawy były u niego tak zwyczajne że o nich mówią Visconti w r. 1635, i de Noyers w r. 1658. Twarzy był nieprzyjemnéj, ospą zeszpeconéj, w obcowaniu sztywny, wysławiać się nie umiał. Był naprzemian zimny i apatyczny albo nakazujący i niecierpliwy; nie żyjąc z ludźmi nie nauczył się téj pierwszéj, tak dla prywatnych jak dla królów niezbędnéj maxymy, że stosunki ludzkie utrzymują się, w znacznéj części, ciągłą a wzajemną wyrozumiałością. Natura zimna, w sobie zamknięta, do życia publicznego niezdolna, żadnéj wyższéj myśli, żadnych gorętszych popędów nie mająca. Obojętność martwa i samolubna dla wszystkiego, co nie dotyczyło jego drobnych, codziennych zajęć, była piętnem jego, że tak powiemy, zamarzłéj duszy.

Odkąd wyszedł z pod dozoru ojca, nigdy długo na jedném miejscu nie umiał wysiedzieć ani wytrwać w przedsięwziętym zamiarze. Po ciężkiéj chorobie, którą odbył we Lwowie (1634), wyjechał był za wolą króla do Wiednia dla wybadania Cesarza, a oraz na wesele córki cesarskiéj Maryi z Elektorem bawarskim. Po weselu dał się zaprosić do obozu i mimo że król starał się wówczas o przyjaźń państw zachodnich będących w wojnie

---

[3]) Cytowana po wielekroć w Cz. II. *Relacya Ms.*

z Cesarzem, przyjął Kazimierz w bitwie pod Nordlingen komendę nad pułkiem Cesarskim, późniéj zaś w jedném spotkaniu się z Francuzami o mało sam nie dostał się do niewoli. Zdziwiło i zgniewało króla to nieroztropne brata jego wmięszanie się do wojny z Francyą. Wrócił więc Kazimierz do Polski; w r. 1635 po raz drugi, w r. 1636 po raz trzeci pojechał do Wiednia, gdzie imieniem brata poślubił Cecylią Renatę. Mało co po odprowadzeniu jéj do Polski, postanowił odwiedzić dwór hiszpański. Z towarzyszami przydanymi od króla przejechał Wiedeń, Włochy północne i w Genui wsiadł na statek do Barcelony. Po drodze, gdy morze zmusiło go zbliżyć się do brzegów francuzkich wysiadł, z rozkazu kardynała Richelieu przytrzymany. Wnet odwieziono go do Salon, skąd późniéj do Cisteron, w końcu do Vincennes przeniesiony, pod ścisłą strażą był trzymanym, dopóki przybyły nadzwyczajny ambassador Gąsiewski nie zaręczył w imieniu króla, stósownie do żądania Richelieugo, że ani Polska w ciągu wojny pomocy Cesarzowi dawać, ani książe przeciw Francuzom walczyć już nie będzie. Uwolniony pod koniec marca 1640 Kazimierz, porzucił myśl zwiedzenia Hiszpanii i przybył do Warszawy podczas sejmu, a zaraz za nim pospieszył hr. d'Avaux z uroczystém poselstwem dla przeproszenia króla i rzpltéj za to przytrzymanie polskiego książęcia.

W r. 1643 (w Maju) wyjechał znowu za granicę w zamiarze zwiedzenia południowych Włoch. Przybywszy do Loretu poczuł nagle powołanie do stanu duchownego; jakoż, bez wiedzy króla, zajechawszy do Rzymu wstąpił do zakonu Jezuitów. W październiku t. r. doszła króla po raz piérwszy ta wiadomość; przyjął ją z płaczem i boleścią [4]). Pisał Władysław i odpisywał na listy brata naganiając mu taką zmienność postanowienia;

---

[4]) **Radziwiłł Albr. *Pamiętniki* II. 112.**

starał się przez różne osoby w Rzymie odwieść go od zamiaru, wzywał ku temu powagi samego Papieża. Napróżno. Uparł się Kazimierz i głuchym był na przedstawienia brata. „Rozumieliśmy, pisze Radziwiłł, że po włożeniu sukienki zakonnéj przez Kazimierza zawakowały starostwa przez niego dzierżane; wnet o nie konkurentów było co niemiara i ja chciałem otrzymać starostwo preńskie. Lecz król remonstrował że prawo każdemu dozwala wstępującemu do zakonu trzymać dobra swoje aż nowicyat odprawi i śluby zakonne uczyni; ponieważ tedy u Jezuitów nowicyatu dwie lecie są naznaczone, toć ich potrzeba czekać jeśli w zakonie zechce trwać". Bez mała w rok potém przysłał Kazimierz do Polski pokojowego, donosząc o nieodzownéj woli i wyrzekając się dochodów świeckich. Król wahał się i wstrzymywał jeszcze znając brata swego; aż gdy agent polski w Wenecyi Buchalino posłany do Rzymu doniósł (w czerwcu 1644), że z całą swoją wymową i staraniem nie mógł nadwątlić decyzyi księcia, nie bez zmartwienia zezwolił król i o tém Generała zakonu uwiadomił.

Wkrótce po dojściu tego zezwolenia królewskiego, wysłał Kazimierz z Rzymu nowego gońca do Warszawy (listopad 1644). „Czytany nam był, mówi Radziwiłł, list tego księcia w wielkiém umysłu zamięszaniu pisany, w którym prosi króla aby mu godziło się wyniść z zakonu Societatis, że nie chce już trwać w stanie duchownym". Była zaś owéj odmiany ta przyczyna. Agent polski Ursus opat, wróciwszy do Rzymu i przybywszy do Kazimierza oznajmił mu o oburzeniu i gniewie królewskim. „Toż, powiadał, dobra się podaje okazya uproszenia kardynalstwa od nowego papieża. A jeśli potém zdarzy się księciu sposobność do ożenienia, można będzie purpurę złożyć i mnie słudze swemu jéj ustąpić". Teraz dopiero zachwiał się Kazimierz, Ursus zaś nie bawiąc jął dla niego prosić Papieża o kapelusz kardy-

nalski. Odpowiedział Papież że uczyni to, jeśli się dowié, że taka jest wola królewska. Zatém wysłano listy do Polski, lecz że po Rzymie wnet się rozeszła pogłoska o nowéj godności Kazimierza, i ustawicznie z wizytami przyjeżdżano do kolegium, starsi zakonu przestrzegając spokoju, odesłali księcia do Loretu aby tam oczekiwał odpowiedzi króla. Zgromił Władysław Ursa, Papieżowi podziękował, że tak lekkiemu człowiekowi nie dał wiary, a co do Kazimierza, strawiwszy wiele godzin na powtórném z kilkoma senatorami odczytaniu wszystkich listów jego pisanych od czasu wstąpienia do zakonu, kazał odpowiedzieć żeby rozważniéj postępował, ale że w każdym razie stósownie do zacności rodu swego będzie opatrzony. W kwietniu 1645 (we dwa lata po ostatnim wyjeździe z Polski) przysłał królewicz do Warszawy księdza Stefanowicza, oznajmując starszemu bratu że stanowczo umyślił zakon opuścić i że na to prosi króla o pozwolenie. Odpisał Władysław upominając aby brat jeszcze rok w zakonie pozostał, aby lepiéj namyślił się co czyni, a po upływie jednego roku, już król wystąpieniu brata sprzeciwiać się nie będzie. „Zawsze, rzekł król do senatorów, Kazimierz jest mi przeciwny; kiedym ja mu odradzał stan zakonny, to on wszelkiemi siłami przeczył i assekurował się w nim aż do śmierci pozostać. A gdym ja na to zeszłego roku zezwolił, wnet on od przedsięwzięcia swego odskoczył. Dałby Bóg, ażeby teraz wziąwszy odemnie pozwolenie wystąpić z zakonu, na przekor mnie, w nim aż do śmierci wytrwał.“ Tym razem Kazimierz skorzystał z wolności którą mu dano; zakon porzucił i przywdział kardynalską purpurę. Ale nie na długo, bo niestały jego umysł niedozwolił mu pozostać w Rzymie. Przyjechał więc do Warszawy (w grudniu 1646), skąd chciał zaraz odesłać Papieżowi oznaki książęcia kościoła, czego mu

Władysław zabronił. Można się domyślać że powrót królewicza nie miłym był senatorom w jego starostwa opatrzonym; miał więc król i z tego powodu nie małe nieprzyjemności.

Takie było życie Kazimierza przez czas rządów jego starszego brata. Był ten książe tém właściwie nieszczęśliwy, że całe życie się nudził; nic go na prawdę nieobchodziło, w niczem na długo niemógł znaleźć upodobania. — Lubił polowanie i wieś, nietyle dla rozrywki którą w nich znajdował, jak że uważał je za sposób oddalenia się od ludzi i od spraw publicznych. W boju odważnym był i miał wiele determinacyi, lecz długich kampanij nieznosił. Wszelka przewłoka i niepewność nużyły go i niecierpliwiły, i każdą sprawę rad był jak najprędzéj zakończyć i pozbyć się jéj. Strata czy wygrana bywała mu obojętną, byleby po bitwie miał zwyczajne swoje zabawy. W drodze zwykł był wozić z sobą pięciu czy sześciu Jezuitów, wożono też zanim cudowny obraz matki Boskiéj, przed którym gdy niebyło w bliskości kościoła, w przedpokoju królewskim mszę odprawiano, ale Król jéj niesłuchał. Na wiele lat przed jego abdykacyą napisano o nim, że jeśli królową przeżyje, niezawodnie złoży koronę i chętnie powróci do życia prywatnego. Niebył bowiem do królowania, a najmniéj w Polsce, stworzony; ustawicznie skarżył się że w Senacie zbyt długo musiał przesiadywać, że go męczą długie rozprawy, i że zbytnia praca rujnuje jego zdrowie. Nielubił słuchać, nielubił mówić; pierwsze wrażenie tak silnie czepiało się jego głowy, że go nieodstępował chociażby ten który je był sprawił, zdanie swoje odmienił. — Im bardziéj chciano go odwieść od przekonania, tém mocniéj w niém zacinał się; słabnął wtedy dopiero gdy mu przestawano przeczyć. Powolnemu jednak wpływowi silnego umysłu ulegał i już potem

rad był że miał kim wyręczyć się w nieznośnym dla niego kłopocie rządu i decydowania [5]).

Takim był ów książe, który wstąpił na tron w chwili grożnych i coraz groźniejszych bojów kozackich, za któremi widocznie następowała turecka albo moskiewska wojna, i w czasie gdy tak długo wisząca kwestya szwedzka musiała nakoniec w ten lub inny sposób być rozwiązaną. Panować miał wpośród magnatów zepsutych, szlachty krzykliwéj, swawolnéj i obojętnéj; w narodzie z którym niemożna było nic zrobić bez żelaznéj wytrwałości i rzutkości, bez siły i zręczności, a głównie bez serdeczności udanéj czy prawdziwéj, ale trochę fantastycznéj. Przyczyniła się do jego elekcyi, wybrawszy go sobie za małżonka, wdowa po Władysławie, Marya Ludwika. Nazywają czasy jego nieszczęśliwemi; nam się zdaje że nieszczęść, które wówczas na Polskę spadły, niemówiąc już o przywarach ówczesnéj szlachty i senatu, była przyczyną jego zupełna do rządów nieudolność, brak doświadczenia, nieznajomość ówczesnego stanu Europy, a co najgorsza obojętność; i niezastąpiły tych w królu niedostatków rozum bystry i silny charakter żony jego Maryi Ludwiki. Niebyło też, powtarzamy, w stanie rycerskim i między dygnitarzami nikogo coby że tak powiemy brak panującego mniéj dotkliwym mógł uczynić. Ostatni Ossoliński był podobno kanclerzem rozumiejącym dobrze ówczesny stan Europy i znającym osobiście jéj ludzi publicznych. Umarł w r. 1650 przez nikogo, nawet przez króla, nieżałowany.

Chociaż poprzednicy Kazimierza, Zygmunt i Władysław odmiennéj każdy trzymali się polityki; jeden chciał połączyć siły Rzpltéj z Ligą katolicką, drugi zaś, wię-

---

[5]) Skreśliliśmy niniejszy obraz Jana Kazimierza powtarzając niemal dosłownie rozrzucone tu i owdzie wyrażenia tych, którzy tego króla osobiście znali i długo mu przypatrywali się, jak Visconti, de Noyers, Albr. Radziwiłł itd.

kszą dla nas widział korzyść we wspólności interesów i działania z nieprzyjaciołmi domu Cesarskiego, obadwaj jednak byli mniemania, że nienależy Polsce w chwili, gdy cała Europa podzielona była na dwa obozy, zostawać nieczynnie i obojętnie na ustroniu. Dla wielkiego państwa neutralność nie jest dobrą polityką bo, choćby żadnych materyalnych strat nieprzyniosła, ujmie niewątpliwie jego znaczeniu w szeregu innych wielkich mocarstw. Każdy naród i państwo ma naturalnych, stałych i właściwych sobie sprzymierzeńców, których kto opuszcza, naraża się że nawzajem w cięźkiéj doli będzie opuszczonym. Wolno było Anglii niemieszać się do wojny trzydziestoletniej, bo Anglia jest wyspą. Sejmy Rzpltéj tak jéj polityką kierowały jakby i Polska ze wszech stron morzem była od reszty świata oddzielona. Niemożna obwiniać, powiedzą nam, szlachty że porówno z innemi gabinetami nieznała stanu Europy i tajemnic polityki. Słuszna uwaga ale i to niemniéj jest prawdą, że kto czego niezna ani znać niemoże, powinien w tém zostawić decyzyą lepiéj znającym. Na tyle ufności w królach, Sejmy Rzpltéj nigdy się niezdobyły.

Skończyła się teraz owa stuletnia wojna w Europie, któréj pozorem była wolność religijna, a celem głównym osłabienie domu Austryackiego. Z upadkiem albo zaspokojeniem dawniejszych interesów, rozerwał się system dotychczasowych aliansów. Ci co dawniej byli nieprzyjaciołmi, nimi być przestali. Odłączały się interesa Hiszpanii z domem Cesarskim. Dwór madrycki pogodził się z Holandyą; téj ostatniej Anglia dawniéj wierna sprzymierzona wydała wojnę; Stany holenderskie długo ścisłym sojuszem ze Szwecyą związane, teraz zazdrosném okiem patrzeć poczęły na jéj przewagę na morzu baltyckiém. Nowe, dotąd mniéj wyraźne potęgi, jak Kurfirszt Brandeburgski i W. książe Moskiewski nabierały znaczenia i wchodziły w rachubę. — Wszedł także

w całéj Europię zwyczaj utrzymywania u obcych dworów stałych rezydentów, przez których zazierano w wewnętrzne interesa każdego narodu. — W skutek większego niż dotąd skojarzenia interesów europejskich (co po każdéj dłuższéj, powszechnéj wojnie za zwyczaj następuje) sztuka rządzenia w każdém państwie stawała się coraz trudniejszą, wymagającą głębszéj nauki i dłuższego doświadczenia; stósunki zagraniczne dla każdego kraju nabierały coraz większéj wagi. Wszędzie Europa otrząsała się z zabytków średniowiecznéj formy rządu, które dawniéj utrudniały niezmiernie scentralizowanie i użycie sił państwa. Widoczne były znaki, że nowa epoka nadchodzi, ale Rzplta ich niepostrzegła i do nich się nie zastósowała, bo niemiała udziału w morderczéj walce która te zmiany wywołała. Była to pierwsza kara za obojętność, z jaką stan rycerski używał u nas błogich wczasów w ciągu tych długich lat, przez które krew lała się w Europie. Gorsze skutki nastąpiły niebawem.

Rzplta jedno z dwojga miała wówczas do zrobienia. Niebędąc dość silną aby naraz prowadzić wojnę ze wszystkiemi sąsiadami, powinna była albo pogodzić się z kozakami i zabezpieczyć się od strony moskiewskiéj a szukać aliansów przeciw Szwecyi; albo téż, bądź co bądź, pojednać się ze Szwecyą i uzyskawszy od niéj pomoc kosztem królów swych pretensyj, kozaków przywieść do spokoju, a pomścić się krzywd przez Tatarów i Moskwę zadanych. Spodziewano się w Europie, że Polska wejdzie na jednę z tych dwu dróg. Już po zerwaniu traktatów lubeckich, Karol Gustaw gotując wojnę, chociaż niebył jeszcze pewny przeciw komu, wysłał do Warszawy agenta swego Jana Kocka z rozkazem wyrozumienia czyli zanosi się na pokój między Moskwą a Polską, czy w takowym razie należy obawiać się sojuszu tych dwu państw, albo też czy Polska byłaby

skłonną szukać pomocy w Szwecyi i zawrzeć pokój wieczysty z tém państwem. Mamy dostateczne powody uwierzyć, że Karol Gustaw przystałby ochotnie nietylko na pokój, ale na traktat zaczepny i odporny z Rzpltą; Kazimierz bowiem był jedynym księciem mogącym zaprzeczyć mu prawności posiadania korony szwedzkiéj; mniej także Szwecya miała przyczyn lękania się Polski niż Moskwy. Od odpowiedzi naszéj zależała decyzya rządu szwedzkiego. Ale Kazimierz niechciał uznać Karola królem Szwedzkim; w tydzień po przyjeździe agenta szwedzkiego do Warszawy, król polski niedawszy mu posłuchania, ze stolicy wyjechał.

Niechciano pokoju ze Szwecyą a nieszukano środków któreby wojnę z tém mocarstwem uczyniły, co najmniéj, podobną. Niemogli przewieść tego na sobie panowie polscy, aby zostawić Zaporożcom dawne wolności; niepodobało im się, że kozacy niechcieli cierpieć na Ukrainie żydów arendarzy; Senat polski wzdrygał się przyjąć w swoje grono metropolitę Kijowskiego. To też, gdy na tych trzech warunkach Ossoliński zawarł pokój z kozakami w r. 1649, podniosły się przeciw niemu i przeciw królowi krzyki, a niezmiernie urosła wziętość tych, którzy kozactwo ogniem i mieczem tępić doradzali. Najzaciętszym przeciwnikiem pokoju Zborowskiego (1649) a oraz niemiłosiernym kozaków prześladowcą był Wojewoda Ruski Wiśniowiecki. Skoro pod koniec roku 1649, przyjeżdżał on na sejm do Warszawy i po stolicy rozeszła się wiadomość o jego zbliżaniu się, wysypali się na jego spotkanie znajomi i nieznajomi, nietylko stan rycerski i duchowieństwo, ale nawet pospólstwo. Prowadzili go z radosnemi okrzykami, nazywając obrońcą wiary i wolności. Przyłączyła się do tego mnóstwa i senatorów część nie mała. Jak Polska Polską, nigdy prywatna osoba niedoznała tak powszechnéj w narodzie miłości. Duchowieństwo go czciło jako o-

brońcę wiary, rycerski stan jako hojnego pana i walecznego męża, pospólstwo jako bohatyra. Dodaje Rudawski, że owemu „Bogu opiekuńczemu Rusi“ dlatego głównie oddawano te honory, iż był nieprzyjacielem Ossolińskiego którego nienawidzono za wierność królowi i sprzyjanie kozakom [6]). — W kilka lat póżniej nastręczał się Rzpltéj nowy sprzymierzeniec przeciw Szwecyi. W końcu 1654", przyjechał do Warszawy z Hagi rezydent polski de Byc z projektem traktatu odpornego' ułożonym między Polską a Holandyą przez Wgo Pensyonarza stanów de Wita. Projekt ten [7]), między innemi korzyściami, zapewniał Polsce, na przypadek wojny ze Szwecyą, dwadzieścia okrętów wojennych i potrzebną dla wojska amunicyą. U obcych pisarzy znajdujemy ślady, że w Europie podówczas mówiono wiele o tém zbliżaniu się Holandyi do Danii i Polski; w polskich atoli, wcale o projekcie wspomnianym nieznajdujemy wzmianki. Niezajmował się nim Sejm, niezdaje się aby przeszedł pod radę Senatu. Niewiedząc jakie w Szwecyi robią się przygotowania do wojny, niewidziano snać potrzeby łączyć się z tak odległem jak Holandya państwem. Gdańsk tylko, nieżyczący sobie wcale, aby Rzplta czy własną, czy obcą flotę miała do swéj dyspozycyi, odpowiedział Stanom, że tego rodzaju alians w żaden sposób niemoże być zawarty. „To przymierze, pisze Sekretarz Senatu gdańskiego Chemnitz, tak jest podobne, jak gdyby ptaki z rybami umawiały się o pomoc dla siebie! Naród polski nic niema wspólnego z rybołowstwem i wolnością mórz; mało też albo nic wcale nieobchodzi Holandyą co się dzieje na pograniczu Bessarabii. Co do nas, tylko przemocą zmu-

---

[6]) *Historiarum Poloniae Annales* L. II s. 55.

[7]) Znajduje się *in extenso* w kronice Aitzemy księga XXXIV s. 1099 edycya in folio.

szeni przystąpilibyśmy do tego traktatu". — Jeśli Gdańk tego był zdania, my mieliśmy przyczyny inaczéj rzecz widzieć i czego innego pragnąć. Atoli, kto te czasy sumiennie bada, co chwila czuje ból i smutek głęboki; bo widoczném jest, że Polska ani razu poprzednio niedała dowodu takiego lekceważenia swych nieprzyjaciół i niewiadomości zupełnéj ich zamiarów, jak w téj nieszczęsnéj kwestyi szwedzkiej aż do połowy roku 1655, to jest do chwili w któréj Wittenberg wkroczył na ziemię polską. Ani razu też tak wielkie jak wówczas klęski jej niespotkały. Bóg, w sprawiedliwości swojéj, karze grzechy ludzkie, naprzód ich własnemi następstwami.

Wyprzedziliśmy tém co się dotąd powiedziało, ciąg historycznego opowiadania, bo zdawało nam się potrzebne oznaczyć dobrze stanowisko, z którego w Polsce zapatrywano się na trudności Rzpltę wiążące, i na zmienioną postać europejskich stosunków. Wracamy do dalszego opisu wznawianych od lat tylu i potylekroć przerywanych układów pokojowych między Szwecyą a Polską. Małoletność Krystyny żywiła na dworze polskim nadzieję, że przy szczęśliwym zbiegu okoliczności linia Zygmuntowska wróci do swego dziedzictwa. Brat cioteczny księżniczki szwedzkiéj, Karol Gustaw, miał długo nadzieję (dano mu nawet przyrzeczenie) że jéj rękę otrzyma. Była to, jak się zdaje, pierwsza miłość Krystyny lecz ostygła dość prędko; hrabia de la Gardie zajął w jéj sercu miejsce książęcia Dwu-Mostów. Odtąd dwa uczucia przeciwne walczyły w niéj. Kochając hrabiego wstręt miała do zaślubienia Karola, a sumienie tém dotkliwiéj wyrzucało jéj zawód dawnemu kochankowi uczyniony. Im więcéj, przeto utrwalała się w postanowieniu niepójść za mąż, tém bardziéj czuła się obowiązaną nagrodzić krzywdę Karola, i tém spieszniéj, pomimo niechęci naczelnych urzędników państwa, toro-

wała mu drogę do tronu. Zmiana jéj uczuć dla księcia Karola rozpoczęła się podobno w r. 1647; w r. 1648 oddała mu naczelną komendę w Niemczech; w r. 1649 Stany na jéj żądanie, uznały go następcą tronu; w r. 1650 przyznano mu dziedzictwo korony Szwedzkiéj.— Niemniej przeto sprawy wewnętrzne szwedzkie były w ciężkiém zamieszaniu. Przez czas małoletności Krystyny urosła bardzo potęga arystokracyi, i już władzy królewskiej zaczynała być szkodliwą. Ciągle wzrastający nieporządek finansowy wymagał stanowczych reform, które tylko silna, męzka ręka mogła przeprowadzić. Wyprawa Gustawa Adolfa i wojna w Niemczech toczona, rzuciły na Szwecyą, za panowania Krystyny, blask chwały i potęgi, który jednak mógł ściemnieć dość prędko. Wielkość Szwecyi przez wojnę osiągniona zbyt jeszcze wątłą zdawała się, a zdobycze przez nią uczynione tak niepewne, że tylko nową, zwycięzką wojną można je było utrzymać. Zewnętrzne i wewnętrzne stosunki pchały kraj ten na pole bitwy. „Szwecya, rzekła pewnego razu królowa, niemoże obejść się bez wojny, a monarcha który nieidzie z armią na nieprzyjaciela, zawisły jest od tego który w boju dowodzi i kampanią kieruje.“ Takie przyczyny obudzały w Krystynie myśl złożenia korony, a projekt ten żył w jéj umyśle przez lat cztery raz słabnąc, to znów biorąc górę. Ilekroć decydowała się pozostać przy władzy, chwytała się środków ukrócających nieład finansowy i utrzymujących pokój z sąsiadami a mianowicie z Polską. Lecz postanowienia te zmieniały się skoro wracała do jéj duszy chęć zstąpienia z tronu. A tak stan umysłu i serca królowéj nadawał odmienną, raz po raz, dyrekcyą w kierunku spraw wewnętrznych i przeinaczał widoki Szwecyi w zagranicznéj polityce.

Kilka razy za Władysława IV wnoszono propozycye odnowienia traktatów. Zrazu niespieszyli się do nich

Szwedzi, przewidując że w razie ich zerwania, mogłoby przyjść do nowéj wojny, nieczuli się zaś dosyć mocnymi dopóki dawna trwała w Niemczech. Skoro nadzieja uspokojenia środkowéj Europy nabierała w Münster pewności, zastanawiano się w Radzie Szwedzkiéj nad pytaniem, czyby niedobrze było w tym samym czasie negocyować z Polakami, popierając układy wojskiem stojącém w Niemczech. Członek Rady Tott mniemał że nienależy się ich obawiać, choćby i wojnę wywołały. „Wszak z Duńczykami, rzecze, rozpoczęliśmy kampanią, *durante priori bello.*“ „Hazardowne to było konsylium, odpowié kanclerz stary Oxenstierna, *misericordia est Dei quod salvati sumus.*“ „Wszak ten sam Bóg jeszcze żyje dla Szwecyi“ zawołał Tott. Przemogła w Radzie opinia pośrednia i zdecydowano wysłać do Polski sekretarza królowéj Canterstena dla zbadania jak dalece umysły skłonne są do pokoju. Rząd polski w r. 1648 przyjął zimno propozycye szwedzkie [8]); podniosły się więc w Radzie myśli wojenne, najostrożniejszy z ministrów szwedzkich Oxenstierna sam się już do nich nakłaniał.

Autor rękopismu [9]), z którego wiadomości nasze do historyi zjazdu Lubeckiego głównie czerpaliśmy, tak przedwstępne układy opowiada. „W chwili śmierci króla polskiego Władysława nastręczały się liczne okazye, które mogły przyspieszyć pokój. Nowi kandydaci do korony polskiéj Jan Kazimierz i Karol Ferdynand, chcąc mieć poparcie Szwecyi, ofiarowali, każdy z osobna, odstąpić za nie pretensyj swych dziedzicznych. A chociaż Kazimierz wyraźniéj od brata zobowiązywał się, królowa nie od razu weszła z nim w porozumienie, sądząc że

---

[8]) Carlson *Geschichte Schweden's* IV 27.

[9]) Le Dran *Memoire de ce qui s'est passé en la négociation de la paix entre les Couronnes du Nord. Bibl. Imp. Mél. de Colbert.* nr. 8.

jest nieprzyzwoitém dawać lub odbierać podobne obietnice bez pewności ich wykonania; jak równie dla tego że jéj doniesiono z Polski iż partya Karola silniejszą jest, a nadto że ministrowie szwedzcy bardziéj ku jego stronie skłaniali się, znając go mniéj zdolnym i mniéj przedsiębiorczym od Kazimierza, a zatem mając go za dogodniejszego dla Szwecyi sąsiada. Z tych przyczyn sekretarz królowéj Cantersten wahał się długo za kim się ma oświadczyć w imieniu swego rządu, i byłby tę ostrożność dłużéj przeciągnął gdyby poseł francuzki w Sztokholmie niebył znaglił królowéj do przechylenia się na stronę Kazimierza. Ta spóźniona usługa Szwecyi nie zobowiązała bynajmniéj nowego króla i odwiodła go od zamiaru łatwego ugodzenia się o swoje pretensye. Znajdował się wtedy w Polsce wicehrabia d'Arpajou wysłany z Francyi z orderem ś. Ducha dla króla Władysława. Chociaż d'Arpajou niemiał charakteru ambasadora nadzwyczajnego, ponieważ był w Szwecyi i w Polsce zarówno znany i lubiony, mógł był z korzyścią użytym być do pośredniczenia między dwiema koronami. Ówczesny poseł francuzki w Polsce, wicehrabia de Bregy, zjednawszy sobie wielu przyjaciół w téj Rzpltéj, a mianowicie wszedłszy w ścisłą zażyłość z księciem kurlandzkim, mógł również gdyby obie strony zezwoliły na rozpoczęcie układów, przyczynić się do szczęśliwego zakończenia tego dzieła. Atoli król polski zajęty był bardziéj swoją installacyą niżli innemi mniéj naglącemi sprawami; Szwedzi także ostatecznie woleli aby pokój niemiecki pierwéj był zawartym. W ciągu pobytu swojego w Warszawie Cantersten ułożył się tylko o miejsce negocyacyj i wybór pośredników. Szwecya zgodziła się na proponowaną przez Polaków Lubekę. Co do pośredników, zamyślano naprzód wezwać tych samych którzy podpisali rozejm z r. 1635. Że zaś król angielski niebył teraz w możności zajmowania się obcemi

sprawami, proponowano ze strony polskiéj króla Duńskiego, a następnie Rzpltę Wenecką i na tę ostatnią stanęła zgoda. Oba dwory zaprosiły więc na pośredników: Francyą, Wenecyą, Holandyą i Margrabiego Brandeburskiego. Kurlandzki książe wspomnianym z r. 1635 traktatem obowiązany był starać się o przyśpieszenie pokoju [10]). Zaproszenia rozesłano w początku 1650 r. „Król francuzki postanowił użyć do pośrednictwa p. Piotra Chanuta, dawniéj rezydenta, póżniej ambasadora swego w Sztokholmie, ale zanim go do tej godności powołał, chciał wiedzieć jak będzie w Polsce przyjęty. Pisał zatem przez p. de Brienne sekretarza Stanu do królowéj polskiéj aby skłoniła męża i Rzpltę do położenia w tym ministrze ufności swéj, gdyż właśnie jego długi pobyt w Szwecyi usposobił go wybornie do oddania na konferencyach dworowi polskiemu usług znakomitych. Po odebraniu od téj królowéj odpowiedzi zadawalniającéj, król francuzki w miesiącu sierpniu 1650 r. rozpisał tak do stron jak do pośredników, że kongres otwarty zostanie z końcem listopada 1650 r. Królowa szwedzka zgodziła się na ten czas, król polski odpowiedział że dla niedogodności pory zimowéj, jak równie dla sejmu, który na tę właśnie zwołał porę, chciałby odroczyć zebranie Lubeckie do wiosny następnego roku, o czem wszystkiem pośrednikom donosił, prosił zaś listownie p. Chanuta iżby tę zwłokę w dobry sposób królowéj szwedzkiéj wytłumaczył [11]). W samym

---

[10]) Za jego usiłowaniem przeszła na sejmie koronacyjnym konstytucya o wznowieniu traktatów ze Szwedami. Lengnich *Geschichte der preuss. poln. Lande* VII 81.

[11]) Pod ten czas wysłał Kazimierz do Sztokholmu Feszera wielkorządzcę Mitawskiego celem zapewnienia królowéj że starsza linia Wazów gotowa jest zrzec się praw swych do korony dziedzicznéj w zamian posiłków w wojsku i gotowce od Szwecyi otrzymanych, i byleby Szwecya za Inflanty ziemi jakiéj dziedzicznie jéj ustąpiła.

początku 1651 r. król francuzki stósownie do życzenia obu stron, naznaczył otwarcie zgromadzenia Lubeckiego pod koniec kwietnia. Szwedzi wybrali na komisarzy hrabiego de la Gardie, Jana Salviusa, Iła Vactmestra senatorów, i sekretarza Stanu Canterstena.“ Hrabia de la Gardie, ulubieniec królowéj, brat W. Marszałka, miał być dla swego znaczenia i bogactw naczelnikiem téj komissyi; na jéj kierownika przeznaczono Senatora Salviusa, który dopiero co wraz z Janem Oxenstierną, długie i trudne westfalskie negocyacye przeprowadził. Z polskiéj strony wybrano na komisarzy: Jana Leszczyńskiego kasztelana gnieźnieńskiego, Zbigniewa Goraygskiego kaszt. chełmińskiego, Alex. Naruszewicza starostę lidzkiego i Jerzego Fiszera de Vireden wielkorządzcę mitawskiego; że zaś Prusacy domagali się aby ktoś, z ich także strony był wyznaczonym, dodano Podkomorzego parnawskiego Jana Zawadzkiego. Ale Szwedzi dali znać do Warszawy, że oni, według umowy, czterech tylko komisarzy wysyłają, niewypada zatem aby Polaków było pięciu. Zawadzki przyjechawszy do Rostoku znalazł tam rozkaz wrócenia się.

Instrukcya dana komisarzom polskim jest téj treści [12]). Za przybyciem do Lubeki, mają baczyć pilnie i przedewszystkiem ażeby w grzecznościach oddawanych panom

---

Królowa zaś niechciała do niczego się obowiązywać, jak tylko że króla bez pomocy niezostawi. *Priv.* Puffendorf *Historia Suecica* ks. XII §. 52. Niepodobały się Szwedom przyczyny owéj zwłoki przez Kazimierza podawane. W instrukcyi danéj r. 1648 Canterstenowi powiedziano: „Il devait pressentir si on ne pouvait changer la trêve en une paix avec les avantages qu'on prétendait parceque si la republique ne s'y portait dans la conjoncture présente, la Suéde ne pouvais jamais espérer que de bon gré les Polonais s'y resolussent.“ Linage de Vauciennes *Memoires* I, 336, cytowane zwykle pod tyt. *Mémoires de Chanut.*

[12]) Znajduje się w *Tekach Naruszewiczowskich* Vol. 1651 mar.

pośrednikom czy też drugiéj stronie, Szwedzi niemieli żadnéj wyższości z ujmą króla Imci i Rzpltéj. Przystąpić do traktowania powinni nie pierwéj aż zjadą się pp. Medyatorowie, a przedewszystkiem wyznaczony od Stanów Holenderskich. Oświadczą pp. Komissarze, że tylko JKMości jako istotnemu właścicielowi i prawdziwemu królestwa szwedzkiego dziedzicowi i następcy tytuł króla szwedzkiego należy się, a dopiero gdy ujrzą umysły strony przeciwnéj bardzo w swym uporze zacięte, dozwolą aby obojéj strony komisarze używali tytułów króla lub królowéj ale z opuszczeniem nazwisk królestwa i należących państw. Powierzają się im dokumenta udawadniające prawo JKMości do korony szwedzkiéj; starać się mają aby uchwała Stanów szwedzkich mianująca Palatyna Dwu-Mostów następcą tronu za nieważną była uznaną, aby został zniesiony *dekret odsądzający* króla Zygmunta i jego potomstwo od tronu szwedzkiego. Żądać będą aby i nadal wolno było JKMości używać tytułów szwedzkich; przedstawiają że za prawo do korony szwedzkiéj należy się JKMości wynadgrodzenie. Rzplta zastrzega bezwarunkowy zwrót Inflant i domaga się satysfakcyi szkód przez Imć. X. Kurlandzkiego odniesionych. „Gdyby zaś, są słowa instrukcyi, niemożna było żadną miarą otrzymać zniesienia *dekretu odsądzającego*, i skassowania następcy, a nadto zwrotu Inflant, mają komisarze wybadać zręcznie myśli i zamiary strony przeciwnéj jakiemi sposoby zaspokoić chcą Najjaśniejsze potomstwo Zygmuntowe, i na jakich warunkach mógłby być osiągnięty trwały i wieczysty pokój; co dostatecznie wyrozumiawszy, mają o wszystkiem obszernie uwiadomić JKMość i Rzpltę pierwéj zanim cośkolwiek umówioném zostanie; albo też gdyby czas i okoliczności doradziły, powinni, zatwierdziwszy istniejący dotąd rozejm i oddawszy pod sąd medyatorów, wyznaczenie czasu i miejsca nowych ne-

gocyacyj, całą tę sprawę odnieść do nas i do najbliższego sejmu, dla dalszego oznajmienia woli naszéj i instrukcyi.“

Punkta téj instrukcyi, rozważając je bezwzględnie, nie zawierają wcale żądań, do którychby król i Rzplta nie miały prawa. Ale w polityce prawo waży o tyle o ile jest poparte siłą, materyalną czy moralną. Możnaby więc warunki téj instrukcyi położyć wtedy nawet, gdyby oba państwa *jednako* były do walki gotowe, i gdyby król polski chciał przeciw Szwedom zażyć szczęścia wojennego. Tymczasem Rzplta o wojnie ze Szwecyą wówczas nie myślała, myśleć nie mogła. Dokumenta które komisarze z sobą wieźli, bez gotowości poparcia ich z bronią w ręku, nie mogły przekonać Szwedów że król Jan Kazimierz miał słuszność po sobie. Sejm Rzpltéj pod koniec r. 1650 odprawiony uchwalił po raz trzeci zaciąg żołnierza na Kozaków w liczbie 50,000; senatorowie, którzy w kilka dni (28 grudnia 1650) po zamknięciu obrad sejmowych i po napisaniu powyższéj zaciągowéj konstytucyi, wspomnianą instrukcyą układali, wiedzieli bardzo dobrze że Rzplta nie miała w owéj chwili i jednego pułku dla obrony żądań, na które Szwedzi przystać nie chcieli w r. 1635, gdy byli zajęci wojną niemiecką a przed sobą widzieli Władysława na czele dwudziestu tysięcy wyćwiczonego wojska. Nie można było także przypuszczać aby oddali Inflanty inaczéj, jak tylko długą wojną i ciężkiemi klęskami zmuszeni. Nie mając armii gotowéj wylądować na brzegach szwedzkich, nie wypadało również domagać się zniesienia uchwały Stanów z r. 1650, przyznającéj tron szwedzki Karolowi Gustawowi. Widocznie król chciał prowadzić negocyacye tylko dla zyskania czasu; zawarcie pokoju odkładał do lepszéj pory (nieprzewidując że gorsza nastąpi może), czego zresztą dowodzi druga część zacytowanéj instrukcyi. Nasuwa się pytanie: czyli roztropnie było z na-

széj strony odrzucać korzyści, które nam dawało szczere w zawarciu pokoju interessowanie się Francyi, zapewniały wewnętrzny nieporządek Szwecyi i w tym czasie gotowość jej do wojny mniejsza niż później. Z żadnéj strony nie była Rzplta bezpieczną. Nie trudno było domyślić się, że Car moskiewski czyha na okazyą, aby wmieszać się do niezgody naszéj z kozactwem. Nikomu nie było tajném, że kurfirszt Brandeburski miał w pogotowiu silną i dobrze zaopatrzoną armią, aby w danym razie na swego pana uderzyć. W Rakocym miała Rzplta niebezpiecznego także sąsiada; w r. 1651 poseł szwedzki Skytte, po drodze do Stambułu, porozumiewał się o wspólną wojnę przeciw Polsce z tym książęciem, który już wtedy podejmował się wkroczyć z 40,000 wojska w granice Rzpltéj. A tak roztropniéj było, pod wszystkiemi względami, zużytkować dobrą chęć, którą Krystyna dla Rzpltéj okazywała, zrzec się choćby do czasu Inflant, i odstąpić pretensyj do korony za gotowe w pieniądzach i wojsku posiłki. Ale nie mieliśmy dość energii do gotowania wojny; nie mieliśmy jéj do zrobienia koncessyj których pokój wymagał. Bo ten tylko umié miarkować swe żądania, który czuje się w sumieniu i zacności swéj obowiązany poprzeć je czynem.

Komissarze polscy o dwa miesiące wyprzedzili Szwedów; w pierwszych dniach maja (1651) stanęli w Lubece. Niebawem przybyli posłowie Kurlandzcy „Melchior Felkiersam kanclerz i Jan Vildman radzca, mężowie roztropni i czynni, sprawom naszym a więc i swoim szczerze oddani [13])“. Przyjazd swój i początkowe czynności

---

[13]) *Comissionis Lubecensis Commentarius*, rękopism. Jestto urzędowa relacya spisana przez sekretarza ambassady polskiéj Hilbrandta; odczytana na sejmie 1652. Znajduje się w *Tekach Naruszewicza* vol. 1651. Korzystaliśmy z niéj, gdziekolwiek mówimy o czynnościach komissarzy polskich.

pełnomocników poseł francuzki tak opowiada [14]). „Odebrawszy wiadomość, że komissarze polscy byli w drodze, p. Chanut wysłał 29 maja sekretarza swego p. Belin do Lubeki dla najęcia mieszkania i dla zawiadomienia że sam poseł niebawem przybędzie. Mimo to wahał się czyli ma odpłynąć bez specyalnego z Paryża rozkazu. Widząc atoli że sprawa nie cierpi zwłoki, że p. Salvius już ruszył, że inni komissarze gotują się w drogę, i że królowa szwedzka życzy sobie jego odjazdu, że nadto hr. de Brienne w zwyczajnych depeszach upewniał go, że król i królowa Regentka trwają w wyborze jego osoby; wsiadł 21 czerwca na statek rządowy szwedzki. Przy pożegnaniu królowa powiedziała mu, że zna ją dosyć i wié że od nikogo niewymaga nic coby było z jego obowiązkami sprzeczne; i jéj także nietajno, że poseł wszędzie i zawsze zacności swojej przestrzega. Nieobiecywała sobie aby w ciągu negocyacyj nakłaniał z ujmą słuszności ku jéj interesom, ale spodziewała się, że gdzie będzie mógł postawić się po stronie szwedzkiéj bez obrazy sumienia swego i godności, okaże swą życzliwość dla téj korony, jak to po wielekroć uczynił. P. Chanut odpowiedział uprzejmie, nie wdając się w obietnice, ani nie odmawiając dowodów swéj życzliwości dla téj królowéj. Mówiła mu o kwestyi spornéj w sposób ogólny, nie wskazując środków dla jéj załatwienia: tak iż można było obawiać się, że jeśli Polacy nie okażą się łatwymi, pokój z trudnością zawarty będzie. Po audyencyi pożegnalnéj królowa posłała ambassadorowi zwykłe podarunki wartości dwu do trzech tysięcy talarów; lecz w dzień sam odjazdu przyszedł do niego p. de Linde mistrz ceremonii w imieniu królowéj, z oświadczeniem: że N. Pani chciała uznać drobną oznaką

---

[14]) Zacytowany wyżéj rękopism: *Mémoire de ce qui s'est passé en la négociation de la paix entre les Couronnes du Nord.*

swego poważania usługi oddane przez niego koronie szwedzkiéj, i zamówiła dla niego serwis srebrny, ale że nagły jego odjazd przeszkodził wykończeniu tego prezentu. Że zatém prosi go aby przyjął mandat na Hamburg albo Lubekę dla odebrania daru tego, wartości ośmiu tysięcy talarów. P. Chanut odpowiedział że wdzięczny jest na tyle szczodrobliwości królowéj, że atoli ta ostatnia była już zbyteczną, i że nie mógł jéj przyjąć bez ściągnienia na siebie podejrzeń w Lubece; że prosi JKMość aby dozwoliła mu cieszyć się jéj łaską, a co się tyczy daru pragnie aby o nim nie było mowy, a przynajmniéj aby go odłożono do zakończenia kongresu Lubeckiego. Rzekł na to p. Linde, że dar ów nie miał nic wspólnego z czynnościami kongresu, że N. Pani chciała zostawić mu małą pamiątkę po sobie, że jednak odpowiedź jego odniesie do JKMości".

Dnia 28 czerwca poseł francuzki przybył do Travemünde i zaraz uwiadomił komisarzy polskich (Komisarz szwedzki dopiero dwoma dniami pierwéj pojechał do Lubeki) o swym przyjeździe. „Dnia 6 lipca wszyscy czteréj posłowie polscy w karecie zajechali do p. Chanuta z pierwszą wizytą. Przyjął ich na podwórzu mieszkania, szedł po lewéj stronie, posadził wszystkich na prawo tronu, sam usiadł na lewo, na drugiém z rzędu krześle. Nie ofiarował im krzeseł z poręczami, bo ich w mieszkaniu nie było. Życzenia i powinszowania odbyły się krótko i serdecznie; przemawiali z kolei trzech, p. Fiszer nie miał oracyi. Zaczęła się następnie swobodna rozmowa, i odwiedziny w ciągu godziny skończyły się. Niemówiono wcale o interesie, wspomniano tylko o spóźnianiu się medyatorów, co jednak pp. Polaków niezdawało się niecierpliwić. Tegoż samego dnia p. Chanut zażądał posłuchania u komisarzy polskich. Zapytano go, czy chce ich widzieć razem, czy każdego z osobna; odpowiedział że miał rozkaz odwiedzić każdego z osobna.

Zaczem przyszedł dworzanin polski do p. St. Amanda urzędnika ambassady, zapytując jakim porządkiem p. Poseł odwiedzi pp. Komissarzy. Odpowiedział p. St. Amand, że zapewne w takim w jakim do niego przyszli. Nastawał wtedy ów dworzanin na wielką różnicę dystynkcyi między pp. Leszczyńskim i Gorayskim senatorami, a pp. Fiszerem i Naruszewiczem którzy senatorami nie byli. — Przyjęli pp. Polacy posła francuzkiego z temi samemi honorami, które on im oddawał, wyjąwszy że trochę bardziéj na podwórzu postąpili przeciw niemu. W salonie p. Leszczyńskiego był tron królewski pod baldachinem; posłał bowiem ów ambasador jednego ze swoich do poselstwa francuzkiego dla przypatrzenia się rozporządzeniu sali audyencyonalnéj. Podczas posłuchania znajdował się u p. Leszczyńskiego p. Hilbrandt sekretarz ambassady polskiéj, siedział nie opodal drzwi i wmięszał się do rozmowy pod koniec wizyty. Był on także na audyencyi u ambassadora francuzkiego i miał miejsce opodal, przy ścianie. Tym razem niebyło formalnych oracyj, rozmowa toczyła się wolna. — PP. Komisarze polscy tak sobie powynajdowali mieszkania, że obok p. Leszczyńskiego znajdował się dom p. Fiszera. Ambassador wsiadając do karety kazał swym ludziom jechać do p. Gorayskiego. Nieposłyszał tego rozkazu p. Belin, który siedział w pierwszéj karecie i zawiózł Ambassadora do p. Fiszera. — Skoro tę pomyłkę postrzegł p. Chanut, posłał uprzedzić p. Belina, ale było już za późno, karety stanęły i p. Fiszer wyszedł aż na ulicę, cofnąć się zatem nie było podobna. — Polecił ambassador p. St. Amandowi wytłumaczyć, podczas wizyty u p. Gorayskiego, tę pomyłkę komuś z jego przedniejszych, i upewnił że wbrew woli posła, zmieniono porządek wizyt. Odpowiedziano mu że p. Gorayski byłby rad, aby go poseł za to przeprosił. Atoli mniemał p.

Chanut że przeproszenie już stało się, i że dodać niema co więcéj.

„Następnego dnia pojechał poseł francuzki do p. Salviusa. Powinszowania i grzeczności odbyły się jak u polskich ambassadorów. Było mówiono że temi dniami ma przejeżdżać do Polski nadzwyczajny poseł hiszpański Juan Borgia gubernator Antwerpii. Domyślano się że jakikolwiek tej missyi jest pozór lub przyczyna prawdziwa, ów minister przeszkadzać będzie zawarciu pokoju między dwoma północnemi państwami; dom bowiem Austryacki rad utrzyma Polskę w nieprzyjaźni ku Szwecyi, aby odwrócić tę ostatnią od mieszania się w interesa niemieckie. — Dnia 9 lipca P. Chanut odwiedził posłów kurlandzkich, którzy chcieli mu zakomunikować dwie rzeczy. Mieli naprzód wytłumaczyć powody, dla których pp. Polacy uwiadomieni o przyjeździe p. Salviusa nieoddali mu wizyty. Myśleli że niewypadało im odwiedzać go przed ambassadorem francuskim; nadto p. Salvius uwiadomił ich że jego koledzy bezwłocznie przybędą. Niezdawało im się stósowném aby wszyscy czterej szli do p. Salviusa, a następnie do każdego z jego towarzyszy. Niewiedząc zaś jaką on rangę w poselstwie szwedzkiém zajmuje, niewiedzieli kogo z pomiędzy siebie należało im do niego wysłać. Pamiętali przytem że w czasie negocyacyj z r. 1635 zachodziły skargi iż Szwedzi we wszystkich formalnościach i grzecznościach usiłowali brać górę nad Polakami; czego aby uniknąć, rozumieli, że poseł medyator powinien ułożyć porządek wzajemnych wizyt i powitania. Rzekł p. Chanut, że już teraz nie można myśleć aby p. Salvius przyjął wizytę jednego z posłów polskich równego mu w godności, ale ponieważ przyjechał p. Cantersten, a nadto jeden z komisarzy szwedzkich miał niebawem pojawić się, być więc może że posłowie szwedzcy przyjmą wówczas tę spóźnioną nieco grzeczność Polaków. Jednak

dobrze byłoby wyrozumieć polskich komisarzy, czy skłonni będą odwiedzić pp. Salviusa i Canterstena, a poznawszy ich ochotę, da się wstępną wizytę ułożyć; w negocyacyach, w ich początku mianowicie, trzeba unikać wszystkiego co umysły rozjątrza. Wzięli tę propozycyą pp. Kurlandczycy do zakomunikowania pp. Polakom.— Daléj, przystępując do sposobu traktowania między stronami, o coby można porozumieć się za nim przyjadą insi pośrednicy, zapytywali p. Chanuta czyli komisarze stron przeciwnych mają się schodzić z sobą, czy téż układać się przez medyatorów. Przypominał p. Wildeman że za czasów negocyacyi o rozejm, pośrednicy umówili naprzód punkta i te następnie komunikowali; atoli, gdyby pierwszy środek był wybrany, należałoby wyszukać kościół jakiś dla spólnego zejścia się, i że Polacy, jako strona żądająca, niebędą czynili trudności w przełożeniu swych propozycyj. — Z tych mów zrozumiał p. Chanut, naprzód: że Polacy pragną obecności wszystkich pośredników, bo niewspominali, jakto uczynił p. Salvius, aby można było rozpoczynać konferencye w razie zbyt długiego ich opóźnienia się. Opierając się na samém prawie chcieliby oni, aby jak największa liczba pośredników czyniła Szwedom też same przedstawienia; Szwedzi zaś przeciwnie, gruntując się na fakcie utwierdzonym bronią, niewidzieli potrzeby tak wielu medyatorów. Ten różny sposób widzenia pochodził z różności pojmowania i popierania kwestyi, gdyż zawsze i wszędzie prawo zwycięzcy wydaje się zbyt twardém dla tych, którzy niechcąc sami poszukać sprawiedliwości, chcieliby ją widzieć zachowywaną taką, jaka udzielana bywa za darmo w sądach dla prywatnych. Co do sposobu traktowania, p. Chanut przedstawiał niedogodności schodzenia się stron przeciwnych, ale wyliczał zarazem i korzyści tego sposobu, jeśli, jak to właśnie było, posłowie ludzie są rostropni, umiarkowani i w rzeczy publi-

cznéj doświadczeni. — Te przedstawienia posłów kurlandzkich wyłożył nazajutrz obszerniéj p. Fiszer, dodając że wypada naprzód ułożyć się co do tytułu królów obu stron, i co do tytułów Ambassadorskich. Niemogli zdaniem jego, Polacy odejmować swemu królowi tytułu króla szwedzkiego, ani dawać go królowéj Krystynie bez przesądzenia kwestyi, o którą właśnie chodziło. Należało z obu stron opuścić tytuły państw i mówić tylko: *Serenissimus Rex noster* lub *vester* i *Serenissima Regina nostra* lub *vestra*, jak to zachowanem było w poprzednich negocyacyach. Co do tytułów ambassadorskich Polacy zostawiają p. Salviusowi do wyboru: *Excellentia Vestra*, albo *Illustrissima excellentia vestra*, albo *excellentissimi et illustrissimi domini legati*, byleby jedni i drudzy jednakowo nazywani byli".

Przyobiecał p. Chanut przełożyć te różne kwestye p. Salviusowi, jakoż wytłumaczywszy je w sposób najbardziej oględny, otrzymał od niego odpowiedź: że co do opóźnionéj wizyty zastanowi się z p. Canterstenem nad przyczynami które Polacy stawiają; że co do tytułów królewskich, wprawdzie komisarze polscy domagali się téj innowacyi w r. 1635 ale im tego wzbroniono; że i on przy odwiedzinach nazwie swoję monarchinią Królową szwedzką a nieda tytułu szwedzkiego ich królowi. Na tytuły ambassadorskie stanęła zgoda. W kilka dni późniéj obaj komisarze szwedzcy przyszli do p. Chanuta, przystawali aby Polacy odwiedzili ich z osobna i nawzajem odebrali tę grzeczność ale że w ciągu wizyty Szwedzi raz przynajmniej muszą dać królowéj swojéj tytuły szwedzkie a niedozwolą aby komisarze polscy nazywali Kazimierza królem szwedzkim. Czynili nadto trudności w uznaniu p. Fiszera, jako mianowanego w imieniu Inflant, która to prowincya do korony polskiéj nie należy. — Gdy Polacy obstawali przy opuszczeniu tytułów, Szwedzi z coraz większą natarczywością po-

częli ich domagać się, grożąc że użycie przez Polaków tytułu szwedzkiego uważać będą jako zerwanie trwającego dotąd rozejmu. Trwała dyskussya do końca lipca, a gdy jéj niemożna było zakończyć z zadowolnieniem stron obu, zgodzono się, na wniosek medyatora, aby niebyło wzajemnych między polskimi a szwedzkimi posłami, odwiedzin z powitaniem.

Doszła w tym czasie do Lubeki wiadomość o odniesioném nad kozakami zwycięztwie pod Beresteczkiem. Kasztelan Leszczyński uwiadomił posła francuzkiego, że 200,000 kozaków przypartych przez armią polską, z wielką dla siebie klęską porzuciło obóz, zostawiwszy w nim żony, dzieci, żywność i bagaże; że król kazał ich ścigać dniem i nocą, i że wielka liczba tego ludu zginęła lub dostała się do niewoli. Król miał ochotę sam za uciekającymi ruszyć, ale szlachta prosiła go aby życia swego dłużéj nienarażał i wrócił do stolicy, pozostawiając wojsku zaciężnemu do reszty uspokoić Ukrainę; że przyjechał poseł z Moskwy, przez którego Car upewnia, że dalekim jest od pomagania kozakom, i że owszem ofiaruje siły swoje (których ma 100,000 zebranych pod Astrachanem) aby społem wojując wypędzić Tatarów z Krymu. — Zwycięztwo to komisarze polscy obchodzili publicznie, rozdawali pospólstwu wino i rozrzucali srebrne medale ze stósownym do okoliczności napisem [15]). Wkrótce potem posłowie ci odebrali od Wgo kanclerza Leszczyńskiego Biskupa Chełmińskiego list pisany z obozu Beresteckiego, w którym uwiadamia ich, że mogą przystąpić do układów początkowych niepostąpią atoli wbrew woli królewskiéj, jeśli wybadawszy umysły nieprzyjacielskie, kongres zręcznie roz-

[15]) Victori Scythorum et Rebellorum Augusto Ser. et Pot. Joanni Casimiro D. G. Pol. et Suec. Regi M. D. Lithuaniae. Pr. *Comissionis Lubecensis Commentarius.*

wiążą [16]; że jednak decyzyą w téj mierze JKMość zostawia sobie nadal, i o tém z Warszawy późniejszym listem da znać.

Przybyli nareszcie inni komisarze szwedzcy, a że byli w komplecie, powitali przez jednego ze swych dworzan każdego z osobna posłów polskich, którą to grzeczność ci ostatni natychmiast oddali, odsyłając pozdrowienie przez dwóch dworzan. Ale te formalności dopełnione nieposunęły negocyacyj, bo w nich Polacy dotąd zatrzymani, wedle swéj instrukcyi, nieobecnością pośredników holenderskich, teraz nowe mieli powody zwłóczyć je umyślnie. Dnia 12 sierpnia Salvius prosił Chanuta aby skłonił naszych do rozpoczęcia czynności, że dobrze byłoby złożyć przynajmniej plenipotencye obu stron, zyskać czas i uprzątnąć trudności, które się nasunąć mogą, tém bardziéj że upór Polaków w oddaniu królowéj tytułu szwedzkiego, każe się domyślać że i plenipotencye polskie wiele zostawiają do życzenia. — Zagadnięci posłowie polscy przez Chanuta, po upływie tygodnia zgodzili się aby poseł francuski ułożył przedwstępne czynności. Zarazem wznowioną została kwestya odwiedzin w ten sposób, iżby komisarze strony obojéj spotkali się w ogrodzie albo na przechadzce, albo wreszcie iżby jedna strona przyjęła od drugiéj zaproszenie na obiad, z warunkiem aby żadna o monarsze swoim niewspominała. Tłumaczyli się Polacy że jeśli dotychczas posłowie nieoddali sobie wizyt, wina nie na nich, ale na Szwedach ciążyła. „Rzecze p. Chanut, że niejest sędzią ale pośrednikiem, i że obowiązkiem jego jest, bronić interesów jednéj ilekroć z drugą stroną mówi, że będąc ze Szwedami bierze stronę polską, rozmawiając z Polakami powinien Szwedów bronić. I wtedy powtórzył sprawę od początku, i pokazał że Szwedzi nic

[16] „neque contra mentem S. R. Mtis facturos, quod si penetratis adversariorum animis, congressum dextre dissolvant.“ Tamże.

nowego nieżądali; że wiadomém jest powszechnie iż od ostatniego rozejmu Polacy przyznawali Krystynie tytuły szwedzkie, a król polski odmawiał ich sobie, ilekroć z Szwedami traktował. Zbijali te argumenta pp. Leszczyński, Fiszer i Sekretarz ambassady polskiej z kolei, ale niepowiedzieli nic gruntownego, nic takiego zwłaszcza coby obalało przyczyny przez Szwedów stawiane. Ci panowie, jak się zdawało, często z sobą o tym przedmiocie rozprawiając, przesadzali się nawzajem w wyszukiwaniu dowodów ich opinią utrwalających, i tak się uprzedzili, że nieważąc tego, co na poparcie swego zdania kładli, cześć własną jakoby zasadzili w tém aby nieustąpić. Przeto, nienalegając więcéj P. Chanut wyraził nadzieję, że znajdzie się zapewne środek do naprawy tego co się omieszkało, i jakoby mu ta myśl w téj właśnie chwili do głowy przyszła zagadnął: czyby ambassadorowie obu dworów niemogli spotkać się np. na obiedzie, gdzieby swoboda była większa niż w odwiedzinach ceremonialnych, i gdzieby każdy pilnował się nic takiego nie wyrzec, coby drugich zadrasnęło i zakłóciło spólną wesołość. Na to pp. Leszczyński i Fiszer odpowiedzieli, upewniając jeden o sobie, drugi o p. Gorayskim żeby z największą radością podjęli się Szwedów u siebie ugościć.... D. 25 sierpnia poszedł p. Chanut odwiedzić p. Salviusa prywatnie, który go zapytał czyli niema nic takiego coby można donieść jutrzejszym kuryerem do Szwecyi. Powtórzył p. Chanut rozmowę swą z Polakami, i obaj zgodzili się, że pan Salvius następnego dnia miał u siebie zgromadzić kolegów, którymby Poseł też same co Polakom, uczynił propozycye. Umówiono się także ża p. Chanut niebędzie wspominał o poprzedniéj z p. Salviusem rozmowie, aby nieobudzić zazdrości jego towarzyszy. — Komisarz szwedzki zwierzył się poufnie, że panu Vactmestrowi podobała się zrazu myśl spólnéj biesiady, lecz

p. Cantersten obawiał się aby jéj niewzięto za koncessyą ze strony Szwedzkiéj. Niemogli nadto zdecydować się co było z większym zaszczytem: czyli zaprosić, czy też być zaproszonym. Powiedział p. Chanut, wedle depeszy którą od p. de Brienne był odebrał, że p. Moro sini, wenecki do traktatów lubeckich pośrednik, odebrał od swéj Rzpltéj rozkaz niewyjeżdżać z Francyi, aż następca jego przyjedzie. Co p. Salviusowi zdawało się potwierdzeniem nowin ze Szwecyi odebranych, jakoby król polski na prawdę, przed październikiem, niechciał negocyować. Gdy p. Chanut był na odchodném, zapytał go p. Salvius konfidencyonalnie, co myśli o tych układach, rzekł mu ten, iż z tego co dotychczas pokazało się z zamiarów strony obojej, nic nadal, źle lub dobrze, rokować niemoże, ale że on, znając swoje instrukcye, tuszy dobrze o kongresie. Wówczas p. Salvius począł żałować, że dane jemu i kolegom jego instrukcye, zostawiają tak mało środków do porozumienia; że wprawdzie królowa szwedzka życzy sobie pokoju, ale niechce nic odstąpić z Inflant, ani kupować pretensyj króla polskiego. Odpowiedział p. Chanut, że nienależało się spodziewać, aby Polacy, naglącą potrzebą nieprzyciśnieni, podpisywali pokój tak haniebny, że mniéj jeszcze należało sądzić o królu Kazimierzu, aby wyrzekał się za nic prawa, które sobie ceni tak wysoko. Że oczywiście do pokoju nieprzyjdzie, jeśli Szwecya uprze się nic nieoddać. Dodał przytem kilka powodów, które obu koronom nakazywały pragnąć nietylko pokoju, ale wiecznego przymierza dla wzajemnego bespieczeństwa od sąsiadów. Że ten wzgląd skłonić powinien Szwedów do ułatwienia zgody, i że byłoby ze wszechmiar z pożytkiem dla Szwecyi, ustąpić na własność dziedziczną króla polskiego pewnéj części Inflant, w zamian przyjaźni polskiéj. P. Salvius słuchał téj mowy z uwagą i jakoby z ochotą; jedno obawiał się, iżby panowie

szwedzcy którym dano posessye w Inflanciech, dla uniknienia szkody swéj, nieprzeszkodzili takiemu układowi. Zachęcał go p. Chanut aby królowéj swéj wyłożył obszernie korzyści idące za tém przymierzem z Polską, którém jako i przyjaźnią francuzką obie korony będąc ubespieczone, mogą nadal nielękać się żadnego już nieprzyjaciela [17]).

Był naówczas w Lubece, za komisarzami polskiemi przybyły, francuz nazwiskiem de Canarilles; rodzaj intryganta kosmopolitycznego, gotowy służyć każdemu kto płaci, chwalący się między Polakami ze swych zagranicą wielkich wpływów i wślizgający się tą drogą w zaufanie Senatorów i Dworu, przez co właśnie przychodził do pewnego znaczenia u obcych. Przedstawił się on p. Chanutowi jako przyjaciel dwu głównych komisarzy polskich. Ocenił go ambasador jak zasługiwał; lecz widząc że Canarilles chciał podnieść się w jego oczach zaufaniem Polaków i świadomością ich tajemnic' korzystał z jego odwiedzin i wyciągał z niego potrzebne informacye. Nazajutrz po wizycie u p. Salviusa, p. Canarilles przyszedłszy do p. Chanut i przez tegoż wprowadzony w rozmowę, zwierzał się „że plenipotencye ambasadorów polskich nie są ułożone w takiéj formie, aby je Szwedzi przyjąć mogli, że komisarze polscy oczekiwali właśnie odpowiedzi króla, którą on odłożył do przyjazdu swego do Warszawy, co p. Canarilles przypisywał chęci porozmienia się z królową, bez któréj Kazimierz niechciał decydować. Że przyczyną niedostatecznych plenipotencyj niebyła zresztą zła wiara lub niechęć dworu polskiego, ale panujący tam nieład,

---

[17]) Przypominamy zdanie Izajasza Puffendorfa, w Częśei Iéj niniejszéj pracy umieszczone, a wyrażone w sekretnym memoryale: *o najkorzystniejszych dla Szwecyi aliansach politycznych* pod koniec wieku XVIIgo. Niezmieniły się i poźniéj wzajemne obu tych narodów potrzeby.

i brak urzędników doświadczonych i znających sprawę, o tyle przynajmniej, o ile wiedzieć o niéj można z poprzednich negocyacyj. Że mimo braku należytego upełnomocnienia, możnaby jednak sekretnie zgodzić się na niektóre punkta, któreby wyszły na jaw skoroby dano lepsze plenipotencye. Że p. Leszczyński pragnie spotkać p. ambassadora na przechadzce, aby umówić się o te punkta zgody, bez przypuszczenia do tajemnicy jego kolegów, wyjąwszy p. Gorayskiego, przed którymby nietrzeba nic ukrywać. Że tak, tutaj porozumiawszy się, p. Gorayski pojechałby do Warszawy, i skłoniłby łatwo króla i Rzpltę do podpisania zgody. Z tych zwierzeń p. Chanut tego naprzód domyślił się, że król polski w istocie niechciał traktować przed ukończoną wojną z kozakami, i jeźli, ulegając żądaniu króla arcychrześciańskiego, wysłał do Lubeki komisarzy swych, to tylko dla tego aby odmową nieściągnąć na siebie wojny szwedzkiéj. Musiał więc komisarzom polskim dany być rozkaz niepostępować w traktowaniu, a dla zyskania czasu napisano plenipotencyą nieformalną, którąby można zastąpić przez inną, gdy stósowna pora nadejdzie. Ten domysł zgodny był z tem co mu z Francyi pisano o p. Morosinim, który przed październikiem niewybierał się z Paryża. Aby jednak to wszystko nieszkodziło postępowi kongresu, przyjął życzliwie p. Chanut tę konfidencyą pana Leszczyńskiego i odpowiedział p. Canarilles, że negocyacye tajemne mogłyby znacznie przyczynić się do szczęśliwego zakończenia sprawy, gdyby Szwedzi dali się nakłonić do jakichś słusznych warunków, i gdyby mu udało się wejść w porozumienie z jednym z ich komisarzy posiadającym zaufanie królowéj; przez co by mógł być zawartym traktat do pewnego czasu sekretny. Jednak, pomimo téj odpowiedzi, wahał się p. Chanut czyli ma, tak daleko, posunąć się w sekretném porozumieniu z jednym tylko z polskich komisarzy,

dać tym sposobem powód do zazdrości innych, którzyby pewno w tedy do pokoju niepomogli. Bo chociaż p. Leszczyński był naczelnikiem ambassady, inni przecież uważali się za równych mu, mianowicie p. Gorayski, który był senatorem. A co do p. Fiszera, ten interesa króla wyraźnie znał lepiéj od swych kolegów i omijać go było niepodobna. Musiałby więc sekret być utrzymany tylko przed jednym ze czterech komisarzy, coby sprawiedliwie p. Naruszewicza obraziło.“ W jednéj z następujących rozmów p. Chanut dał do zrozumienia p. Fiszerowi że domyślają się, iż król polski zwleka umyślnie negocyacye do jesieni; „na co p. Fiszer odpowiedział, nietylko uniewinniając swego monarchę, ale przysięgając na prawdę, że ani on, ani jego koledzy nic o tem niewiedzą i niespóźniają bynajmniéj przyjazdu pp. medyatorów. Że on (Fiszer) pisywał często do rezydenta polskiego w Hadze, aby naglił stany do wysłania swych ministrów, ale że z wielkiem swojem zadziwieniem, nieodbierał od niego żadnéj wiadomości. Było coś prawdopodobnego w tém co p. Fiszer tak silnie utrzymywał, a to dla tego że król polski niemając absolutnéj władzy nawet nad polskimi ambasadorami, zapewne niemógł opóźnić ich wyjazdu do Lubeki, którzy wybrali się na trzy miesiące przed rozpoczęciem układów, tak dalece, że chociaż on postanowił był skrycie zwlec ten kongres do jesieni, zmuszony był zwodzić swoich własnych ambasadorów. W takim razie należało mniemać, że rezydent polski był przypuszczony do tajemnicy królewskiéj i w istocie, wedle tego co p. Brasset rezydent francuzki donosił p. Chanutowi z Hagi, gniewał się p. de Byc o to, że p. Brasset naglił stany do wysłania swych ministrów.“

Gdy komisarze szwedzcy naglić poczęli na wymianę plenipotencyj, p. Chanut chcąc ich przygotować wspomniał, „że ta wymiana rodzi w nim obawę, aby Polacy

czegoś w formach nieopuścili. Rzecze p. Salvius: Polacy mają zwyczaj mówić o pokoju, i głosić że go pragną, a niechcą nic zrobić czego potrzeba, aby był zawartym. Jeźli plenipotencye okażą się nieformalne, już nietrzeba będzie lepszego dowodu, że oni niechcą pokoju, i że ci panowie pragną tylko wybadać zamiary nasze, wrócić na sejm, i zrobić co wypadnie. Téj taktyki używają już od lat pięćdziesięciu! Odpowiedział p. Chanut że nienależy stawiać tak smutnego prognostyku, a wtenczas p. Salvius pokazał mu list z Gdańska, wedle którego jenerał Chmielnicki wróciwszy po bitwie do swoich, zebrał na nowo do 300,000, i że han sposobi się do wyprawy; że car moskiewski przez posła swego zwierzył się w Sztokholmie, iż zamyśla dać pomoc kozakom a ma w pogotowiu armią czterdziestotysięczną. Że dwór polski ma u siebie niemałe trudności, że Polacy niesą kontenci z swego króla ani on z nich, że w ostatniéj bitwie wysunął szlachtę naprzód, a z wojskiem obcem i zaciężnem stał w rezerwie, jakby miał zamiar użyć go na zgniecenie szlachty, i gdyby się jéj od pierwszego razu niepowiodło, byłby się przeciw niéj z kozakami porozumiał. Zginęło w istocie ze znaczniejszych bardzo wiele, czem oburzona szlachta opuściła króla bez pożegnania. Następnie zakomunikował p. Salvius list pisany ze Szczecina, wedle którego ambassador hiszpański namawiał króla w Warszawie aby ze Szwecyą nietraktował, że król hiszpański wypłaci na wojnę ze Szwecyą pewną summę pieniędzy, że gdyby Rzplta chciała ufortyfikować swe porty nadbrzeżne, a zwłaszcza Puck, Hiszpania przyjdzie jéj na pomoc z całą potęgą morską.“ Takiemi wiadomościami i zwłoką Polaków umysły szwedzkie coraz bardziéj jątrzyły się. Doszły także do Sztokholmu wiadomości, że Polacy wzdrygają się oddać Krystynie tytuł królowéj szwedzkiéj. Tamtejszy rezydent francuzki p. Picques temi słowy zawiadamiał p. Chanut o swéj,

w tym przedmiocie, rozmowie z królową. „JKMość postanowiła, w razie dłuższego uporu Polaków, dać rozkaz ambassadorom swoim aby ustąpili z kongresu i wrócili do Szwecyi. Komisarze polscy w tém dzisiaj robią trudności, co król polski zawsze przyznawał, i bez czego wiedzą bardzo dobrze, negocyacyj rozpocząć niepodobna. Królowa ma nadzieję że p. Ambassador pochwalisz to jéj postanowienie, a znając jéj skłonności do pokoju i wiedząc jakie były postępki obu stron, przedstawisz N. Panu, że niestało się z jéj winy, jeżli usiłowania Francyi o zawarcie pokoju niewzięły należytego skutku.“ Nazajutrz, po przybyłym ze Sztokholmu kuryerce, komisarze szwedzcy przyszli razem do Chanuta z żądaniem aby posłów polskich uwiadomił, iż odebrali stanowczy od królowéj rozkaz odjechać natychmiast do Wizmaru, jeżli Polacy nieoddadzą im wizyty, do któréj są obowiązani zwyczajem panującym między ministrami monarchów, i jeżli przy tych odwiedzinach niedadzą królowéj tytułów należnych jéj, a niepowstrzymają się od wyliczania takowych przy tytułach króla polskiego. Że przed opuszczeniem Lubeki mają rozkaz podpisać akt usprawiedliwiający to zerwanie i upewniający w imieniu królowéj, że z jéj strony rozejm zawarty w r. 1635 aż do końca dochowanym będzie. Porozumiawszy się z komisarzami polskimi p. Chanut odpowiedział, że niema wyraźnego prawa ani zwyczaju któreby obowiązywały strony przeciwne do oddawania sobie wizyt; że tę spóźnioną grzeczność można jeszcze będzie zastąpić biesiadami; że interesem jest Szwedów, jeżli chcą traktować, ułatwiać tok sprawy; jeżli zaś zerwać zamierzają, powinni raczéj poczekać na złożenie plenipotencyj polskich, które dadzą im słuszniejszy do odjazdu powód niżli te drobne formalności. Że królowa Krystyna źle była zainformowana bo Polacy nieodmawiają jéj tytułów szwedzkich, ale tylko opuszczać ich

niechcieli przy imieniu swego króla [18]). Na uwagi te Chanuta i posłów polskich, p. Salvius odpowiedział, że i on także niejest za zerwaniem negocyacyj, ale że trzeba nakoniec przystąpić do wymiany plenipotencyj.

Wkrótce ta dręcząca niepewność ustała, przynajmniéj dla komisarzy polskich. Dnia 6 września odebrali oni od W. kanclerza list następnéj treści. „Przyobiecana WWMciom deklaracya jako daléj postąpić, jest takowa. JKMość żadną miarą niechce ustąpić tytułu swego dziedzicznego, a to dlatego żeby *cum renuntiatione ipsius cessaret materia tractatuum.* Jeżeli na to Szwedzi niezezwolą, dać się pociągnąć *in aequalem utrique videlicet prolationem tituli, videlicet omissionem.* Traktaty zaś same *propter absentiam et mediatorum et Suecorum*, których tak długo *cum indignitate Regis et Reipublicae* oczekiwanie, *virtute pactorum* na inszy czas odłożyć; poruczając *considerationi et prudentiae* WWMPanów, jeżeli zaraz drugim za dwie lecie albo tam daléj *certus a vobis prefrigendus terminus*, czyli też to naznaczenie *ad commune* da Pan Bóg odłożyć *consilium.* A życzył JKM. abyście prędko do téj rezolucyi przystępowali [19]).

List ten zamyka właściwie historyą pierwszego kongresu lubeckiego. Wszystko co późniéj na nim zaszło, było prostą i bezowocną formalnością przynajmniéj dla komisarzy polskich, którzy aby dopełnić rozkazu królewskiego, przed zerwaniem konferencyj jedno jeszcze

---

[18]) „Dolere vehementer Illmos Dnos Comissarios (Poloniae) quod Regina Sueciae meliorem non habet informationem de factis illorum; ipso enim Illmo Dno Mediatore teste, nunquam in dubium venit ejusmodi titulorum denegatio, qualem Reginales praesupponunt litterae.“ Oświadczenie ustne Fiszera z d. 2 września w odpowiedzi na deklaracyą komisarzy szwedzkich Prtv. *Comissionis Lubecensis Commentarius.*

[19]) List ten datowany jest z Warszawy 20 sierpnia; znajduje się w spomnionéj dopiero co łacińskiéj relacyi. —

mieli do zrobienia, to jest zatwierdzić rozejm z r. 1635. Niezaraz jednak przystąpili do wykonania téj nowéj instrukcyi. Dnia 10 września Salvius częstował komisarzy polskich; we dwa późniéj przyjmował Szwedów kasztelan Gnieźnieński. Panowała na tych biesiadach wesołość i były oznaki wzajemnéj życzliwości. Rozochoceni winem pp. komisarze pozdejmowali z głów czapki i pozamieniali je między sobą. We dwa dni późniéj oddano posłowi francuzkiemu kopie plenipotencyj, których wierzytelność poświadczył p. Chanut. Było to jakby zaczęcie negocyacyj. Z obu stron znaleziono w plenipotencyach tak liczne niedostatki, że żadna strona niechciała traktować na nich. Cięższe jednak były w polskich, które tak ułożono w Warszawie, jakby królowéj Krystyny na świecie niebyło, i jakby komisarze tak szwedzcy jak polscy, przez jednego króla Jana Kazimierza obu państw monarchę, zamianowani byli. Dla zagodzenia gwałtownych, ztąd wybuchłych sporów, podejmował się poseł francuzki ułożyć nowe plenipotencye, a umówione i obustronnie przyjęte oddać obu poselstwom do ich podpisania w Sztokholmie i w Warszawie; nim zaś takowe nadejdą, kongres miał trwać i daléj obradować. Niemogło to ułatwienie spodobać się naszym; odpowiedzieli więc że nieoddadzą Szwedom plenipotencyj jak wtedy dopiero gdy wieczysty pokój stanie, a zatem że niebyło na teraz powodu spieszyć się tak bardzo ze sprowadzaniem nowego pełnomocnictwa. Przy poufnych z posłem francuzkim rozmowach dali wiedzieć Polacy, że bez zwrotu Inflant i bez stósownego za królewskie prawo wynagrodzenia, próżnemi będą wszelkie usiłowania o pokój; a na to Szwedzi odpowiadali, że i piędzi ziemi nieodstąpią, bo z większym kosztem za Karola i Gustawa nabyli Inflanty niżli ta prowincya jest warta, a zaś linia Zygmuntowa uchwałą stanów od lat pięćdziesięciu wydaną i wszyst-

kich Szwedów obowiązującą, pozbawiona jest prawa do korony szwedzkiéj. Tę deklaracyą na drodze nieurzędowéj otrzymawszy posłowie polscy oświadczyli, że niemają przyczyny zostawać dłużéj w Lubece. Wstrzymywał ich Chanut, chciał ich nawet powstrzymać Salvius człowiek roztropny i o ile wówczas można było wymagać od senatora szwedzkiego, Polsce życzliwy. Przez kurlandzkich posłów tłumaczył im, że niepowinni zrywać kongresu, bo nikt niemoże zaręczyć czy i w jakich okolicznościach nowy zbierze się, a choć Szwedzi twarde zrazu podali warunki, może jednak znaleźć się środek zaspokojenia obu stron; tym zaś środkiem najpewniéj będzie zawarcie ścisłego między dwiema koronami przymierza i odstąpienia dla króla niektórych zamków w Inflanciech. Niechcieli, bo nie mogli, przestróg tych słuchać komissarze rzpltéj, królewskim rozkazem związani. Odpowiedzieli że życie w Lubece za drogo ich kosztuje (!), i że kanclerz W. uwiadomił ich że nowéj przesyłki pieniężnéj nie mają już spodziewać się. Jednak za staraniem Chanuta, obie strony podpisały konwencyą, mocą któréj, bez naruszenia rozejmu *(illaesis induciis)* kongres do dnia 1 maja 1652 r. odroczonym został.

Na pożegnanie poseł szwedzki traktował polskich komisarzy. Ale ci ostatni, właściwiéj mówiąc niektórzy z nich, nienajlepsze dali o sobie posłowi francuzkiemu wyobrażenie; przechwalając się, każdy z osobna, ze znaczeniem swem lub wpływem to u króla, to w rzpltéj. Niezapomniał także i ów francuz p. de Canarilles zalecić się rządowi szwedzkiemu przez p. Chanuta i prosił go aby mu u królowéj Krystyny wyrobił pensyą 3,000 talarów, za usługi, które bawiąc na dworze polskim mógłby jéj oddać!—Naostatek, d. 15 października przyszedł do p. Chanut z pożegnaniem p. Fiszer. Podziękowawszy posłowi francuzkiemu za jego gorliwość i przy-

rzekłszy zdać o niéj wierną sprawę królowi, dodał „że gdyby posłowie polscy szli byli za zdaniem jego (Fiszera), nie byliby tak prędko odjechali; w czasie gdy on cierpiał na pedogrę i nie mógł uczęszczać na sesye komisarskie, koledzy jego zdecydowali się zakończyć obrady kongresu, wbrew woli królewskiéj!! Że król polski mocno sobie tego życzy aby p. Chanut pozostał przez zimę w Niemczech dla przyspieszenia następnych konferencyj; że o to prosić będzie króla arcychrześciańskiego. Że również życzeniem jest króla Kazimierza aby z nim (Fiszerem) zostawał p. Chanut w korespondencyi; że król polski nie chce aby to, co do jego własnych interesów odnosi się, traktowaném było przez innych komisarzy; że sam tylko Fiszer ma do tego upoważnienie (co w istocie pokazał); że w instrukcyi którą specyalnie odebrał wskazane są środki zaspokojenia króla, ale z nich niejedno jeszcze da się odtrącić. Te zaś środki są: zniesienie dekretu odsądzającego linią Zygmuntową, przyznanie jéj tytułu książąt korony szwedzkiéj, oddanie Finlandyi w lenność Kazimierzowi; albo téż, gdyby Szwecya nie chciała zwrócić Rzpltéj Inflant, oddanie tychże na własność dziedziczną króla polskiego, pod warunkiem iż wrócą do Szwecyi w razie gdyby ten król umarł bez potomka męzkiego; w przypadku gdyby zostało się potomstwo żeńskie, Szwecya ma je stósownym posagiem opatrzyć. Nadto rząd szwedzki ma dostarczyć królowi polskiemu dwudziestu tysięcy żołnierza, które zostaną pod komendą szwedzkich jenerałów a użytemi będą dla przeprowadzenia w Polsce niektórych zmian, na jakie Szwecya niezawodnie zgodzi się. Że w skutek tych zmian król polski postara się aby następca jego nie był wybrany poza domem Wazów. Te wszystkie rzeczy (którym Chanut przysłuchiwał się nie bez pewnego zadziwienia) mówione lub czytane były w sposób ciemny, przerywany, z przymieszaniem innych

przedmiotów do sprawy nienależących, a pokazało się z nich to, że na dworze polskim knują się wielkie zamiary, i że rzplta nie bez przyczyny zazdrości zbytniéj potęgi swemu obecnemu królowi".

Nie można, zdaniem naszém, dosyć odżałować téj nieszczęsnéj króla Kazimierza decyzyi zerwania pierwszych konferencyi Lubeckich. Wprawdzie, jak o tem Salvius uwiadomił Chanuta, instrukcye szwedzkie trudnemi były, ale tenże sam poseł spodziewał się widocznie, że królowa da się do słuszniejszych warunków nakłonić; i w istocie, w miarę jak interesa polskie lepszy wewnątrz kraju brały obrót, słabnął rygor i miękła twardość szwedzkich warunków. Chanut opowiada [20]) że poseł hiszpański Juan Borgia, podsuwając królowi nowe projekta, namówił go do zerwania negocyacyj. Rozeszła się pod te czasy wieść, że królowa szwedzka zamierza abdykować. Zdawało się Kazimierzowi że wypadek tak nadzwyczajny nie może przeminąć bez wywołania w Szwecyi wstrząśnień, które ułatwią mu powrót do dziedzictwa, lub zmuszą nowy rząd szwedzki do wynadgrodzenia go za tak wielkie ustąpienie. Ale zabawiając się nadziejami, które ze szwedzkich rozruchów dla siebie rokował, nie oceniał król jak należy tego, co się w Polsce podówczas działo.

W Polsce niezadowolnienie było powszechne. Prawie żaden z królów naszych nie miał u poddanych za życia swego miłości. Nienawidzono Batorego, buntowano się przeciw Zygmuntowi, podejrzywano Władysława; mogła więc i Kazimierza niepopularność pochodzić w części ze

---

[20]) Linages de Vauciennes *Mémoires de Chanut.* Paris 1675 II. 315.

zwyczajnéj pod te czasy, u szlachty polskiéj, chęci sprzeciwiania się własnemu rządowi. Rozdawnictwo urzędów i łask, które królom naszym winno było dawać siłę, rodziło z upadkiem ducha publicznego, same tylko przeciw nim niechęci. Któryś z panujących naszych powiedział, „że każdy wakans nowy przydaje mu jednego niewdzięcznika, a wielu obrażonych“. Ilekroć dorozumiewano się na dworze królewskim usiłowań ku wzmocnieniu rządu i skupieniu sił państwa czynionych, często tylko zamierzanych, wnet szykowali się przeciw królowi malkontenci, sejmy „ten ostatni ratunek rzpltéj“ schodziły na kłótniach i przyganach rządowi. Wojna kozacka i widoczna w Chmielnickim powolność dla obu króli, budziła w szlachcie podejrzenia, że Władysław a późniéj Kazimierz porozumiewa się z kozakami, „aby szlachtę wytępić i złotą wolność przydusić“. Za sprawą Radziejowskiego odbiegło w r. 1651 pospolite ruszenie króla, niedokończywszy kampanii przeciw kozakom; niemniéj przeto zbliżenie to źródłem stało się tysiącznych królowi uwłaczających domysłów i potwarzy. Przez cały sejm roku 1652, agitowano kwestyą „dla czego wiktorya berestecka nie była kontynuowana, nieprzyjaciel wypuszczony i wojna znowu się odnowiła“. Aż jeden z roztropnych posłów odpowiedział radząc aby głęboko nie śledzono tych przyczyn, bo słusznieby „na nas samych winę złożono i wstydem nas zalano [21])“. Przechwalał się Rakocy w roku 1651 że ma w południowéj Polsce licznych stronników i byleby wkroczyć na ziemię polską ręczył że naród odbiegnie pana swego [22]). W Marcu 1652 Senat gdański wzywał pomocy królowéj szwedzkiéj na przypadek, gdyby król Kazimierz, czego się obawiano, chciał przycisnąć wolności tego miasta [23]).

[21]) Radziwiłł *Pamiętniki* II. 401.
[22]) Mémoires de Chanut II. 374.
[23]) Tenże II. 415.

W prowincyach wielkopolskich i pruskich panowało najgorsze usposobienie nietylko co do uległości rządowi, ale co do życzliwości rzpltéj. Nie stanęła tych ziem szlachta na pospolite ruszenie 1651 r. Kurfirszt Brandeburski utrzymywał między nią agentów swych, którzy niechęć przeciw królowi podniecali. „Województwa poznańskie i kaliskie ze zgubą ojczyzny (mówi Radziwiłł) zamyślały o ruinie pospolitéj wolności", a gdy po zamknięciu pierwszych konferencyj lubeckich, na sejm następnego roku wyznaczone były w miesiącu grudniu sejmiki, w całym kraju tak szczególne rzeczy obywatele proponowali „iż zdawało się że rebelia powszechną będzie [24])". Zbrodnia, któréj Siciński na tym właśnie sejmie dopuścił się, nie była zatem, jak mniemają, oderwanym faktem; była raczéj wyrazem i treścią złego usposobienia w narodzie panującego. W kilka lat póżniéj, nim Karol Gustaw wkroczył do Polski, już w radzie szwedzkiéj wiedziano, które miasta w Wielkopolsce otworzą dobrowolnie bramy swoje Szwedom [25]). W całéj Europie, przed wyprawą tego króla, panowała opinija, że Rzplta Polska bliską jest ostatecznego rozkładu, że naród nie będzie bronił rządu swego, i że z chęcią prowincye jéj przejdą pod obce panowanie, byleby obywatelom zachowano wolności i przywileja kastowe. I w istocie najpierwsze z województw, lubelskie, które do konfederacyi Tyszowieckiéj przystąpiło w r. 1656, powstało po części dla tego aby nie płacić nakazanych przez króla szwedzkiego podatków [26]). Tylko wojny kozackie zdolne już były obudzić w szlachcie pewną energią i poświęcenia, bo też w nich, prawdę mówiąc,

---

[24]) Radziwiłł II. 487 i 455.

[25]) Carlson IV. 86.

[26]) Bezimienny. *Panowanie J. Kazimierza. Poznań* 1840 *ed. Racz.* I. 281.

daleko mniéj za Rzpltę jak za prywatne majątki i za utrzymanie poddaństwa chłopów walczono. Naród upadł straszliwie, a tak rozgałęzionego zepsucia, takiego indyferentyzmu o całość i jedność państwa, pewno żaden król, tém samém i Kazimierz, nie mógł być przyczyną. Trzeba jednak przyznać, że dwór królewski z własnéj także winy ściągał na siebie niechęci. Raziły w Kazimierzu szlachtę wady jego: brak wszelkiéj serdeczności, pewna obojętna i egoistyczna duma, i odpychanie od siebie. Gorszyła naród rozwiozłość króla „nad którego mówi de Noyers [27]), nie było nigdy człowieka bardziéj lubiącego kobiety“ i który wszystkie na dworze swym bałamucił. Odstręczała przedajność w rozdawnictwie urzędów przy królu panująca, gdy (jak oto na sejmie 1652 skarżono się), wszystkie „wakanse były tak przedażne jak towary w kramach“ [28]). Lecz, zkądkolwiek to niezadowolnienie „powszechną rebelią grożące“ w Polsce wyrodziło się, powinien był Jan Kazimierz o niém wiedzieć i nienależało mu opierać swych nadziei i działań politycznych na nieprawdopodobnych w Szwecyi rozruchach, kiedy w własnym kraju nie mógł liczyć na poparcie narodu, i tronu swego nie był pewnym.

Opatrzność podała raz jeszcze rzpltéj miłosierną rękę. Dzięki interessowaniu się Francyi i zawikłanym stosunkom szwedzkim, zerwanie negocyacyj lubeckich niepociągnęło za sobą odrazu wojny. I owszem spostrzegła Krystyna, że Polacy nie bez słuszności na nią żalili się, że komissarze ich czekali przez dwa miesiące na posłów strony przeciwnéj, a wyznaczony przez królową naczelnik legacyi hrabia Magnus wcale nie przyjechał. Wkrótce chęć pokoju tak dalece wzrosła w Krystynie, że nie czekała aż ją król polski zaprosi do powtórnego kon-

---

[27]) *Portofolio Maryi Ludwiki* II. 182.
[28]) Radziwiłł II. 459.

gresu w Lubece, owszem pragnęła sama uprzedzić Polaków. Oświadczyła Kazimierzowi (styczeń 1652) że nieomieszka w czasie naznaczonym wysłać swych ambassadorów do Lubeki, i spodziewa się że król polski toż samo uczyni, ażeby to, co na pierwszych konferencyach nie mogło być umówione, zakończoném było na drugich z pożytkiem obu dworów [29]). W tymże czasie Chanut w Lubece pozostały, odebrał od Krystyny potwierdzenie konwencyi zawartéj z posłami polskimi w jesieni i utwierdzającéj rozejm z r. 1635, a oraz doniesienie że jéj posłowie zjadą do tego miasta pod koniec maja. Pisze Chanut, że odczytawszy ten list, zdziwiony był takiém postanowieniem królowéj, bo nie zdawało się wątpliwém „że nie było interessem Szwecyi naglić na odnowienie kongresu [30])“, tém bardziéj że w Polsce, niepewny z kozakami pokój czynił teraz Kazimierza skłonniejszym do szukania zgody ze Szwecyą, jak o tém ten król po dwakroć posła francuzkiego listownie uwiadomił. Z listów, które Salvius, również w Lubece bawiący, odbierał ze Sztokholmu „widział nadto Chanut korzystną dla rzpltéj zmianę w usposobieniach rządu szwedzkiego. Zdawało się, że Szwedzi „zaprzestali spodziewać się aby Polacy, a mianowicie król, bez wynagrodzenia i owszem z utratą praw swych i pretensyj, zgodzili się na pokój; skłaniała się zatém Szwecya do pewnych koncessyj za Inflanty i tytuł królewski do korony szwedzkiéj [31])“. Nie przyszło jednak w porze umówionej do zjazdu. W połowie lutego (1652) król Kazimierz polecił donieść Chanutowi, że dla przykrości pory a oraz dla sejmu, który w maju dopiero miał być zakończony, nie będzie mógł przed końcem wojny przysłać swoich

---

[29]) *Mémoires de Chanut* II. 381.
[30]) *Tenże* II. 387.
[31]) Tenże II. 397.

komissarzy. „W ten sposób, dodaje Chanut, pomimo prędkości i dobréj woli Szwedów, nie było nadziei aby kongres powtórny zebrał się przed sierpniem.“ W początkach marca (1652) przyjechał agent polski, Canarilles, do Sztokholmu, z zawiadomieniem że Kazimierzowi narodził się syn i z zaproszeniem Krystyny na matkę chrzestną. Przyjęto go jak najlepiéj. „Królowa, mówi on w swojém sprawozdaniu [32]), okazywała serdeczną życzliwość dla króla polskiego; była pełna nadziei że nowe konferencye pomyślnie zakończą się i dodała, że jeśli król przyśle go do Sztokholmu z należytém pełnomocnictwem, ona z chęcią ułoży się o to, co interesów samego króla dotyczy. Prosiła nadto Krystyna o portrety Kazimierza i jego żony, jak również aby król polski przysłał jéj kilku muzykantów z swojéj wybornéj dworskiéj kapeli.“ Nie bez tego aby nie było wówczas w Sztokholmie ludzi wysoko postawionych, a Polsce bardzo nieżyczliwych. Stary kanclerz Oxenstierna mniemał zawsze że Szwecya nie powinna wyjść z tego sporu bez znacznego rozszerzenia swoich posiadłości. Atoli Oxenstierna wywierał wówczas bardzo słaby wpływ na politykę Szwecyi; nie lubiła go Krystyna, nie słuchała jego rad, a w Radzie państwa umiała zawsze wolą swoją przeprowadzić.

Jednak i w Krystynie zaszła niebawem zmiana, a jéj sprawcą był Polak, były polski minister, Hieronim Radziejowski. Nie możemy się wdawać w opowiedzenie wypadków, które postawiły króla w konieczności oddania pod sąd tego senatora, odjęcia mu godności i skazania na bannicyą. Powiemy przecież, że ogłoszone w ostatnich czasach obrony Radziejowskiego, naszém zdaniem wskazują tylko jaki jest w niektórych dzisiej-

[32]) Opowiadanie Canarilla, *Mémoire de ce qui s' est passé en la négociation de Lubeck etc.*

szych pisarzach brak politycznego sądu, i jak fatalny na umysły téj epoki wywarła wpływ, owa szkoła pisarzy romansów i gawęd historycznych, którzy talent swój niezaprzeczony zużywają na to, aby budzić w opinii publicznéj cześć i entuzyazm prawie dla tych tylko wad narodowych lub ich reprezentantów, skutkiem których dawna Rzplta zginęła. „Fantastyczność szlachecka, mówi pewne wyborne pismo, jak dawniéj burzyła wszelkie rządy polityczne, tak dziś wszelkie sądy historyczne u nas obala". Namnożyło się w XVII wieku, i mnoży się dziś jeszcze, około téj ohydnéj postaci Radziejowskiego mnóstwo powiastek, plotek, wymysłów, domysłów, które wszędzie niezmiernie utrudniają poznanie prawdy, a tém więcéj u nas, gdzie zbyt mała ilość ogłoszonych źródeł historycznych i przytem trwająca *wciąż* od połowy XVIIgo wieku skłonność do uwielbiania siebie i przeszłości, czynią krytykę historyczną tak rzadką, niepewną, nieśmiałą i najczęściéj dla piszących bardzo przykrą. Lecz jakkolwiek rozdzielonemi byłyby zdania o „legalności i moralności" postępków Radziejowskiego w kraju, niemogą być, sądzimy, dwie opinie o jego czynnościach poza krajem; chyba że któremuś z dzisiejszych tego człowieka obrońców, przyjdzie na myśl powtórzyć, co ówcześni wołali: *na rzpltę nastawał; cóż dziwnego, alboż rzplta ratowała go* [33])? — Poseł francuzki Chanut, którego bezstronność w sprawie téj nikomu bezwątpienia niebędzie podejrzaną, z depesz kolegi swego p. Picques w następny sposób opowiada pobyt i czynności Radziejowskiego w Sztokholmie.

„Kiedy Canarilles obsypany darami Królowéj wracał do Polski, przybył do Sztokholmu były Podkanclerzy polski. — Ponieważ był człowiekiem bystrego dowcipu,

---

[33]) Bezimienny. *Panowanie Jana Kazimierza* I 157. 220 *ed. Racz.*

wielka liczba najznakomitszych dygnitarzy państwa odwiedziła go. Kiedy go pytano jaka była przyczyna niełaski królewskiéj i jego wygnania, opowiadał że mu król zbałamucił żonę i że on skarżył się o to przed królową. Co tak ubodło króla, że zaraz postanowił jak najsurowiéj obejść się z nim. Radzi mu byli Szwedzi, bo się spodziewali, że w gniewie wypowié niemało co rzuci światło na sprawy polskie. Mimo to poleciła królowa Canarillowi upewnić króla Kazimierza, że Radziejowski nieinaczéj jest uważany tylko jako wygnaniec i pozbawiony łaski królewskiéj [34]........ „W kilka dni po przyjeździe swoim do Sztokholmu, miał Radziejowski posłuchanie u królowéj. Posłała po niego JKMość karetę dworną poszóstną, u schodów zamkowych przyjmował go marszałek dworu. Przez dwie godziny rozmawiał z nią na osobności, i bardzo ją ucieszył bystrością swego umysłu. Szanowano go odtąd w całéj stolicy; odwiedził wszystkich wyższych urzędników, którzy go przyjmowali z niezwykłemi honorami. Wszystkim jak najgorzéj mówił o swoim królu i rządzie; upewniał że wkrótce wybuchnie w Polsce powszechna rewolucya i że on, jak wielu jego rodaków, nigdy Kazimierza za króla swego nieuznali (*Maj* 1652).“......

„Czynił co mógł Podkanclerzy polski aby skłonić Szwecyą do zerwania z Polską. Przedstawiał królowéj że to będzie wojna bardzo łatwa, że to jedyny jest środek zmusić króla polskiego do ustąpienia swych pretensyj, że Szwecya bez kosztu upewni sobie posiadanie Inflant, bo Polska nie jest dziś w możności oprzeć się siłom szwedzkim. Tłumaczył że wielkie państwo jak Szwecya powinno być w ciągłéj wojnie z jednym ze swoich sąsiadów, ażeby mieszkańców zrobić bitnymi i ustrzedz się od niespodziewanego napadu.— Kiedy był na dwo-

---

[34]) *Mémoires de Chanut* II 436.

rze, szedł zaraz po królowéj, czyniono mu wszelkiego rodzaju grzeczności, a stary kanclerz wymówil się, że król polski ciężko pobłądził, że takiego człowieka z kraju wypuścił (*Czerwiec* 1652 [35]). — Dopomagali mu Szwedzi do utrzymywania związków z malkontentami w Polsce i do rozsélania emisaryuszów między kozactwem, którym zapewniał, jeśli w wojnie wytrwają, pomoc i opiekę Szwedzką.

Otrzymując podczas pobytu swego w Sztokholmie nieprzerwane z Polski doniesienia, miał zaprawdę Radziejowski czem Szwedów do zerwania z Rzpltą przynęcić. Rok 1652gi był może najnieszczęśliwszym z długiego szeregu nieszczęśliwych lat Jana Kazimierza. Zaczął się od procesu i potępienia Podkanclerzego. Wnet Sejm został zerwany, a zerwany poraz pierwszy w naszych dziejach: protestacyą *jednego*. Rosło po kraju niezadowolnienie i niechęci. Za Dnieprem wznawiał się bunt, a skoro kozacy dowiedzieli się, że sejm nic nieuchwaliwszy rozszedł się, rzucili się co żywo do wojny. Spieszył im na pomoc han Nuredin; złączywszy się z Tymoszkiem synem Chmielnickiego, napadł pod Batowem na armią polską, i zniósł ją do szczętu. Klęska była zupełna, mało kto żywy wrócił do domu, mnóstwo doświadczonych oficerów zginęło. — Wkrótce po nieszczęśliwéj przegranéj, rozeszła się po Ukrainie i po całéj Polsce zaraza. Wstrzymała ona wprawdzie Tatarów od dalszéj inkursyi i zabierania ludności w jassyr, ale sama niemniej straszliwą była plagą. Widzieć było po wsiach i miastach jako snopy walące się trupy ludzkie, po lasach i puszczach tułano się; niebyło komu zmarłych chować, bo zarażano się nietylko dotknięciem, ale sam wiatr zabijał. Więc z borów i jaskiń na żer trupów ludzkich dzikie zwierzęta rzuciły się do miast i wsi.

---

[35]) *Mémoires de Chanut* II 450.

Kiedy popłoch ogólny wyganiał mieszkańców z ich siedzib, „hultajstwo rzucało się do rabowania domów i kramów, a grabarze którzy po zapowietrzonych zabierali wszystko, zarazę tę starali się coraz bardziéj szerzyć [36]“. — Trwał mór aż do października i dopiero wczesne a tęgie mrozy wyczyściły powietrze. — W ciągu lata ustawiczne lały deszcze. Wisła potężnie wezbrawszy, obaliła most krakowski, po ulicach tego miasta woda na łokieć się podniosła. Tam i w okolicach „domy porozrywała, siła ludzi potopiła“. — Zli ludzie, w ciągu pomoru przyuczywszy się do rabunku, podpalali domy. W jednym prawie czasie Lublin, Kalisz, Częstochowa i Uście niemal ze szczętem pogorzały. — Na domiar nieszczęść wojsko było niepłatne, hetmani dostali się do niewoli, a żołnierz niechciał słuchać swych pułkowników; rabował i pustoszył okolice oszczędzone przez nieprzyjaciela. Nietylko przed Tatarami ale i przed własnym żołnierzem uciekali chłopi; wyludniały się wsie pola stały odłogiem, niszczały miasteczka, ustał handel, opróżniły się warsztaty, i do skarbu nic prawie z podatków niewpływało. W tak ciężkiéj niedoli jedne tylko ruskie i krakowskie ziemie, nieczekając sejmu zerwały się do zaciągania żołnierza i wyprawiały go przeciw grożącemu od Dniepru kozactwu.

Z początkiem jesieni, szwedzcy i polscy komisarze wybrali się do Lubeki, ale Canarilles, stósownie do żądania królowéj przybył (w sierpniu 1652) do Sztokholmu z upoważnieniem do traktowania o prawach i pretensyach Kazimierzowych. „Wszystko teraz, mówi on [37]) zastaje zmienione; królowa przyjmuje go zimno,

---

[36]) „dobywszy mózg z głowy trupa zarażonego, namaszczali nim podworze i drzwi w kamienicach majętnych ludzi, aby zapowietrzyli się za dotknięciem“. Bezimienny *Pam. J. K.* I 152.

[37]) *Mémories de ce qui s'est passé* etc.

i w czasie audyencyi obraża się o kilka słów, które zdawały jéj się niedość stósownemi. Pomijają go na dworze, natomiast w jego obecności składają hołdy Radziejowskiemu. Kiedy przychodzi na recepcye, królowa niespostrzega go, lub jeśli raczy przemówić, odsyła go do kanclerza Oxenstierny. Ten, dawszy mu posłuchanie, wykłada przez trzy godziny krzywdy, których Szwecya od Polski doznaje, wyrzeka na Salviusa, że niezerwał ostatniego kongresu, w pierwszéj chwili, gdy Polacy okazali się tak trudnymi w oddaniu zwykłych grzeczności. — Gdy nawzajem Canarilles skarży się, że Radziejowski, goszczony w Sztokholmie, podmawia kozaków do buntu,.... nieodbiera na to żadnéj odpowiedzi; królowa i kanclerz odsyłają go do Lubeki, gdzie już wyjechali komisarze szwedzcy z zupełnemi od rządu instrukcyami.“ — Co chwila spotykał agent polski ślad nienawistnéj ręki Radziejowskiego, który już teraz w mawiał w Krystynę, że Polacy, byleby im dopomódz, wypędzą Kazimierza, a królowę szwedzką, swoją królową obiorą. Wprawdzie nadeszłe do Sztokholmu wiadomości, że zebrany powtórnie w r. 1652 sejm polski odbył się spokojnie i uchwalił 50,000 wojska, poprawiły nieco polskie interesa i oziembiły dwór dla Radziejowskiego [38]); niemniej przeto niechciano już negocyować w Sztokholmie osobno o pretensyach króla polskiego, i oddano sprawę całkowicie powtórnemu kongresowi Lubeckiemu, który w listopadzie został otwarty.

Ze strony polskiej wyznaczeni byli ciż sami co poprzednio komisarze, ale z dawnego poselstwa szwedzkiego umarł w r. 1652 Salvius i Vactmester. W miejsce pierwszego naznaczony Rosenham senator a drugim komisarzem mianowany Guldenear gubernator Kalmaru. Chociaż te konferencye trwały blisko trzech miesięcy,

---

[38]) *Mémoires de Chanut* III 29. 40.

niewiele mamy o nich do powiedzenia. Z kilku relacyj które o nich doszły [39]), widoczném jest że król Kazimierz szukał na ówczas pokoju ze Szwecyą. Ale zmieniły się role; Szwecya tym razem niechciała, chyba pod bardzo trudnemi i upokarzającemi dla króla i Rzpltéj warunkami. Po oddaniu Medyatorom plenipotencyj obu stron, Szwedzi czynili początkowo zarzuty formie polskiego pełnomocnictwa. Przekonani że niemieli słuszności, wnieśli żądanie niespodziane aby originał tychże był im do ręku oddany. Przedstawiał pośrednik francuzki że to nie jest we zwyczaju, że plenipotencye w oryginale nieoddają się stronie przeciwnéj, aż po zawarciu pokoju i że trudno przypuścić aby Polacy na taki warunek zgodzili się. Przyznawał Cantersten poufnie, że uwagi Chanuta były poniekąd słusznemi, ale „w Radzie królowéj, rzecze, są pewne osoby tak trudne w sprawach polskich (wskazywał tém jak się zdaje kanclerza), że aby je zadowolnić, niemożna być dosyć od Polaków wymagającymi“. — Stało się jak przewidywał Chanut; polscy komisarze nieprzystali na propozycyą szwedzką i już zaraz o zerwaniu kongresu mówić poczęto. Przybyli w tym czasie pośrednicy: wenecki, holenderscy i brandeburski, poczęli społem namawiać Szwedów do ustąpienia, tak że ci odwołali się do decyzyi swego Rządu. W lutym 1653go, Krystyna oświadczyła rezydentowi francuzkiemu „że niespodziewa się z tych konferencyj pożądanego owocu, bo Polacy odmawiają rzeczy tak słusznéj (!) jak oddania plenipotencyi swéj stronie przeciwnéj“. Zaczem przyszła ze Sztokholmu odpowiedź, w któréj nietylko pochwalono żądanie komisarzy szwedzkich, ale odkryto nowe uchybienie ze strony polskiéj,

---

[39]) Oprócz cytowanych po tylekroć pamiętników Chanuta i relacyi francuzkiéj o dwóch kongresach Lubeckich, obacz Pufendorffa *Historia suecica* ks. XXIV. i XXV.

to jest że na pieczęci króla Kazimierza wyryty był herb szwedzki; że w archiwach państwa znajdują się listy Zygmunta Augusta i Batorego, a na nich niema wcale herbów szwedzkich, że Polacy powinni zażądać z Warszawy nowéj plenipotencyi, gdzieby niebyło już pieczęci z temi herbami. Nietrudno było odpowiedzieć Chanutowi jak dalece to wymaganie jest niesprawiedliwém, a przytoczone dowody niewłaściwemi; że król polski jest z rodziny Wazów i nikt niemoże odjąć mu prawa używania jéj herbów. Skoro ta nowa pretensya doszła do wiadomości polskich, widzjeli w niéj jasny dowód, że Szwedzi pokoju niechcą, gdy więc upłynął czas dwumiesięczny na konferencye przeznaczony, oświadczyli że niepotrzebnieby dłużéj w Lubece pozostawali i że kongres jest skończony. Chcieli pośrednicy aby spisany był akt obowiązujący obie strony do odnowienia negocyacyj (tém samém do zachowania rozejmu) ale do tego Szwedzi już niedali się nakłonić. W marcu 1652 rozjechały się strony obie.

Po tylokrotnych a nadaremnych staraniach państw obu koronom przyjaznych, spór ten tak długo wiedziony, zużywszy jak się zdaje wszelkie środki pojednawcze, gdy jedna strona zanadto ufała w swoje prawo, a druga w siły swoje, już więcéj bez wojny niemiał być zamknięty. Co przed sześćdziesięcioma laty zasiało niepolityczne apostolstwo Zygmunta; co późniéj wyhodowała polityka sejmów polskich szukających zawsze i przedewszystkiem wygody i życia bez trosk; co wreszcie nieudolność i nieprzezorność Kazimierza, panów i szlachty swywola a zdrada Radziejowskiego przygotowały, dojrzało teraz i na gruncie, Rzpltej miało być zebranem.

Rok 1653 upłynął od szwedzkiéj strony spokojnie. Wprawdzie car moskiewski, gotując wojnę z Polską, proponował w Sztokholmie alians przeciw Rzpltéj, ale z przyjęciem téj pomocy wahał się Oxenstierna, nie przez obawę Polski, lecz iżby Moskwy kosztem Polski zbytecznie niebogacić. Krystyna także niemogła się do wojny zdecydować; zamierzywszy złożyć koronę, już o tem tylko myślała jak zbierać pieniądze. Na kilka dni przed jéj abdykacyą (1654) przyjechał do Sztokholmu Canarilles z nowem upoważnieniem do traktowania o pokój. Rozpoczął starania swoje tem, iż na pierwszéj publicznéj audyencyi protestował przeciw wstąpieniu na tron Karola. „Królowie polscy, mówił on, uznali Gustawa Adolfa i córkę jego Krystynę panującymi Szwecyi, ale niemogą dozwolić aby korona ta przechodziła w boczną linią.“ Odpowiedziała Krystyna, że jeżli potrzeba król Karól pójdzie do Polski udowodnić swe prawo trzydziestoma tysiącami świadków. Canarilles niebył akredytowany przy Karolu, jednak kazał mu nowy król oświadczyć, że jeżli Rzplta chce pokoju, niechaj przyśle do Sztokholmu posła z zupełną mocą.

Chociaż przez Oxenstiernę i Radziejowskiego Karol znał dobrze ówczesny stan Polski, jednak dla powzięcia dokładniejszych informacyj, wysłał (15 lipca 1654) dawniejszego agenta Jana Kocka do Warszawy, jakoby dla zawiadomienia Kazimierza o swém wstąpieniu na tron. Nieco późniéj wyprawił tamże Meyera von Liljenthal, i również polecił mu rozpatrzeć się w wewnętrznych stosunkach Polski. Godne są uwagi punkta w których Karol żądał objaśnień; chciał między innemi wiedzieć jaki jest stosunek szlachty polskiéj do jéj poddanych. Chciał aby śledzono jakie są zamysły panów, czy Polska będzie szukała pomocy u Austryi, czy też u Szwecyi; czy Moskwa zamyśla opanować całą Rzpltę,

czy północne tylko porty; które prowincye Rzpltéj chcą się od niéj oderwać a przystąpić do Cesarza, Kurfirszta albo Rakocego; czy Brandeburczyk będzie się starał wziąść pod swoją opiekę okolice sąsiednie, a nakoniec co uczynią miasta pruskie, osobliwie Gdańsk, jeźli Moskwa całą Rzpltę opanuje [40]). W sierpniu (1654) gubernator Inflant, Horn, odebrał znaczne posiłki w wojsku. Z listów królewskich w tym czasie do niego pisanych, pokazuje się że niektórzy senatorowie polscy jak podkanclerzy litewski Lew Kazimierz Sapieha i inni byli w porozumieniu z rządem szwedzkim. Posłana w grudniu 1654 Hornowi instrukcya określa wybornie politykę szwedzką. „Naszym, pisze kanclerz, głównym interesem jest w ciągu téj zimy, albo zakończyć spór polski, albo też dowiedzieć się jak stoimy i dokąd mamy siły nasze wymierzyć; atoli w żadnym razie dozwolić niemożemy, iżby Moskale urośli w potęgę, któraby bezpieczeństwu naszemu zagrażała. Jestto dla nas wzgląd stanowczy i on musi naszemi czynnościami kierować. Nieskończenie dla nas ważnem jest zabronić Moskwie przystępu do morza Baltyckiego i osiedlenia się w Kurlandyi, bo wówczas ani nasza żegluga, ani nasze posessye w Inflantach niemiałyby żadnéj pewności.“ Jeźli Moskwa wkroczy do Białorusi i Litwy, Horn miał zachować się spokojnie, szukać przyjaźni z Kurlandyą i starać się aby Litwa przyjęła szwedzką protekcyą. Lecz gdyby Moskale chcieli przez zimę operować w Kurlandyi, Horn ma natychmiast zerwać neutralność i Litwinom iść na pomoc. Zarazem kanclerz donosi iż rozpoczęte są przygotowania do wojny, aby

---

[40]) Podaje tę instrukcyą Carlson, w skróceniu, w zacytowaném po kilkakroć dziele, z którego wzięliśmy większą część wiadomości o szwedzkich przygotowaniach do wojny. Czerpał on głównie z archiwów szwedzkich, ale niebyły mu obce francuzkie.

na wiosnę być gotowym postąpić wedle tego, jak wskażą okoliczności a zwłaszcza wojna w sąsiedztwie Inflant toczona.

Powrócił Kock do Sztokholmu równo z wiadomością że Smoleńsk przez Moskwę oblężony, poddał się (29 września.). Wnet Karol, chociaż zajęty ukończeniem wojny Bremeńskiéj, kazał młodszemu Oxenstiernie, który po ojcu wstąpił na kanclerstwo, wnieść na Radę państwa (11 grudnia 1654) kwestyą przygotowań wojennych. W. sędzia państwa Piotr Brahe był zdania, że niebezpieczeństwa grożące od strony polskiéj i moskiewskiéj przedewszystkiem powinny być wzięte na uwagę. Gabryel de la Gardie podobnież był za wojną, radził jednak, według dawnego obyczaju, wybrać dwóch dobrze z rzeczą obznajmionych sprawozdawców, z którychby jeden dowodził potrzeby wojny, a drugi pokoju. Przy wotowaniu okazało się, że tylko ci obstawali za pokojem, którzy zawiadywali finansami państwa; udecydowano w końcu, że czy wojna będzie czy pokój, trzeba robić z największym pośpiechem przygotowania wojenne. Nazajutrz kanclerz przełożył nową kwestyą: czyli, w razie negocyacyj z Polską, żądać od niej, w wynagrodzeniu kosztów wojennych, odstąpienia jakiéjś prowincyi? Propozycya ta znalazła silnych obrońców; kanclerz, w ciągu dyskussyi, dał do zrozumienia, że pewna część polskich poddanych poddała się protekcyi szwedzkiéj. Skytte gwałtownie domagał się Prus, bo jak mówił jestto przedmurze Inflant, a posiadając tę prowincyą, Szwecya bezpieczną będzie zarówno od polskiéj, jak brandeburskiéj strony. Innego byli zdania: Sparre, Gyllenstierna i Bonde; ci radzili poprzestać na wynagrodzeniu pieniężném, a nawet na samym traktacie z Polską, wszystkie zaś siły, szwedzkie i polskie, obrócić przeciw Moskwie. Naczelnikiem téj partyi i reprezentantem tego systemu politycznego był Flemming,

mąż wielkiej przezorności i silnego charakteru. Ale korzyści, w razie wojny z Polską, były dla Szwedów zbyt łatwemi i zbyt na chwilę nęcącemi, aby system Flemmingowy przeważył!

W oczekiwaniu zebrać się mających Stanów, które Karola w Szwecyi zatrzymały, król ten, jeszcze niepewny czy ma wyruszyć na Polskę czy też razem z Polską, wysłał powtórnie Jana Kocka do Warszawy aby raz jeszcze wybadać intencye zebranego właśnie podówczas Sejmu polskiego. A nietracąc chwili, rozsyłał feldmarszałków swoich i celniejszych oficerów po całym kraju dla mustrowania wojska, zwłaszcza piechoty, i dla przyrządzenia artyleryi. — W tej porze przybył do Sztokholmu z upragnieniem od Szwedów oczekiwany pełnomocnik polski Morsztyn. — Król Kazimierz, po dawnemu, nieprzypuszczał aby Karol tak prędko wojnę bremeńską zakończył; niemógł się nakłonić do utraty tytułu i pretensyj szwedzkich; miał nadzieję, że z Moskwą pogodzi się i zawrze z nią sojusz przeciw Szwecyi; łudził się także że nowy król w Szwecyi, dla panującego tam nierządu finansowego i wewnętrznych niezadowolnień, nieprzysposobi się tak szybko do wojny. Niedał więc i tą razą posłowi swemu dostatecznéj plenipotencyi; w liście pisanym do Karola opuścił niektóre tytuły szwedzkie, i jak zwykle, chciał tylko wyrozumieć intencye Szwedów, niewiedzieć poco, bo nigdy z nich niekorzystał. — Karol odpowiedział krótko, że żąda stanowczej deklaracyi, czyli Rzplta chce lub niechce pokoju, a wpierwszym razie niechaj bezwłocznie przyśle upoważnionego do podpisania traktatu ministra. Jak poprzednio Chanut, tak teraz d' Avagour poseł francuzki w Sztokholmie odbierał od dworu swego naglące roskazy, aby dwa te państwa przywieść do pokoju. Z roskazu Mazarina podsuwał Karolowi myśl starania się o koronę cesarską po śmierci Ferdynanda IV.

Próbował kardynał na nowo wciągnąć Szwecyą do wojny w Niemczech, przedstawiając, że tam jest właściwe dla Karola pole. A kiedy król szwedzki, zdecydowany wkroczyć do Polski, starał się o alians z Moskwą, Mazarin temu aliansowi przeszkodził (kwiecień 1655) z obawy „iżby Polska, od wszystkich przyciśniona, nie rzuciła się w objęcia domu Cesarskiego“. Wszystko napróżno! Szwedzi, odbierając informacye z Polski od samych tylko nieprzyjaciół Kazimierza, wyobrażali sobie dość smutny wówczas stan Rzpltéj, jeszcze smutniejszym niżli był; Rzplta zaś prawie jakby zapomniała o Szwecyi, nie zdobyła się ani razu na uchwalenie porządnéj przeciw Moskwie i Kozactwu wojny. Czas najdroższy schodził na niczem, i gorzéj jeszcze, bo na pomnażaniu swarów i nienawiści do króla. Sejm z r. 1654 zerwany został wśród ostrych nagan i przycinków królowi. Skarżono się że od trzech lat Rzplta złożyła 17 milionów, i że nic tą summą nie zrobiono; wyrzucano Kazimierzowi, że ten, nie widząc ludzi zdolnych na hetmanów, buławy wielkie do czasu zatrzymywał. Po upadku Smoleńska, król ruszywszy na Litwę, wezwał tamtejszą szlachtę na pospolite ruszenie. Ale szlachta nie stanęła, „niechcąc, jak mówili, odchodzić domów, dokąd nieprzyjaciel mógł prędko zajrzeć“. Zaczém i król, nie wiedząc co począć w takiém opuszczeniu, gdy Moskwa obległszy Witebsk, coraz bardziéj na Litwie szerzyła się, powrócił do Warszawy i tam zimę przepędził. Na Ukrainie toczyła się także, nie z większem szczęściem, wojna z kozactwem, wzmocnionem teraz przez Moskwę.

Jakże inaczéj działo się w Szwecyi! Pierwsze sześć miesięcy zeszły Karolowi Gustawowi na czynnościach sejmowych i na przeprowadzeniu żądanych od tak dawna reform finansowych. Lecz w tym samym czasie, ze zwykłą sobie energią, przysposabiał on na morzu i

na lądzie siły potężne, a przez posłów swych wybadywał usposobienia dworów europejskich i pracował usilnie, aby Moskwę i Brandeburg skłonić do przymierza na Polskę. Zamyślając wyprawę do Polski, chciał jednak Szwecyą zostawić w stanie obronnym; w styczniu (1655) objeżdżał nadbrzeżne i nadgraniczne fortece dla zasłonienia się od Danii, a może i Holandyi. „Rzecz pewna, pisze d'Avagour, że monarcha ów gotuje wielkie zamiary, a nie zbywa mu wcale na ludziach którzy w nim podniecają żądzę bojów i chwały. W podróżach tych towarzyszą JKMości sami wojskowi; na sześciu radzców którzy z nim jeżdżą nie widziałem żadnego, coby nie miał wysokiego stopnia w armii. Co chwila przybywają niemieccy i szwedzcy półkownicy po werbunkowe patenta." Posłano do Szkocyi zaciągnąć siedm do ośmiu pułków; wśród powszechnych do wojny przygotowań, bogatsi panowie jak Königsmark, Sulzbach, Oxenstierna, Lewenhaupt i w. i. dostarczali królowi pułki własnym kosztem wystawione. Z nie mniejszą usilnością gotowano flotę; potrzeba było 40 okrętów wojennych i sprowadzano do nich materyały z Holandyi. „Od dwóch miesięcy, pisze d'Avagour (maj 1655) niepoznaję Szwedów; mówią oni jakby szli do Polski nie dla jéj zdobycia, lecz ażeby objąć ten wielki kraj jako swoję własność. Wiadomo tu powszechnie, że w Prusiech, na Litwie i w innych prowincyach polskich gdzie są różnowiercy, rząd szwedzki ma licznych stronników". W kwietniu feldm. Wittenberg posłany został do Pomorza wziąść komendę nad zbierającą się tam armią, gdzie téż zamówiono kwatery dla stu kompanij niemieckich nowo zaciągniętych. W prowincyach północno-szwedzkich zwerbowano 46 kompanij, posłano zarazem rozkaz aby pułki finlandzkie szły bezzwłocznie do Inflant. A gdy tyle, nad siły państwa robionych przygotowań, wyczerpało

skarb, król na lat trzy zastawił dochody celne i pożyczył znaczne summy u panów szwedzkich.

Dopiero teraz uwierzyły stany polskie, o czém w Europie od roku niewątpiono, że nad Polską grozi od północy burza. Lecz jaką drogą miały się dowiedzieć? Rzplta nie utrzymywała ambassadorów. Szlachta miała wstręt do swojéj i obcéj dyplomacyi; troskliwa tylko o zachowanie swobód, nie lubiła aby król polski wchodził w ściślejsze stosunki z jakiémbądź zagraniczném mocarstwem. Zwołany „dla obrony ojczyzny“ sejm nadzwyczajny pod koniec maja (1655) wyznaczył po ośmiudniowéj dyskussyi wdę Leszczyńskiego na pełnomocnego ambassadora do Sztokholmu. Uchwalono przeciw Szwedom pospolite ruszenie; uchwalono także podatki, lecz na ich pobór już nie stało czasu. Leszczyński przybył do Sztokholmu pod koniec czerwca, właśnie gdy stany szwedzkie zamknęły swe obrady, i do wojny było już wszystko gotowe. Król szwedzki odpowiedział że po drugiéj stronie Baltyku negocyować będzie; a odpływając od brzegów szwedzkich (10 lipca) zawołał: kto chce spieszyć za mną, teraz, nie dogoni mnie ani w Warszawie, ani nawet w Krakowie!

Rozpoczęła się wojna, jeśli wojną nazwać można haniebne poddawanie się jednéj po drugiéj prowincyi, i niemniéj haniebne odstępstwo polskiéj armii, polskich hetmanów, dygnitarzy itp. Kiedy uchwalono na Szwedów pospolite ruszenie, nie tajno było zapewne Stanom ani królowi, jakie usposobienie panowało w Wielkopolsce, to jest w téj prowincyi która na nieprzyjacielski napad pierwsza była wystawioną. Przypomnijmy sobie że pod koniec panowania Zygmunta III, gdy król Gustaw zagrażał wojną w Prusiech, król polski powołał także pospolite ruszenie, ale nie sądził iżby ono mogło oprzeć się wojsku szwedzkiemu, i z czém mógł, z kil-

koma tysiącami regularnego żołnierza wyprawił do Prus Koniecpolskiego. Nie odpędził ów hetman Gustawa, ale téż nie dozwolił mu iść daléj. Teraz stan rzeczy był dużo gorszym; wszystko wojsko zajęte było na Litwie i na Ukrainie. Jan Kazimierz który pod Piławcami i Beresteczkiem dowiedział się ile można liczyć na pospolite ruszenie, przeciw Szwedom nie wysłał, w pierwszéj chwili, i jednego tysiąca zaciążnego żołnierza. Nie było, powiadają, w skarbie pieniędzy! Nigdy ich podobno nie było wiele w kassach Rzpltéj, to téż ową, dopiero co wspomnianą pruską wojnę, Zygmunt III, w znacznéj części, własnym kosztem podejmował. Wszak i Karol Gustaw, jak powiedzieliśmy, za pożyczone pieniądze przeprawiał się do Polski; a jeśli późniéj Marya Ludwika znalazła tak znaczne summy dla wypędzenia Szwedów z Rzpltéj, czemuż ich nie znaleziono pierwéj aby kraj od napaści zasłonić? Ale my podobno zwykle, w ostatniéj chwili, w czasie najgorętszym, często po czasie, brali się do dzieła.

Skąpy i nieprzezorny dwa razy płaci. Toczyła się wojna ze Szwedami przez sześć lat; zawarto nakoniec pokój w Oliwie na daleko gorszych warunkach, niż te które można było dotrzymać w Lubece. Wkrótce po tym pokoju nastało dość ścisłe między dwoma państwami zbliżenie, które im spólny interes i spólne niebezpieczeństwo zawsze powinny były wskazywać. Ale w tym czasie co upłynął od wtargnienia Szwedów aż do traktatu Oliwskiego, Rzplta tyle i tak wielkich, moralnych i materyalnych odniosła klęsk, że to było jakoby pierwsze jéj w obec Europy do grobu wstąpienie. Miasta popalone, zamki obalone, złupione kościoły, dwory zrabowane, wsie spustoszone, ludność rozproszona, biblioteki i archiwa wywiezione, wszystkie zasoby bogactwa, przemysłu i pracy narodowéj w posadach swoich pod-

cięte i na coraz to większy i ostateczny upadek skazane! Takie były, stokroć opłakane skutki téj nieszczęśliwéj kwestyi szwedzkiéj i téj lekkomyślności sejmów polskich, które obierając panujących z rodziny Wazów, rozdzielały ich interes od interesu Rzpltéj. Skutki do dziś dnia widoczne, bo dziś jeszcze ilekroć na ziemi naszéj obaczysz ruinę, chłop polski prawie zawsze ci odpowié, że ona czasy szwedzkie pamięta.

B. Kamieński.

WIADOMOŚCI NUMIZMATYCZNE.

Od nie wielu lat Numizmatyka nasza wielki zrobiła postęp: już wprawdzie uczone pisma Tadeusza *Czackiego* i Joachima *Lelewela* utorowały jéj drogę; na tej jednakże długo spoczywała, dopóki jéj K. W. *Stężyński Bandkie* szczęśliwym nie ożywił ruchem; jego to dzieło praktyczne, tanie, a tem samem przystępne dla ogółu, upowszechniło chęć przypatrywania się starym pieniądzom, ich zbierania, i coraz bliższego obznajamiania się z temi zabytkami upłynionych wieków. Ileżto dawniéj skarbów tego rodzaju przerobiono na narzędzia stołowe, lub zbytkowe drobiazgi! Dzisiaj może już nie ma złotnika, któryby się poważył rzucić w tygiel na pastwę ognia nabyte stare pieniądze, bez poprzedniego pokazania ich lubownikom albo znawcom. P. *Bandtkie* w swéj Numizmatyce objął całą przeszłość aż do obecnych czasów, a niedokładności, jakie się w nią koniecznie wcisnąć musiały, nikną obok zasługi, któréj mu nikt zaprzeczyć nie może.

Dzieło Ign. *Zagórskiego* obejmujące okres od początku panowania Zygmunta Igo aż do roku 1795, tak pod względem opisów i wiadomości mennicznych, jako też dokładności rysunku pieniędzy wszelkich odmian z téj epoki, nic więcéj do życzenia nie zostawia.

Najtrudniejsze zadanie obrał sobie K. *Stronczyński*, zapuścił się w krainę niemych, których mimiki długo się uczyć potrzeba, a i ta podobną jest częstokroć do odpowiedzi *ja* na pytanie *kto tam?* Przedsięwziął bowiem uporządkować i opisać pieniądze średniowieczne: nie ma tam liczb, któreby wiek ich objaśniały, same zaś nazwiska monarchów nie zawsze mogą być przewodnikami na tém bezdrożu, a cóż dopiero mówić o monetach beznapisowych? Żaden zbiór publiczny lub prywatny nie posiadał ich zgromadzonych razem; trzeba więc było widzieć ich wiele rozrzuconych po odległych zbiorach, wyłączyć nasze z pośród obcych, porównywać je z obcemi, objąć myślą całość, aby w niéj upatrzyć znamiona różnowiecznych ogniwek, mających stanowić nieprzerwany łańcuch. Takie to trudności miał do pokonania Autor dzieła obejmującego opis starych pieniędzy od najdawniejszych czasów aż do roku 1300: dla tego też, jeżeli nie można przywiązać nieomylności P. *Stronczyńskiego* do każdego miejsca, jakie opisanym przez siebie monetom naznaczył, nie można również twierdzić że domysły jego nie mają swojéj podstawy: bo wyrazy stanowczego o tem sądu jeszcze w ziemi spoczywają. Dzieło wszakże numizmatyczne o którem mówimy, z wielu miar jest bardzo ważnem, a rzucenie i rozwinięcie w niem nowych myśli co do sposobu zapatrywania się na te świadki ubiegłéj przeszłości, aby je do właściwéj każdemu odnieść epoki, stanowi najistotniejszą jego zaletę.

Już więc tylko w Numizmatyce naszéj pozostaje przerwa od 1300 do 1500 roku, takiego wyrobienia potrze-

bująca, jakiem się dwa wspomnione pisma *Zagórskiego* i *Stronczyńskiego* zaszczycają. Dla tego w tym oddziale dziejów narodowych uważam za pożyteczne ogłaszanie opisów i rysunków wszelkich pieniędzy, bądź w większéj ilości, bądź pojedynczo na ziemi naszéj znajdowanych: to posłuży nie tylko do zapełnienia ustępów i spojenia przerwanéj dotąd całości, ale razem do objaśnienia wątpliwych podań, a następnie do ich potwierdzenia lub sprostowania.

Tą myślą powodowany, podaję tu opis niektórych z monet, jakie mi się zdarzyło widzieć lub posiadać; a chociaż nie wszystkie do rzędu naszych liczyć się mogą, wszystkie jednak do naszéj należą przeszłości, jako na ziemi naszéj znajdowane, i jako czcionki jéj dziejów, które umiejętnemu badaczowi do złożenia kiedyś ważnych wyrazów, przydać się będą mogły.

R. 1. Strona główna. W greckim chełmie głowa w prawą stronę zwrócona, za nią napis PACTHCA (*Rastiol*; to jest Rościsław).

Strona odwrotna. Postać człowieka w całéj osobie, nad biodrami przepasana, w lewo idąca: na prawem ramieniu niesie drzewiec, u którego obu końców wiszą na sznurach niby haki do greckiéj głoski *Λ* podobne; za sznury zaś trzyma obiema rękami: po prawéj stronie są cztery głoski, a po lewéj przy nodze dwie, tworzące razem wyraz *Γl*ENAZE *(penaze)*, a w innych odmianach tegóż piętna *Γl*EGΓAZE *(pegnaze*, pieniaze, to jest pieniądze*)*. Kilkanaście sztuk takich pieniędzy z czystego złota bitych, nieco miseczkowatych, to jest grubszych w obwodzie, około pół dukata wagi mających, znaleziono w Trzebowie (Trübau) w Morawie przy kopaniu wielkiego tunelu w 1844 r. prawie wszystkie dostały się do Narodowego Muzeum w Pradze. Pieniądz ten poprzednio już był znany P. *Koehne*, umieścił bowiem jego wyobrażenie, wprawdzie nie dość dokładne,

a opis zupełnie mylny, w swém piśmie czasowem 1843 r. *Zeitschrift für Münz - Siegel - und Wappenkunde 3ter Jahrgang, 1. Heft. Berlin,* gdzie go zowie gallicką monetą.

Wiadomo jest, iż Morawija aż do połowy dziewiątego stulecia rządzona była przez swych książąt, hołdujących niemieckim monarchom, dopóki Rościsław książe morawski nie otrząsł się z tego poddaństwa, uzbroiwszy swój naród tak silnie; że Ludwik Cesarz niemiecki (wnuk Karola W. a ojciec Karlomana) dla oparcia się jemu, zawrzeć musiał związek z królem Bulgarów i sam na czele swych zastępów wkroczył do Morawii. Lecz Rościsław zmusił go do opuszczenia tego kraju, pognał za nim i spustoszył całe posiadłości niemieckie na lewym brzegu Dunaju. Wtedy założył kamień węgielny królestwa Morawii, zakreśliwszy mu za naturalne granice Dunaj, łańcuch gór Morawskich i Karpat, a od wschodu Cissę. Chcąc się silniejszym jeszcze przeciw Niemcom postawić, wszedł w związki z Cesarzem greckim Michałem, a sprowadziwszy do Morawii Cyrylla i Metoda, zmienił obrządek łaciński na słowiański: było to około 863 r. [1]) i do téj epoki opisane wyżéj pieniądze z słowiańskiemi napisami, odnieść należy.

Wzmiankę powyższą dla tego tu umieściłem, iż posłuży do objaśnienia pieniążka złotego, znalezionego w okolicach Krakowa, którego opis następnie podaję.

R. 2. *Str. gl.* Głowa w hełmie w lewą stronę obrócona (w exemplarzu który mam w ręku, nie dość wyraźna) bez napisu.

Str. Odw. Człowiek z drzewcem na ramieniu i wiszącemi u niego hakami iak na poprzednio opisanym pieniądzu, po bokach zamiast napisu, kropki po 4 razem

---

[1]) Zob. Allgemeine Welthistorie 52ten Theils, 3. Band v. Gebhardi, Halle 1797.

grupowane; przy nogach z lewéj strony N lub Z, niby Z odwrócone, w tém właśnie miejscu, gdzie na powyższym półdukacie Rościsława przypada głoska Z do wyrazu *penaze* należąca.

Pieniążek ten również z czystego złota, gruby, ważący 1,01 grama, wnosząc z zupełnego podobieństwa jego do poprzedniego, jest ćwierćdukatem Rościsława króla Morawii. Nabyłem go w Krakowie od wexlarza, a obecnie jest w zbiorze P. Leona *Mikockiego* w Wiédniu.

R. 3. Str. Gl. Popiersie nagie męża z brodą i długiemi włosami, twarzą naprzód, na głowie korona zębata z dużym krzyżem, z lewéj strony, czyli przy prawem ramieniu długi prosty krzyż, z prawéj blisko głowy, znak Λ jakby reszta głoski R lub K po obłamaniu brzegów pozostała; z lewéj strony przy krzyżu, znaki V Ↄ, które podobnież jako reszty głosek V S uważać można.

Str. O. Ma wklęsłe wytłoczenie tego, co jest na stronie głównéj wypukłe.

Srebro czyste, waga 0;85 grama, grubość 0,2 millimetra, wybicie wydatne. Zdaje się nie być pieniądzem, lecz raczéj medalionikiem ku jakiéj ozdobie używanym, którén obłamany został w około, z zostawieniem śladów trzech dziurek w równych odstępach, do przytwierdzenia go służących. Z rysów sądząc, wypada go odnieść do najdawniejszych u nas tego rodzaju zabytków: znaleziony w okolicach Krakowa, jest obecnie w zbiorze tym samym co i poprzedzający, i w katalogu tegóż zbioru wymieniony z rysunkiem nie dość wiernie wykonanym.

R. 4. Str. G. W obwódce gładkiéj miecz rękojeścią na dół stojący, między długiemi dwoma krzyżami, których końce gałeczkami są opatrzone, w około napis zaczynający się u dołu: ƆOLEILADIV (BOLEZIA DIV, to jest Boleslaus dux), wedle napisu druga zewnętrzna gładka obwódka.

Str. O. W obwódce gładkiéj krzyż, z ramionami równo w końcach uciętemi, między niemi zaś w trzech kątach są kółka czyli obrączki, a w czwartym trzy kropki w trójkąt ułożone, w około napis ꟼIAVNIA CIAI (PZAVNIA CIVI) to jest, Poznania civitas obwódka gładka.

Jest to pieniądz z czystego prawie srebra, kształtem głosek wielce podobny do monet Bolesława Chrobrego, (992—1025) wyobrażonych w dziele P. *Stronczyńskiego* (Pieniądze Piastów), w typach 1, 3, 6 i 9, z których pierwsza, mająca na stronie głównéj dwa miecze i napis w około + DBOE-<+LAVI (D BOESLAVI) na odwrotnéj zaś niby ptaka i napis w około JRAOMCVMIC—| (CRAOW CYWID|— Cracovia civitas) nie za pragski jak chce mieć Autor rzeczonego dzieła, ale za krakowski uważaćby należało. Raczéj zaś typ trzeci z ręką, jaką widzimy na czeskich pieniądzach, mianowicie Jaromira, właściwszy jest monetom Bolesława Chrobrego w Pradze bitym, co potwierdza napis na odwrotnéj stronie tegoż pieniądza umieszczony PRACA którego reszta zatarta lub nie wybita mogła być *civitas* albo *urbs*. Pieniądz nasz, któren niewątpliwie w Poznaniu bity do Bolesława Chrobrego należy, widziałem w zbiorze P. Anto. *Strzeleckiego* w Krakowie.

R. 5. Str. G. W gładkiéj obwódce krzyż z trójkątnemi ramionami, w około napis DOLEZLAVS+ (Bolezlaus) samym brzegiem około napisu podobnaż obwódka.

Str. O. W obwódce gładkiéj wyobrażenie głowy na przód czyli w całém obliczu, gdzie łuk półkolisty od dołu stanowi obwód dolnéj połowy twarzy, pięć kropek w drugi odwrotny łuk ułożonych stanowią włosy i dopełniają obwodu głowy, zaś oczy nos i usta są czterema kropkami wyrażone: w około napis +S JOHANNES (S. Johannes), otoczony podobnież zewnętrzną gładką obwódką.

Pieniądz srebrny dość wysokiéj próby, z grubą obrączką, nieco miseczkowaty, ważący 0,61 gramów: z grubości swéj, sposobu wyrobienia i kształtu głosek, nosi na sobie tak wyraźne piętno monet Bolesława Chrobrego, że go innemu Bolesławowi przypisać niemożna. Jakoż i dziejopisarze nasi wspominają o denarach w jedenastym wieku bitych z głową ś. Jana i lud podolski dotąd *główkami ś. Jana* (Iwanowe hołowki) nazywa monety wygrzebywane z ziemi, częstokroć rzymskie; nazwa ta przeto zdawna u ludu upowszechniona, dowodzi, że znane mu były pieniądze, które rzeczywiście miały piętno z wyobrażeniem głowy ś. Jana, a kilkakrotny przechód i pobyt Bolesława z jego wojskiem w księstwach ruskich, mogły upowszechnić znajomość jego monety w tychże ziemiach. Egzemplarz z którego załączony tu zdjąłem rysunek, znajduje się w zbiorze p. Ant. *Strzeleckiego*.

Wypada tu zwrócić uwagę na podobnyż pieniądz, lecz znacznie większy, mający po obudwu stronach podobnąż główkę, napisy zaś z jednéj strony BOLZLIAS DVX, z drugiéj SCSIOHSB (Sanctus Johannes Babtista), który z rysunku tylko w Czasopiśmie p. *Köhne*, jest nie znany i powtórnie w tablicach pieniędzy pełczyskich wyobrażony pod liczbą 86, zaś w dziele p. *Stronczyńskiego* typ. 8. a który niewątpliwie do tego samego monarchy należy.

R. 6. S. G. Osoba książęca siedząca, naprzód twarzą obrócona z chorągwią w lewym ręku, któréj długi proporzec na dół zwieszony: przy prawym boku monarchy osoba mniejsza stojąca.

S. O. Trzy płatki zakréskowane w odmiennych kierunkach, zdają się być ubiorem popiersia, którego głowa przez czas zatarta.

Pieniążek ten miedziany, starożytną zielenią pokryty, gruby, nosi na stronie głównéj piętno monety srebrnéj Władysława II (1139-1148) wyobrażonéj w dziele p.

Bandtkie pod l. XL, w tabl. pien. pełczys. pod l. 4, a w dziele p. *Stronczyńskiego* typ. 22, a więcéj jeszcze podobny jest do współczesnéj prawie z dopiero wspomnionéj monety czeskiéj Władysława (1109-1125), w tomie I. str. 343 dzieła Voigta pod l. 3 wyobrażonéj; jednemu przeto z tych dwóch książąt przyznaną być może. Znaleziona była pojedynczo w Krakowie obecnie zaś jest w zbiorze p. *Mikockiego* w Wiedniu, wyobrażona nie dość wiernie przy spisie tegoż zbioru pod l. 5.

R. 7. S. G. Rycerz w krótkiéj po kolana sukni w lewéj ręce tarczę okrągłą trzyma, w prawéj miecz w górę wzniesiony, obok rycerza lew na tylnych nogach wspięty przedniemi tarczy dosięgający, z zadartym w górę ogonem, w około perełkowa obwódka.

S. O. W podobnejże perełkowéj obwódce postać biskupa w całéj osobie stojąca, w lewéj ręce trzyma książkę na piersiach, w prawéj długi krzyż zamiast pastorału, u dołu, między łaską krzyża a osobą mały krzyżyk, po prawéj zaś stronie, (czyli przy lewym boku biskupa) głoski S A (Sanctus Adalbertus).

Pieniądz z czystego srébra, ważący 0,44 grama, pochodzi z wykopaliska Pełczyskiego. Znany już z odmiennném nieco piętnem w tabl. pien. pełczys. pod l. 3. [2]) oraz w dziele Pieniądze Piastów pod l. 23, gdzie go autor Władysławowi II przypisał; główniejsze dwu tych odmian różnice są, iż na tym który obecnie mam pod ręką, nie ma wstąg u infuły, suknia nie z ukosa poprzecznie, lecz podłużnie kréskowana, zamiast gwiazdki jest krzyżyk, ramiona zaś i wierzch krzyża długiego, mają po końcach gałeczki: różnią się także co do wagi, bo tamten (w zbiorze p. *Ant. Strzeleckiego*) waży tylko 0,3 grama, to jett 3 decygramy.

---

[2]) Zob. Tablice Pieniędzy w Pełczyskach wykopanych, rysowane przez T. *Żebrawskiego* 1844, roku w Krakowie.

R. 8. S. G. Wół z podniesioną głową w lewo idący, za nim drzewo, którego gałęzie nad grzbietem i pień u dołu widać, przed piersiami głoska V, w około dwie obwódki gładkie, między któremi w dużych odstępach siedm kropek.

S. O. Toż samo wklęsle, co na stronie głównéj jest wypukle.

Brakteat z czystego srebra, ważący 0,15 grama, zupełnie podobny do brakteatu większego z napisem † DVX VLADISLAVS, znanego już w dziele p. *Stronczyńskiego* pod l. 77, i w katalogu p. *Mikockiego*, jako pieniądz Władysława III (1202—1207) i niewątpliwie do tegoż co i tamten księcia należy. W roku 1849 przy robotach fortyfikacyjnych na Wawelu, wygrzebano kilkadziesiąt sztuk monet, a w ich liczbie obadwa te brakteaty w niewiadoméj ilości, gdyż większa część dostała się w ręce oficera robotą kierującego, kilka tylko rezeszło się po mieście. Wyobrażony jest przy katalogu p. *Mikockiego*, tu jednak rysunek jego, jako dokładniejszy zamieszczam.

R. 10. G. S. W perełkowéj obwódce postać Archanioła w całéj osobie stojącego, twarzą naprzód, głowa nimbem otoczona, skrzydła spuszczone na dół: przy lewym boku ma tarczę u dołu zaokrągloną, na któréj krzyż podwójny ręce w górę podniesione, lewa trzyma miecz, ostrzem na dół ku piersiom skierowany, prawa pochwę, również na dół końcem ku kolanu zwróconą.

S. O. W perełkowéj obwódce krzyż duży, prosty z szerokiemi ramionami; w jednym jego kącie księżyc, w drugim i trzecim gwiazda sześciopromienna w czwartym śladu czas nie zostawił.

Pieniądz ten miedziany ważący 1,15 grama, znaleziony we Lwowie 1845 r. w rzeczce Pełtwi, znacznie już przez czas pogryziony, znajduje się w zbiorze ś. p. Gwalberta *Pawlikowskiego*; jest to bezwątpienia moneta

kijowska, a sadząc z rysunku postaci archanioła, wyrażonéj liniami podłużnemi i poprzecznemi, podobnie jak na brakteatach srebrnych przez biskupów krakowskich za Bolesława V (1227-1279) bitych, jakie nam przedstawiają tablice pien. Pełczys. pod l. 50 i 51 i w dziele o pieniądzach Piastów typ. 88 jako też z podobieństwa tegoż rysunku do monet miedzianych Stefana V króla Węgierskiego (1270-1272) wyobrażonych w dziele Catalogus Nummorum Hungariae instituti Szechenyiani, na których postacie osób podobnież linijami prostemi są wyrażone, ośmielam się pieniądz ten przypisać Leonowi Daniłowiczowi księciu Halickiemu, Włodzimirskiemu, Łuckiemu i Drohickiemu, który się pisał Dux Ruthenorum, a przy wymienionych księstwach i Kijów trzymał; za jego panowania (1269-1301). Lwów wznosić się zaczął a jego żona Konstancya była siostrą i wspomnianego króla Węgierskiego i Kunegundy (świętéj) żony Bolesława Wstydliwego. To więc podwójne pokrewieństwo osób i monet, zdaje się mój domysł potwierdzać.

R. 9. S. G. W obwódce perełkowéj podwójnéj, to jest zewnątrz kolistéj a wewnątrz z czterech łuków złożonéj, stoi rycerz twarzą naprzód, w szyszaku na głowie, kolczugą odziany, z pod któréj widać dłuższą suknię nad kolanami, w prawéj ręce trzyma tarczę, z poprzecznemi paskami na jéj powierzchni, w lewéj miecz ostrym końcem do góry; u dołu przy prawéj ręce są cztery kropki w trójkąt ułożone.

S. O. Ma toż samo piętno wklęsłe, które na głównéj stronie jest wypukłe.

Brakteat z czystego srebra, ważący 0,15 grama, znany już w tabl. pien. Pełcz. pod l- 59 i w dziele o pien. Piast. pod l. 96 gdzie go autor Przemysławowi księciu Wielkopolskiemu (1239-1257) przypisał. Że zaś ten książe używał podobnych znaków, przekonywa o tém

pieczęć jego przy dyplomacie w archiwum Wrocławskim, z roku 1248 pridie kalendas mai, którem potwierdza przywileje przez ojca swego Władysława, zakonnicom w Trzebnicy nadane. Na pieczęci téj wyobrażony jeździec z mieczem podniesionym i z tarczą na któréj trzy poprzeczne pasy.

O Brakteacie tym, już poprzednio znanym, powtarzam tu wzmiankę dla odmiennego piętna, na tamtym bowiem rycerz trzyma tarczę w lewéj, miecz w prawéj ręce, tu zaś przeciwnie. Znane mi kilka sztuk obu odmian pochodzą ze skarbu Pełczyskiego.

R. 11. S. G. W perełkowéj obwódce orzeł jednogłowy podobny do tego, jaki się na mniejszych pieczęciach Władysława Łokietka widzieć daje, to jest z ogonem jakby w kropidło u dołu przewiązanym, bez nóg i bez korony.

S. O. Lew w koronie, wspięty na tylnych nogach, w lewo zwrócony, z ogonem w górę zadartym w ósemkę splecionym, jaki zwykle bywa na pieniądzach czeskich; w około obwódka z perełek.

Denar ten z czystego srebra, ważący 0,34 grama, jest monetą Wacława II Czeskiego i Polskiego monarchy; służy on za dowód, że ów książe prócz szerokich groszy pragskich przez siebie do Polski wprowadzonych, bił także pieniądze wyłącznie dla tego kraju, skoro na nich godło polskie jest umieszczone. Rewers majestatycznéj pieczęci tego monarchy, przedstawia jeźdźca, z podobnymże orłem na tarczy, a lwem na proporcu dzidy. Znane mi dwie sztuki téj monety, znalezione w ogrodach krakowskich, znajdują się w zbiorach pp. *Strzeleckiego* i *Mikockiego*, jéj zaś rysunek umieszczony w tabl. pien. Pełcz. a powtórnie w spisie wspomnionego dopiero zbioru wiedeńskiego.

R. 12. S. G. W sznureczkowéj obwódce osoba monarchy na nizkiem tronowem krześle siedząca, twarzą

naprzód, w koronie na głowie, w prawéj ręce berło przez ramię, w lewéj jabłko królewskie trzymająca, w około napis: WLADISLAVS. DI. G. REX.

S. O. Stojąca osoba biskupa, w długiéj fałdzistéj sukni, przyodzianéj krótszą po kolana kapą, głowa w infule otoczona nimbem, prawa ręka do błogosławienia podniesiona, lewa trzyma pastorał, w około drobnym sznureczkiem obwiedziony napis: S. STANISLAVS POLO. gdzie wyraz niedokończony POLO. uważać potrzeba jako należący do dopełnienia napisu strony głównéj, to jest REX POLONIAE.

Jedyny dotąd egzemplarz tego dukata jest w posiadaniu p. Erazma *Niedzielskiego* obywatela Galicyi, który opis jego z rysunkiem umieścił już w piśmie czasowém Bibliot. Warsz. 1849 r. przypisując ten pieniądz Władysławowi Warneńczykowi.

Piérwsze dukaty w Węgrzech ile dotąd wiemy, były bite za Karola Roberta (1308 — 1342), w Czechach za Jana z domu Luxemburskiego (1310 — 1346), oba też mają podobne do siebie piętna, to jest z jednéj strony ś. Jana Chrzciciela, z drugiéj liliją florencką. Pieniądze srebrne tegoż Karola, mianowicie szerokie grosze węgierskie, mają na głównéj stronie monarchę siedzącego na nizkiém krześle tronowém bez poręczy i wezgłowia: takież samo piętno mają szerokie grosze węgierskie bite za jego syna Ludwika, któren to typ, już się za jego następców na monetach węgierskich nie powtórzył. Z naszych monet, jedne tylko półgroszki srebrne czyli kwartniki Kazimierza W. mają na sobie wyobrażenie monarchy podobnież siedzącego, jak na rzeczonych groszach węgierskich i na opisującym się dukacie.

Przejdźmy teraz do przypatrzenia się pieczęciom polskich monarchów z owych czasów: a najprzód Przemysława jako króla, pieczęć majestatyczna przedstawia nam monarchę na tronowem nizkiem bez wezgłowia i

poręczy krześle siedzącego, w koronie na głowie, z berłem i jabłkiem monarszem w rękach [3]). Majestatyczna pieczęć Władysława Łokietka w przywileju z r. 1320, który mam pod ręką w oryginale, przedstawia monarchę na takimże tronie z jabłkiem i berłem w ręku. Tron Kazimierza W. na znanéj powszechnie majestatycznéj jego pieczęci, jest podobnąż nizką sofą nieco w gotyckie ozdoby przystrojoną, których jeszcze na Przemysławowskiéj nie widzimy pieczęci. Podobnyż tron przedstawia nam pieczęć Elżbiety Łokietkowny królowy węgierskiéj przy dyplomacie z r. 1339, to jest równie jak poprzednie krzesła na pieniądzach i pieczęciach wymienionych, bez nadgłowia czyli baldakimu. Lecz już na pieczęci Kazimierza W., widać za plecami monarchy rozpięte tło ozdobne, za plecami zaś Elżbiety widzimy w łuk wygiętą ozdobną poręcz krzesła tronowego. Ludwika tron jaki na jego pieczęciach widzimy, już kształtem sobie właściwym odstępuje od poprzednich, jest to wysokie krzesło wystające po nad głowę monarchy: a trony na pieczęciach Jadwigi, Władysławów Jagiełły i Warneńczyka już mają bogate gotyckie nadgłowia.

Prosty więc kształt w jakim na dukacie naszym krzesło monarsze jest wyobrażone, zbliżony najwięcéj do tego, jaki widzimy na majestatycznych Przemysława i Władysława Łokietka pieczęciach, na groszach węgierskich Karola Roberta i Kazimierza W., oraz cała postać osoby na nich przedstawionéj, są wyraźną skazówką że też grosze lub owa pieczęć dukatowi naszemu za wzór służyły, że więc jest współczesnym z pierwszemi dukatami Węgier i Czech, i że go nie komu innemu, jak tylko Władysławowi Łokietkowi (1305—1333) z całą pewnością przypisać należy.

---

[3]) Zob. jéj opis i rysunek w Bibl. Warsz. 1848 r.

R. 13. 13) *S. G.* W perełkowéj obwódce korona, w koło napis: +.MoRoPOoWLA (Moneta Regis Poloniae Wladislai).

S. O. W podobnéjże obwódce herb kujawski, to jest pół orła z prawéj a pół lwa z lewéj strony, których głowy wspólna korona przykrywa.

Denar z czystego srebra, ważący 0,19 grama, należy do Władysława Łokietka już jako króla, i bity na wzór denarów pragskich Wacława, *parvi pragenses*, lecz nieco mniejszy. Znaleziony w kilku sztukach pojedyńczo w ogrodach krakowskich, znany już z rysunku w tabl. pien. pełczy. i z katalogu p. *Mikockiego*.

14) *S. G.* Monarcha siedzący na nizkiém krześle twarzą naprzód, w koronie na głowie, z berłem w lewym ręku, w około napis: MONETA ‡ KAZIM..... reszta zatarta.

S. O. Orzeł polski w koronie na głowie, nad barkami jego dwa znaki ʘ ʘ do herbu Nałęcz podobne (czy to nie końcowa liczba 44 roku 1344 w około ślad napisu REGIS POLONIE.

Pieniądz miedziany zupełnie podobny do półgroszków srebrnych Kazimierza W. (1333—1370), i téjże wielkości, dla tego rysunku jego nie dołączam; różni się tylko od nich grubszem wyrobieniem piętna i dodaniem znaków (czy liczb) wspomnionych. Znaleziony był w Krakowie; jest obecnie w zbiorze p. *Mikockiego*, bardzo przez czas uszkodzony.

R. 14. 15) *S. G.* W gładkiéj obwódce głowa monarchy w koronie, naprzód obrócona, w koronie nizkiéj, włosy długie, w około napis KAZIMIRI. +.

S. O. W podobnéjże obwódce orzeł polski w prawo dzióbem zwrócony, w koronie na głowie, bez nóg: w około napis R. POLONIE +.

Denar srebrny 4éj próby, ważący 0,17 grama, lecz waga sztuk lepiéj dochowanych będzie nieco większa,

gdyż egzemplarz który mam w ręku jest uszkodzony. Według wiadomości udzielonéj mi przez korespondencyą wykopano w 1849 r. w okolicach miasteczka Szczercowa dużą ilość starych pieniędzy, między niemi półgroszki Kazimierza W. i denary, z których liczby pochodzi także dopiero opisany; miały zaś jedne napisy z obu stron też same, to jest REGo POLONIE, inne zaś jak w załączonym tu rysunku. Jest to więc nieznany dotąd denar Kazimierza W.

R. 15. 16) *S. O.* W gładkiéj obwódce herb andegaweński, nad nim głoska L (Ludovicus) do h podobna.

S. G. W perłowéj obwódce orzeł polski bez korony.

Denar z czystego prawie srebra, ważący 0,15 gr. znaleziony wraz z denarami Władysława Warneńczyka póżniéj pod l. 20 opisanemi, przy murowaniu kanału w ulicy Floryańskiéj w Krakowie, cała ilość kilkadziesiąt sztuk wynosząca tak była przez czas mocno w jednę bryłę skupiona, że wiele z nich przy rozdzielaniu zupełnie się popsuło. P. *Bandtkie* przy opisie innéj odmiany tego denara, należącego do Ludwika Węgierskiego i polskiego króla, robi i o téj wzmiankę, twierdząc że litera h oznacza miasto w którem monetę bito, lub myncarza: ja mam powody, które następnie przytoczę, do twierdzenia, że to jest głoska L (Ludovicus) chociaż do *h* podobna. Egzemplarz, z którego zdjęty jest rysunek tu załączony, jest w zbiorze p. *Mikockiego*, i w katalogu jego pod l. 314 wzmiankowany z mylnem domniemaniem, iż należy do królowéj Jadwigi, — jakoby h oznaczało *Hedvigis*.

Odmiana tego denara, na któréj orzeł ma głowę w koronie w przeciwną stronę, to jest w prawo zwróconą, jest w zbiorze p. *Strzelbickiego*.

16. *Str. G.* W obwódce perłowéj herb wołoski, to jest głowa wołu, z gwiazdą pięciopromienną między ro-

gami i półksiężycem z lewéj strony: MONETA ALEXANDRI+ samym brzegiem druga podobnaż obwódka.

S. O. W perłowéj obwódce tarcza w podłuż przedzielona, w lewéj połowie mieści herb węgierski, to jest pasy poprzeczne, w prawéj lilije, to jest herb rodziny Anjou, nad tarczą litera L do h podobna, taka sama jak w opisanym poprzednio denarze Ludwika: w około napis: WD-WALACHIENSI + *(Waivodae Walachiensis)* Srébro bardzo niskiéj próby, waga, 1, 25 gram. znaleziona pojedynczo w Krakowie: półgroszek ten Alexandra księcia czyli Wojewody wołoskiego, jest teraz w zbiorze p. *Mikockiego.*

R. 17. 18. Str. Gł. Herb wołoski, to jest głowa wołu z gwiazdą między rogami i półksiężycem na boku jak w poprzedzającym.

Str. O. Herb w połowie tarczy węgierski, w połowie andegaweński jak w poprzedniéj monecie. Szeląg miedziany tegoż Aleksandra, ważący 0,37 grama znaleziony w gruzach zburzonéj 1842 roku burzy *Długosza* w Krakowie: obecnie w zbiorze p. *Mikockiego.*

Obiedwie te monety, to jest półgroszek i szeląg są wymienione w katalogu p. Mikockiego pod l. 322 i 323, gdzie litera L do h podobna wprowadziła Autora w mylne mniemanie jakoby oznaczała początkową literę imienia królowéj Jadwigi *(Hedvigis)* co tém bardziéj prawdopodobnem zdawaćby się mogło, iż niektóre kroniki panowanie Alexandra Wojewody od r. 1356 do 1383 rozciągają: idąc atoli za podaniem pewniejszem lat jego rządów to jest od 1342 do 1360, a zatem przed wstąpieniem na tron Jadwigi (1382 r.) pieniądze te Alexandra, jako za Ludwika węgierskiego i polskiego króla bite uważamy. Jakoż Kronikarz węgierski *Thuroztius lib. III. c. 3.* pisze, że Alexander Wojewoda hołdownik Karola (Roberta) wyzuwszy się z posłuszeństwa, długo z nim wojował, a Ludwikowi synowi Ka-

rola znowu hołd wierności złożył [4]). Następcą Alexandra był jego syn Władysław czyli Włajko (1360—1376), a dopiero w 1387 r. Wojewodowie Piotr Mołdawski i Myrha Wołoski, Władysławowi Jagielle i królowy Jadwidze hołd swój złożyli [5]). Wreszcie że literą L nad herbem umieszczoną, tak na denarze Ludwika wyżéj opisanym, jak i na półgroszku wołoskim w tym kształcie do h podobnym wyrażono, o tem przekonywa nas pieniądz prawie współczesny, Ziemowita księcia Płockiego, który tu następnie opisuję, a w którym wyraz PLOCEN ma takąż samę literę L do h podobną.

R. 18 19.) *S. G.* W perł. obwódce orzeł piastowski, w około napis: MONETA: PLOCEN +, otoczony drugą podobnąż obwódką.

S. O. W perł. obw. głoska S, około niej napis: DVCIS SEMOVITI+.

Półgroszek Ziemowita księcia Płockiego (1375—1385) srebro czyste, exemplarz znaleziony w Krakowie, znajduje się teraz w zbiorze p. Mikockiego i w jego katalogu wymieniony i w rysunku wydany: drugi tegoż samego piętna, lecz miedziany, pobielany, i przedziurawiony mniéj wydatny, jest w tymże zbiorze; trzeci podobnież przedziurawiony, bilon, przybity był ćwieczkiem

---

[4]) „Cum rex Ludovicus anno 1342 (według Pray, a 1343) esset n partibus Transilvanis, quidam princeps seu baro potentissimus Alexander Vojvoda Transalpinus ditioni ejusdem subjectus, qui tempore quondam Caroli regis, patris sui (+1342, 16 Jul.) a via fidelitatis disertendo, rebellaverat, et per multa tempora in rebellione permanserat; audita pietatis et etiam potestatis ejusdem Ludovici regis fama, ad ipsum sponte personaliter veniens, circa confinia ipsarum partium ad pedes regiæ majestatis humotenus est prostratus et ad obedientiam et fidelitatem debitam reductus est et integratus solennia munera, xenia et clenodia præstando, et suum dominum et sanctam coronam recognoscendo, cum gaudio et lætitia ad propria remeavit, et ab illo tempore fidelitatem conservavit.“

[5]) Zob. *Codex* diplom. regni Pol. Vilnie 1758 str. 597.

do okładki rękopismu teologicznéj treści z 14go wieku, w bibliotece Jagiellońskiéj: P. *Muczkowski* Prof. i Bibliotekarz odjął go z okładki i umieścił wzbiorze monet tegoż zakładu; exemplarz ten służył mi za wzór do rysunku tu załączonego, a poprzednio w tabl. pien. peł. pod liczbą 82.

R. 19, 20, 21. 20. S. G. Orzeł z rozpostartemi skrzydłami, bez nóg, na głowie korona trzema kropkami wyrażona.

S. O. Tarcza herbowa z podwójnym krzyżem, nad nią litera W.

Denar srebrny znaleziony razem z denarami Ludwika (zob. 16), w kilku odmianach, co do rysunku orła, na niektórych brak nad tarczą litery W. na jednym w dolnym kącie krzyża z lewéj strony duża kropka.

W dziele P. Bandtkiego pod L. 701 jest podobnyż denarek, z dodaniem liter po bokach tarczy, gdzie go autor przypisuje Władysławowi Warneńczykowi. Co do exemplarzy tu w rysunku załączonych, te przyznałbym raczéj Władysławowi Jagielle, bo pominąwszy tę okoliczność że razem z denarami Ludwika były znalezione, że krzyż na nich mający końce równo ucięte, nierozszerzone, jest odmienny od krzyża węgierskiego, w końcach rozszerzonego i kątowato wyciętego, i że krzyż jest tu wzięty z tarczy pogoni, i zarówno monetom obudwu Władysławów przystoi, to kształt orła na tych denarach, mianowicie cienkie, pionowe i długie pióra skrzydeł i brak nóg mocno je odróżnia od wszystkich późniejszych denarów, mających orła z nogami i skrzydłami wachlarzowatemi.

21). S. G. W perełkowéj obwódce orzeł w koronie, w około napis: ✠ MONETA ❦ KAZIMIRI.

S. O. W pereł. obw. korona, pod nią dwie litery m. k. w około napis ❦ REGIS ❦ POLONIE ❦ ✠.

Półgroszek srebrny Kazimierza Jagiellończyka, podo-

bny do opisanego w Numizmatyce krajowéj pod L. LXXVI: różnicę stanowią litery m. k. pod koroną, które może mennicę krakowską oznaczają. Jest w zbiorze p. Marcina *Strzelbickiego* w Krakowie.

Podobnyż drugi pieniądz, lecz miedziany, jest wtymże zbiorze, z tą od poprzednio opisanego różnicą, że korona w tamtym ma od dołu zakończenie w łuk wygięte, tu zaś w prostéj linii, i że krzyżyki w koronie są tu odosobnione.

R. 22. *S. G.* Korona wysoka z trzech lilij złożona między którémi są dwie obrączki z kropką w każdéj.

S. O. Niezgrabne wyobrażenie orła, którego dziób w prawo skierowany.

Pieniądz z czystego prawie srebra, bo 13 próby, ważący 0,66 gramma, w brzegach gruby. Jest w zbiorze p. Gwalberta *Pawlikowskiego* we Lwowie.

Pieniądz miedziany Jana Alberta, mający wielkość i typ zwykłych srebrnych półgroszków tegoż monarchy. Znaleziony pojedynczo w Krakowie, jest w zbiorze p. *Mikockiego* w Wiedniu.

R. 23). 24. *S. G.* Orzeł polski ukoronowany, język i nogi w delikatnych bardzo rysach są wydane; w około pojedyncza obwódka.

S. O. Słaby wklęsły ślad tego, co się na stronie głównéj znajduje.

Brakteat w podłem srebrze, bo 5 próby, ważący 0,33 gramma. Znajduje się we Lwowie w zbiorze p. Gw. Pawlikowskiego. Z postaci orła sądząc przypisuję go Alexandrowi Jagiellończykowi.

R. 24. 25. *S. G.* W obwódce z drobnych perełek, popiersie z koroną na głowie, włosy długie równo u dołu ucięte, szyja i ramię zbroją odziane, a około napis SIGISMVNDVS ☙ PRIM ☙ REX ☙ POLONIE ☙ w około napisu druga podobnaż obwódka.

S. O. W takiejże obwódce orzeł polski, w koronie na głowie, piora skrzydeł krótkie pozioméj u dołu linii dosięgające; napis w około: MONETA ⚜ REGNI ⚜ POLONIE ⚜ 15Z8 ⚜.

Trojak srebrny Zygmunta I podobny opisanym już w dziełach p. Bandtkiego pod l. 81, i p. Zagórskiego pod l. 14 i z tegoż roku co i tamte; od obu jednak różni się głównie tem, że orzeł na tamtych w prawo dzióbem zwrócony i z równowązkim ogonem; tu zaś dziób orła w lewo, a ogon w wachlarz roztoczony. Jest w zbiorze p. *Strzelbickiego* w Krakowie.

R. 25. 26. *S. G.* Tarcza trójkątna nakształt harfy z trzech pałączków złożona, z jednego boku ząbkowana, na któréj cyfra z liter S i A związana, nad cyfrą korona, nad tarczą zaś liczba 75, to jest ostatnie cyfry roku 1575; to wszystko w perełkowéj obwódce; druga takaż obwódka krajem monety, a między niemi przegradzany liliami napis: MONE ⚜ NOVA ⚜ ARGENTEA ⚜.

S. O. W perełkowéj obwódce lew z wzniesionemi przedniemi nogami w lewo (względem patrzącego na monetę) obrócony, w około napis: DVCAT ⚜ CVR ⚜ ET ⚜ SEMIGA ⚜, brzegiem druga podobnaż obwódka, srebro podłe, waga 0,75 grama.

R. 27. *S. G.* Podobna do poprzedzającéj, lecz roku 77 (1577), napis: MONETA + NOVA + ARGENTE +.

S. O. Podobnież ze lwem i napisem: DVCIS + CVR + ET + SEMIG +.

Pieniądz miedziany ważący 0,83 grama.

Podobny do obu tych monet, lecz z odmienną tarczą i rokiem 45 (1545) denar kurlandzki za Zygmunta Augusta bity, przedstawił p. Bandtkie na figurze 154. Dwa te pieniądze w zbiorze p. *Mikockiego* w Wiedniu zasługują z tego względu na uwagę, iż bite za Stefana Ba-

torego, noszą jednak na sobie cyfrę Zygmunta Augusta.—

R. 28. S. G. Głowa w prawo, w koronie, w około napis: STEPHA. D. G. REX. PO. M. D. L.; wśród napisu nad samym szczytem korony: pół lwa w lewo z podniesionemi przedniemi nogami, jakby z korony wystającego.

S, O. Na małéj ukoronowanej tarczy kły, Batorych godło, wedle tarczy z lewéj strony orzeł, z prawéj pogoń, nad tarczą trójka rzymska III, pod tarczą zaś w trzech wierszach GROS. ARG. | TRIP. REG. | POLONIÆ; u dołu mała tarcza z herbem Przegonia, wedle któréj rozdzielony rok 15...84 i litery I....D (Jan Dulski).

Rzadka ta trzygroszówka koronna Stefana, ze zbioru p. *Strzelbickiego,* w tem się jeszcze różni od zwykłych że korona popiersia nie wchodzi między litery napisu, lecz się mieści w jego obrębie, a szyja popiersia wchodzi wśród napisu, tak iż ten zaczyna się od pół lwa nad koroną i ciągnie się do brody popiersia, a dalszy napis, idzie od karku do wspomnionego pół lwa.

R. 26. 29. S. G. W perełk. obwódce, w prawo zwrócone popiersie monarchy, w koronie, która za obręb obwódki wystaje, twarz z brodą i wąsami, na szyi wysoka kryza, pierś zbroją odziana z orderem złotego runa, w około napis: SIGIS. III. D G. REX. POL. M. D. L. RVS. PRVS. MAS. X.

S. O. W perełk. obwódce tarcza na cztéry pola podzielona, w których naprzemian orły i pogonie, wśrodku druga mniejsza podobnież czteropolowa tarcza z herbami szwedzkiemi i gockiemi naprzemian, trzecia w samym środku najmniejsza tarcza z herbem Wazów: u dołu w obwodzie wielkiéj tarczy herb Półkozic, nad tarczą korona, za obręb obwódki wystająca, po bokach zaś tarczy rozdzielone litery I...I i liczka 2...8 (rok

1628); łańcuch orderu złotego runa otacza tarczę, w koło niego zaś napis: SAM. LI. NE. NO. SVE. GOT. VAN. Q. H. REX +. zewnątrz napisu druga perełk· obwódka.

Piękny ten, dotąd, przez naszych numizmatyków nie opisany ort koronny, czyli $1/4$ talara, jest w zbiorze p· *Strzelbickiego* w Krakowie.

R. 27. *30. S. G.* W sznureczkowéj obwódce, orzeł pruski, to jest z ręką zbrojną, miecz wzniesiony trzymającą.

S. O. Tarcza owalna, z herbem Gdańska, około niéj ozdoby, wśród których z każdego boku widać głowę ludzką w profilu; pod głową lewą niedźwiedzia łapa, godło mincarza, pod prawą krzyż, nad tarczą między dwoma rozetkami trójka rzymska III, poniżéj rozet rozdzielony rok 16...16, u dołu zaś tarczy litery S....R bardzo małe.

Piękny trzeciak, czyli denar potrójny gdański, srebro prawie czyste, waga 0,63 gramma; jest w zbiorze [p. *Strzelbickiego*.

31. S. G. Popiersie młodzieńca w prawo zwrócone, na głowie krótkie włosy, na szyi kołnierzyk karbowany, w około sznureczkiem obwiedziony napis: MO. ARG. DVCVM. CVR.

S. O. W sznurkowéj obwódce, między dwoma małemi rozetkami orzeł i pogoń przegrodzone trzecią rozetką: nad nimi trójka III, pod nimi zaś w trzech wierszach napis: GROS. AR. TRI. | DVCVM. CV | ET. SE.

Trzygroszówka srebrna książąt kurlandzkich z wizerunkiem młodszego z nich Wilhelma, bita za panowania Zygmunta III, podobna do opisanéj już i wyobrażonéj w dziele p. *Zagórskiego* pod L. 402, różniąca się wszakże od tamtéj odmiennemi napisami i zupełnym brakiem roku. Jest w zbiorze p. *Strzelbickiego*.

R. 28. 32. S. G. Ukoronowane popiersie króla zbroją odziane, w szérokim kołnierzyku z koronkami; twarz naprzód nieco w prawo zwrócona, rąk nie widać: w około między dwoma gładkiemi obwódkami napis: VLA. IIII. D. G. REX. POLO. M. D. LIT. RVS. PR. M. wśród napisu pod popiersiem mała tarcza z herbem Sas.

S. O. Wielka tarcza czteropolowa, z herbami orła i pogoni naprzemian rozłożonemi, wśród niéj druga mniejsza, na któréj czterech polach, szwedzkie i gockie godła, w jéj zaś środku trzecia najmniejsza z herbem Wazów. Po bokach tarczy litery C i DC, dwie ostatnie jakby w cyfrę z sobą zetknięte, oraz rozdzielony i poprzecznie napisany rok 16...44; nad tarczą korona, w około łańcuch orderu złotego runa wśród którego u dołu litery B...S; napis: SAM. LIV. NEC. NO. SV. GOT. VAN. Q. HÆ. REX.

Rzadki ten talar koronny Władysława IVgo opisał już p. Zagórski pod L. 415 bez dołączenia rysunku: że zaś strona odwrotna niczem prócz roku nie różni się od rysunku w jego dziele pod L. 415 umieszczonego, przeto odsyłając doń czytelnika, tu tylko rysunek głównéj strony dołączam, zdjęty z dobrze zachowanego talara w zbiorze p. *Strzelbickiego.*

Teofil Żebrawski.

GYMNASTYKA JĘZYKA.

I.

Prolog.

Co znaczył kiedyś animusz ojczysty?
Ów sięgał palmy, ten wieńca statysty.
Jeżli zaś pisał, to zajaśniał właśnie,
Jak one światło co nigdy nie gaśnie.

Lekkiego jeno łaknący dziś chleba,
Którego dużo każdemu potrzeba,
Nowéj oświaty roztaczają zorze;
I kto żyje, gęsią orze.

Co dzień o nowém arcydziele słyszę,
Gdy więc każdy kto chce pisze,
I mnie téż weźmie do autorstwa wędka;
Na raz się wsławić, toć ponętna wędka.

Lecz jak tu wysnuć prozę albo rymy?
Wyszedłszy bowiem z infimy,
Uczyłem się w dalszém lecie
Czego nie uczą w żadnym fakultecie.

A jakże inni? — tyleż mię stać, mniemam.
Czemuż i ja pisać nie mam?
O czém? toć śladem tego skrybów tłumu,
O tem, do czego nie potrzeba umu.

Pieśni ludowe, podania, legendy,
Dykteryjki i gawędy,
Obfite żniwo, a robota łatwa:
Już je złupiła gryzmoląca dziatwa!

Kalendarz polski, ruski i żydoski
Każdy mieć zechce, o to nie ma troski.
A tu monopol — wywróża za złoty
Pogodną dobę, z zastrzeżeniem słoty.

Zawód powieści będzie-li szczęśliwszy? —
Niestety! cech ten z kretesem skreśliwszy
Co się w komnatach i pod wiéchą dzieje,
Ostatnią odjął nadzieję.

W tém rzucę okiem na księgę otwartą,
Było to któreś Lindego *in quarto.*
Zagada do mnie: rzecz nie osobliwa;
Boć słownikowi na słowach nie zbywa.

„Ja ci pomogę wyjść z tego dedalu.
„Jam ojcu memu przyniósł cześć medalu.
„Z czynem i krzyżem slawista niemiecki
„Osiągnął klejnot szlachecki.“

Taką podnietę z szlachectwa oskomą,
Z niedowierzaniem chwytając łakomo,
Mnie już, zawołam, niwa leksykonu,
Wyczerpana, nie da plonu.

Kustosz języka na to w odpowiedzi:
„Skarb nieprzebrany temu co go śledzi.
„Zwierciadło myśli, ducha, obyczaju;
„Najszacowniejszy, najtrwalszy płód kraju.

„Nie brak klejnotów w dziedzinie języka.
„Jak z pryzmy, różna barwa z nich wynika.
„Wyszukaj, ułóż — bez łamania głowy,
„Będziesz miał wątek gotowy.“

Więc dydaktyczne złoży się poema,
Jakiego dotychczas nie ma.
Gdy jeszcze L..... w swym Przeglądzie wspomni:
Posłyszą o mnie potomni.

II.

Wprost i wspak, jednobrzmiące.

1. Szkodę gdy zrządził — 2. jak mógł tak naprawił.
3. W pogoń się puścił. 4. Z winnym się rozprawił.
5. Niedosyć, mówi, najbogatszy w świecie.
6. Na zysk jednego jarzmo karki gniecie.
7. W jednym dniu roku króla elektorem.
8. Rychłe spełnienie obiecywać skorem.
9. Z miłością żmigrosz dopełnia, przysparza.
10. Pełno w głowie bakałarza.
11. Obmycie świata, gdy się był obrukał.
12. Jakiéjże rady po ciemku bym szukał?
13. Obszerny obraz w maleńkim obwodzie.
14. Jeden z wybranych w wybranym narodzie.
15. Najstarsza z świętych w nowéj świeci chwale.
16. Co styl stanowi w kuchennym wydziale?
17. Trzykroć panował w Polsce na przemiany.
18. Po chłoście ze czcią w ręce całowany.
19. Nieci huć pod wpływem węża.
20. Wyświeca, obłęd zwycięża.
21. To nam wskazuje — 22. a tamto wspomina.
23. Nie przyzna, chociaż na palcach się wspina.
24. Kurę gdy chowam, czego żądam od niéj?
25. Kto sam go stworzył, używa swobodniéj.
26. Nie wiesz gdzie patrzy, w tę stronę, czy ową?
27. Świetny, szacowny, przystraja królową.
28. Zachętom zdradnym nie wierz podniebienia.
29. Jednych na drugich przemienia.

30. Przeważnym względem ludzką skłania wolę.
31. Od nich nadmorskie i nasze Podole.
32. Gniewem zdziwiony, zapytać się muszę.
33. Złego sumienia wznawiane katusze.
34. Nie krok i nie skok, a niby podlata.
35. Są kary, które orzeka sąd świata.
36. Przed ich sejmikiem uciekaj mój panie.
37. Nadybał niespodziewanie.
38. Ta ksiąg fabryka komu pożyteczna?
39. Żony i dziatek piosenka odwieczna.
40. Już to nie z pompą tryumfu uroczą,
Dziś koła onych żyzną mierzwę toczą.
41. Pomnaża zasób rachubą ujemną.
42. Plon pracy mojéj chcesz widzieć: pójdź zemną.
43. Ich sprawą zdroje sprowadzone sztucznie.
44. Orężem waszym, Hypokrata ucznie.
45. Nizacz przywiléj próżności nieczynnéj;
46. A dzban nie z ręki, ochoty gościnnéj.
47. Przy tobie, czémże nasze pulicysty?
48. Tak patrzy jeno na sumieniu czysty.

---

1. Łamał. 2. Łatał. 3. Łapał. 4. Łajał. 5. Mam. 6 Wołów. 7. Bób. 8. Zaraz. 9. Worów. 10. Umu. 11. Potop. 12. Macam. 13. Oko. 14. Nałan. 15. Anna. 16. Sos. 17. Sas. 18. Pop. 19. Zakaz. 20. Dowód. 21. Owo. 22. Ono. 23. Małam. 24. Jaj. 25. Dochód. 26. Zyz. 27. Kanak. 28. Jadaj. 29. Inni. 30. Pochop. 31. Nizin. 32. O co? 33. Co noc. 34. Sus. 35. Nagan. 36. Bab. 37. Aha. 38. Molom. 39. Wyżyw. 40. Wozów. 41. Ara. 42. Na łan. 43. Rur. 44. Senes. 45. Nadan. 46. Nalan. 47. Ulu. 48. Oko w oko.

III.

Wprost i wspak, dwuznaczne.

1. Kościół Druidów: napędza do pracy.
2. Drenu wygląda: zrzucili Polacy.
3. Pochodnia fińska: dwóch sprzęga w przymierze.
4. Główne współbrzmienie: i daje i bierze:
5. Ognisty pocisk, od gromu straszniejszy:
Pan samowładny, a najpotężniejszy.
6. Co on? chcesz wiedzieć, sąsiedzi powiedzą:
O smak zapytaj onych co to jedzą.
7. Niesmaczny wąsacz: pozbawia nas woli.
8. Żniwo na wodzie: pierwszy sprawca roli.
9. Kto sam nie może, dać rozkaz namawia:
Niedouczony, o wszystkiém rozprawia.
10. Mścicielka, która na zły czyn się sroży:
Napój, z którego, kto chce, inny stworzy.
11. Poszczących syci: daj głodnemu chleba,
12. Stary i lichy: kup tam czegoć trzeba.
13. Nie sam go tylko ród gadów wyziewa:
Masz-li, czy nie masz, nie wyrozumiewa.
14. Pierwsze narzędzie, niebezpieczne w złości:
Ten co ma jednę, turkom nie zazdrości.
15. Rosa, od któréj zdrowie i plon hojny:
Hasło zachodu, podczas wschodniéj wojny.
16. Państwo słoneczne zamyka:
Jak wodę, majtek połyka.
17. Nić Ariadny: trudów uwieńczenie.
18. Bitny Nomada: szerzy oświecenie.

19. Nie wziął, nie schował: Do życzenia w głowie.
20. Talion żywy: Nic nigdy nie powie.
21. Twarde zadanie: Zgłodniałemu błogi,
22. Broni, osusza: Z pieniędzmi ubogi.
23. Na niebie, ziemi — dręczyłby szatanów:
Chorób moralnych więcéj niż arkanów.
24. Mieszkaniec stawu: topi oraz żywi.
25. Wiosenny posiéw: w małżeństwie szczęśliwi.
26. Wbrew nazwie, często ustaje w pół drogi:
Chytry, układny a srogi.
27. Do mieszkań lisich i człowiek się chroni:
W godowéj szacie woń rozkoszną roni.
28. Dla swéj królowéj srebrne pasmo snuje:
Kiedyć doświadcza, znać że Pan miłuje.
29. Ten gdy nawiedzi: na wstecz plan się zmienia.
30. Nasyp Trajana: szkolne przypomnienia.
31. Archipelag słodkiéj wody:
Godło skojarzenia, zgody.
32. Dwóch Annibalów przeprawa pamiętną:
Dwóch różnych mitów jednakowe piętno.
33. Czego u starych młodym szukać trzeba?
On wziął od losu, a ten z łaski nieba.
34. Szacowny, ale zgubny brat kamienia:
Życie prawdziwe wszystkiego stworzenia.
35. Umieścić każe: zamknięty samotnik;
Zje nieboraka, i dom weźmie psotnik.
36. Radzi ostrożność, albo niedowierza:
Nie oszczędzając ptaka ani zwierza.
37. Od pierwszéj zbrodni pierwsza krew rozlana:
Strój obrzędowy kapłana.
38. Wzbił się w obłoki, i padł w morskie tonie:
Czarne za życia, czerwone po zgonie.
39. Jakowych u nas najwięcéj krytyków?:
I dziś z potrzeby dosyć pokutników.

40. Grot gniewnych niebios, wiszący nad złemi:
Miara zawłaszczeń onéj bożéj ziemi.
41. Najlepsze sobie przywłaszczać gotowe:
W strachu, kłopocie bierze się za głowę.
42. Zdrobniały obraz polotu:
Dostarcza siły dla koła i młotu.
43. Choć najpiękniejszy, bez nich obraz traci:
Smutne złudzenie znikomych postaci.
44. Do kół powozu należy:
Uczy bezpiecznéj kradzieży.
45. W drobnym rozmiarze świat materyalisty:
Zwykła taktyka prawnego sofisty.
46. Idź z szczudłem w parze, gdy siostra odjęta:
Ten znamionuje kometę, zwierzęta.
47. Nie liczy mężny swoich ni u wroga:
Od poprzedników rozpoczęta droga.
48. Podrybek dziewięcio-oki:
Za niedościgłym wszyscy na wyskoki.
49. Wieszcz, który kadził, jak dziś kadzą próżnym:
Spotkanie cale nie miłe podróżnym.
50. Od niéj pochodzi, lub się doń odnosi:
Nie chce, lub więcéj nie mogąc, przeprosi.
51. Uznany, że wart pałaca:
Na czworaku się odwraca.
52. Urząd, co trwogą przejmuje zbrodniarza:
Do walk wyzywa, lub dręczy łazarza.
53. Król, jako żołnierz, najpierwszy po Chrobrym:
Wszędzie góruje tak w złém jak i w dobrém.
54. Patryarchalnéj swobody przybytek:
Trzeba dla próżnych, na kupca pożytek.
55. Rzekł, i jak gromem, przeraża gracz gracza:
Przeważny, naprzód plac klęski naznacza.
56. Nie ja, i nie ty: upomina, skłania.
57. Gwiżdże, szczebiocze: frasunki odgania.

58. Konserwatyzmu i przymierza skrzynia:
Slubionych wierze obrońców przyczynia.
59, Za co próżniaka gnuśny nabab tuczy?:
Łowić bez sieci i potrzasku uczy.
60. Biédę od siebie odpędzam, jak mogę:
Iżbym na wsteczną nie musiał wyjść drogę.
61. Z obłoku ziemi przepisuje prawa:
Najniegrzeczniejsza odprawa.
62. Nie dał mu Pan Bóg, przecież człowiek bodzie.
Spoczynek całéj potrzebny przyrodzie.
63. Nie odpuszczając, żądasz odpuszczenia:
Różne z nich żniwo według uprawienia.
64. Służby i łaski konieczny warunek:
Strzeż się psotniku, idąc na rabunek.
65. Jak długo jeszcze Osmanów potęgi:
Objawia na wstecz nazwa świętéj księgi.
66. Od jakiéj mądrość strzeże nas podniety?:
Gdy cel chwalebny, co żywo do mety.

---

1. Bór—rób. 2. Sap—pas. 3. Abo—oba. 4. Sol—los. 5. Rac—car. 6. Wart—traw. 7. Sum—mus, 8. Łów—wół. 9. Kaź—żak. 10. Kara—arak. 11. Wyż—żyw. 12. Grat—targ. 13. Jad—daj. 14. Nóż—żon. 15. Pot—top. 16. Mur—rum. 17. Trop—port. 18. Kurd—druk. 19. Dał—ład. 20. Kat—tak. 21. Sęk—kęs. 22. Rów—wór. 23. Rak—kar. 24. Lin—Nil. 25. Jar—raj. 26. Tok—kot. 27. Jam—maj. 28. San—nas. 29. Brak—karb. 30. Wał—ław. 31. Kęp—pęk. 32. Gór—róg. 33. Rad—dar. 34. Metal—latem. 35. Włóż—żółw. 36. Ej—je. 37. Abla—alba. 38. Ikar—raki. 39. Osób—boso. 40. Grom—morg.

41. Aj—ja. 42. Skok—koks. 43. Ram—mar. 44. Buks—skub. 45. Atom—mota. 46. Nogo—ogon. 47. Rót—tór. 48. Minog—gonim. 49. Bard—drab. 50. Onéj—jeno. 51. Pac—cap. 52. Kata—atak. 53. Jan—naj. 54. Dom—mod. 55. Mat—tam. 56. On—no. 57. Kos—sok. 58. Arka—akra. 59. Baw—wab. 60. Łatam—matał. 61. Nów—won. 62. Rogu—ugor. 63. Win—niw. 64. Zależ—żelaz. 65. Koran—na rok. 66. Żądz—zdąż.

IV.

Homonimy.

1. Jeśli na ziemskim zjawi się padole:
To u niemodnych, w uściech i na stole.
2. Kto je dziś zliczy? minął on czas złoty:
Gdy je u polskiéj widziano kapoty.
3. Kapryśna moda przydłuża, lub skraca:
Zacnym, o ile podnosi go praca.
4. Ozdoba pani, jak i pokojowéj:
Zbliżyć się nie śmią Bretońskiéj królowéj.
5. Postna spiżarnia, miarę grobli daje:
Co wyjdzie z niego zwichnioném zostaje.
6. Najskuteczniejsza teorya prawa:
Jakie morze, taka nawa.
7. Poprzeczna bruzda: autokrat w habicie.
8. Najtańsza jazda: nierozkoszne życie.
9. Z drzewa zwycięzców owoc wschodniéj ziemi:
Dłuższe ogniwo przed dwoma krótkiemi.
10. Od brzegów swoich króla dała Wiśle:
Mit święty, u nas obchodzony ściśle.
11. Czerwono-oki plebeusz czwórnogi:
Półbożek żąda być czczonym jak bogi.
12. Z twardéj załogę wywołuje leży:
Uczy na razie co czynić należy.
13. Nędzne starzyzny przedłużenie życia:
A do nowego potrzebne pokrycia.
14. Rozciągły wyraz w dworskiéj podległości:
Gościnność szczéra, a częściéj z próżności.

15. Uświęca wiernych władzcę i pastérza:
Znamienna barwa rycerskiego zwiérza.
16. Utkana ręką droga pajęczyna:
Świętych próżniaków zabawa jedyna.
17. Na bystrym jeździ rumaku:
Twój postrach, domowy ptaku.
18. Rys, co się wewnątrz objawia znamienny:
Wynurza przysmak, lub balsam zbawienny.
19. Nie stać na centnar, na tém przestać trzeba:
Ogarnia ziemię i sięga do nieba.
20. Czci naszéj przedmiot w łonie swojém chowa:
Od niego, mówią nie zaboli głowa.
21. Grą swą, na przemian, zajmuje słuchaczy:
Obdarza, albo pogrąża w rozpaczy.
22. Wierzycielowi, albo prawu dłużny:
U bogów jeden, u nas nektar różny.
23. Lackiemu jeździcy służy ku okryciu:
Pomniejsza burza w domowém pożyciu.
24. Żywy chloroform, chodząca gazeta:
Lepsza na odzież, chociaż nie sajeta.
25. Po co je wieńczyć, gdy bankiet ochoczy?:
Bez czarodziejstwa mamią nasze oczy.
26. Częściéj aktora, niżeli nas łudzi:
Kalifornia wszystkich ludzi.
27. Przygodny termin, byt i kres orzeka:
Grom z dopuszczenia, lub z ręki człowieka.
28. U szat z jedwabiu, u kapot z kitaju:
Obcymi czyni urodzonych w kraju.
29. Pan taki zjedna sobie przywiązanie:
A wilk, na lada czém z kojca przestanie.
30. Wdzięczny z przeszłości obrazek dla ucha:
Lub wielkość mała, co nam pod nos dmucha.
31. Cierpliwość krzepi powstrzymując bóle:
Wrzekome stroi królowe i króle.

32. Powierzchni ograniczenie:
Za Eldorado mego nie zamienię.
33. Od szkody chroni; i działać nas uczy.
34. W łuk zegnie bigot, i cały dzień mruczy.
35. Dla wdziękiń spłata ochronę z ozdobą:
A na łów wabi, ciągnąc po nad tobą.
36. Na Decyuszów przyjęcie gotowa:
To, co rodzina u nas Mojżeszowa.
37. Na polu sławy męztwem naznaczony:
Sowitsze zbierze on pracownik plony,
38. Błoga utrudzeń przerwa dla wędrowcy:
Za marném goniąc w bagnie brodzą łowcy.
39. Nóg pozbawiwszy; inwalidę noszą.
40. Dzieli, odcina: chłopięcia rozkoszą.
41. Oręż zastępów, aż po wieki średnie:
Najlepsza, zawszeć to dzieło poślednie.
42. Głowa krajowéj przestrzeni:
Po rozważeniu myśl lub przedmiot zmieni.
43. Pożogę musi przechodzić czyścową:
Nie złote serce nimfy z złotą głową.
44. Jaki bądź, zdolną wytrwałość nagrodzi:
Niepowołanym fatalną mysz rodzi.
45. Do czego talent najusilniéj zmierza:
Powszednim chlebem kuśnierza.
46. Na tuzach, guzach kończąca się sprzéczka:
Dzisiejszych lombrów, wistów poprzedniczka.
47. Do drugiéj świata przenosi połaci:
W zawodzie życia, zaleca, bogaci.
48. Wesoło skacze z góry i na górę:
Drugiemu myśli przywodzi ponure.
49. Stróże własności i bramy zbawienia:
Téj ziemi naszéj większe zawłaszczenia.
50. Był bożek sielski—przyjmował ofiary:
Które dziś ziemski oblicza w centnary.

51. Strumień, którego imię przypomina;
Czém dla zachodu była ta kraina.
52. Niemiecka, polską kiedyś wodą była:
Choroba, która nas się uczepiła.
53. Zawstydza postęp, rozpacz naśladowcy:
Bogactwo takie, stwórzcież, przemysłowcy.
54. Po szronach kwiaty, dojrzałość i plony:
Drogo opłacon upominek Bony.
55. Nieznaną dawnym siłą cuda działa:
Rzekłbym: w naturze liczba doskonała.
56. Część każe nam brać za całość:
Raz wyśledzony, uwieńcza wytrwałość.
57. Edyl a prawnik do razu rzecz pojmie:
Dwie różnorakie porządku rękojmie.
58. Stroma do szczęścia, prostą trafisz snadnie:
Nigdy zła do téj, co serce owładnie.
59. Stan najpewniejszy, mąż godzien szacunku:
I zwierza przymiot, w odwrotnym stosunku.
60. Tu się stan czynny z potrzebami waży:
Metryka koni—klucz z zamkiem kojarzy.
61. Czasem na piersiach, a zawsze na grzbiecie:
Czczony od wszystkich, każdego z nas gniecie.
62. Męzką ozdobę wiek znieważył próżny:
Z trudem i trwogą przebywa podróżny.
63. Cenioną, chociaż zrodzona na gnoju:
O podal świata przybytek pokoju.
64. Restrykcyjne zastrzeżenie:
Drzémka Homera jéj uniewinnienie.
65. Świętą swą różczką budzi przemysł pracę:
Milszym mi własny, niż cudze pałace.
66. Świat jéj ojczymem, a ziomki obcemi:
Jeżli wzgląd znajdzie, to nie na téj ziemi.
67. Dolę publiczną stanowi:
Dar obojętny koniowi.

68. Godło, któremu hołodowniczy morze:
Rada w jesiennéj nawiedzać nas porze.
69. Mógłby, a nie chce — chciałby, a nie zdoła:
Dawniéj czarownic, dziś sprawą anioła.
70. Podły złotogłów, przedrzyźnia bogactwo:
Jak z hardém czołem gołe możnowładztwo.
71. Wolałbym same opałki:
Niż opałki i koszałki.
72. Życzy, rozrządza, przyjąć też gotowy:
A życzęć, jeźli rzecz nie twojéj głowy.
73. Krasa rodzima, tryumf Tycyana:
Sprawną igiełką zabliźniona rana.
74. Czworonogi basztard: podwodnego pasza.
75. Łagodny wyrzut: upiory odstrasza.
76. Tak żyć i działać, przeznaczenie sługi:
Cudzemu oddał siedmdziesiąt drugi.
77. Choć głośno, często nie znajduje ucha:
Słowem utwierdził zachwianego ducha.
78. Z chaosu tęczę wyprowadza dźwięku:
Niepiękną szpeci, gładkiéj przyda wdzięku.
79. Dla drugich łowi, przeto cienkiéj tuszy:
Czém dla żelaza, tém dla męzkiéj duszy.
80. Piękniéj niż bronić, niż osądzać prawo:
I niecnéj znowu namiętności sprawą.
81. Hołd serca, dzisiaj zwracany ku złotu:
W świecie zaś tryumf talentu, przymiotu.
82. Mężnego imię, niestety! przebrzmiało;
Jak i téj ziemi, któréj bronił z chwałą.
83. Nieznane źródło widzialnych wyników:
Pomocny duszy wpływ orędowników.
84. W żyjące formy obleczone cienie:
Zabiegów naszych, trudów uwieńczenie.
85. Wtóre piastuje dostojeństwo mnisze:
A drugi dla was te fraszki dziś pisze.

86. Tak przyjąć proszę dwulicowe grono:
Kończę, by o mnie tego nie rzeczono.

J. Leksikiewicz.

1. Prawda. 2. Potrzeby. 3. Stan. 4. Zausznice. 5. Staw. 6. Bat. 7. Przeor. 8. Bieda. 9. Daktyl. 10. Wilija. 11. Królik. 12. Pobudka. 13. Łaty. 14. Raczy. 15. Maść. 16. Koronka. 17. Łaska. 18. Słój. 19. Oko. 20. Przybytek. 21. Talja. 22. Winny. 23. Burka. 24. Baja. 25. Czary. 26. Rola. 27. Raz. 28. Podbicie. 29. Łaskawy. 30. Duma. 31. Folga. 32. Kraj. 33. Prawo. 34. Pacierz. 35. Słomka. 36. Paria. 37. Ranny. 38. Popas. 39. Kule. 40. Piłka. 41. Kopia. 42. Miasto. 43. Ruda. 44. Zawód. 45. Celować. 46. Burda. 47. Statek. 48. Koza. 49. Klucze. 50. Pan. 51. Warta. 52. Odra. 53. Wzór. 54. Pory. 55. Para. 56. Trop. 57. Kara. 58. Droga. 59. Skromny. 60. Rejestr. 61. Krzyż. 62. Brody. 63. Pieczarka. 64. Chyba. 65. Pokój. 66. Uboga. 67. Rząd. 68. Flaga. 69. Uczynić. 70. Nędza. 71. Pleść. 72. Niechaj. 73. Cera. 74. Mul. 75. Kur. 76. Zawiśle. 77. Skarga. 78. Strój. 79. Chart. 80. Godzić. 81. Zalecać się. 82. Koniecpolski. 83. Przyczyna. 84. Mary. 85. Definitor. 86. Zażarty.

WYPRAWA

DO ARABII PO KONIE.

(ZDARZENIE PRAWDZIWE).

— I cóż Mykoła, pojedziesz zemną w drogę?

— Czomu by ni, koło pan hrabla każut.

— Ale bo to daleko pojedziemy.

— No! pretia ne za kraj swita! a jak Hospod dašć to objzdymo i weznemo sia do seła! — Koby tylko Hospod dał, szoby weznuty sia zdorowo!

— Jakoś to tam będzie! może Pan Bóg da!

— Propraszaju pane hrablo — ałe Hryć czy takoj pojde z namy?

— Pojedzie! naturalnie.

— To dobre! to ja pidu wybyraty sia, i żyńci skażu szoby mi szmatia pryłahodyła.

— Idź idź! ale wprzód niech ci tam dadzą dla żony pszenicy, żeby miała co jeść — a pojutrze ruszamy!

Do stacyi pocztowéj ruszono dworskiemi końmi, z Zborowa zaś pocztą. Lwów krótko zatrzymał: paszport i kilka listów, to cały interes. W Krakowie dziwili się Hryć i Mykoła: Joj! dywy no! ta tu same Lachy! a Rusynyw ne ma, ani corkwi ruskoj ne wydko! — wśe Lachy i Mazury. — Na Szląsku także jeszcze „wśe Mazury i Mazury“ — W Morawij „Joj! ta wże Nymci poczynaiut sia!“ — a w Wiedniu „Joj! Bohu! ta tutka wśe Nymci i Nymci i kożda detyna wże po mymećku howoryt!“

W Wiedniu zatrzymano się kilka dni. Hrabia załatwiał sprawy pieniężne; biorąc weksle na najpierwsze firmy Aleksandryi i Kairu, a oraz listy do kupców i konsulów w Egipcie: aby w razie potrzeby mieć znajomości. Hryć zaś i Mykoła, otrzymawszy zezwolenie, przeszli się po mieście, podziwili: „wełykoju corkwiu świateho Szczepana szo majet wiżu desiat razy bolszu jak w Zborowi; takoju wełyku: że to aż pid same nebesa! a takoju prokrasnu szo to: i koby doczkie wychaftowały!“ — Z resztą ćwiczyli się w niémieczyznie i wkrótce umieli zagadać: Was kos brot? was kos Fleisch? i t. d.

Z Wiednia jechali do Włoch. Przeprawa przez Alpy nabawiła obu podolan wielkiego dziwu i strachu: „Joj! szoto za hora! bihme ja szcze ne czuwał o tokoj hori!“ wołali co chwila. A kiedy im hrabia zauważał: że w Alpach są jeszcze daleko większe góry odrzekł mu poważnie Hryć. — „Ja znaju pane hrablo, bo myj stryk buw zołnirom i z Francuzem bił sia — to win myni skazał jak ja buw szcze małym chłopciom; szo jak maszerowały czereż Jalpy to aż pi pid same nebesa, tak: że jak kotryj żołnir chtiw lulku zakuryty, to każy tołko bachnetom w nebo wderyt, a zaraz wohoń i iskry sypały sia — taj sobi lulku zakuryw!“

Za Alpami: włoskie niebo, włoskie kwiaty i lud włoski i miasta i wsie, zachwycały hrabiego. Hryć zaś i Mykoła zaraz na pierwszéj stacyi przychodzą z serdecznem śmiechem: „Joj! szo też to za durnyi lude tyć Taliany! ta znemi ńi pohoryty wse tolko: koza i kozy Ja mu: szczo choczysz za toj chlib? — win każe „koza“ — co chcesz za ten chlib? — win „koza“ — was kos broł? a win znowu „kóza! kozy“ — Ałe ja ne choczu „kozy“ ja choczu chliba! a win znów „koza„ — i na miaso: koza! — i kowbasa „koza“ — i wse tolko „koza!“ — szosz to za durnyi lude tyć Taliany!

W Ankonie mieli siąść na okręt.

— Dywyno Hryciu dywy! a to ozero każy! to bolsze juk w Zborowi staw!

— To morze!

— Joj! dywy more! a to tak jak ozero — ałe toje korable, dywyno! Hryciu! szoto za korable; to ne na szy czowna! — Joj! pane hrablo, koby t tak poizdyty troszka w takom korabli: boto mysyt buty duże dobre tàkom korablom ichaty!

— Będziemy jechali będziemy, nieturbuj się! tylko sobie kup wódki na drogę — i tiutioniu żebyś miał co kurzyć. Na masz pieniądze!

— Dobrze pane hrablo!

W siedli. — Okręt podniósł kotwice a wiatr świeży rozdął żagiel i ruszyli na morze. Dzień był pogodny i jasny, a wybrzeża pięknych Włoch wesołą wstęgą snuły się przed ich oczyma: co raz dalej, co raz dalèj, i znowu się zbliżały i znów oddalały — a w końcu znikły zupełnie. Pierwszy dzień podróży przeszedł spokojnie i przyjemnie. Hryć i Mykoła dziwili się wszystkiemu jak dzieci; z majtków się śmiali, a majtkowie z nich i doskonale się bawili. W nocy jednak wzmógł się wiatr. Morze się rozigrało, a ruchliwe fale pląsały edna za drugą to wgórę to w dół, a okręt pochylał się

to w jednę to w drugą stronę. I żołądki podróżnych naszych pochylały się to w jednę to w drugą stronę. A żołądki podolskie nieprzyzwykłe podobnemu kołysaniu; boć na Podolu ziemia tęga, ledwo czterma wołmi ją uorze, a jeżeli rozmoknie: to błoto także tęgie i gęste i rażna czwórka ledwie wózek uciągnie. Koń podolski także nie trzęsie na oba boki tylko zgóry o siodło jeżeli truchtem; kłusem zaś nawet i tego nieczuć: boć tam wszędzie równo i miękko. Przysiudy jedne— w kołomyjce — coby mógły zaprawić żołądek do hybania okrętu, ale i to nie koniecznie; bo przysiudy krótko trwają — a cymbały i skrzypki jak poczną siekać i rznąć po stronach: to omal ławy i ściany nie skaczą, więc i przysiudę przykucznąć łatwiej. Tam zaś na morzu wyły wiatry, szumiały żagle i skrzypiały rafy a trzeszczały żebra okrętu: mimo to, mimo tak nieznośnéj muzyki musiały się żołądki kołysać i rzucać rade nie rade, bo samym ich właścicielom trudno się było na nogach zostać. Nasi obaj rusini chodzili po pokładzie w takiem usposobieniu umysłowem, jak nieprzymierzając koło Bełza stary i znany powszechnie Dubyna.

Stary Wasyl Dubyna — ni ztąd ni z owąd pogniewał się był z sąsiadem swoim równie jak on starym i gniewali się po rusku: nie na żart ale na upartego. Kilka lat nie tylko nie mówili z sobą, ale nawet nie spoglądneli na siebie: chociaż są od dzieciństwa druhy i jeden bez drugiego żyć nie mógł. Sprzykrzyło się to ludziom i uprosili sobie przyjaciela obydwóch: poważnego „świaszczennyka bożego“, aby ich koniecznie pogodził. Wesele w okolicy obrano za miejsce i czas i podstępem sprowadzono obu przeciwników zawziętych. Siedzieli jako mruki jeden w jednym drugi w drugim kącie i milczkiem wychylali kielichy: za zdrowie państwa młodych i gości łaskawych. Aż kiedy w końcu kollator miejscowy wygłosił: — Panowie! a teraz ko-

chajmy się! — wszyscy wstali i uderzyli szkło o szkło, tylko obaj starce siedzieli marszczyli brwi. Sędziwy ich przyjaciel widząc to wstał i zawołał: „Wassyli! hody siuda! do mene!“ — Wasyl przyszedł! — „I ty stary, hody siuda! —“ Niechciał bo niechciał, ale musiał bo go przywiedziono. Stary ich przyjaciel zaś zaczął:

— Pijanycia, wyspietsia, a durak nychagdy! — czuwały wy toju prypowiastku wy staryi durakie! — Ty durak! i ty takoj durak. Bułyśte ditmi i żyłyśte z soboju jak dwa hołubei — bułyśte durnowatemi mołodcami i żyłyste z soboju jak druhy — a teper pidstaryłyśtesia i odurysłyśte oba! Durakie! czy wy dowho szcze majete żyty szo was żytie merzy? — wy durne didy wymyni staromu didowi szo ja was jak bratiej rydnych lubyw i lublu, — wy myni budete nad hrobom zytie zatruwały? Pociłuj mene Wassyliu! i ty pociłuj mene — tak — a teper oba pociłujte sia! bo zaraz sidaju i poidu a jak umerajuszczy budu płakaw, to na wasze hołowy, moi słozy!!

— Ałe bo ja sia ne pohnywaw — win sia perw pohnywaw! — zaczął Wasył.

— Ne prawda! ty sia pohnywał!

— Mołczyt! i pociłujte sia! —

Pocałowali się, raz. — „Iszcze raz! — Pocałowali się jeszcze raz. — „I jszcze raz!— Pocałowali się znowu i serdecznie! a Wassyl odetchnąwszy rzekł: — „No! teper myni likszejszy na hrudi i sordcu! ałe szo prawda to prawda: my duży durny buły. A za to szomy tak durny buły; ty nasz batku! sudy nas! karaj nas jak schoczysz.“

— Bubete pyły wyno! dajte wyna!

— Wyno budemo pyły i czerez toho to mało z nas! to Súdy i karaj nas lipszy; bo my dwa stare wełykie durakie! jak nas ne osudysz dobre, ałe to tak szoby

my po pamiatały ruskij rik: — to każy my sia znowu budemo duły na sebe!

— Stary swiasczennik zmarszczył brwi, zamyślił się i rzekł:

— Prawdu każesz; budu was sudyw.

— Dobre! — Dobre! sudy!

— Jak tu stoite oba pered nami — tak—; zatoje, szczośte buły durakami: wderyte zaraz nyni po trydesiat pokłonyw!

— Ale fe! nie można! zawołali goście! ale obaj stara ce zawołali sobie:

— Dobre batku! dobreś nas osudyw na twerdo! po to ruskij sud! budemo były pokłony wsej czas za koż den rik desiat!... i niepomogły wstrzymania, niepomogły perswazye! zaczęli bić pokłony. Za dziesięcioma, zrucili z siebie kapoty, aby im lżej było — za drugiemi dziesięcioma pozdejmowali hustki z szyi a ostatnie pokłony jak skończyli... zupełnie tak im się działo z żołądkami i bokami, jak naszym podróżnym na okręcie podczas burzy na śródziemnem morzu. Myśleli, że im się boki porwią: tylko od zwykłych następstw morskiej choroby byli wolnymi, ale co do poczucia się wewnętrznego — jak gdyby kot w żołądku leżał — zupełnie się zgadzali z naszemi podróżnemi na śródziemném morzu. Niby ich nic nie bolało a wszystko bolało jeść ani pić niemożna bo żołądek strzęsiony odrzuca Mykoła zaś z Hrycicm i wszystkiemi których morska choroba opanowała jeszcze prócz ogromnéj ckliwości i. bólu głowy, ciągle jak gdyby o zakład wodotryski naśladując w końcu tak zaniemogli, aż poupadali na pokład oktętu. Leżąc pełnili nie miłą morskiej choroby funkcyą i wołali co chwila: „Joj wże nestrymaju, wże myni duszu i paru wyhaniajet!“ — W końcu powstał Hryć i trzymając się poręczy pokładu rzekł: „Joj! ja wże nezdużaju! wże pidu za służbu djakowaty!

— Ja takoj! zawołał Mykita! — zataczając się gdyby pijani, dążyli do kajuty.

Burza na chwilkę zwolniała, więc mogli dojść. Hrabia zmęczony także chorobą, jednak nie tak mocno, siedział spokojnie — na fotelu i ile możności nieruszając się popijał koniak, co mu ulgę sprawiało. Kiedy burza zwolniała, odetchnął swolniéj i radby się był jako rozerwać: w tem wchodzą obaj jego słudzy.

— Cóż tam chłopcy! żyjecie?

— Oj żyjemo, żyjemo! ałe hirka hodyna nasza! — nam wże umeraty! my wże tak zanemohły, szo ne zdużajemo bilszy. Najsia wełemożny pan hrabla ne hnewajut na nas: ałe my pryszły za służbu djakowaty! bo bihme! wże nezdużajemo!

— A cóż myślicie robić?

— Weznemo sia do Zborowa, taj ku Jarczowciom.

— Tak? —

— Tak! wełemożny pane hrablo! naj nas pan pustyt — naj się pan hrabla na nas ne hniwajet, bo nam wże pójde hinuty! — My by pana hrabloho ne opustyły, bih me! myby sia za pana hrabloho dały posiczy i porubaty w tyloczkie kusoczkie; ałe my wże ne zdużajemo; bosmó duże zanemohły!— Ja ne znaju wże czy myni hołowa! — a ja ne znaju, bokie moi czy strymajut bilszy, tak mene bolał! ni ja isty ni ja pyły any wże oczyma na temnońki Boży świt mohu pohlądaty!....

Tak narzekając na swą niedolę, padali hrabiemu do nóg i całowali w oba buty aby ich uwolnił od służby.

— Dobrze! rzekł hrabia w końcu, — dajcie książki to was obrachuję.

Z ochotą wydobyli książki z zanadrza i słuchając zapisanych służebnych pieniędzy robili swoje uwagi;— „Tak! to tam meży toma Mazuramy — a to tam meży Mymciamy — a to wże tulhar meży toma Talianami,

ozs to naj ich trista ditkiw!... z tom ich morom i tom korablom! — Aj koby ja to buw znaw —! aj! hołowońkaż moja! — aj moje bokie!... czy myni szo w lizło pi pid hrudy szo tam tak tiażenko łezyt i bołyt?

Hrabiemu mimo zmęczenia trudno się było od śmiechu powstrzymać. Wstrzymał się jednak; obliczył zasługę, wypłacił wszystko, dał na drogę i żegnając się z niemi, oświadczył: jak bardzo mu żal że ich utraca i namawiał aby [się rozmyśleli. Ale niechcieli w żaden żywy sposób: więc ich pożegnał. — Ucałowali mu obie ręce i oba buty i od drzwi już, wrócili się jeszcze raz i jeszcze raz całowali i przepraszali i rzewnemi łzami płakali z żalu: że opuszczać muszą dobrego swego pana, za którego by się posiekać i porąbać dali. Więc na pociechę i otuchę nalał im i rypnęli sobie po dobréj szklanicy rumu — i odeszli.

Rozumi się że niedaleko bo tylko na pomost. Tam otarłszy szczere łzy, szli wzdłuż poręczy w koło — w koło — i przyszli znowu w to samo miejsce z kąd wyszli. I znów chcieli dalej iść; w tem Hryć połapał się — jak to mówią — i uderzywszy się dłonią wesoło zawołał: „Mykoła! joj! jakeżmo durnyi! — taż tu ni myst ni kładka! a chotiaby nam toj Taliany proklaty dały toho czowna i wesła: to hdesz poidemo koły wsiuda woda i woda! — A perewożnihie? hdeż tu perewoznykie? tamy wże dwa dni ijdemo, i najże nas pezewoziat sły schoczut! —

— Ta szosz budemo robyły?

— Ta szosz? weznemo sia! ałe to sia hrabla bude z nas smijał szomy taki durnyi! — i w domu i w Zborowi i Tarnopoli i wsiudu bude o nas howoryw i bude się z nas smijał.

— Ta szczosz! ta naj się łude z nas wże smijat, koby tylko jako weznutysia.

— Aha! weznesz sia! skoczy czereż wodu abo idy wpław! Hody! weznyjmo sia do pana.

I wrócili się do kajuty. — Hrabia jak ich zoczył, ile miał siły nad sobą powstrzymywał śmiech i zapytał niby na prawdę: No cóż? rozmyśliliście się? — ale kiedy się Hryć do nóg nachylił i poskrobawszy się za ucho rzekł: „Ej! pane hrablo! ta naj sia pan wże z nas ne smije — bo my dużo durnyi!. . . .“ niemógł się powstrzymać i śmiał się do rozpuku. Hryć zaś ciągle prosił: Niech się pan hrabia z nas nie śmieje, że my tacy durni, i niech pan hrabia nie pisze do domu: bo by się łude z nas smijały.

— Ale to twoja Parania! ta się będzie śmiala z ciebie....

— Ej! pane hrablo ta wże naj pan daść spoki....

— A twoja żona Mykoła ta się będzie śmiała...

— Aj! naj sia wże wsi lude smijat ze mene — koły mene hołowa bołyt — i koły myni tak kuczno!

— Ale co twoja żona a jego Parania powié na to jak wy oba wydlądacie?

— Joj! bihme! Mykoła, ta ty zełeny jak ohurok, a oczy twoi z hołowy ne wytho.

— A u tebi wydko? kołyś ty żowty jak dynia, a taki krasny jak toj szo wże wmer i pohrebły jeho i znów ho wyhrebały!

— Już to nam wszystkim trzem niczego odparł hrabia

— Prawdu pan hrablu skazaty — bo i pan hrabla wyhladajut jakby hospody nepomyny! jakby pi dobrom praźniku, albo i lipszy!

— Joj! ałe jakżeż tu wykladaty, koły na serdcu i czerewi kuczno i kuczno i hołowońka duży bołyt, i świt sia krutył, i wse sia ztemnyło, i ni isty ni pyty ni zakuryty lulku i nyszczo...

— A myni to tak sia przywidaje jakby kot myni w czerewo wliz i tam sedyw... [1]).

Tak nawzajem żaląc się ne swą niedolę płynęli daléj i daléj a w końcu wpłynęli szczęśliwie do przystani Alexandryjskiéj.

— Joj! każy! tu znow same żydy czy turkie czy jaki czort? zawołali zdziwieni podolanie.

Hrabia nietracąc czasu poczynił kroki do dalszéj podróży i za pomocą krajowych wywiadowców, niebawem miał zamówioną karawanę do Kairu. Mykoła zaś i Hryć kolejno wychodzili na miasto, rozpatrzyć się po targu i ludziach. Najprzód poszedł Mykoła, uzbroiwszy kieszeń miedzianą zdawkową monetą jaka tamże w obiegu. Zaszedł na bazar, i niemógł się wydziwić nieznanym towarom najrozmaitszym z których go jednak nic tak niezajęło jak sandały tureckie. Idąc dalej zaszedł między owoce i stanął w osłupieniu nad przepysznym widokiem nieznanych mu dotąd darów pomony egipskiéj. Chociaż jednak przeczuwał, że to wszystko dobre i smaczne: owe granaty i daktyle i pomarańcze, ananasy i Bóg wié co, jednakowo niedowierzał im i szukał czego znajomszego. Błąkając się po między woniejące owoców sterty, koniecznie śledził okiem śliwek albo gruszek — choćby wreszcie i lubasek, to jest drobnych śliwek od bolenia, które sprawują: bolączkami także zwanych. Z niewymowną radością dostrzegł wkońcu zielono-żółtawą kupę i zawołał: „bihme hriszkie! — Skosztował: słodziuteńkie! jak miód jak patoka!“— Położył więc kilka drobnych miedzianych pieniądzów, a Arab, mu czapkę i wszystkie kieszenie zasypał pełniuteńko.

---

[1]) Właściwe uczucie w chorobie morskiéj orzekli majtkowie: że jak gdyby kot w żołądku leżał.

Po biedzie morskiéj, po solonych mięsach, słodziuteńki owoc, gruszki takie, że i w Tarnopolu i we Lwowie, a nawet w Olesku gdzie słynne i historyczne przez hetm. Koniecpolskiego z Lewanty sprowadzone ołyki po dziś dzień na Trebierzach i plebanij rosnące; w porównanie iść nie mogą: radością i weselem umysł a miodopłynną słodyczą podniebienie Mykoły zapełniły. I jadł i jadł bez przestanku: i chodził między owoce, i stawał pasąc wzrok rozkosznem widokiem, a nos nieznaną cudną wonią; a ciągle zajadał i zajadał — jak mniemał: gruszki. A kiedy już wyjadł wszystko z czapki i z jednéj kieszeni i z drugiéj i trzeciéj kieszeni, i tylko ostatnia mu pełna zostawała: pomyślał na Hrycia, otarł gębę i wrócił do gospody.

Hryć zaś siedział w domu i pilnował rzeczy i pieniędzy i ukradkiem tylko wyglądał na miasto i ludzi i nic go tak nie ciekawiło jak te niewiasty zasłonione, zatulone gdyby mamony lub mary nocne i gniewało go: że się im niemógł przypatrzyć jakiemi też są na twarzy. I myślał sobie: „Lipsze nasze doczkie wyszczerzychy szo to koły sia smijat wyszczerajut zuby jak śnih biłe“. I cera egipska niepodobała mu się, był przekonania: „że toje żydy czy araby czy jak ich tam czort nazwał że sut wsi cygańskoho roda.“ Tylko konie mu się podobały i nie mógł oka oderwać jeżeli gdzie ujrzał ognistego wierzchowca i serce mu biło z radości: boć on był przecie ulubionym pana hrabiego kozakiem i wraz z źrebiętami pomiędzy stadniną się wychował, i na strzyżakach chłopcem będąc jeździł bez uzdy i powodki. Gdyby węglarze z Dobrotwora, którzy czterma końmi w poręcz, bez uzdy bez wodzki do Lwowa na każden targ węgle wożą; powodując konie li tylko prętem i wiecznem swym: wiśta! wiśta! hetta! hetta! Mykoła przyszedlszy pokazał mu świeże figi i rzekł: — „Dywyno Hryciu, ależto hriszkie, hriszkie! sołodkie jak

med! a jakiéj tani! za dwa hrisze to myni nasuł pownu szepku i pewne kieszenie u sztanach i u serdaczyni. Bihme! toj sobakie araby jakie ony dobre hriszki majut, ja sobi toho ne dumał!“

Hryć zjadł mniemane gruszki i także mu bardzo smakowały, boć to przecie prawda że: „szo sołodkie to dobre, a szo czerwene to krasne!“ Jednakowo go jakoś znudziło po nich; więc golnął tęgi łyk araku. Mykoła zaś wolał napić się wody, bo się gorąco robiło.

Wrócił hrabia i chcąc przygotowania do drogi czynić Hrycia jako obrotniejszego wziął z sobą; Mykoła zaś został doma. W karawanseraju taborem leżały wielbłądy i nagromadzone towary wschodnie, a podróżni z fajką w ustach siedzieli na własnych nogach w krzyż złożonych i czekając spokojnie chwili wyruszenia puszczali dym z fajek w powietrze i patrząc weń mówili: Allah kerim, Bóg jest wielki! Cywilizowany zaś zachód na oślich i własnych nogach zwijał i kręcił się pomiędzy wielbłądy i zbierał wzorki do dzienników, i niecierpliwił i nudził się i oganiał napaściom ulicznych natrętów. Hryć zaś nasz rozdziawił gębę na oścież— obaczywszy wielbłądy i dromadery i pytał trwożliwie: co to za poczwary brzydkie. Usłyszawszy że to wielbłądy, jeszcze bardziéj się przeląkł i postanowił prosić hrabiego na miły Bóg, aby mu niekazał na nich jechać. Wolał już raczéj na korabiu się kołysać niżeli wielbłąda dosiąść. Dobrze bowiem pamiętał co mu opowiadał stryj jego który z Francuzem wojował i w niewoli u nich siedział: że tam! gdzieś! widział wielbłądy z dwoma garbami gdyby siodłem przyrodniem. Ale niech Bóg broni każdego siadać w to siodło, mawiał on stryj, bo ten wielbłąd kiedy mu się co niespodoba, to jak ściśnie oba garby i jeźdźca w środku, to go na miazgę zgniecie. Dla tego Hryć miał prosić hrabiego, o uwolnienie od jazdy wielbłądziéj. Za to konie i wygodne siodła z oparciem podobały mu

się niesłychanie. Wróciwszy na gospodę opowiadał Mykole o wielbłądach, i nietaił obawy: że podobno pan hrabia zamyśla na nich daléj jechać.

— Naj sobie hrabla jedut kuda schoczyt, ja ne poidu bo ja duże zanemohły!

— A szczosz tebi znów?

— A czy ja znaju? wse zmene honyt i honyt i treascia mene triase i duże myni ne dobre!

Hrabia wróciwszy wieczorem zastał Mykołę stękającego w gorączce i ciągle powtarzającego: „Joj! hodynenkoż moja! mamunenku moja! a tyj Araby, tyj Taliany, tyj Mymci, tyj Mazury, tyj korablice, tyj hryszkie!!!“— Skoro się dowiedział że go biegunka i zimnica opanowała, zapytał Hrycia: co jadł?

— Win nyszczo ne ił tolko hriszkie...

— Jakie gruszki?

— A wo! takie! duże sołodkie...

— To figi zielone! czy oszalał czy co?— a może się wody po nich napił?—

— A pyw wodu bo duży horaczo buło.

— No! będziesz on teraz miał za swoje! febra wschodnia! popamięta on ją ruski rok. Co tu z osłem robić? żeby choć jaki szpital gdzieby go umieścić; bo ja jutro ruszam daléj.

— Joj! pane hrablo! jęknął Mykoła, naj mene pan hrabla do szpitala ne dajut, naj mene lipszy dobijut.

— A to czemu?

— A bo ja wże dobre znaju szo lude u nas każut że jak koho daść do szpitala; to albo sia ciłkom newerne albo sia werne czereż nysa, tak jak Hnat szo to buw fornalom we Lwowi...

— Głupi jesteś! jemu z czego innego nos odpadł, nie z gruszek!

— Ta już naj tam bude z czego chocz, tolko naj

mene pan hrabla ne pokidajut de w jakom szpitali — boby ja tam wmer!

— A cóż z tobą zrobię?

— Naj mia pan hrabla zabere z soboju.

— A cóż z tobą zrobię?

— Naj mia pan hrabla zabere z soboju.

— Czyż ty błaźnie myślisz: że wozami pojedziemy?

— Ja znaju szo ne; ałe ja wze wolin naj mene toja welbłuda hrbetamy na proch zdusyt, jak szoby mene pan hrabla w szpitali pokinuły. Koły hinuty lipszy wże wraz hynuty.

— Co ty pleciesz błaźnie! co wraz ginąć?

— A! bo ja wże znaju szo my na welbłudach majemo ichaty — a to szcze hirsze źwiry jak toje taliańskie korable, bo jak stysnut horbamy to udusiat czołowika jak durnu myszu.“

Hrabia niewiedział czy się śmiać czy się gniewać. Żal mu było biedaka, bo znał jego wielkie do siebie przywiązanie, a nie wiedział co z nim począć. Zostawić? — z saméj tęsknoty umrze! — wziąść? — jakżeż chorego brać w podróż przez puszcze. Hrycio w końcu przyszedł mu na pomoc.

— Ta naj ho pan hrabla wże wezmie z soboju.

— Ale jakżeż go brać kiedy on chory.

— Win dosedyt na kulbaci, kobyho tolko wsadyty. Ta każy z Hłuboczka pany jak izdyły do Wiednia; to wziły z soboju toho małoho Mykitę szo to z Imostyn jezdyw. A szosz to buw za czołowik? ot detyna mała i chuda. A jak trzeba buło to z konia pohaniaw dewiat dni wid rana do weczera, wid samoho Widnia do samoho Hłuboczka. A w Hłuboczku wże jak pryichały to jak zliż z kulbaci to jeno zakłykaw: no sława hospodu! szomy wże w doma, bo mene wże bokie bolat! — I wyspaw sia i wysmarowawsia horyłkoju, taj zdorow. A bihme! nasz Mykoła jszcze teper by ho pereskoczył, bo

to wse: szo detyna to detyna a szo czołowik to czołowik.

Hrabia rozmyślił się nad tem, i przypomniał sobie, że to ruska przyroda rzeczywiście wiele zniesie, postanowił więc zabrać go z sobą jeżeli tylko będzie można. Bardzo na rękę wypadło że karawana dwa dni jeszcze w miejscu została. Kiedy czas nadszedł, juczyła karawana wielbłądy, siodłała konie i dromadery i gotowała wszystko do pochodu. Mykoła acz słaby przecie się silił koniecznie stać na nogach, aby go niezostawili w szpitalu, i niesłychanie się ucieszył kiedy mu hrabia oświadczył, że konno ma jechać a nie na wielbłądzie. Ze strachem tylko spoglądał jak hrabia i Mykoła dosiadali dromaderów, ale się uspokoił widząc że nie siadają pomiędzy garby wielbłąda, któreby ich mógł scisnąwszy udusić. Hryć zaś zrazu omal nie spadł z siodła kiedy dromader jego nagle wstawając na nogi się schwycił; wkrótce jednak oswoił się z tą jazdą, a nawet różne figle wyrabiał i wcale sobie nieprzykrzył tak jak Mykoła. Biedny Mykoła bowiem mimo szczeréj chęci i mimo lekarstw zażywanych niemógł długo na koniu dosiedzieć i często musiał złazić z siodła. Szczęściem: że z karawaną szli biedni pielgrzymi piesi. Ci widząc niedolę cudzego człowieka pomagali mu wsiadać i złazić z konia bo bez tego niewiedzieć co by był począł.

Do tego wszystkiego wielce mu się czuć dawał brak świeżéj wody; woń bowiem niemiła jaką woda od skórzanych worów przesiąkła, nawet domieszany arak przytłumić nie zdołał. Z wielką więc biédą wlókł się nieborak coraz bardziéj na siłach opadając, i z wielką tylko biédą dopchał się do Kairu gdzie już zupełnie zaniemógł i rad nierad położyć się musiał.

Hrabia przekonał się w Kairze o rzetelności ormianina Pepo czy Paulo czy jak mu tam było na imie. Ormianin ten kupczył końmi arabskiemi a idąc za poda-

niem przeszłości wiódł je do Polski i jak za dobrych Zygmuntowskich czasów nie zawiódł się na polskiéj szlachcie. Od niego kupił był hrabia pierwszy zarodek swéj stadniny, od niego słyszał o cudach koni arabskich na puszczy, od niego wywiedział się o rasach najlepszych o pokoleniach które posiadały, o szejkach którzy tym pokoleniom wójtowali i sposobach ujęcia sobie tych szejków. Do jednego z nich, wielkie na puszczy mającego wpływy, wiózł pismo od wspomnionego ormianina pisane, w którém go polecał opiece jego szczególnéj; jako polaka, rodaka i sąsiada sławnéj w Arabistanie pamięci: emira Rzewuskiego. Emira zaś Rzewuskiego imię z czcią i wdzięcznością wspominają pokolenia arabów między któremi kilka lat gościł. Pamiętne im bowiem jako człek obcy i pan zamożny z za lądów i morza do nich przybył; jako między niemi osiadł, i w drogie nieurodzajne czasy całe pokolenia, złotem polskiem od głodowéj strasznéj śmierci zachował. A miewał tego złota pełne trzosy i nie żałował go biednym synom puszczy. Całemi karawanami sprowadzał dla nich durę i pszenicę egipską i żywił ich i żony i niewolniki i dzieci ich. Więc też arabskie plemiona pamięć jego czczą i wielbią i wieczorami koczując przy ogniskach śpiewają o skarbach i złocie emira, i o dobroci jego, i jak onego w jeździe żaden arab nie przeszedł ani w odwadze i śmiałości nie przewyższył. Szeik do którego hrabia od ormianina pismo miał, na ukrainie pustyni koczował z plemieniem swym: do niego wysłano naumyślnego gońca. Niebawem wrócił goniec a z nim przyjechał sam szeik, siwobrody, kościsty, smukły, dużego wzrostu. Odbierając pismo przycisnął go do czoła i serca na znak jak wielce poważa tego od którego pochodziło; przeczytawszy zaś uradował się wielce, i z dumą opowiadał: iż nie tylko znał emira Rzewuskiego, którego „złotym lwem“ czy jakoś podo-

bnie nazwał, ale dodał: jako w wielkiém u niego był poważaniu. Poczem przyjął zaprosiny, usiadł na kobiercu zkrzyżowawszy nogi, i pił kawę i palił lulkę i oddalając się zapewnił o swéj życzliwości dla brata emira „złotego lwa“ — z którym pod jego namiotem lulkę palił i kawę pił. Hrabia wedle nauki ormianina, nie zapomniał obdarzyć go błyszczącemi nowiusieńkiemi dukatami i żywnością. A oczy szejka zabłysły promieniem radości, i złożył ręce na piersi i rzekł: Allah kerim! i obiecał: że nie marne będą hrabiego zabiegi; że kupi konie jakich nikt w Arabii nie kupił — że może nawet Bagdada dostanie.

W kilka dni przypędziło kilku beduinów na ognistych ogierach i zsiadłszy witali hrabiego imieniem Szejka i całego pokolenia swego, i zapraszali aby ich odwiedził na puszczy, gdyż kilka pokoleń dzielne konie posiadających zebrało się razem i radeby przywitać i ugościć brata „lwa złotego“.

Hrabia był gotów i Hryć to samo, ale Mykoła nie!— On nieborak leżał w gorączce i ciągle marzył o swym Podolu i o Zborowie i żonie i o dziecku swojém, i płakał i rozpaczał: że ich już więcéj nie oglądnie. Hrabia najął dla niego w mieście pomieszkanie u jakiegoś lekarza i polecił największe o nim mieć staranie. I nie zbywało mu na niczem, i hrabia był przekonanym: że w dobrym go zostawia ręku, a jednak, kiedy już odjeżdżali serdecznie mu się go żal zrobiło, kiedy na podolską smętną nutę płacz zawodząc zaczął niby płakać niby śpiewać:

—Aj! mamuneńkuż moja myła! aj hodyneńkoż moja neszczatliwa! a nacoż ja tutka pryichaw? — a ne byłoż myni bidnomu w doma zystati! a ne byłoż myni lipszy na moru zahynuty! jak tutka umeraty meży cużymy meży pohanamy? — aj! dytońko moja neszczastliwa, aj!

żynko moja bidnońka! a ja was wże ne ohladaju, ani seła naszoho ani corkwi naszej....

Hryć otarł łzy i wyszedł bo nie mógł dalej słuchać; hrabia westchnął nad biedakiem — dosiedli koni i pojechali.

W milczeniu i smutku jechali już ze dwie godziny po puszczy i ani pląsy beduinów, ani powiewne ich burnusy i lotne ogiery arabskie nie mogły ich rozweselić. W tém z daleka, na widokręgu, widzą jeźdzca ku sobie pędzącego. Wywija i macha rękoma po nad głową a pędzi i pędzi: widocznie chciał ich uwagę na siebie zwrócić; więc stanęli. Po chwili przybiega ogorzały jeździec w zawoju i pochwaliwszy Boga zskakuje z siodła i głęboką czołobitność oddaje hrabiemu i ciekawemu jego kozakowi. Tłumacz hrabiego wnet wyjaśnił: iż to jest kupiec niewolnikami że ma bardzo piękne niewolnice i nie daleko z niemi właśnie wypoczywając zaprasza aby szlachetni Frankowie raczyli towar jego oglądnąć.

—Yhy! na tebe! pogański synu—trysta ditkywby tebe....! zawołał zgorszony Hryć—a tyć sobakie! to ony doczkie predajut tak jak chudobu!—

Hrabia także nie za niewolnicami jechał do Arabii ale za ogierami; więc chciał daléj ruszać.

Kupiec spostrzegłszy niechęć, prosi żeby kupić; daléj żebrze, zaklina, a w końcu widząc że wszystko nie pomaga; chwyta konia hrabskiego za wodze i woła z nieudanym płaczem: Franku kup! bo jak nie kupisz choć jednéj to wszystkie siedemnaście marnie z głodu poginą, i będą na twojem sumieniu! — bo ja ich nie mam czem żywić. Pójdź i oglądaj przynajmniéj jakie one nieszczęśliwe!

Trafił w słabą stronę rodaka emira „złotego lwa"—: hrabia zwrócił konia i jechali za kupcem. W kilka chwil przybyli do koczowiska niewolnic; siedemaście

wynędzniałych biednych istot, leżało lub siedziało na gorącém piasku, a omdlenie z trudu, głodu i pragnienia było na nich widoczne. Ujrzawszy Franków zerwały się i klękały i wyciągały ręce żebrząc aby ich kupić a oczy ich były pełne łez i rzewności.

Hrabia stał w zamyśleniu i nie wiedział co czynić a Hrycia młłosierdzie i litość powzięła.

—Aj! pane hrablo! koby ne doroho, to naj pan hrabla kotroju kupyt. Mykoła biedny tam sam łeżyt i nemajetho kto dohladaty; a win majet żynku i win to ho wże nawykły szoby newista pry nim sedyła: to najby ho tam dohladała!

Znowu w słabą stronę hrabiego ugodził. Więc targ w targ, za mierną cenę bo podobno nie spełna 400 złp. kupił młodą dziewczynę, zbiedzoną, zmorzoną, a ubraną prawie tak jak ją Bóg stworzyl. Kupiec oddając ją wskazał na metalowy pierścień nietknięty, który nosila.... a biedna dziewczyna omal ze skóry nie wyskoczyła od wielkiéj radości; podczas kiedy jéj biedne towarzyszki widząc zawiedzione nadzieje w niebogłosy rzewnie płakać poczęły. Hrabia napisał ołówkiem kartkę do lekarza u którego Mykoła leżał, a jeden z beduinów za mały bakczysz wziął niewolnicę przed siebie na siodło i pogonił do Kairu. Zanim dojechali do siedlisk pokolenia, dopędził ich z powrotem.

Arabowie z niecierpliwością wyglądali przybycia brata emirowego jak hrabiego zwali. Biedni to bowiem ludzie, jeżeli ich porównamy z tem, co dostatkiem zowiemy. Arab rzadko syty! głód ich zwykłem towarzyszem, a sytość szczęściem o którem długo opowiadają. Znając głód i łaknicnie, umieją cenić dobrodziejstwa, i ztąd gościnność między niemi tak wielką cnotą. Najgościnniejszym bywa ten kto sam niedostatku doznawał i gościnności zaznał. Ludzie całe życie w przesyceniu żyjąc nie cenią sobie tego i są samolubniejszemi.

Prócz gościnności cechuje synów puszczy przezorność i przebiegłość: i bardzo naturalnie. Bogatych rodziców dzieci zbyt często lekkomyślnemi są: ponieważ bez trudu i pracy do mienia przyszli. Nie tak arab! Wszystkich sił ciała i umysłu musi dołożyć ażeby wyżywić siebie i rodzinę swoją wśród puszczy nieurodzajnéj, i to w ciągłéj walce z żywiołami i zwierzętami dzikiemi. Przebiegiem tylko i przezornością wydziera przyrodzie szczupłe swoje jadło a nieraz jak lew puszczy okropnością głodu zniewolony z niewymowną cierpliwością wytrzymuje go; albo zdziczały napada podróżnych i przemocą zabiera im mienie i żywność.

W wielu względach podobnemu losowi poddani są mieszkańce gór, mianowicie naszych polskich. Nagie wirchy skaliste, spłóczyste ubocza, wichry, liście i ulewy, wilki, lisy, jastrzębie, niedostępność i niedostatek— oto góry i życie w nich. I o tych góralach długo wieszczowie śpiewali: że to lud łatwowierny i nieprzebiegły! — Arab na puszczy równie jak góral na nagich wierzchach, muszą być przebiegłemi jeżeli nie chcą wyginąć z głodu. Gdyby Wacław Rzewuski jako biedny tułacz szukając wsparcia między araby był osiadł, gdyby nie był hojnością polską żywił i zachwycał zgłodniałe pokolenia: byłaby pamięć o nim zagasła, aniby rodakowi jego o którym wiedzieli że także pełny trzos złota przywiózł, nie byli tak radzi! — Zbliżając się do taboru i koczowisk arabskiéj wioski zdziwili się niepomału hrabia i kozak jego, kiedy naraz ni z tego ni z owego beduini towarzysze, wielki hałas uczyniwszy poskoczyli naprzód, podejmując i odwodząc przewieszone strzelby nabite. Téj chwili przypada od sioła liczna gromada beduinów, i rozpuściwszy w całym biegu dzielne swe wierzchowce, uczynili okrzyk straszny, i wołając: hałła hałła! wywijają długiemi strzelbami po nad głowy, a

w końcu zmieszawszy się z towarzyszami hrabiego dają ognia;... a kulki świsnęły w powietrzu.

— Joj! pane hrablo zawołał Hryć sięgając do pasa po pistolet; — ta tyi sobakie araby strylajut na nas!

—Nie bój się bo to tylko żart.

— Ałe! czort ich bery z takom żartom koły kulkie swystajut czerez ucha!

—Oni nas tak witają.

—No! to i ja ich budu wytaw!.. zawołał Hryć i téj chwili kiedy cała arabska bielawa przypadłszy poczęła radośnie krzyczeć i pomykać błyskawicą to tędy to owędy i po nad głowy hrabiemu strzelać; pokręcił Hryć wąsa, spiął konia, że prawie ziemię brzuchem zarył i wpadłszy między nich po swojemu po kozacku: lewą ręką po nad głowę wywinął, a prawą za pistolet i paf! paf! szejkowi koło samych uszu, tak blisko że dziad aż oczy na niego wytrzeszczył. Arabowie podnieśli jeszcze ogromniejsze okrzyki radości i pląsali w około gdyby spłoszone stado ptactwa bystrolotnego, a Hryć sobie zawołał: A dywy! pohański synu! koły ty żartujesz to i ja ti zakuryw po pid nis i czerez ucha kułkoju swysnuł. Hrabia zaś nie wiedział czy się śmiać z Hrycia i jego małéj zemsty którą arabowie za wielką grzeczność i salonowy żebym rzekł ukłon przyjęli — czy podziwiać konie i jeźdzce.

Ej! konieżboto-konie! gdyby ogień skrzydlaty, a dwie godziny pędu po piaskach ledwie uspokoją krew ognistą ogiera do tyla: że europejski szkolny jeździec dosiąść i z mozołą owładnąć go może — aby nie pędził zwykłem swojem pędem, jako wiatr, jako błyskawica. Nawet Hryć wnet się udobruchał z dąsania i poglądając zdziwiony wołał: Dywy! dywy! joj! szczosz to za konie!

Szeik zwrócił konia ku siołu, i wszyscy poszli za jego przykładem. Przyjechawszy do ognisk zsiedli z koni

wśród niesłychanéj wrzawy ludności całéj, i nastąpiła uroczysta chwila przywitania.

Szeik siwobrody poważnie przystąpił do hrabiego i ująwszy się oburącz za lędźwie przybliżył twarz swoją do twarzy jego, aby na znak pozdrowienia i przywitania przycisnąć.... nos swój do jego nosa. Poczem rzekł: Pokój z tobą!—Jak się masz ty! i twoje żony, i dzieci twoje i niewolnice i niewolnicy twoi—i konie twoje—i wielbłądy twoje—i kozy, owce, bydło i osły twoje i całe mienie twoje?

— Hrabia—chociaż nie żonaty i z rucianym wiankiem na skroni mimo trzydziestu kilku lat wieku — odrzekł bez namysłu: Ja! mam się dobrze, dzięki Bogu! i żony moje mają się dobrze i dzieci moje i niewolnicy moi: wszyscy się mamy dobrze.—Ale jak ty się masz Szeiku? czyś zdrów sam, i żony twoje i dzieci twoje i niewolnicy i konie, wielbłądy, woły, osły, kozy, owce twoje?

— Allah kerim! odrzekł szeik uroczyście i zwrócił się ku Hryciowi.

Hryć, stał podczas tego z rozdziawioną od podziwu gębą i słuchał gdyby tureckiego kazania. Widząc zaś, że szeik siwobrody, z niewzruszoną powagą, ku niemu się zwraca, począł się niepokoić i rzekł: — Joj pane hrablo! a szczo toj did pohany i zemnoju bude takoje dywy wyrablaty!

— Stoj cicho! rozkazał hrabia—więc Hryć stał. Jednakowo skoro szeik przyłożył nos swój do jego nosa; nie dostał spokojnie: ale parsknął mu śmiechem, chwycił się za gębę dłonią, i zwróciwszy głowę w bok, aż przykucznął.

— Szeik zmarszczył brwi — a hrabia zagadał coś o krocset diabłach.—Uspokoił się więc Hryć i wytrzymał nosową operacyę. Poczem mu szeik rzekł: *Selam alejkum!* — i pytał znowu o zdrowie jego i żon i dzieci i niewolników, koni, wielbłądów, bydła, kóz i owiec.

A Hryć przez tłumacza zaręczył mu: że chociaż jeszcze mołodcem dopiero zakochanem w swéj wesołéj Parańce jednakowo; wszystkie żony i dzieci i niewolnice i wszystkie konie, wielbłądy, zgoła wszystko że zdrowiusieńkie, i nawzajem pytał.

Wtedy szeik odrzekł jak wprzódy: *Allah kerim!* Bóg jest wielki, i prosił aby usiedli przy ognisku największém które jak widać honorowém miejscem w piaszczystym salonie było. A tani to mebel był, to ognisko; bo materyał doń uzbierany po puszczy, kędy go bydło, konie i wielbłądy pogubiły· Znosić opał i podsycać żar było zadaniem dziewcząt, podczas kiedy chłopcy koło koni się kręcąc, lenistwem i przywyknięciem do grzywy i połysku broni, na przyszłych drobnych tyranów domowych i beduinów światopędów — się *kwalifikowali:* zupełnie tak jak się to i u nas w Polsce czasami zdarzać zwykło.

Usiedli więc przy ognisku na własnych w krzyż podłożonych nogach, i podano im fajki, a zaraz i czarną gęstą kawę. Hryć się patrzył na swego pana, a widząc że hrabia kurzy i kawą popija, czynił to samo i chwalił sobie w duszy tytoń i kawę i myślił sobie: że te pogany przecie nie takie durne jak się wydają kiedy taki doskonały tiutoń kurzą, że i najlepszy *schwarz drejkönig tabak* w dużych paczkach, jakiego panom nie raz zazdrościł w porównanie iść nie może.

Szeik siwobrody, odszedł — arabowie obsiedli inne mniejsze ogniska a hrabia paląc lulkę nie mógł się wstrzymać od uśmiechu nad powagą z jaką Hryć podparłszy kląb ręką: wielkiemi kłębami dym puszczał i kawą popijał.

— A wiesz ty Hryciu o co się ciebie ten stary arab pytał kiedy ci nos nosem gniótł?

— Hospod tam znaje, szo win breszyt!

— On ci się pytał, jak się twoje żony mają i twoje dzieci i twoje niewolnice i chudoba; bo oni tu po kilka żon mają, i niewolnice kupują...

— Hospody Boże! a szoż to za durny did! a hdeż ja żynku maju? koły ja szcze ne ożenyw sia! — Joj! szo też to za pohanyi durnyi lude. Bihme, szkoda, szo im hospod dał toje konie prokrasne i toj tiutuń duże dobry.

Szeik, poszedł ku niewiastom które się ogromnie uwijały koło kociołków aby uwarzyć jadło dla gości i swoich. Siwobrody ich patryarcha z niewzruszoną powagą dawał im gospodarskie rozkazy i sam zaglądał w kociołki i maczał palec i smakował czy dobre, i czynem przekonywał: jako istotnie można piastować wysoką naczelnika pokoleń godność, a przytem wszystkiem być gospodarzem *de facto!* w czynie, nie w mowie. Nie tak jak u nas przewodnicy gospodarstwa krajowego, którzy wyczytawszy w tłumaczeniach Schwerza albo Thaera: ile razy pożywniejsze siano od słomy a owies od siana, z taką pewnością o tém piszą: żeby kto myślał jakoby w saméj rzeczy doświadczali tego o czém prawią.

Jadło gotowe! — Niewiasty podały szejkowi krążek drewniany i położyły nań kilka klusek ryżowych wielkości jaja. Resztę klusek nakładły na wielki krążek i trzymały w pogotowiu. Hrabia zaś i kozak jego skończyli fajki i kawę i uważali jak beduini przy ogniskach, na widok klusek z ryżu, czém prędzéj fajek dopalali i ocierając usta oblizywali się i mlaskali.

Szeik z małym krążkiem okrytym kluskami ruszył przodem a wielki kręg niesiono za niem. A on sędziwy siwobrody postępował wymierzonem krokiem, uroczyście i poważnie i przyszedłszy przed hrabiego stanął, trzymając w ręku krążek z kluskami, z których wonna para ku niebiosom uchodziła, a z nią sens moralny: że z lada

kluski para w górę się pnie. Potem szeik przemówił uroczyście do hrabiego i jego kozaka: iż na dowód nieograniczonego poważania i czci ku tak zamożnemu emirowi franków, i bratu „lwa złotego“ którego duszy oby Bóg był łaskaw! przychodzi sam nakarmić go kąskiem najlepszym na jakie ich pokolenia stać i jakie sam pożywa. I ująwszy kluskę w pełną dłoń, podniósł ją poważnie i... zjadł sam! a Hryć mimowolnie zawołał: dywy pogański syn! win każy „brat sam sobi rad“— Poczem przystąpił do hrabiego i ująwszy pełną garścią kluskę wtórą, uroczyście ją hrabiemu włożył w gębę, którą hrabia od tłumacza przestrzeżon dostatecznie otworzył. Oddając słuszność arabskim kucharkom uznało podniebienie hrabiego kluskę ryżową za dość smaczną; więc połkniętą została bez trudności.

Gorsza sprawa była z Hryciem który się już wcześnie kręcił i mruczał: Czortby toho dida! szo win za dywy z namy wyrablaje? a szczoż ja to indor?—Kiedy szeik ku niemu przystąpił i kluskę mu w gębę kłaść chciał; znowu mu parsknął—lecz napomniany jędrną historyą o kpie i błaźnie, rozdziawił gębę na oścież ile tylko mógł; szeik wepchał mu kluskę a Hryć połknął. I odtąd się już nie śmiał, po części z bojaźni przed hrabią ale też i z obawy: że arab gotów nic jeść nie dać. Po pierwszej nastąpiła druga i trzecia kluska, aż się krążek drewniany wyczerpał: a za każdą ten sam zachód uroczysty. Beduini zaś przy innych ogniskach bez ceremonii sięgali do krążka i łykali kluski jak indory na utuczeniu.

Szeik poszedł znowu do niewiast i za chwilę przyniósł na krążku spore kawały pieczonéj baraniny i znowu raczył swych gości, ale już nie wpychał w gębę, lecz ująwszy całą garścią podawał każdemu z osobna. A goście przyznali: że baranina wcale nie zła i ogryzali

rzymając kość w ręku; co bardzo malowniczo wyglądało.

Po baraninie dano *durrę*, którą gospodarz znowu garścią najprzód sobie potém gościom w gębę wpychał. Odchodząc znowu do niewiast zapewnił: że jeszcze będą jedli bardzo smaczną potrawą a któréj jak sami przyznają nie żal dać gęby. Rozciekawił hrabiego, a jeszcze bardziéj Hrycia na to obiecane: coś bardzo smacznego. Bawił długo w pośród niewiast, i słychać było głos jego rozrządzający kuchnią. W końcu wraca, wymierzonym poważnym krokiem niosąc na krążku coś niby z mięsiwa ale dość ciemne. Staje przed hrabią i przybrawszy oblicze w niesłychanie wspaniałą powagę mówi: Cudzoziemcze! co Arabia ma najlepszego tem cię raczymy ażebyś poznał jak wysoce umiemy cenić brata lwa złotego, co przybył do nas z pozdrowieniem od przyjaciela naszego dawnego, ormianina, któremu niechaj Allah błogosławi!—To powiedziawszy wziął kawał owego mięsiwa i wetknął hrabiemu w usta.

Hrabia był wielce ciekawym co to będzie; był pewnym że przynaimniéj cąber antyloppy lub gazelli balsamem Mekki zaprawny. Lecz jakżeż się zdziwił: bez smaku, bez soku, twarde, żylaste, w zębach się uginało chrzęszczało; a zgryść tego niepodobna. Po daremnéj szczeréj chęci, dojścia jakiegoś smaku w téj osławionéj potrawie, przyszła hrabiemu dziwna myśl do głowy:— Czy też beduini przypadkiem! nie zdobyli albo nie znaleźli gdzie jakiéj pary gumielastycznych kaloszy, a nie wiedząc co z tém począć, albo może od jakiego kpiarza europejczyka naprowadzeni, nie ugotowali tego zamiast mięsiwa??... bo zupełnie tak bez żadnego smaku było to co nadaremnie żuć się silił i zupełnie tak chruptało w zębach jak nieprzymierzając—gumielastyka! Nie chcąc marnować zębów i żołądka swego na daremne wodzić pokuszenie, korzystał z chwili kiedy się szeik od-

wrócił i cały zachwalony skarb smakoszostwa arabskiego: powierzył tymczasowo kieszonkowéj chustce, aby go potém nieznacznie porzucić szakalom i hienom, które się pewno lepiéj na tém poznają niżli polski szlachecki żołądek. Podobnie robił z drugim i trzecim kąskiem.

Nieborak Hryć — nie miał tyle przezorności. Chcąc koniecznie wypełnić rozkaz obu swych panów nie znających żartów: hrabiego i żołądka—gryzł co tylko miał siły, aż mu się skronie ruszały i w karku trzeszczało; ale wszystko nadaremnie. On! którego szczęki orzechy laskowe gdyby groch rozgotowany gryzły; coby krzemyk zębami był przeciął; zmęczył i spocił się nad tą arabską pieczenią, a w końcu widząc że to wszystko na durno: zakłął od trista ditkiw.... i połykał całemi kawałkami.

Dakteli słodycz na zakończeniu uczty przeprosiła ich z arabską kuchnią, a kiedy się szeik z dumą w oku i postawie zapytał czy dobre było ono danie? zaręczył hrabia uroczyście: że nigdy jeszcze coś podobnego nie jadł i jeść podobno nie będzie. Szeik zaś zadowolon, głaskał brodę, uśmiechał się i mówił: *Allah kerim!* Bóg jest wielki!

Pogwarzono jeszcze przy lulkach a potém udali się wszyscy na spoczynek: hrabiemu odstąpiono osobnego namiotu na uboczy. Wkrótce posnęli. Wiek młody zdrowie, raźna przejażdżka kilkogodzinna na arabskich ogierach po gorącéj puszczy; wrażenia przyjemne dnia całego; chłód nocny i świeże powietrze: wszystko to wraz się zespoliło, aby hrabiego ukoić snem twardym i smacznym. Po północku jednak przyszły marzenia, owe swawolne duchy puszczy i obsiadły umysł jego, i różnobarwnemi skrzydły rozwiały ruchliwe wyobraźni płomyki, rozniecały i podsycały każde drobne uczucie: że wyrosło, rozmogło się — owładnęło umysł na chwilę — i

zgasło. I marzył o oazach puszczy i zdrojach krynicznych i gaikach palm daktelowych—i marzył o karawannie w pochodzie, o strasznym uraganie który ją napadł i o niewolnicach cudnych ginących z pragnienia i głodu i żebrzących wybawienia—i o koniach jasnych arabskich które w największym pędzie nie dotykały kopytem ziemi, i w powietrzu się wraz z jeźdzcem unosiły—i o arabskiéj wiosce o namiotach z których czarne wyglądały oczy..... A wśród wszystkich tych marzeń przebijały się jakieś jęki bolesne jakieś niby stękania i wołania o pomoc i nadawały marzeniom wrażenie przykre i bolejące, którego przyczyny umysł senny nadaremnie szukał. Wrażenie to wzmagało się ciągle, niepokoiło umysł a w końcu tak go utrapiło: że się sen spłoszył z powiek.

Hrabia znużony przebudził się i przez pół na jawie przez pół we śnie: słyszy jęki boleści i stękania co raz wyraźniejsze. Przeciera oczy patrzy i słucha. — Cisza! na pustyni — jak na cmentarzu; ani powiew wiatru, ani szelest liścia nieprzerywa jéj; nawet bączki i chrząszcze nocne uciekły i nie brzęczały i nie brykały. A przez otwór w namiocie widać było bielejącą piasków równię bez końca, gdyby morze jakie i gwiazdy migające na ciemnym błękicie i miesiąca pełnego w całéj okazałości i blasku... Znowu jękło! tuż obok w namiocie. Hrabia uchyla płótna światło padło patrzy:... Hryć na klęczkach siedzi i ręką się za brzuch trzyma, i kołysze sobą z boleści, przechylając się aż głową ku ziemi i stęka zwykłą w takich razach u rusinów piosnkę:

— Joj! mamuneńku moja! joj! hodynenkoż moja — joj! moje czerewo! joj jakżeż mene bołyt!...

— Co to? czy cię co boli?

— Joj! bołyt byłyt! czerewo mene duże bołyt! joj joj! pane... hra...blo! ja—wże— w me...ra...ju!

toje sobakie..a..ra..by! toj.. did..po..hany, mene struił! joj pane hrablo, joj!...

— Z czegoż cię to tak brzuch boli? cóż ci to dali?

— Aj! czy ja znaju szo to za sterwo buło, szo nam pit toj w hubu towczył; czy ja neszczastliwy znaju? joj! czerewo moje! joj bołyt bołyt!... aj! ony mene strujły, toje pochane żydy-araby toj did sełedywy!... wże myni ne weznuty sia do darczowciw, wże myni tutka hołowońku położyty! — joj! mamuneńku moja! joj! pane hrablo! —

Hrabia się przeląkł nie na żarty! Hrycia widocznie okropne kurcze trapiły, trzeba było radzić; bo niechże i ten zachoruje? cóż samemu począć na arabskiej puszczy z pieniądzmi? a nuże samemu broń Boże zaniemódz?... Co tylko kiedy czytał o chorobach żołądka mknęło mu przez pamięć. Wszystkie dzieła z napisami „Lekarz domowy" stanęły mu przed oczyma; ale niestety! w każdem stało napisane: w gwałtownym jednak przypadku, wypada koniecznie... zasiągnąć pomocy dobrego lekarza i apteki!

Dajże go katu! U nas w Tarnopolskiem dla braku lekarzy szlachta się *moryzonem* kuruje, a niedopieroż po arabskiéj puszczy szukać każą lekarza i apteki. Ej! żeby choć z 15 pigułek numer drugi!!! ale niema! — Co tu począć?? Kozak jojczy i jojczy!! — Naraz przychodzi mu szczęśliwy pomysł: w manierce jednéj jest rum! — bierze, nalewa mu w odkręconą przykrywkę, która za dobrą lampkę stanie i mówi: na tobie! golnij! może ci ulży.

Hryć wziął i golnął prawdziwego Jamajka-rumu! podziękował, i jojczał co raz mniej, co raz mniej — a w końcu ucichł. Hrabia także się uspokoił i usnął. I znowu marzył, o puszczy i oazach i niewolnicach i koniach srebrnogrzywych; — ale już wesoło i swobo-

dnie, bo jęki i stękania nieprzerywały marzeń rozbujałej wyobraźni.

Kiedy się zbudził, leżał Hryć sapiąc twardym snem, tylko blady i zmęczony. Za przyprzążką szklenicy rumu; zdołała sobie natura jak widać pomódz, pozbył się żołądek wroga i wszelka obawa znikła. — Hrabia zaś pyta swego tłumacza: co to to za mięsiwo było takie twarde i niestrawne, które szejk wczoraj tak uroczystą przedmową zachwalał, a którego nawet Hrycia zęby i żołądek pognębić nie zdołały?

W odpowiedzi odebrał: Że w dowód niesłychanie dobréj chęci i wielkiej cześci ku bratu „lwa złotego„ — jako na najpyszniejszą narodową ucztę, uchwaliwszy na walnem pełnem zebraniu; zabili arabowie: wielbłąda starego! mniej już wprawdzie do drogi przydatnego, zawsze jednak bydlątko drogocenne — a najlepsze znie go kąski z garbu grzbietowego sam szejk własnoręcznie hrabiemu i jego kozakowi do pożywania w usta pchał!!!

— Naj że ich ditko bere! wykrzyknął Hryć zgorszony, kiedy mu hrabia o tem powiedział, naj ich bere! koło ony nam z welbłuda horb uwaryły i w hubu pchały!! — tajto toj zwir horbami na smert zdusyt, jak kotryj czołowik durnyj meży toje horby w side! a jakżeż majet buty szoby sia chreszczeny czołowik takom horbom warenom ne strujł? — Oj! psi araby-żydy borodate, bodajbyste szczesły i propały i z waszom warynyciom.

Nazajutrz rozpoczął się wstęp do targu i kupna. Arabowie zwielką przezornością brali się do dzieła. Wybiorki same, stare i kaleki nadstawiali do kupna jeżdżąc na nich i używając wszystkich zabiegów, które dobrym jeźdźcom przy sprzedaży wielce przysługują. Ale że to hrabia z Polski rodem, i po jarmakach końskich obyły: więc się nie dał obałamucić.

Trzeba zaś wiedzieć: że biegłość targowa u nas dzięki zdolnościom i pojęciom kupieckim żydków naszych, wporównanie iść może a czasami nawet przewyższy wszystko co nam w tej mierze wschód cały a nawet Chiny godnego przedstawiają. Biegłość targowa czyli „okpiwanie" — jak się owa cnota obywatelska, dobrodusznie przezwała, zajmuje w Polsce tysiące głów zdolnych, tysiące ludzi leniwych rękami a niezmiernie czynnych mózgownicą; a wyskok! essencya! tego wszystkiego wysilenia umysłowego, skupia i kojarzy się w targach końskich. — Wypasać konie gipsem i ziemniakami! to dawna niemiecka sztuka; ogierom *premiantom* (t.j. dążącym do nagrody za wzorowy chów koni) poddać obroku z gorzałką, a po pod ogon terpentyny lub papryki zapuścić: to lada kiep z Ranizowa potrafi, i już się mało kto stracha, kiedy taką pijaną kwiczącą i skaczącą szkapę dwóch okpiszów w siwych spencerach na linkach długich za kawecan niby z wielką obawą i trudnością dzierżą. — Szpilka w obcasie u buta, albo w uzdzie; gwóźdź w batogu; albo drut w trzaskawce; łękowatość zakryta siodłem; a drgawka ciągłem ruchem zamaskowana; ślepota czarna zatajona, i t. p. są to sztuczki co wróble już o niccb świergocą. Obecnie biegłość okpiwających usadziła się na sam wiek koni sprzedajnych. Któż na świecie prócz naszych rostrucharzy potrafi tak doskonale koniowi staremu zęby wypiłować wyszlifować i rozpalonem żelazem rejestra nowe powypalać, tak: że nawet wojskowe komendy jeżeli w nich młodzi i dziejów okpiwania nieświadomi przywodzą, podrobienia nie spostrzegłszy za młodą kupują: ku wielkiej pociesze poczciwych roztrucharzy, którzy się przy miodzie i orzeszkach z dobréj sprzedaży cieszą, a potem nie omieszkują panu Bogu za opatrzność dziękować wedle zakonu, którego tytuł: Megine Urek — ścieżka cnoty!!!

Arabska przebiegłość nigdy tak podłą nie bywa. Arabowie grają tylko na rozbudzenie namiętności w kupcu aby się zapalił i dobrze zapłacił. Więc koło hrabiego uwijając na koniach dzielnych twierdzili, iż ich niesprzedadzą a poddawali do kupna lichotę. Tak unudziwszy umysł i rozdrażniwszy żądze dawali się w końcu nakłonić i przystępywali do targu.— Hrabia widząc ich drożenie się użył zwykłéj u nas jarmarcznéj sztuczki: faktora. Widział że ich sam nieprzemoże, widział połysk oczu szejka i uśmiech roskoszy, na widok złota; zebrał więc całą gramatykę mimiki i arabszczyzny i wytłumaczył mu: iż doskonałe faktorne dostanie jeżeli mu szczerze dopomoże do kupna. Szejk pojął wnet o co chodzi złożył ręce na piersi, a potem na lędźwie i rzekł: *Allah kerim*! — a znaczyło to bezmała tyle co przysięga.

Poczem obrócił kij drugim końcem i rzekł do Arabów swych współbraci: że brat emira „lwa złotego“ widząc się zawiedzionym w swych nadziejach, dostania dobrych koni, postanowił bez kupna do domu wracać. Araby odpowiedzieli: *Allah kerim*! a szejk siodłał konie i gotował się odprowadzić hrabiego. — Arabowie jednak niebyli obojętnemi na odjazd hrabiego: bo czas był na nich ciężki i głód dokuczał. Naradzali się więc co czynić? i postanowili udawać wprawdzie obojętnych, jednak hrabiego ciągle trzymać w oczekiwaniu i nadziejach. —

Odprowadzając hrabiego do Kairu odsłaniali wszystkie wdzięki i cnoty dzielnych koni swoich, okrążając go lotnym tabunem i wysilając się na wszystko czego tylko jeździec puszczy na koniu puszczy, dokazać może: a hrabiego i jego kozaka serca mało niewyskoczyły nieraz z podziwu i radości; tak ich zachwycały konie.

W Kairze umówił się hrabia z Szejkiem co czynić wypada, i przystał na jego radę: że się trzeba wybrać na dłuższy czas na puszczę i pomiędzy pokoleniami upatrywać co dobrego, badać właścicieli i targować: klacze odsélać do Kairu, ogiery zaś w końcu na raz wytargować, zapłacić i umykać z niemi co tchu. Poczem szejk odjechał obdarzony hojnie.

Mykoła zaś nieborak leżał ciągle chory, a niewolnica kupiona na puszczy doglądała go z całą troskliwością służebnicy uległéj, chcącéj sobie zaskarbić łaskę pana swojego. Odkarmiwszy się w domu lekarza, nabrała żywości i ruchu a że mimo ciemnéj płci z twarzy i z kibici przystojną była; więc mimowolnie zwróciła na siebie oczy hrabiego i Hrycia. Hrabia acz przyzwyczajon do pokłonów czołobitnych ludu podolskiego, jednak się niemógł oswoić z dziwnem jakiemś uczuciem, na widok nieograniczonego [uniżenia i pokory z jaką go ta, za niespełna 400 złp. kupiona istota witała; Hryć zaś przypatrywał się jéj ciekawie, a zajźrawszy jej w czarne oczy, mimowolnie wąsa pokręcił i rzekł: „Czorne łycho bo czorne jak nycz, ałe zuby maje biłe i hoby tak prywyknuty, bihme! uszłaby doczka.

Hrabia chcąc europejską przyzwoitość zachować sprawił jéj odzienie, w które kiedy się ubrała, niewiedziała co z sobą począć od zbytku radości. Ciągle hrabiemu i Hryciowi najgłębsze czołobitności oddawała a cieszyła się jak dziecko; tak że Hryć kilka razy powtarzał: „Joj! jakaż ona durna!“

W kilka dni przybył szejk z wiadomością: iż czas wyruszyć między koczujące plemiona. Hrabia nie dał na siebie czekać i wnet był gotów. Szejk życiem swojem i plemienia swego ręczył za zupełne bezpieczeństwo i przysiągł na brodę swoją i proroka; więc się wybrali. Mykoła przez te kilka dni złączenia z panem i druhem swoim odżył trochę a lekarz robił nadzieję niezawodne-

go wyzdrowienia. Polecił mu więc hrabia: jeżeliby tu nadeszły jakie konie, aby o nich miał pieczę i staranie. Niewolnica zaś tak się przywiązała do swego pana i jego kozaka; że koniecznie chciała z niemi jechać w puszcze, i wielkie płacze i żale wywodziła. Hrabia widząc, że Hryć coś bardzo łagodnie na jej smutek pogląda, zażartował: No Hryciu! to ją chyba zabierz z sobą....

—Joj! pane hrablo! ta, ałe szczeszby lude o nas hadały szomy sia z doczkamy wozemo?...

Została więc. Ale Hryć jakiś bardzo rozczulony na koniu siedział i mruczał: To czort toje doczkie nadaw! czy biła czy czorna, to jak poczne szebetaty i browoju pomrukaty to ti sia hołowońka zahrutit; a to nezdało sia do nyczoho! — A czort by toje docznie! —

Arabowie już szczerzéj przystępywali do sprzedaży i w krótkim czasie kupił hrabia kilka klaczy; wiedząc że wszelkie poprawy ras samemi tylko ogierami uskutecznić się nie dadzą. — Z ogierów zaś targował kilka, ale niedobijał. Chciał też i przy sposobności obejrzeć się pomiędzy owemi słynnemi od wiek wieków stadami puszczy. Ciągle na koniu po puszczy lub koczując między plemionami przeżył już kilka tygodni w ulubionym sobie żywiole i doczekał się w końcu wiadomości dobréj o wyzdrowieniu zupełnem Mykoły. Posłał mu więc rozkaz spiesznego przybycia. Jakoż niebawem przyjechał z Beduinami wysłanemi: nieomieszkając zabrał klacze kupione i wrócił do Kairu. Wtedy hrabia przystąpił do ukończenia targu ogierów.— Dżellabi i Abiad najbardziej mu w oczy wpadały, mianowicie pierwszy siwoperłowy hreczkowato nakrapiany: niesłychanego ognia i wytrwałości a co do czystości

krwi i pokolenia, zupełnie niepodejrzany. — Nie jednego i niekilka baranów pieczonych, zjedli już Arabowie z chojności i szczodroty hrabiego i o tyle już zmiękli w wygórowanéj żądzy: iż można było przewidzieć pomyślny skutek. Widocznie jednak ociągali się z ostatniem słowem a hrabia niemógł z początku odgadnąć przyczyny. W końcu oświadczyli: że plemiona mające konie do pozbycia zbierą się na dzień oznaczony a kupujący żeby przygotował złoto.

Nadszedł dzień i stanęło koni podostatek, a koni tak dzielnych: że hrabiego serce przepełniała radość. On i kozak jego oddawali się jej zupełnie. Więc się też już i targ dobijał. — W tem ukazała się nowa gromada jeźdźców z głębi puszczy przybywających a na przodzie jechał — ale nie jechał — leciał po nad ziemię wzniesiony arab na białym ogierze, którego kopyta piasku dotykać się nie zdawały. Barwa ogiera była barwą mleka krowiego świeżo wydojonego, a ogon i grzywa ulatujące w powietrzu migały srebrem do słońca; chrapy rozwarte ziajały krwią i ogniem, a czarne wypukłe oko spoglądało ową rzewnością smętną, jaka tylko arabskim koniom najczyściejszej krwi właściwa. Rzekłbyś, że koń ów ma duszę w sobie; duszę która czuje swoją dzielność i wspaniałość i która się smuci: że ją stworca w zwierzęcem ciele uwięził!! — Każda żyłka igrała życiem, każde ścięgno czy wyprężone czy skurczone wydawało się w całéj czystości i ukończeniu, a tok całéj postaci, wyrazistość wszelkiego zgięcia była tak doskonałą a wdzięk ruchów i zwrotów tak przytem miły i okrągły: iż oko zachwycone patrząc na tego konia samo sobie niedowierzało; a w duszy wątpliwość powstawała: czy to jaw czy tylko ułuda.

Arabowie z zachwyceniem spoglądali, a stary szejk stłumił oddech w sobie: ręka mu na siwej brodzie spoczęła, a oko łzą radości błyszczące wzniósł ku niebu i

wyrzekł uroczyście ustęp z Alkoranu z sury o koniach: „Błogosławione łono matki, któréj syn posiada takiego konia! Bóg jest wielki!“ —Arabowie powtórzyli za niem: Bóg jest wielki!! — *Ałłach kerim*!

— Co to za koń? zapytał hrabia?

— To Bagdad!

— Bagdad! ten Bagdad, o którem ormianin marzył?

— Bagdad! jego poprzednicze pokolenie nosiło Proroka kiedy uciekał z Medyny do Mekki! Franku! gdybyś tego konia dostał, byłbyś bogatszym nad wszystkie króle wasze — Sułtan pozazdrościłby ci! bo to perła Arabistanu! — jedno słońce na niebie, a jeden Bagdad na ziemi!

— Czyj to koń! zapytał hrabia.

— Nasz! odpowiedziała cała gromada Arabów świeżo przybyłych w liczbie może trzydziestu.

— Jakto was wszystkich?

— Tak! nas wszystkich, których tu widzisz. W naszem plemieniu została klacz proroka i miała źrebię a od tego źrebięcia pochodzi ród Bagdada. Czytaj te księgi rodu jego; są nie mylne. Z całego pokolenia tych koni, najpiękniejszą klacz miał nasz dziad, któremu oby Bóg był łaskaw! z tej klaczy pochodzi Bagdad. Nasz dziad niedługo na niem jeździł, bo ziemia święta przyjęła ciało jego, a duszę prawowierną wziął Allach do swych roskoszy siódmego nieba. Umierając zostawił nam Bagdada w spuściźnie; nam synom i synom synów swoich. Wszyscybyśmy go radzi posiadali, aleć to niepodobna! Więc aby niebyło niezgody między bracią abyśmy wszyscy zawistném okiem niespoglądali na tego, który go dosiadywa; przychodzimy sprzedać go tobie Franku. Bośmy słyszeli: żeś ty bratem Emira „lwa złotego“ — a lew złoty był naszym bratem, szejkiem i emirem naszym; a kiedy nasz dziad z głodu umierał a nic nieposiadał prócz klaczy-matki Bagdada, — to zło-

ty lew, nie wziął mu ją; bo by mu był wraz własną duszę zabrał. Złoty lew żywił ojca naszego i naszych ojców ojca i cieszył się widząc go jeżdżącego na klaczy, która była Bagdadowi matką. Bratu więc emira sprzedamy go, bo on mu będzie bratem jak my jesteśmy! — Bóg jest wielki!! To domówiwszy zskoczył z siodła i zarzucił licę na kulę kulbaki. Koń stał w miejscu i grzebał nogą piasek; a kiedy kozak do hrabiego po swojemu zagadał, zarżał Bagdad i spojrzał się smutno zdziwiony jak gdyby pytał: Co to za ludzie cudzoziemscy? co to za mowa obca, któréj ja nie słyszał, któréj niepojmuję? — Oh! bo kto nie zna konia araba czystéj krwi, kto nie badał przyrody jego i cnót jego; ten nigdy niepoczuje: czemu po człowieku w rzędzie stworzeń ziemskich, najpiękniejszym jest koń piękny! Któreż mu zwierze wyrówna? — Czy bydle lub jego pochodzien jeleń? czy słoń rozumny z składu i postaci przygarbionéj przypominającéj zwierzęta najplugawsze? — Czy pies? czy ród koci lwów, tygrysów? — Gdzież? któreż mu wyrówna? Gdzież wspaniałość? odwaga? dzielne męstwo w boju? przywiązanie do swego pana?

Dawna szlachta polska oceniła cnoty konia, który jej pomagał krwią, zdrowiem i życiem bronić ojczyzny i zarabiać, krwawo zapracować na rodowy klejnot. Epoka kopijników naszych skrzydlatych i zbrojnych, błyszczy w dziejach świata: a przywiązanie do chowu koni niewygasło; wszakżeż i hrabiego nic innego na arabską niezawiodło puszczę. Chociaż obecnie chów koni równie i bydła u nas na menażeryjny odbywa się sposób — ależ bo i dziatwa nie po swojemu nie rodzimo po Bogu i wedle rodzimej dziejami oczyszczonéj przyrody i nie wedle krewkości chowana!

Hrabia postanowił wszystko dać byle Bagdada dostać. Szejkowi staremu zagadał o setkach dukatów i nad spo-

dziw prędzéj dobito targu za tysiące!! dukatów w błyszczącem złocie. Arabowie stali milcząc ponuro, a kiedy pieniądze w długich rzędach rozłożone mieli zabierać: nie jedna łza błysła i pogadali coś między sobą a kilku skoczyło na konie i mknęło w puszczę lotem błyskawicy.

— Źle będzie! szepnął hrabiemu szejk, kupiłeś konia ale go mieć nie będziesz! — nie trać czasu! dosiadaj i ja dosiądnę i twój niewolnik i uciekajmy: ile ci tchu stanie!

Zapłacił więc Dżellabiego i Abiada — dosiedli i jadą. Z początku wolno — wolno — niby próbując zwracają się to w tę to w ową stronę, potem prędzéj, a w końcu jak puszczą wodze polecieli kieby wiatr! a cała hurma Arabów skoczyła za niemi wołając: stój Franku! stój czekaj!

W mgnieniu oka odsadzili się od Arabów, a za chwilę stracili ich z oczu. Ale z przodu zajeżdżają inni, rozsypują się i wołają: stój! czekaj!

Szejk spojrzał po nich; była znaczna liczba! więc rzekł: trzeba stanąć bo by źle było.

Stanęli a Arabowie przywodząc klacze rzekli: Franku! Bagdad wyjedzie z Arabistanu ale pokolenie jego musi między nami zostać, bo na niem Prorok jeździł.

I znowu dosiedli i znowu świeże tłumy z klaczami zachodziły im drogę więc musieli stawać. I tak trwało aż dobrze z południa. I stawali z Bagdadem jedenaście razy, a do wieczora ubiegli mil dwadzieścia i dziewięć!!! — Kiedy przybyli do Kairu czem prędzéj gotowano się do dalszéj drogi; bo szejk stary przestrzegł: że Arabowie się sprzysięgli zagubić Bagdada. On jednak nie chciał zdradzić gościa swego, przyjaciela Ormianina a brata emira „złotego lwa.“ — Chojne upominki przyjął wdzięcznie, klacze swoje przyprowadził zasięgnąwszy wprzód zezwolenia a potem za liczną karawanną,

która dniem wprzódy odeszła odprowadzając hrabiego żegnał serdecznie jego i arabskie konie i rzekłszy: Allah kerim! Bóg jest wielki obdarzył cię perłą Arabistanu; ale strzeż ją od złego oka!— zawrócił konia i wrócił na puszczę uspakajać plemiona. Gdyby bowiem cokolwiek byli czasu po temu mieli, byliby gotowi w liczbie tysięcy najść na karawannę i rozbić, że się zaś niespodziali tak nagłéj ucieczki, to ocaliło hrabiego kupione ogiery, a osobliwie Bagdada. Wróciwszy napotkał pogoń; ale ją wstrzymał zapytaniem: Wy chcecie dopędzić Bagdada na którego pochodowem pokoleniu proroka z Medyny do Mekki niedościgniono? Bóg jest wielki! —

Więc Arabowie zwrócili konie i żałowali że Bagdada wypuścili z rąk. Hrabia zaś bez dalszéj przeszkody, pierwszego dnia dopędził karawannę i razem z nią dojechał szczęśliwie do Aleksandryi z Hryciem, Mykołą niewolnicą, ogierami i klaczami.

W Aleksandryi nie bylo kłopotu żadnego jacy z niewolnicą. W smutnych dziejach Polski dzicz tatarską bezustannie od miedz Europy odpędzającéj, łzawe a zbyt niestety częste ustępy stanowi jassyr i niewola, tak rzewnie i obrazowo skréślone po ówczesnych rymowanych ulotnych pisemkach! Ktokolwiek tylko nie zupełnie po błazeńsku, małpując niezrozumiane cudzoziemskie zwyczaje niestałe, umysł swój rozwijał i niesamemi czułostkami lub jeszcze śmieszniejszemi-genialnemi nadętościami! ale i ludzkiemi, rodzinnemi pojęciami i dziejami ducha swego karmił: temu się niezawodnie obiły o pamięć podania częste opłakanéj jeńców doli. Z pojęciem niewoli łączymy wspomnienie łez i smutku jak przeciwnie wolność: to najrozkoszniejszy dar nieba.

Tak i hrabia mienił! Wykupiwszy niewolnicę od łaknienia i pragnienia usychającą na puszczy, odżywioną, przyodzianą jak ludzkim istotom przystało; chciał ją

do końca uszczęśliwić i zawoławszy, po uroczystéj przedmowie: obdarzył wolnością!

Niewolnica niepojęła tego wyrazu, a kiedy jéj wytłumaczono, że to znaczy: możesz sobie iść kędy ci się podoba; — wykrzykła namiętnie: Ja niepotrzebuję wolności! ja niepójdę nigdzie! —

Hrabia widząc przewrotność niecywilizowanego jéj umysłu, zamyślił się nad tem i przyszedł do wniosku: że ona mimo nieoświaty może po części ma słusznie. Chociaż mu to wreszcie i pochlebiało jednakowoż trudno było brać jéj z sobą: wypadało ją koniecznie zostawić, bo na Podolu kpiarzów nie trzeba z latarnią w południe szukać. Zresztą niedorzeczność jawna.

— Słuchajno Hryciu! ona się nas niechce odczepić, chce koniecznie z nami jechać.

— Joj! pane hrablo, jabym sia wże any weznuł do seła, boby sia z nas lude smijały.

— Cóżby tu z nią robić?

— Ta naj ide służbu szukaty.

— Kiedy ona niechce.

— Bihme ja wże sam neznaju! to chyba tak zrobyty jak u nas lude roblat na zymu z pastuchamy.

— Jakto?

— A wyhonyty taj skinczyło sia!

— Głupiś! jakżeż ją można odegnać?

— To prodaty! taki tak pan hrabla za ńyn hroszy daty, ne durno ją distały...

— A sprzedasz ją?

— A czomuby ni! ja ją wywedu na tarh taj sprodaść! a może jeszcze szo zaroblu!

— O ty hultaju! ty drabie! to araby u ciebie *psiwiry* że ludzi sprzedają, a tybyś sam zarabiał?... a na cóż wy łotry śpiewacie dumy o niewoli tatarskiéj...

— Ałe pane hrablo! hdeżby ja ją Tatarom prodawał,

jabym jéj wyszukał jakoho pana iszcze lipszoho jak pan hrabla...

— Cicho kpie! zawołał hrabia niemogąc stłumić śmiechu w sobie na tę pohopność kozaka do wszelkich usług...

— Ałe bo to ja chtiw tolko wielmożnomu panu hrablemu wyhodyty... zagadał Hryć skrobiąc się za ucho

— Niewygadzaj ty w ten sposób!

Koniec końcem trzeba było coś z nią zrobić. Udał się tedy hrabia do jednego ze znajomych konsulów mocarstw europejskich, i opowiedział rzecz całą. Naśmiano się do sytu z nieprzyjęcia wspaniałomyślnego daru wolności, równie jak z kozaka, i chętnie przystano na wniosek hrabiego, aby ją jako osobę wolną w uczciwéj służbie umieścić. Jakoż sama pani konsulowa przyjąć ją oświadczyła chęć. Posłano po nią, a kiedy jéj oświadczono: iż pozostanie do usług pani konsulowéj, dąsała się z początku na obu Franków że ją niechcieli z sobą zabrać, wnet się jednak uspokoiła nowem dla siebie widokiem, pokoi po europejsku meblowanych i pań po europejsku strojnych, — i została dość chętnie.

Hrabia po załatwieniu i téj niewielkiéj sprawy, przypilnował osobiście wprowadzenia koni na okręt, a kiedy wszystko szczęśliwie dokonano ruszyli na morze, ku Stambułowi. Przez Wołoszczyznę bowiem chciał hrabia wracać bliższą drogą.

Przed wyjazdem poszedł Mykoła na bazar kupić co mu trzeba było, — ale już ani spojrzał na gruszki słodkie, jak świeże figi nazywał.

Z postrachem bożym! jak rusini mówią siadali Hryć i Mykoła na okręt, obawiając się znowu morskiéj choroby. Nietylko zaś o siebie obawiali się ale i o konie. Nie raz dumali nad tem i rozmyślali jakto-to będzie wyglądało, kiedy konie, nabywszy się morskiéj choroby wymiotów dostaną?? i naprzód litowali się nad niemi i

turbowali się. A Hryć głaszcząc ślicznego Bagdada, do którego dusza jego coraz bardziéj przyrastała i rozmawiając z niem po swojemu, poufnie mu gadał: „Oj! każy! biednońka ty chudobo! w neszczastliwu hodynońku ty urodywsia, koły tebe korablom czerez toje proklate more wezut! Jak to pryjde na nas bida, jak sia roznemożemo, budeż ty neboże dopero znał szo to bidońka!! koło z tebe wyżenie wse szczoś ził: i toje sino zełeneńkie i taj owes zowtenki koby zołoto i toju wodeńku szo tia napawaju! — Jak tia pirwe! jak poczne wymetaty, to budesz dumał, że czort z tebe duszu i paru i jazyk choczyt wytiahnuty, tak jak z mene wyhaniał. Doperoż ty neboże piznasz, ze lipszy tebi buło meży tymi pohany, arabami zystati i po zowtym pisoczku sobi hulaty! — Tak tak! neboże! zaznasz ty bidońki ne mało tak jak my zaznały! — Ałe za to jak nam Hospod daść weznuty sia, to budesz sobi miszkaw jak pan! w nowéj stajeńci, takoj wełykoi jak ciłe misto! — Bo to pan hrabla takow stajniu dla was wystawyw szo od jednoho kincia druhoho kincia ne wydko!! — A jak sia pan hrabla ustroit w toju kulbaku hetmańsku staru wid samoho zołota, szo to każy jszcze korolie polskie na jéj izdyły, a jak side na tebe, to wse pany i pane i doczki budet sia dywyty, i sławyty. Tak tak! myj neboże! — Oj! żal myny tebe jak ty zanemożesz, kobyś tołko toju bidu probyw to wse bude dobre!

Szczęście jednak wielkie: że się obawa Hrycia niespełniła. Żaden koń niezaniemógł na morską chorobę, ani wymiotów żaden niedostał. Hryciowi za to i Mykole oberwało się znowu troche, ale już nie tak wiele, i niepotrzebowali hrabiemu za służbę dziękować.

W Stambule zaś wielkiego zgryzu doznali.

Ulice tej stolicy jak wiadomo są wąskie — na sposób wszystkich miast wschodnich. Ogromny ruch kupiecki miasta tego bywa powodem, że nieraz przystań „złotego rogu“ i wybrzeża cieśniny morskiéj statkami, ulice zaś miasta ludźmi i wozami natłoczone.

Właśnie tak było kiedy hrabia z końmi i kozakami swemi do miasta wjeżdżał. Hrabia sam siedział na Bagdadzie; na Abiadzie Hryć a Dżellaby szedł luzem obok. Mykoła zaś i przynajęci ludzie wiedli resztę koni i klacze. Konie chociaż nieprzywykłe do ciasnych ulic i różnorodnych tłumów szły spokojnie. Arabskie bowiem źrebię wśród plemion koczujących, rośnie wraz z dziećmi Araba, koń razem z dziećmi bywa pieszczony i głaskany, więc się też i nielęka człowieka. Bicz na niem niepostał z dziada pradziada; pijana czeladź nie krzywdziła, nie drażniła go po ciemnych stajniach: więc też i nie wierzga i nie kąsa i mimo całego ognia jest łagodnym jak dziecko potulne. Jednego tylko stworzenia nie lubi: dromedara! — Jak gdyby poczuwał niewysłowioną doskonałość i piękność postaci swéj wspaniałéj, jak gdyby poczucie ideału piękna tętniło w sercu jego zwierzęcem: tak bardzo wzdryga się na widok dromedara, którego garbaty grzbiet zbyt długa w dół wygięta szyja, łeb i ogon bydlęce a nogi z palcami; bezwładną mieszaninę form i odwrotną stronę piękności końskiej jak najpotworniej objawiają. Koń nieprzezwyciężony wstręt czuje do tego pożytecznego i szybkonogiego zwierzęcia i prędzej zniesie widok wielbłąda. Na nieszczęście w tę samą ulicę którą konie wiedziono, wjechał turek z arbą zaprzężoną dromedarem, i siedząc na próżnéj kolasie o wysokich dwóch kołach z całą wschodnią wyrozumiałością przeciskał się przez gęste tłumy popędzając powoli dromedara swego. Wprost naprzeciwko jechały konie. Bagdad już zdaleka strzygł

uszyma i zdrabniał kołyszący krok, ale dromedar stanął na uboczy więc zbaczając przejechał mimo: tylko minąwszy poskoczył kilka kroków i parsknął jak gdyby rad: że się pozbył niemiłego widoku. — Dalej jechał Hryć na Abiadzie, wiodąc Dżellabiego poręcznie, który już zdaleka zoczywszy dromedara począł się niepokoić. Kiedy mijali arbę, dromedar pewno z obawy ogiera nienawistnego, kręcił się niespokojnie. Dżellaby jeszcze bardziéj tem ruszaniem zniespokojony, skoczył nagle chcąc go szybko minąć, a minąwszy wierzgnął wysoko w górę; noga zadnia dostała się pomiędzy wysokie koła sprychy, dromedar spłoszony ruszył — koło się obróciło — między sprychami uwięziona noga chrupła... ludzie krzyknęli i powstrzymali dromedara... wydobyto nogę ogiera... ale uwisła zupełnie, wisząc tylko na skórze i ścięgnach mięsa. — Dżellabi złamał nogę powyżéj uda między kłębem a kolanem (-właściwem-nie piętą).

Hryć przelękniony jojknął boleście, hrabia się zwrócił i widząc nieszczęście westchnął tylko i tłumił żal w sobie. Turcy zaś zatrzymali resztę koni, oddalili arbę i dromedara, potem dopiero przepuściwszy konie zajęli się biednem Dżellabiem.

Ormianin jakiś znający się na leczeniu koni, zawołany od litościwych Turków, nadbiegł i przestrzegając wszelkiej ostrożności, kazał ochromionego ogiera zawieść do swego bliskiego mieszkania i nie wołany, nie proszony opatrywał nogę złamaną i badał czy się może zróść czy nie? — Z zadziwieniem usłyszał hrabia słowa nadziei. Posiadając własną stadninę, oddany namiętnie chowowi koni i obeznany z ich chorobami i przypadłościami; był pewien: że Ormianin chce tylko kilka dukatów wyłudzić. Ormianin zaś widząc niedowierzanie jego rzekł mu: Beju! t. j. panie! ty wątpisz? ty myślisz że ja cię chcę okpić? niewierzysz że się ta

kość złamana zrośnie? — a znasz ty zdawna arabskie konie? a znasz ty ich zdrową krew? a znasz ty arabską kość? a wiesz ty, że takiego konia kości więcéj ważą jak kości dwóch najogromniejszych ogierów z nad baltyckiego morza jak dwóch koni meklemburgów lub holsztynów??

Hrabia się zdziwił nad tą mową Ormianina, bo widział, że z niepospolitym człekiem ma do czynienia: nieprzypuszczał jednak najmniejszéj nadziei, bo gdzie kto kiedy słyszał: żeby się koniowi złamana wyżéj uda kość, napowrót zrosła?? Prędzejby rozpryśnięte galicyjskie umysły oświatopromienne! połączył do wspólnego działania w celu zachowania i okazania światu i sobie te niedoniszczone ostatki dziejowe i obyczajowe rozponiewierane i w rozmaitych gospodarskich czy zbiorowych schówkach butwiejące; zabytki: pisane, malowane, rzeźbione, kute i lane. Prędzejby zjednoczył galicyjskie gramatyki i tak nazwane: polszczyzny! Prędzejby tych światłych: bo bogatych; naśladowania godnych: bo modnie chodzących, mówiących, myślących i zbytkujących... których praojcowie z arkebuzą na plecach albo hellebardą — na któréj od przypadku, łokieć do mierzania sukna, wykarbowany bywał — w ręku; jako żołdownicy, jako zaciężni pod chorągwie piechot cudzego autoramentu, o ogórkach i rzodkwi pieszo wędrowali... a kiedy ich ta ziemia przyjęła, kiedy ich królowie herbami i dochodami obdarzyli, to za to dziś każde przywiązanie, wszelkie zajęcie się dziejami tejże ziemi: polakieryą zowią!!! prędzejby tych zacnych panów nawiódł na iskrę życzliwości lub przynajmniej na odrobinę mniej... nienawiści! ku tej ziemi i tej braci co ją do siebie przyjęła: — aniżeliby zgoił, niżeliby się zrosła złamana powyżéj uda kość konia. — Nieprawdaż panowie znawcy i lubownicy leczenia zwierząt?

A przecież Ormianin w Stambule twierdził koniecznie że spoi kość złamaną! że nie żąda nawet siana i obroku dla konia: że go będzie sam żywił i goił, a po wyleczeniu zupełném dopiero, przyjmie bardzo umiarkowane wynagrodzenie. A publiczność turecka, co w modlitwach koranu: wielbi i błogosławi łono matki, któréj syn posiada piękne konie; publiczność ta wierzyła słowom Ormianina, i dodawała otuchy hrabiemu i mówiła: Bóg jest wielki! —

Więc hrabia postanowił zatrzymać się w Stambule i własnemi oczyma patrzeć na cierpienia i prawdopodobny smutny koniec pięknego ogiera.

I widział jak troskliwie Ormianin przygotował pasy na wiszące łoże konia; jak obmyślnie dokoła przymocował podkładki, aby sobie koń nieodciskał ciała; — widział jak przemyślnie na taśmach wiszącéj nodze złamanej nadał takie położenie: że złamana kość z sobą się zetknęła. Widział i podziwiał spokojną cierpliwość ogiera i smutne jego pojmowanie niedoli swéj i konieczności unikania wszelkiego ruchu. Lecz po dwóch trzech tygodniach widział udo z początku napuchłe otwierające się, widział ropę obficie ciekącą — konia schudłego i smutnego —; widział bo było w lecie — robactwo wijące się w coraz większéj i coraz bardziej zagnojonéj ranie, i niemógł daléj patrzeć, żal mu było konia i Hrycia płaczącego i mizerniejącego: więc dał polecenie bankierowi swemu, aby opędzał koszta utrzymania Dżellabiego aż do końca jego... i odjechał — lądem ku Bessarabii — Wołoszczyźnie i Podolu. Ormijanin zaś do ostatniej chwili utrzymywał: że koń ozdrowieje zupełnie, a Turcy mówili: *Ałłach Kerim*! Bóg jest wielki!

Bez wypadku dostali się do domu, a konie jak im Hryć na okręcie obiecywał wprowadzono do przepysznych przygotowanych stajen i zdaleka i zbliska przy-

jeżdżali ciekawi i podziwiali je. Druga część obietnicy; hetmański rzęd niemogła być spełnioną. Hrabia chciał Bagdada ubrać w przepyszny zabytek hussaryi polskiej ocalony od niszczącego przemysłu starozakonnych złotników; którzy nieznając się jak tylko na blasku — najrzadsze najdroższe a nawet kupiecko najcenniejsze monety i wyroby złotnicze staroświeckie, na nędzne ozdóbki żydowskich czepców, z wielką skrzętnością wyrabiają.

Okazało się jednak: że arabskie konie nie są podobne do dawnych polskich, rozmiarem członków. Ubranie głowy, uzda-trązla były za ciasne; znak: że dawne polskie konie miały małe łby. Napierśnik był za obszerny, a podogonie od guza nabiodrowego począwszy wisiało do połowy prawie ogona. Znać: że polskie konie były piersiste, długie, a spadzistego krzyża. I w saméj rzeczy tak je przedstawia rysownik Puffendorfa, (zdaje się: Dahlberg) tak powiększone tylko, lecz zupełnie te same postacie w uroczystem pochodzie koronacyjnem Augusta II (po niemiecku-biblioteka Moszyńskich w Krakowie posiada) — tak rysował je Delabella (rytownik) a malował malarz obrazów histor. w Żółkwi.

Za to okazała się inna rzecz ciekawa: — Chłopskie drobne konie niekiedy w zakroju głowy, w profilu a nawet częściowo i składzie, dziwnie przypominały arabski skład. Hrabia uderzony temi znamionami wschodniéj krwi, postanowił korzystać z tego w krzyżowaniu rass.

Ciesząc się swemi końmi, zajęty ich dozorem i przyszłością, zacierał hrabia powoli smętne wspomnienie utraty Dzellabiego. Aż tu naraz przychodzi list z Stambułu od bankiera, z doniesieniem: że Dżellabi, zupełnie wyleczony i zdrów, i w drogę iść może. Za leczenie zaś i żywienie, żąda ormianin *niespełna trzysta złp.*— Hrabia przeczytawszy nie chciał oczom swoim wierzyć;

gdyby nie bankier pisał byłby mienił, iż to figiel jaki. Nie myśląc więc wiele posłał pieniądze ormianinowi i temu który go miał odprowadzić na Wołoszczyznę i z niecierpliwością wyglądał naocznego sprawdzenia. — Za kilka tygodni nadciągnął Dżellaby — taki zdrów! taki wesół! taki hyży! że hrabia mimowolnie westchnął i rzekł: Bóg jest wielki, *Ałłah kerim!!* — Więc i my miejmy nadzieję: że się nawet galicyjskie połamane umysły zrosną na pociechę dręczonéj mowy krajowej, opuszczonych dziejów i zapoznanéj uczciwéj swojskiéj oświaty; bo Bóg *jest* wielki! *Ałłah kerim!!* — W czasie swoim jedna z klaczy ożrebiła się źrebcem po Bagdadzie; źrebcem tak ładném: że to na podziw! — I wyrósł wesoło i był rozkoszą swego pana i swych dozorców; bo żaden koń urodzony z arabskich, nie dorównał mu w postaci, nie sprostał mu w zaletach. Kto go tylko widział unosił się nad niém. I przyjechało raz kilku obcych ichmościów, lubowników koni, ale lubowników swego rodzaju. Nie koń, podobał im się! broń Boże! — oni go nie pojmowali, nie czuli jego zalet, jego cnót; nie wiedzieli: że zwierzę to ma własności które tylko z człowiekiem dzieli. Ci panowie mieli tylko w tém uciechę żeby posiadać coś, co nikt prócz nich nie posiada. Oglądali więc konie i zazdrościli hrabiemu że ma takie jakich sami nie mieli. Chcieli je kupić, chcieli tysiącami sypać. I gniewało ich to: że hrabia nie chciał sprzedać ani Bagdada ani jego syna ani innych ogierów pierwszych zalet. Więc mu złorzeczyli, i nienawistném okiem rzucali na konie i złorzecząc odjechali. — Ledwie wyjechali przybiega jeden z stajennych kozaków przelękniony z oświadczeniem: że Bagdad jakiś słaby i syn jego jakiś słaby. Hrabia przelękniony pobiegł do stajni; najlepszy konował przypędził rozstawnemi końmi, ratunek był spieszny i należyty; — wszystko jednak nie pomogło: Bagdad wyzdrowiał, ale syn

jego padł!!—W krótkim czasie znowu zjechali tacy goście nie mili. Bagdada tylko ukradkiem dojźreli i znowu chorował!! i ile razy nienawistne oko nań spojrzało tyle razy niebezpiecznie zaniemógł. Więc rad nie rad wspomniał hrabia pożegnawcze starego szeika napominanie: — Masz perłę Arabistanu! ale strzeż ją przed okiem nienawistnem!!—i stał się z potrzeby zabobonnym. Ile razy odstąpił od tego, tyle razy pożałował, a źrebię pierworodne Bagdada z ciężkim żalem wspomina.

Za to Dżellaby chwat! Najmniejszego chromania nie dostrzeże na nim; a jesienią kiedy po polach bezludnych, po ścierniach i pastwiskach harty kota na oko wezmą i na heco! podskoczą, a Dżellaby pod hrabiem nogi rozpuści a głowę dumnie wzniesie: to proszę słuchać wieści o złamanéj jego nodze i proszę zgadywać, która to? — Gdyby wicher po stepie, gdyby tuman po powietrzu pędzi rozkraczony a z takim ogniem i taką siłą że człek mimowolnie gotów zawołać: Błogosławione łono matki któréj syn ma piękne konie!! — Wszystkie konie zupełnie się przyzwyczaiły do klimatu podolskiego i na ponowie śniegu tak im hulać jako i po zielonéj trawie. O Bagdada ogniu niewygasłém, o jego biegu i wspaniałości w biegu, nawet nie będę wspominał, bo to przechodzi wszystko co tylko w tym rodzaju widzieć można. Dziś jeżeli jeszcze wszystkie te konie żyją, są już staremi ale ich pokolenie nie zwiodło się. Źrebiec z dużą głową, który się wdał w bardzo cenioną po Arabii rasę *bucefałów*— żartem: że ma tęgi łeb, nazwany adwokatem—bez mała czy nie wodził rej między przypłodkiem. Ale tam koni pięknych nie miara wyszło z tego gniazda, i królowie zasilali swe stadniny ztamtąd; a ukoronowane światowładne głowy nie wzgardziły zaproszeniem odwiedzenia tych stajen i spędzenia w nich chwil przyjemnych rozkoszując okiem po cudnéj stadninie.

Z krzyżowania zaś z chłopskiemi z pospolitych wybranemi klaczami, wyrósł osobny ród małych koni. Jakiemi są te malce polskoaraby, za przykład stawię cztery ulubione hrabiego: małe ogierki do pociągu.

W Tarnopolu był zjazd, jarmarczny podobno, a południem zebrała się szlachta do jedynéj tamecznéj szlacheckiéj gospody, i obsiadła długi obrusem nakryty stół przy którym u czoła w wązkim końcu zwykle wiekiem poważna rozmowna obywatelska Mość rej wodziła. Już się obiad kończył kiedy za oknem zagrała trąbka pocziarska i wszedł jakiś młody rossyjski wojskowy. Przywitał uprzejmie przytomnych, i nie siadając nawet ani płaszcza zdejmując pyta: Gdzie to tu hrabia J. D. co to tak słynne konie posiada; daleko on ztąd mieszka? Hrabia siedział na szarym końcu z sąsiadami i przy czarnéj kawie palił jak zwykle stambułkę z krótkiéj antypki. Słysząc swe nazwisko obejrzał się, zmarszczył brwi wedle zwyczaju swego, a widząc młodociane pogodne oblicze rossyanina, wstał i idąc ku niemu rzekł: jestem do usług!

Przedstawił się podróżny jako kuryer rossyjski i prosił najusilniéj czyby nie mógł widzieć stada, którego sławy Wszechrossya pełna i którego sam wielbicielem wielkim jest.

Hrabia się skłonił i zawołał: Szampana!

— Ale ja muszę jechać, ja kuryer!...

— Wiem — zajedziesz Pan: Szampan! —

Rossyanin się kręcił, niepokoił, bo postylion konie zakładał...

— Niech sobie jedzie! zawołał hrabia! a szampan zaszumiał w kieliszkach. Postylion zaś na rozkaz dany zaciął konie i pojechał. — Wypito, i siedli na wózek uprzężony czterma ogierkami małemi, skarogniademi w których widocznie krew arabska z pospolitą chłopskich koni krwią zmięszana. Ruszyli szalonym pędem

i owe bez mała dwie mile przelecieli nie wiedząc kiedy. Zsiadając, rozkazał hrabia kucharzowi gotować podróżny obiad. Rosyanin sprzeciwiał się — gadał o pośpiechu..... ale hrabia uraczył cygarem i poszli do stajni. Rosyanin bogatego rodu od młodu widać do koni przywykły zachwycał się pięknością stadniny, a oglądając stare ogiery nie znał granic w chwalbie i podziwieniu.

— Ale gdzie Bagdad? pytał powtórnie; Bagdada mi pan pokaż!

Hrabia zmarszczył czoło—

— Mój panie hrabio! Bagdada muszę widzieć: powiem panu dla czego? Moi i pana rodacy lubią się po świecie włóczyć, a obejrzawszy wszystkie hotele Europy i wszystkich kellnerów, aktorów i danserów, kiedy im już za ciasno — i kiedy się nasłuchali od anglików o Indyi a od francuzów o Algeryi; nie wiedząc po co? i na co? jadą do Arabii i Syryi. Otóż kilku takich podróżnych zetknęło się z arabami wielkiéj puszczy i z zadziwieniem słyszeli zapytanie: Franku! nie wiesz ty, żyje tam w Frankistanie nasz Bagdad co go kupił brat „Emira złotego lwa“? — Ostatni podróżny co mi o tém wspominał: była piękna polka z jasnemi oczyma i lśniącemi kędziory około głowy. Za ideałami zjeździła Afrykę i Azyą i zdybała w drodze szlachcica także za ideałem nie wcieloném w myśl ani postać, jadącego z Kairu do Syryi. On na dromedarze tam —ona na wielbłądzie nazad. Znaleźli się oboje! więc się nawróciło jedno z nich, i wrócili w zabrane kraje. Opowiadają cudne rzeczy o swém zdybaniu, poznaniu i znalezieniu się; o cudach nieba i ciszy na pustyni, a szlachcic po cichu dodaje naukę moralną: żeby go powtórnie ani piernikiem do Arabii i Syryi nie wywabił. Cała ta gadanina nie bawiła mnie. To mnie zaś uderzyło: że i ich się arabowie o Bagdada pytali; dodając: iż to była perła

Arabistanu, najpiękniejszy koń puszczy. Co to za koń musi być? jaki on może być? hrabio! bój się Boga pokaż mi go; wszakże i tak widzisz że się opóźniam w drodze, że narażam się na niełaskę Rządu—a niełaska cara to u nas nie żarty!!—

— O! już co do opóźnienia możesz pan być spokojnym! i Bagdada panu pokażę kiedy tak! bo widzę szczerze miłujesz konie.

Poszli do Bagdada obaczyli w stajni: piękny bo piękny. Wyprowadzili ze stajni: jakoś zaraz za progiem ognistszy, wspanialszy!!—Osiodłano: ba! coraz piękniejszy; już śliczny, już nieporównany!!!— Hrabia dosiadł, ruszył: *jej! Bogu!* cudo! cudo nad cudami! świat się kończy!!!—Rosyanin był poruszon jak gdyby przy pierwszém zakochaniu... głowę tracił.

— Obiad na stole! zawołano— Rosyanin się zerwał z pośpiechem: kuryerski pośpiech owładnął go. Hrabia zaś najspokojniéj prosił do stołu, zaręczał honorem za nieopóźnienie się i kazał skarogniade ogierki zakładać. Zjedli, wypili, zapalili cygara i siadają: hrabia na koźle z krótką antypką w burnusie i feszu— rosyanin w tyle z kozakiem. Wedle zegaru miała poczta dojeżdżać drugiéj stacyi. Ogierki niecierpliwe ruszyły a wózek się potoczył ale nie za drogą! ktoby tam pilnował podolskiéj drożyny!—Za słońcem! na zachód! rów nie rów— zagon·nie zagon — zawodził hrabia ognistą czwórką: a kiedy któren skręcił połyskującém silném karczkiem to było widać oko wypuczone jak gdyby go wysadzić chciało, a z chrapów buchała para: ogień, a zdawało się że i krew! a z pyska zaciętego, lub żującego stalowy musztuk odlatywała piana; a kopyta padały na ziemię jak gdyby motyki ostrzem, ale jéj się mało dotykały i tylko pazorem;—w łopatkach zaś i krzyżu igrały i prężyły się ściągna, że obawa brała: iż wszystko popęka. Ale gdzie tam! od czasu do czasu podrzucały

tylko łbem i karkiem grzywiastym a ogon odstawiały od siebie. W pół godziny obaczono pocztowy wóz, bokiem na gościńcu a stacyą przed sobą. Postylion chciał swoje pokazać i walił konie batem i pędził co mógł. Nadaremnie! jak błyskawica przelecieli mimo, dopadli stacyi, a kiedy poczta nadjechała już szampan kipiał z kieliszków! —

Oto małe skarogniade ogierki i rassa polsko arabska! W zimie kiedy na chłopskich saniach z chartami na smyczy kota się objeżdża i dojeżdża: wtedy proszę ich widzieć i nie dziwić się!

Miał tedy hrabia konie, miał stadninę, stajnię; miał wszystko: jednéj rzeczy mu zbywało!—Polska szlachecka krew czysta kiedy zawrze ku czemu to namiętnie! kiedy polubi to szalenie, a podolska dusza w dodatku bywa i upartą: więc téż hrabiemu wszystko za mało było. Nie dość że cały dzień bujał po swojém żywiole i od świtu do nocy żył w pośród ukochanéj stadniny, niedość że wszystko swe życie wszystkie myśli oderwawszy od świata zwrócił swym ulubieńcom! — W chwilach nawet wypoczynku, chciał być w pośród nich i z niemi: z wszystkiemi swemi ulubionemi końmi wraz! — chciał koniecznie mieć ich wyobrażenia, za ramkami po ścianach!—

Jedzie do Lwowa do panów malarzy! i pyta czyby mu który koni nie pomalował?

Jeden odpowiada: że nie maluje tylko ludzi salonowych — drugi tylko świętych po ołtarzach, ścianach, chorągwiach—trzeci, twierdzi: że malowanie bydląt jest najniższą gałęzią umnictwa;—czwarty wmawia gwałtem w ludzi: że wszyscy polacy od wiek wieków chodzili po francuzku, grali na arfach i kręcili się na jednéj pięcie zupełnie tak jak dwór Ludwika XIV na obrazach malarza Vatteau w galeryi Luwru.

Podolanin zniecierpliwiony, mruknął im: pal was kat! błazny!—i poszedł do łaźni, wyparzyć się wedle zwyczaju. Tam wedle zwyczaju siadł na ostatniém stopniu, parzył się i dumał; co tu począć? — W Wiedniu zdaje się tacy sami osły będą, co wolą głupich ludzi malować niżeli mądre konie. Z Paryża trudno sprowadzać kogo;—co tu robić?

W tém słyszy na dolnych stopniach rozmawiają studenci: akademicy!

— Szkoda! że tu niema Julka toby nas porysował, jak tu nago leżymy—

— Nie potrafiłby! on tylko konie lubi rysować i ussarów.... Hrabia się przybliżył ciekawie.... a podsłuchawszy panów akademików, aby go byli łaskawi zapoznać z tém panem który tak bardzo lubi konie rysować.

Tego samego dnia przedstawił się mu młody chłopiec, słuchacz pierwszego roku praw, syn zmarłego radzcy sądu karnego—pięknego wzrostu i ułożenia, a ładnéj i niesłychanie miłéj twarzy na której ciemny porost miękką puchową bródką i wąsikami przyozdobił. Hrabia z radością uważał jak ciemna źrenica młodzieńca na opowiadanie o koniach arabskich błysła światłem niezwykłém i jaśniejszém od zwykłego ludzkich ócz promienia:—Zaprosił go więc na wieś chcąc mu pokazać te konie. Młodzian najchętniéj przystał i opowiedziawszy matce zabraną znajomość, wybrał się na kilka dni na Podole. Ale te kilka dni zeszło, i drugich kilka dni zeszło, a jego nie widać. Dr. Napadyewicz i Dr. Chlupp nadaremnie czytają w katalogu: *et dominus noster...*; bo *dominus noster* zapomniał o prawie natury i narodów i statystyce Europy i cesarstwa rakuskiego. On siedział i stawał, i chodził od stajni do stajni i oglądał ogiery i klacze i nie mógł się napodziwiać.

Hrabia chętnie widział wzrastający zapał, i radził mu próbować sił w rysowaniu koni.

—Ale gdzież ja potrafię konia podobieństwo uchwycić?

— Ale kopyto samo potrafiłbyś pan?

— Kopyto bym potrafił.

— Hryciu! przynieś tam jaką kość z kopytem z konia zdechłego. Przyniesiono kopyto a hrabia tłumaczył: — To strzałka, to wieniec, a to kut, to pęcina, kostka itd. U koni co mają kopyta nie obcinane, zaniedbane, rozszerza się róg i rozrasta wszerz.... pęcina zbyt długa czyli zajęcza ma to do siebie.... krótka to... i t. d. Tak się rozpoczął od niechcenia wykład składni ciała końskiego i rysunku, od kopyta. Zaraz piérwsze kopyto udało się, i połysk na niem i cień od niego; z jednéj strony i z drugiéj i z przodu i od pęciny i z pod spodu. Potém przystąpiono do dalszych części; do kolana, do uda i coraz daléj. Wszystko zaś rysował pojętny uczeń z początku z koni starych, suchych, spokojnych i z końskich zwłok. Późniéj dopiero brał się do żywych, i to najprzód z boku stojące rysował, daléj w zgięciu, w chodzie, a w końcu w biegu. Coraz lepiéj rozumiał swoje zadanie i coraz lepiéj go rozwiązywał, a w krótkim czasie poznawali ludzie i zwali po imieniu, rysowane i wodną barwą lekko odmalowane konie. Więc też i kozaka który konia trzymał wyrysował i tego co nań siadł, i kamyk na ziemi leżący i drzewo... chatę. Powoli, powoli przerysował i przemalował całe stado; a szlachta podziwiała uchwycone podobieństwo tak koni jak ludzi. Więc téż i hr. Władysław R. chciał konie swoje widzieć malowane, i hr. Leon... i inni.

W Łancucie na angielski sposób wyprawiali panowie *Steeple-chase* w czerwonych pół frakach, żółtych spodniach i kitajkowych kaszkietach; więc trzeba było uwiecznić ten wielki pomysł, gdzie kilkadziesiąt psów angielskich i panów polskich na koniach, biednego kota

spłoszonego gnało tak: że przestraszony od zbytniéj zgrai zwykle do ziemi kot przysiadał; psy i konie przez niego skakały a on nieborak podziwiając nowy i wcale nie tani sposób zajęczéj wojny — nazad uciekał, jeżeli go jaki ciekawy polowy kijem nie domacał, idąc z tyłu za polowaniem. Raz nawet na jedném folwarkn kilkunastu zajęcy z przestrachu na boisko do stodoły się schroniło, kędy może za owsem śledząc otworek jaki koło wrot wynaleźli. Wielkiego oni strachu a potem śmiechu nabawili dyspozytora i gumiennego, kiedy otwierając boisko skaczących po ścianach zajęcy ujrzeli: myśleli że to duchy. Koniec końcem trzeba było koniecznie uwiecznić całą wyprawę na zające łancuckie: więc przywieziono młodego rysownika. Wiernie oddał co widział. Angielskie polowanie przygarbionych panów w czerwonych kubraczkach (nieprzymierzając!!!) — robiło *furore* po Lwowie wystawione za szkłem w księgarni Wilda. Ale większe wrażenie zrobił młody rysownik i roboty jego na śp. Michałowskim cnéj pamięci prezesem późniéj w Krakowie. Jadąc do Paryża wstąpił do Łańcuta, poznał rysownika i rysunki koni, i zdziwił się. I wstrzymał podróż i wrócił na trzy dni do domu w Przemyskie. Tam w pracowni swéj pół stajni, pół salonu, tłumaczył uczniowi swemu pojętnemu, co uważał że mu trzeba. Zwrócił uwagę jego na siebie, na umnictwo, na dzieje, i w kilku dniach nadał zdolnościom jego dążność właściwą: rozstrzygnął los jego.

Odtąd widoczna pewność w uchwyceniu i oddaniu, widoczny namysł przebijał się w robotach exprawnika młodego.

Wincenty Pol — dziełami i rozmową — Aleksander Batowski, i Gwalbert Pawlikowski zbiorami swemi dodali rysownikowi; pierwszy polotu i owéj rodziméj poezyi Janusza... drudzy tła dziejowego i obeznania się z starożytną zbroją, bronią, rzędem, i powagą hussarską he-

tmańską i królewską. I powstały większe dzieła rysowane i malowane, których początkiem, prześliczna: krakowska furmanka zajeżdżająca przed ganek szlacheckiego dworu (nabyta od Leona hr. Rzewuskiego) a dalszym ciągiem bitwy pod Białocerkwią i Żółtowodami które na pierwszéj obrazów wystawie krakowskiéj widzieliście. Rysownikiem bowiem młodym był nie kto inny tylko: Juliusz Kossak — a rysować od kopyta począwszy aż do Bagdada w pełnym biegu—uczył go Juliusz hr. Dzieduszycki. A jeżeli w tém opowiadaniu cokolwiek niedokładności zaszło, upraszam Kossaka aby hrabiego za mnie i za siebie przeprosił, jakoż i ja niniejszém przepraszam.

Bartłomiéj Arbuzowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Pierwszy przymiot pamiętników — dobra wiara; ztąd naganne fałszerstwo szczególniéj w pamiętnikach historycznych. Komu przystoi pisać pamiętniki? Moda pamiętników.— Pamiętniki Ewy Felińskiéj— Charakterystyka ośmnastego, a początku XIX wieku. Wielkie domy i zagrody szlacheckie. — Exdywizye i bankructwa. — Duch zabaw towarzyskich: Szarady i Mistyfikacye.— Słówko o wadzie rozwlekłości.— Odpowiedź na artykuł w Bibl. Warsz.

Nienależę do liczby tych, co utrzymują, że tylko to można dobrze pojmować i trafnie malować na co się własnemi oczyma patrzało, lub czego doświadczało się w życiu. Aby opisać burzę, rozbicie się okrętu, bitwę, niekoniecznie trzeba było walczyć z falami rozhukanego morza, lub z bagnetem uderzać na nieprzyjacielskie szyki; dość bowiem widzieć z brzegu szalejącą falę, albo przypatrywać się niekrwawéj rewii, a resztę już na tém tle może dopełnić wszystko ożywiające uczucie i wyobraźnia. Podobnież, ażeby wytłumaczyć serce człowieka jego uniesienia i upadki, potrzebaż samemu ulegać wszystkim porywom namiętności?

Zdaje mi się, że dosyć jest pojmować to uczuciem, widzieć i badać.

Jednakowoż i to pewna, że kiedy sam człowiek przechodził różne koleje życia, doświadczał wielkich nieszczęść lub niebezpieczeństw, natenczas przy talencie przedstawienia ich, potrafi obrazowi swemu nadać i więcéj prawdy i więcéj naturalności.

Dla téj saméj przyczyny i osoby, których życie mięszało się z ważniejszemi wypadkami, bądź przez czyny, bądź przez uczuciowy udział, co ulegały niezwyczajnym ciosom losu, a nadewszystko, co obdarzone były badawczym wzrokiem i umiały sądzić świat pośród którego żyły— daleko nas silniéj i prawdziwiéj mogą zająć i wzruszyć, oświecić i przekonać, niż te, co na tle książkowego oczytania się, pozwalają bujać swojéj fantazyi.

Powyższa uwaga, jakkolwiek mogłaby bardzo stósować się do powieści i romansu, po którego autorach zawsze wymaga się studiów z realnego świata, to jednakowoż najwięcéj ściąga się do pisarzy pamiętników.

Sądząc prostym rozumem, zdawałoby się rzeczą niepotrzebną przypominać komu, co pisze pamiętniki swego życia lub swoich czasów, aby opisy czerpał ze zdarzeń w których miał udział bądź jako aktor, lub naoczny świadek, bądź jako sprawozdawca opowieści ust prawdomownych. Dobra wiara publiczna zawsze przypuszczała dotąd, że pamiętnik jest coś nakształt sumiennéj spowiedzi z przygód, wrażeń, wypadków doznanych w obcowaniu z ludźmi, co albo grali nieposzpolitą rolę w dziejach, albo odznaczali się jakąś osobliwością talentu, lub charakteru; że wreszcie taki pamiętnik zapisując drobniejsze szczegóły i rysy uchodzące zazwyczaj oku historyka ogarniającego większe horyzonty, dostarczy tem samem materyału, z którego historyk - filozof urobi ogólne a trafione oblicze społeczeństwa pewnéj

epoki. Nareszcie, krom tego przymiotu posiłkującego dzieje, taki pamiętnik mając być żywym obrazem minionych czasów i ludzi, przekazicielem tradycyj co z opowiadań starców przeniosły się do książek— wszczepia się w pamięć i serce nowych pokoleń, sąd ich urabia do ocenienia każdéj nowości, każdego przeobrażenia się pojęć moralnych, a nadewszystko każe ukochać i odmłodzić niejedno co minęło a było godne czci i miłości, lub niejedno odrzucić od siebie co potępił Sąd Boga i ludzi, a co wlecze się za nami jak cierń uczepiony do sukni.

Tak ja sobie wyobrażałem zadanie piszącego pamiętniki, tak sobie wyobraża każdy rozmiłowany w pamiętnikach Paska, Kitowicza, Kopcia, Wybickiego, Ursyna, Karpińskiego i innych niewielu, co mając samą rzecz na względzie, niemyśleli nawet o tem że są twórcami jakiejś nowéj formy literackiéj. To bowiem pewna, że kto usilnie szuka formy dla swojéj myśli, nigdy jéj nieznajdzie, a tem samem niestworzy, bo taka myśl zakłopotana, macająca, jest już z natury swojej jałową, nierodzajną; przeciwnie myśl owocująca przynosi z sobą razem i formę. Pasek zapewne niebiedził się w jakiéj formie odda wesołe i awanturnicze koleje swego życia, a jednak stworzył najdoskonalszą pamiętnikową formę.

Wtrąciłem to postrzeżenie, bo uważam, że przemysł dzisiejszych pisarzy o nic się tak niekłopoce jak o wynalezienie formy dla swoich pomysłów, które niemogą żadną miarą przyjść na świat bez téj ciężkiéj operacyi; że zaś forma jaką sobie ten i ów pisarz przyswoi zupełne ma podobieństwo z pożyczanym frakiem, przeto chcąc swą istotę zastosować do sukni, kurczą się lub wyciągają ramiona, pierś się wypycha, lub oddech wciąga, a tak powstaje nadużycie i zużycie. Literaturę dzi-

siejszą możnaby w pewnym względzie napiętnować mianem epoki: nadużyć i zużyć.

Weźmy między innemi pamiętnikową formę, która nabyła u nas pewnéj wziętości takim Paskiem lub Kitowiczem—i zaraz znaleźli się zręczni pisarze co pod tę formę podszyli skrzydłem swojéj wyobraźni zmiecione różne pyłki historyczne nieprzystające do siebie, a często fałszywego pochodzenia, lub sfałszowane umyślnie. Jeżeli im brakło wątku i imaginacyi do osnucia zajmującéj powieści, nadawali jéj diarjuszową formę bardzo swobodną, bo fragmentaryczną. Szczególniéj z czasów konfederacyi Barskiéj i późniejszych, narodziło się co niemiara takich pofałszowanych pamiętników, w których że najczęściéj występują osoby bardzo podrzędne, niefigurujące na większéj scenie dziejowéj, więc niepodobna kontrolować je; po tem tylko można poznać ich apokryficzność, że się same zdradzają anachronicznemi sentencyami i pojęciami. Takie igraszki pióra niemiałyby zresztą nic zdrożnego, gdyby niebałamuciły wyobrażeń i faktów historycznych dotąd niedość ściśle i wytrawnie zbadanych, tem bardziéj, że podobne pamiętniki układane bywają przez dzisiejszych pisarzy z jakich niefo-remnych i dorywczych notatek, albo z opowiadań pochodzących z mętnych źródeł, jak tego mieliśmy przykład w różnych urywkowych pismach i wzmiankach rehabilitujących związek targowicki. Niepowiadam do tego aby i targowiczanin niemiał co powiedzieć na swoje usprawiedliwienie się, jeżeliby pismo takie wyszło z pod pióra jednego lub drugiego matadora związku—lecz pamiętnik jakiego poplecznika, obskurusa, co mógł być tylko posłusznem narzędziem, niewiele wyświecić potrafi, a jeszcze mniéj warto na jego zdaniu polegać, chyba że ma komu posłużyć za obronny szaniec.

Zresztą zdaje mi się że aby pisać pamiętniki coby miały powagę historyczną, potrzeba znaleść się w pe-

wnych niezwyczajnych warunkach. Mógł je pisać książe Saint-Simon na wysokiem stanowisku u dworu przy nadzwyczajnie rozległych stosunkach i znajomościach; mógł Tallemant des Reaux echo opinii mieszczańskiéj, zawistnie śledzącéj każdy krok arystokracyi, mógł Cezar, Żółkiewski, Jakób Sobieski hetmaniący wyprawom, mógł awanturniczy Pasek i skrzętnie gromadzący fakta i pogłoski Kitowicz, z resztą górujący patryotyzmem i światłem; mógł Wybicki i Niemcewicz przez lat czterdzieści z górą biorący udział w nieszczęściach rzeczy publicznéj, będący potęgą moralną wybitniejszą nad inne; mogło tylu jeszcze stojących dość wysoko, aby ogarniać szersze widokręgi i rozumieć działające sprężyny, ale historyi robionéj przez zaściankowe figury obracające się w kółku powiatowém, a przynajmniéj z powiatowemiwyob rażeniami, uważam raczéj za niepotrzebne rupiecie, jak za pochodnię mającą rzucić światło prawdy na ludzi i wypadki; tem bardziéj gdy liczne a przywiązane do chwili konieczności, którym muszą ulegać publikacye podobnych pamiętników, sprawiają, że każda drażliwsza prawda bywa w nich usuniętą, lub tak osłabioną omówieniem, że jeźli nie czcza gadanina zostaje za całą korzyść, to korzyść ta bywa bardzo nikła; służy ona najczęściéj za materyał dla pisarzów powieści niemających dość fantazyi aby wynaleźć, ani dość talentu aby obserwować to co ich otacza, i na co patrzą.

Niewielkiéj także powagi pod względem prawdy i rozumnego ocenienia wszelkich ruchów wojennych, używają niektóre pamiętniki i wspomnienia z Napoleońskich i innych kampanij pisane częstokroć przez niższego stopnia oficerów, a nawet prostych żołnierzy. Maloznaczne zdarzenia na kwaterach lub w marszu, drobne epizody utarczek posterunkowych, mogą być oddane z humorem, dowcipem i ciekawość nastrajać jak dobra powieść; ale

ta przyjemność okupywana bywa najczęściéj wielkiemi bredniami co do rzeczy ważniejszych. Przypominam sobie jak przed kilku laty, kiedy w Atheneum wyszły pamiętniki Szefa Drzewieckiego, czytałem je jenerałowi Chłopickiemu: słuchał ciekawie, lecz w tych ustępach co o legionach włoskich mówiły, często jak lew grzywą wstrząsał białym włosem i przerywał: nieprawda, to nietak było', on tam niebył! — i komentował każdy fakt z tą pamięcią co go nigdy niezawodziła i prawdą, któréj nigdy niezawodził; bo nieznałem człowieka coby ją więcéj jak on miłował, coby mniéj chluby szukał z życia tylą chlubnemi zapisanego dzieły. Jakoż pomimo wspomnień mogących obudzić zazdrość w niejednym hetmanie, na kilka lat przed śmiercią spalił swoje pamiętniki, ten czysty materyał prawdy do historyi legionów, i wojny hiszpańskiéj.

Pozostał jeszcze jeden rodzaj pamiętników i autobiografii zajmujący się wyłączniéj sferą towarzyską lub uczuciową; wielkie fakta krajowe mogą w nich być ocenione w odbiciu się na umysłach i stosunkach domowych, co jeżli jest trafnie pochwycone, wiele przydaje do wyjaśnienia historycznych zdarzeń. Wreszcie skreślenie obyczaju i zwyczaju pożycia obywatelskiego, ducha prowincyonalnego, siła uczy, bo wyświeca przeszłość z téj strony jaka najczęściéj w skład oficialnéj że tak powiem historyi, niewchodzi; bo nam powiada co w życiu minionych pokoleń było dobrego i zbawiennego, i jak często dla lada błyskotnéj nowostki zwanéj modą, porzucaliśmy poczciwy obyczaj domowy surowy i prosty, lecz pełen kleju i wyrosły na fundamencie. Zmyślenie potocznych zdarzeń, jest tu mniéj niebezpieczne, bo drobne szczegóły niewymagają téj ścisłości i kontroli co historyczne; zato sam ton opowiadania, sama trafność z rzeczywistości dobranych rysów i przykładów, budzi wiarę w czytelniku co ma pokrewne tym wspo-

mnienia, tem łatwiéj, jeżeli talent umiał skorzystać z bogatego materyału przechowanego w pamięci.

Do tego ostatniego rodzaju odnoszę świeżo wydane *Pamiętniki z życia Ewy Felińskiéj* *) téj saméj, która przed ośmią laty opisała swoją podróż do Syberyi, ale podróż, jak się można domylać, nie z ciekawości poznania cudzych krajów podjętą. Jakkolwiek tedy pisała ją pod grozą borealnego mrozu ścinającego każden krzyk rozpaczy, osypującego bielidłem szronu jaskrawe barwy rzeczywistych obrazów; przecież usłyszano w jéj głosie jęk przepołowionéj duszy narodu zarzuconéj na drugi kraniec świata... Powodzenie téj książki ciche lecz wymowne, miało przyczynę swoją nietylko w treści, ale i w talencie pisarskim pani Felińskiéj. Tegoż spodziewając się i po pamiętnikach z jéj życia, tem skwapliwiéj wziąłem się do przeczytania trzech grubych tomów. Nadzieja niezawiodła, tem więcéj, że nierobiłem sobie przesadnego wyobrażenia o nadzwyczajnościach życia wiejskiego w oddalonym zakątku Litwy. Autorka też niesili się na epos dziwnych przygód, ale po prostu z wdziękiem niewieścim, a dojrzałym rozumem matrony, opowiada dzieciom swoim wspomnienia sięgające ostatnich lat upłynionego stólecia. Zapewne jak sama powiada, życie prywatne, a szczególniéj życie kobiety z natury swojéj mniéj związane z ogółem, niewiele nastręcza wydarzeń podniecających ciekawość, zatem i pamiętniki opisujące takie życie, miałyby raczéj wartość portretu familijnego, a nie historycznéj kompozycyi. Lecz gdy nieraz się zdarza, że portret wyobrażający nieznaną jaką figurę, byle był dziełem dobrego mistrza, obstoi za olbrzymie historyczne płótno, partacza— tak i familijnym wspomnieniom

---

*) **Pamiętniki z życia Ewy Felińskiéj autorki wspomnień z podróży po Syberyi, pobytu w Berezowie i w Sarątowie. 3 Tomy Wilno nakład Zawadzkiego 1856.**

Felińskiéj wyższe dalbym miejsce nad niejedne okrzyczane Pamiętniki, co oratorskim tonem odkrywają nam rzeczy dawno i szczegółowiéj odkryte, i co żadnéj chwili dobrze scharakteryzować nieumieją, chociaż piszący powołany był na świadka w niejednym wielkim dramacie. Prosty wniosek: że człowiek stanu najczęściéj nieznajdował się na wysokości wypadków, kiedy kobieta czuciem swojem zawsze się do nich podnieść umiała.

Ztąd pamiętniki Felińskiej choć się obracają w sferze dziecięcych igraszek, a później zabaw towarzyskich, przejażdżek z powiatu do powiatu, odwiedzin sąsiedzkich, wesel, imienin, znajomości na balach, wyborach kondescensyach, nietracą na wartości, bo jak sama dobrze to wypowiada w przedmowie, że „przeżywszy lat sześćdziesiąt, dotknąwszy różnych szczebłów towarzystwa, żyjąc w epoce dziwnych i niepospolitych przewrotów, nietylko w kraju naszym, ale i u obcych, byłam świadkiem naocznym, jak nasze towarzystwo ulegając silnym wpływom zewnętrznym i wewnętrznym, nagle się przekształcało zrzucając dawną postać, a przyoblekając nową. Może mi się uda zatrzymać temi wspomnieniami kilka form, które całkiem znikły z naszéj ziemi, a które jednak stanowią ogniwo łączące przyszłość z przeszłością, tłumaczące powód przekształceń, których dziś widzimy skutki, nie pojmując dokładnie przyczyn, które je przygotowały“.

Można oddać zacnéj autorce tę sprawiedliwość, że umiała przenieść w pisane wspomnienia swoje nietylko cechy ziemiańskiego towarzystwa pośród którego żyła i wychowała się w okolicach Słucka i Białorusi, ale nadto w malowanych charakterystycznych rysach skreślić obrazy niektórych form życia obywatelskiego, co już bezpowrotnie minęły, pokazując zarazem jakim to wpływom ulegały wyższe warstwy, i jak ten wpływ do niższych

się przenosząc dokonywał zupełnego przeobrażenia stosunków.

Ciekawa to figura tego Wendorfa stryja jej, w którego domu wychowywała się od pierwszych latek! Szlachcic na kilku wioskach, otyły, małomówny, siedzący zawsze przy swoim kantorku, rządził się wybornie i robił kapitały, choć nie grał na gieldzie, ani się rozbijał za gospodarką — ale cała machina raz w tryb wprowadzona, trzymana karnością i uczciwością, szła bezpiecznie, pomimo, że serdeczna staropolska gościnność przyjmowała w dom nietylko sieroty i ubogie kuzynki, nietylko guwernantkę z ośmiorgiem dzieci, ale jeszcze i bliskie i dalekie sąsiedztwa zajeżdzające dworno i konno a bawiące po całych miesiącach. —

Zkądże wystarczył na te szczodroty szlachcic dobrego mienia, a nie żaden magnat, lub spekulant? Zkąd? odpowiedź łatwa — niekasał się na zbytki, niepodróżował bez potrzeby za granicę i ani mu się śniło grać o lepsze z kleckim lub nieświezkim Radziwiłłem — Mebli tam ani powozów nieodmieniano co roku, sukien i błyskotek niesprowadzano z Paryża, a na zagraniczne przysmaki, krom wina, cukru, kawy i pieprzu pewnie ani grosz nieposzedł. — Spiżarnia domowa wystarczała na wszystko, choć jak powiada autorka, czerpano w niéj jakby wbezdennéj studni, a przecież nie było trwogi, że się wyczerpie.... Cudowna obfitości mnożąca się w miarę gościnnej szczodroty, gdzie szukać ciebie!?. czy w dzisiejszéj tak zwanéj kalkulacyi, co z własnego domu ucieka aby nienarazić się na koszt przyjmowania sąsiadów? Cały sekret w tém, że ojcowie nasi inaczéj rozumieli życie, jak dzisiejsi wyznawcy samolubnego pysznoskąpstwa, co się wyzuli z owych serdecznych związków rodzących się z wzajemnego podziału bożych darów, aby natomiast wykwintnemi zachceniami, wygódkami, błyszczącą powierzchownością, stawiać się ni-

by na téj linii cywilizacyi na jakiej stoi klassa najmajętniejsza i utytułowana.

Ale temu samolubnemu pysznoskąpstwu niedarzy się jakoś, — a jak się niedarzy, przekona się czytelnik z trafnych postrzeżeń autorki.

„Kiedy zapuszczę myśl w przeszłość — powiada ona i przypomnę jaki panował dostatek po domach szlacheckich, jaki spokój o jutro, szukam gdzie się podziało źródło tego dostatku? kto je osuszył? Wszak nasza bogata ziemia rodzi tak samo, a może lepiej niż przedtém rodziła; jeżeli podatki się zwiększyły, to też i płody ziemi podniosły wartość. Nie karmimy po domach tyle rozmaitej ludności potrzebnej i niepotrzebnej, ileśmy karmili dawniej, bo dziś wszystko idzie w rachunek; kraj nasz nie wymaga ofiar nadzwyczajnych, co się dawniej trafiało, a jednak wszędzie ucisk. Mimo pozornéj okazałości, wszędzie się przebija niedostatek rzetelny, a jeśli kto jeszcze trzyma się na nogach, jakąż pracą, wysileniem, ciągłą wojną odporną musi zdobywać to położenie, inaczéj prądby go uniósł.“

Ten przełom ducha narodowego odbył się w oczach autorki w samym początku bieżącego wieku; prowincye bliższe zachodu wcześniej się przeobrażały; Polesie, Litwa, Białoruś później. „Niektórzy starzy ludzie — powiada ona — w rzędzie których można liczyć mego stryja, trzymali się jeszcze z miłością dawnych form, dawnych zwyczajów, ale młodzież biegła nowym torem przesiąkła nowemi wyobrażeniami. Wielu też ludzi dojrzałych, nawet przejrzałych, zrzuciwszy kontusz biegli niby drogą postępu w czwał za innymi, bo ta droga zdawała się im łatwa i przyjemna, zrobiwszy rozbrat z dawną prostotą, z dawnemi wierzeniami. To też zdaje mi się, była to epoka najgorsza, epoka dezorganizacyi. Każdy przykładał rękę aby niszczyć co było zrobionego wywracać dzieło wzniesione pracą ducha wielu wieków,

opłacone wielą ofiarami; i myślał że pracuje dla dobra ogółu. — Nic łatwiejszego jak niszczyć: to też wielu przybiegło z gotowością ustną; ale gdy przyszlo odbudowywać na nowo, zabrakło biegłych rzemieślników; a z budowy wzniesionej wiekami, zostały bezkształtne gruzy“. —

Takiemi to reflexiami i postrzeżeniami branemi z doświadczenia przeplata autorka swoje opowiadania, które dostarczają wymownych faktów pokazujących w jaki sposób odbywał się ten proces wewnętrznego przeobrażenia narodu. Jeżeli nam z jednej strony pokazuje dom zamożnego szlachcica trzymającego się starego obyczaju tak w prowadzeniu gospodarstwa, jak w stosunkach obywatelskich, jak w całym trybie życia, to obok pozwala zaglądnąć na dwór Radziwiłłów kleckich lub nieświezkich, za pośrednictwem swego stryja Wendorfa, zachowującego do późnej starości nietylko obowiązek dobrowolnego trudnienia się interesami książęcego domu, ale nawet, kiedy książe Antoni następca na ordynacyę klecką umarł, a przeżył go książe Maciéj ojciec, zgrzybiały i zdziecinniały, co się już na pokojach niepokazywał, Wendorf regularnie co niedziela, sam zaszły w lata starzec, zabierał się i jechał z attencyą do Radziwillimontów, rezydencyi książęcej.

Niebyła to próżna ceremonia, ale tradycyonalny obyczaj stawienia się swoją osobą w tem naturalném ognisku jakiem bywały zdawiendawna dwory możnych panów i Senatorów. W tym bowiem ognisku światła, poloru, znajomości rzeczy publicznéj, protekcyi, wyrabiał się duch obywatelski, zawiązywały solidarności interesów, ustalała się opinia o ludziach i rzeczach. Główne to ogniwo trzymało w spójni całą społeczność szlachecką — to też kiedy raz prysło, kiedy taki Radziwił przestał znaczyć wpływem, kiedy głosy ziemiańskich przyjaciół nienadawały mu już powagi i w rządzie siły,

bo i on zrównał się z drugiemi w obec pierwszego lepszego sprawnika — został tylko zwyczaj kończący się śmiercią jednych, a wystąpieniem młodszej generacyi przeobrażonéj naciskiem nowych stosunków. Chwila tego przejścia wybornie charakteryzuje się w tych dwóch Radziwiłłach ordynatach kleckich, ojcu i synie, co choć zawsze jak dawniej przyjmowali tłum szlachty, ale już niemieli klucza do serc obywatelskich; bo kiedy stary wojewoda szedł po obiedzie spać, to zostawiony syn dla bawienia gości usypiał w najlepsze. Z tego powodu zabawną czytamy anegdotę w pamiętnikach Felińskiéj: „Pomiędzy obywatelami zebranemi w Radziwillimontach znajdował się młody człowiek Hipolit Korsak. Umiał on doskonale przeistaczać siebie w postać księcia Wojewody trockiego, który był stary, niskiego wzrostu i ułomny, z nosem garbatym spuszczonym prawie na brodę. Sama widziałam to przeistoczenie, bo czasem Korsak za wielką prośbą robił z siebie księcia. W tenczas kurczył nogi, zniżał się, zakładał w tył ręce podsuwając pięście pod frak i sięgając niemi do łopatek, tak, że się garb formował, a gdy do takiej postaci przeciągnął twarz, że nos spuścił się na wargi, wtenczas ta karykatura naśladowała wybornie postać wojewody. Otóż tą sztuką Korsak jednéj niedzieli zabawił gości w Radziwillimontach. Po obiedzie książe Wojewoda porzuciwszy gości, poszedł spać do swego pokoju. Zastępca gospodarza książe Antoni, który miał ten pociąg co ojciec, zasnął w krześle na dobre. W tenczas Korsak przechadzając się po pokoju wraz z innemi, nagle zrobił postać Wojewody, a stanąwszy przed krzesłem śpiącego księcia i udając głos Wojewody, przemówił: Drzemiesz widzę panie Antoni„

Drzemanie to nazwałbym symbolem tej epoki będącej na pograniczu dwóch światów, jednego co konał, a drugiego co się jeszcze niewykluł.

A teraz skierujmy uwagę na bliski Nieśwież, tę rezydencyę sławnego *Panie Kochanku* ostatniego pana na Litwie co zgasłszy w Białej w 1790 roku, leżał lat kilkanaście w kaplicy czekając pogrzebu, którego się niemógł doczekać od swego następcy na ordynacyę, wychowanka Puław, rozrzuconego księcia Dominika. O, to już innego odlewu Radziwiłł! Wielki pan—lecz bez żadnéj tradycyi, coś nakształt członka jokej-clubu. Szlachta starym zwyczajem wali się do Nieświeża oddając mu powinną atencyę i czeka, żeby w ręce jego złożyć choć moralną reprezentacyę okolicznych powiatów, żeby go podnieść sercami, jeśli ostrzem szabel nie mogła — ale młody panicz lekce sobie waży ten różnorodny tłum sąsiadów, dawnych przyjacioł i domowników Radziwiłłowskich, bo ich przyjmuje — w stajni, lub wyprowadza w pole, na tępienie susłów!

W rzeczy saméj młody książe zapamiętale kochał się w koniach, jak boży dzień przesiadywał w stajni którą ubrał w źwierciadła, firanki i sofy, a jeźli nie palił z bicza, to jeździł w kompanii z rezydentem swoim Łopottem wylewać susły. Jeszczeby ta igraszka niekłóła tak bardzo w oczy, ani gorszyła przywykłych nawet do szanowania kaprysów pańskich, ale kiedy książe ożeniwszy się z Mniszchówną z Wiśniowca, ledwie do Nieświeża powrócił, już zajęty panią S. myśli o powójnym rozwodzie z świeżopojętą żoną, i kochanki z mężem — musiał gorszący przykład jeszcze bardziéj oddalić od niego serca Litwinów.

Za jedném złem, szło inne. Nowy rodzaj życia jaki książe prowadził, nadwerężał fortunę, tę fortunę, co niedawno wystarczała nietylko na podejmowanie ogromnego dworu i nigdy nieubywających gości, ale nawet na wielkie ofiary ponoszone w potrzebach rzeczpospolitéj. Przejażdżki zagraniczne, świécenie się na koronacyi Napoleońskiéj, a głównie nierząd domowy, nietylko po-

chłaniały ogromne dochody ordynacyi, ale spowodowały sprzedaż i zastawę niektórych kluczów.

Drobniejsi zaczęli wyprawiać to samo, na mniejszą stopę. Największe majątki w kilku leciech z rąk uciekały. Jakiś Lichodziejowski odziedziczywszy po skąpym stryju ogromne dobra i kapitały przetrwania je w mgnieniu oka, i zadłużone wioski oddaje pod *exdywizyję*.

Exdywizya — to niby dalszy ciąg rozbioru przenoszącego się z pola polityki w prywatne stosunki. Co się odegrało na wielkiéj scenie historyi, to się powtarzać zaczęło we wnętrznościach narodu, jakby myśl fatalna musiała przebiedz całą metę i wszystko wstrząsnąć do gruntu.

Autorka patrząca na częste zmartwienia stryjowskie z powodu mnożących się bankructw i exdywizyi mogących pochłonąć i jego kapitały polokowane na większych fortunach, poświęca jeden ustęp tej nieznanéj dotąd chorobie społecznéj.

„Z początku exdywizye miały jakieś dziwne oblicze i zdumiéwały; szczególniéj jeśli padały kolosy istniejące od dawna, których trwałość zdawała się być niepożytą jak piramid egipskich, i które niejako były zrosłe z losami narodu. Ale powoli wyobraźnia się oswoiła, fortuny padając jedna po drugiéj, zostawiały tylko zdziwienie, jeżeli która stała jeszcze na nogach, i już nie było wiary w jéj trwałość. Istotnie, na Litwie szczególniéj, mało która z większych fortun nie uległa rozkładowi, a te które zostały podtrzymane, po większéj części zupełnie obcym wypadkom winne były swoje ocalenie.

„Wpatrzywszy się z większą uwagą w koleje, któremi przechodziło towarzystwo nasze, zdaje się że to wstrząśnienie prawie ogólne wielkich fortun z ich posad i rozdrobienie na części, było jedną z dróg opatrznych, któremi wielki Twórca społeczeństw przeprowadza je przez

rozmaite formy bytu. Wielkie fortuny w dawnym czasie były ciałem potrzebném do wyrażenia idei, która była duszą tego ciała. Bez współuczestnictwa ciała, idea w czyn wcielićby się nie mogła ani działać na drugich. Póki te fortuny były ożywione ideą dążącą do połączenia w jedno różnych części i podtrzymania całości, póty miały moc atrakcyjną: nie tylko nie ulegały rozkładowi, ale skupiając koło siebie mniejsze siły, same się przezto wzmacniały, tak, że nawet to, co uroniły, co wydały z siebie, nie stanowiło ilości ujemnéj, ale stawało się siłą dodatnią. Jak upuszczenie krwi, kiedy jest tego potrzeba, nie osłabia chorego, ale go wzmacnia, magnat polski rozdając wioski, ugaszczając tłumy, rósł jednak w majątek i znaczenie.“

Te wzajemne rękojmie musiały się utrzymywać w społeczeństwie solidarnie ze sobą związanem, a uorganizowanem na sposób tylko naszemu krajowi właściwy. To też kiedy np. padła taka olbrzymia fortuna Jeremiego Wiśniowieckiego, nikt nie powiedział olbrzymowi złożonemu niemocą: Tyś trup! — ale owszem naród miał sobie za obowiązek nagrodzić to synowi koroną, co ojciec poświęceniem się stracił.

Dobrowolne złożenie posłannictwa, wyosobnienie się z ogółu przez poślubienie cudzoziemskiego obyczaju, a nawet języka, zrobiło zamęt towarzyski na który autorka własnemi patrzała oczyma zapisując te wszystkie pojawy w miarę jak się przesuwały przed nią zdarzenia i osoby. Prostota, skromność szlacheckiego życia, wychowanie w rygorze religijnym i obyczajowym, czuły się jakby olśnionemi i upokorzonemi tą błyskotliwą nowością, chociaż instynkt wewnętrzny powiadał, a zgubne przykłady rozpusty, nierządu, lekkości, uczyły, że te zmiany nie wyjdą na lepsze. Ona sama, młoda dziewczynka wychowana w innych pryncypiach, i na żywych przykładach patryarchalnéj prostoty, opowiada, jak nieraz

przyjazd w dom stryjostwa jakiéj eleganckiéj damy z wielkiego warszawskiego świata, szczebioczącéj po francuzku, nabawiał ją taką trwogą że uciekała w najskrytsze kąty; czego znowu nie robiła względem innych gości, choćby samych Radziwiłłów, póki jeszcze nie wyzuli się z ogólnego obyczaju. To pewna że z razu maniery i konwersacya francuzka mające w sobie coś zawsze gryzącego i drwinkującego, pryskały jakby witryolem na ducha i obyczaj staroświecki, wypalając pierwszy, a barwę zmieniając w drugim, na jakiś niepewny, wyblakły kolor kosmopolityczny...

Jednakże pomimo tylu przeobrażeń się bolesnych, resztki wielkiego życia owiewały jeszcze to społeczeństwo. Trzy grube tomy pamiętników Felińskiéj opisują nam ówczesne pożycie obywatelskie, zjazdy familijne, bale, wesela, imieniny, przenosiny, gdzie młodzież bawiła się całą duszą, do upadłego. Prawdziwa ochota była wtenczas w stosunku odwrotnym do zewnętrznéj okazałości — salony nie lśniły od złota, jedwabiów i luster, stroje robiły się w miejscu ze skromnych tkanin, jadła nigdy nie brakło, a o ostrygi, trufle, strasburgskie pasztety, drogie wina, nikt niedbał. Co Bóg dał, a ziemia rodziła, zaspakajało najwybredniejszych.

Był to jeszcze ostatni połysk tej żywotności, co już nie miała pola gdzie się rozwinąć — literatura, sztuki piękne, nie znalazły jeszcze licznych uprawiaczy i wielbicieli — a więc nie absorbowały czynności duchowéj która karmiła się, że tak powiem, samemi niespodziankami, samem zdumieniem na odgłos dalszy lub bliższy olbrzymich dramatów napoleońskich. Trafnie i bardzo szczęśliwie dojrzała Autorka Pamiętników, dwa rysy ówczesnéj epoki, któreby uszły uwagi niejednego obserwatora, a przez kobietę dostrzeżone zostały; chcę tu mówić o *mistyfikacyi* i *szaradzie.*

Te bagatelne na pozór igraszki dowcipu należą przecież do charakterystyki społeczeństwa. Mistyfikacya była to improwizowana komedya odegrana śród rzeczywistych stosunków potocznych. Dowcipnisie, potrzebujący zajęcia siebie i zajęcia drugich rozdawali role, układali intrygę, prowadzili ją, zazwyczaj czyimś kosztem, kogo chcieli wyżartować lub poprawić. Niektóre koncepta jak zwykle, bywały szczęśliwe i niewinne, czasem posunięte za daleko, bo połączone z cierpieniem wskazanéj na cel ofiary. A jednak, takie panowało porozumienie się i wyrozumienie w towarzystwie, tak mało było zarozumienia i dumy, że nigdy z najmocniejszego żartu nie wynikła żadna nieprzyjemna katastrofa. Autorka opisała kilkanaście takich mistyfikacyj i mistyfikatorów, jak ów jenerał Zawisza, co do kutwy Lichodziejowskiego sprosił całe Wilno i w domu jego dał zaproszonym obiad. Skąpiec myślał że to siurpryza, lecz nazajutrz, gdy kuchmistrze, cukiernicy, winiarze, przyszli dopominać się o zapłatę, zadrżał, ale w końcu zapłacił; co mi przypomniało drugą podobną anegdotę o Suwarowie do którego Potemkin zawsze zapraszał się na obiad, aż nareszcie rad nie rad musiał mu uledz i wyprawił sutą ucztę Potemkinowi, sam zaś jadł tylko jakąś postną polewkę którą mu jego zwyczajny kuchta uwarzył; za to téż gdy przyszło do zapłaty odesłał wszystkich kucharzy i kupców do Potemkina wymawiając się że on tych przysmaków nie kosztował nawet. Druga z takich anegdot rozpowiada o jednym assesorze lubiącym rozwozić polityczne plotki. Otóż śród balu kiedy najweseléj idzie zabawa, przeraża wszystkich odgłos dzwonka pocztarskiego — wchodzi feldjegier i wręcza papier assesorowi — był to rozkaz porwania go na Sybir. Wsadzony na sanki pojeździwszy z godzinę wraca napowrót do sali balowéj. Żart ten dokonany na ojcu licznéj rodziny, mogący w tej jednéj godzinie ubie-

lić najczarniejsze włosy, wywołał tylko uciechę w gościach, a w assesorze najwspaniałomyślniejsze przebaczenie.

Obok tych mistyfikatorów na większą i mniejszą stopę rozwijała się *Szarada* i *logogryf* ta niby delikatniejszych i wyższych umysłów igraszka. Posłuchajmy co o téj manii opowiada pani Felińska: „Nie było to upodobanie wyjątkowe kilku osób, ale było w duchu czasu i rozpostrzenione szeroko. Jedni robili szarady, drudzy odgadywali. Były one nietylko przedmiotem chwilowéj zabawy, ale i korrespondencyi. Amatorowie przesyłali sobie pocztą szarady do odgadywania; nawet między nieznajomymi zawięzywała się korrespondencya osnuta na wspólném upodobaniu. Widno że to nie było upodobanie wyjątkowe kilku osób, ale publiczne, kiedy pisma peryodyczne tak politycznéj jak literackiéj treści przy każdym numerze umieszczały szarady lub logogryfy: w jednym numerze była szarada, w drugim odpowiedź; a niejeden co niedbał o treść gazety i nigdy jéj nie czytał, z największą niecierpliwością wyglądał poczty i chwytał co prędzéj do rąk gazetę aby obaczyć nową szaradę, albo wyczytać słowo dawniejszéj. — Zjawiały się w téj rzeczpospolitéj szaradowéj sławy mniejsze i większe, które używały znaczenia zdobytego zdolnością w rozwiązywaniu, albo zręcznością w układaniu szarad i świeciły jaśnie na pewnym widokręgu. Nie jedna poważna głowa przez godzinę lub więcéj pogrążała się w głębokiem dumaniu; myślałbyś że ją zajmują ważne interessa, obchodzące byt własny lub cudzy? bynajmniéj, myśli ona nad słowem zagadki układając różne kombinacye, aby prawdziwy sens pochwycić.“

Póki towarzystwo znajdowało zajęcie i uciechę w tych niewinnych zabawach, grały w niém jeszcze ostatki tych czerstwych, swobodnych i prostych dawniejszych obyczajów ziemiańskich — lecz niebawem karty rozpostarły

milczące panowanie i w nich grążyły się młodociane uczucia i namiętności, jak w piekielnym ogniu, który pożerał i trawił, lecz nie oczyszczał...

Ten główny, poważniejszy rys epoki pochwyciła pani Felińska w trzech tomowém opowiadaniu doprowadzoném do ośmnastego roku swego życia, gdy oddawała rękę Gotardowi Felińskiemu bratu znanego autora Barbary. Pełno tu jest zajmujących szczegółów o osobach bądź dziś żyjących na Polesiu i Litwie, bądź zapisanych w pamięci znajomych i młodszego pokolenia. Dla tego nas, odległych od tych prowincyj, mniéj obchodzą te częste nader drobiazgowe opisy osób obcych nam nawet nazwiskiem. Jaki pan W. miał nos, jakie oczy panna K., w jakim ten chodził fraku, a jakiego koloru sukienkę przywdziała ta lub inna dziewczynka? cóż to ma do rzeczy? — Mniemam że ten cały przybór bez archeologicznéj wartości, bo na archeologię za świeże te zabytki, powiększył tylko i tak już grube tomy, których czytanie wystawia niekiedy cierpliwość czytelnika na próbę. Rozwlekłość nie jest żadnym przymiotem, a najmniéj w pamiętnikach; Benvenuto Cellini najrozmaitszy awanturnik jaki był na świecie i Pasek téjże miary, co tamten ledwo spisali po jednym tomie, gdy nasza autorka trzy napisała obejmujące okres lat osiemnastu, co stosując do jéj lat sześćdziesięciu najmniéj jeszcze 6 tomów spodziewać się możemy. Przyczyną rozwlekłości byłżeby pośpiech? niewiem; ale szczerze radziłbym zacnéj autorce zażyć więcéj czasu i być zwięźlejszą.

W marcowym zeszycie *Biblioteki Warszawskiéj* znajduję polemizujący artykuł z podpisem: Bartłomiéj Podgórski a polemizujący z Przeglądem moim o trajedyi i traiczności, umieszczonym w grudniowym zeszycie *Do-*

datku Czasu. Nieruszałbym tego zagajenia, gdyby w mniéj przyzwoitym tonie było prowadzone, lecz że autor ma na względzie rzecz samą, a nieschodzi ze sfery wyobrażeń literackich, w których niebrak mu na sposobach, a nawet sposobikach trzymania się, przeto winienem mu krótkie objaśnienie, osobliwie tam, gdzie mię nieraczył zrozumieć.

Niepotrzebnie pan Bartłomiéj Podgórski przypisuje mi (używając mego wyrażenia się) *dogmatyczne skostnienie* z powodu że starożytną trajedyę stawiam jako wzór niepożyty, a raczéj przewodnik, w sztuce tworzenia; wziął to bowiem za ślepe naśladownictwo, za jakąś formułkę matematyczną, com ja uważał za szczyt artystostwa w oddaniu tych pojęć i uczuć jakie owym wiekom służyły. Ukazać bowiem piszącym wzór aby do niego dociągali w płodach swoich, niejest żadném krępowaniem twórczości, ale po prostu skłonieniem ich do zgłębienia téj sztuki, któréj nieśmiertelna doskonałość tem się najlepiéj tłumaczy że wszyscy ci pisarze co się w nią z miłością wpatrzyli, co jéj tajemnice odgadli, najjaśniéj zaświecili w krainie myśli i fantazyi. Z téj miary twierdzenie jego „że starożytność religijnie przestrzegana trzymałaby naszą myśl jak w ramkach, na uwiązaniu przy sobie dla form zużytych z pojęciami swemi“ i że w tych warunkach „nigdy niemielibyśmy Danta i Goethego“ — służy niby za jasny dowód iż ci mistrze ślepo nienaśladowali Greków i Rzymian; ale o tem zapomniał, czy niechciał wiedzieć, ile potrąceń duchowych winien Dant Wirgilemu, a Goethe Grekom, których zgłębieniu winien całe mistrzostwo swoje. Jak malarstwo i rzeźba ma swoje wzory będące kodeksem sztuki, tak je ma i poezya. I największe geniusze nietworzą z niczego, tylko się obracają tam gdzie ich geniusz umiał dopatrzeć największe bogactwo doskonałości umniczéj. Szekspir z innem wykształceniem nie-

byłby nic stracił na przyrodzonym geniuszu, a byłby zyskał na mierze i harmonii; chaotyczne żywioły fantazyi mogą zdumiewać swoim dzikim ogromem, ale niebudzą tego upojenia i lubości doznawanéj, a niewysłowionéj, na widok wzorów pięknoty co wielką treść w najdoskonalszych wyraziły kształtach.

Niewątpię, iż wszystko to znane jest panu Bartłomiejowi Podgórskiemu, przeto dziwimię to jego podąsanie się na Greków. Przypuszczam nawet że go mogą również jak mnie razić traiczne klejonki dzisiejszych pisarzy, i dla tego dziwię się jeszcze bardziéj jego wystąpieniu przeciw tym wzorom, które mistrzować nieprzestaną każdemu wiekowi dobijającemu się o wysokie stanowisko na obszarach literatury. Sztuka jeżeli ma nosić to miano, potrzebuje nie samych dorywczych natchnień, ale i umiejętności głębszéj w oddaniu ich czy pismem, czy pędzlem, czy dłutem. Z resztą niebyła tam mowa o samodzielnych geniuszach, bo dla nich krytyka dróg niewyznacza, tylko one wskazują jéj drogi; ale o tych, co przegryzają wzory bardzo przechodniéj natury, lub takie, co dla ducha naszego narodu stokroć obciejsze są niż starożytność helleńska.

Inne wycieczki pomijam; niemając bynajmniéj zamiaru wznawiać walki między starożytnymi a nowożytnymi przypominającéj czasy Perraulta; szło mi tylko o wytłumaczenie się, żem był niewłaściwie zrozumianym, i że polecanie moje studiów starożytnych tak potrzebnych mnożącéj się masie literatów wyzwolonych od wszelkich studiów i pysznie gardzących radą Horacego:

vos exemplaria graeca
Nocturna versate manu, versate diurna.

niema w sobie nic tak bardzo zdrożnego, aby pana Bartłomieja pobudzać do częstego sykania (sic). Co zaś do

jego uwag w obronie języka, dziwię się bardzo jak w postępowości swojéj nieuznającéj nawet wzorów greckich, zapomina, że nowe wyrazy są tylko narzędziem które pisarz sobie dobiera aby lepiéj i dosadniéj myśl jego oddały. Używałem nieraz tego narzędzia; a że mi nieźle płużyło dowiodłbym snadno, gdybym chciał szukać chluby z licznych zwrotów i wyrażeń wprowadzonych przezemnie, a dziś przeszłych na własność wielu piszących.

Lucyan Siemieński.

JESZCZE JEDNA KWESTYA.

Ruch ogólny polityki europejskiej, jakiego w tej chwili jesteśmy świadkami, odbywa się w tak spokojnym kierunku, z takiem umiarkowaniem i ostrożnością, iż zdawać się może, jakoby głównem i prawie jedynem dyplomacyi i gabinetów usiłowaniem było, nietylko oddalić wszelkie obawy nagłych wstrząśnień i zerwania pokoju, ale nawet usunąć możność wszelkich przewidzeń w sferze owych niespodzianek i zwrotów, utrudniających nieraz w ostatnich czasach zadanie najdoświadczeńszych mężów stanu.

Najwyższy trybunał wielkich mocarstw odbywa swe roki w Paryżu nad sprawą neufchatelską, i nikt wątpić niechce, że wyrok jego załatwi tę kwestyę.

Włochy w dzisiejszej polityce, to prawdziwa roślina *noli me tangere*. Za najmniejszem dotknięciem zwija się ona, kurczy i jedną przedstawia całość. Chcąc tylko porachować listki, zbadać ich naturę, zerwaćby wypadło całą roślinę. Tego żadne mocarstwo uczynić nie chce. Pomimo więc poruszenia niektórych żywiołów kwestyi włoskiej, pomimo zerwania stosunków dyplomatycznych

z Neapolem, przyjęcia Sardynii do składu konferencyj wielkich mocarstw, sprawy włoskie leżą odłogiem. Wszelkie działanie w tej sferze, bardzo jest problematyczne, a przeto niebezpieczne: w tym duchu, jak twierdzą przemówiła polityka ogólna europejska do Austryi, która się ostatnia tej drażliwej rośliny dotknęła.

Sprawy Wschodnie, usiłuje polityka wszelkiemi sposobami dociągnąć do kresu, zamierzonego traktatem z 30 marca r. z. Usuwają się pomału trudności. Ewakuacya Grecyi dokonana; rozgraniczenie od strony Besarabii doszło do skutku; nie ma już mowy o wyspie Wężowej, tak jak dawniej mowy o niej nie było; morze Czarne wkrótce ma być wolne od flagi angielskiej; ustąpienie wojsk austryackich z Księstw Naddunajskich, ma otworzyć pole dywanom i komisyi i przygotować nowe konferencye paryzkie. Jeżeli to wszystko nastąpi i ukończy się według ułożonego programatu, będzie to nie mała dyplomacyi zasługa. Traktat paryzki zostanie podstawą, czyli punktem wyjścia do dalszego rozwoju kwestyi wschodniej, bo końca jej nikt zapewne z żyjących obecnie, nie doczeka się.

Walki w parlamencie angielskim chwilową zagrażające burzą, uspokoiły się, weszły we właściwe koryto i postępują dalej koleją konstytucyjną. Nie wywarły one żadnego wpływu na ogólną europejską politykę. Nie zerwały żadnego przymierza, nie zatrzymały żadnej sprawy, nie zmieniły postaci żadnej kwestyi, nie przeszkodziły żadnemu traktatowi, nie zajątrzyły żadnego sporu ani się do takowego nie wmięszały. Przeciwnie powiedzieć można, wszędzie okazała Anglia umiarkowanie, ostrożność, niezaprzeczoną chęć utrzymania się w kierunku politycznego chwilowego *statu quo*. Pomimo najsilniejszych zaczepek, gabinet angielski nie chciał poruszyć kwestyi włoskiej; — czeka on najspokojniej jak sobie Stany Zjednoczone postąpią z traktatem tyczącym

się Ameryki środkowej; — patrzy z niezwykłą sobie obojętnością na spór hiszpańsko-meksykański coraz więcej wojną grożący; — nie narzuca żadnemu mocarstwu wojny z Chinami, którą sam dotąd prowadzi i prowadzić nadal zamierza, jakby w przekonaniu, że to sprawa wielkiej przyszłości, sprawa, w której Francya i Ameryka, a nawet Rosya, koniecznie udział wziąć będą musiały; — niestawiał żadnej zapory układom Danii z państwami europejskiemi o cło na Sundzie, które przyszły do skutku 14 b. m.; — nakoniec odłożył jak się zdaje chętnie, rozpoczęty antagonizm z Rosyą w sprawie Perskiej, i zakończył wojnę z tą ostatnią traktatem, który lord Cowley z Feruk-chanem na d. 4 b. m. w Paryżu podpisali.

Wszakże obok spokojności jaka w każdym rysie tego pobieżnie skreślonego obrazu sytuacyi politycznej przebija się, nie brak życia w tym ruchu europejskim. Prawie każda bowiem pojedyncza kwestya z jakich ogół się składa, ma swoje dwie częstokroć dość odrębne strony; z podwójnego też stanowiska uważaną być może. Każda kwestya ma właściwe sobie miejsce w polityce chwilowej, i drugie które ją wiąże z ogólnym systematem. Jeżeli polityczna jej strona mało nieraz przedstawia zajęcia, bo tajemnica gabinetów nie zawsze da się przeniknąć, bo interes chwilowy tam jest głównie, gdzie sprawa sięga bezpośrednio, bo wreszcie w polityce jest mało wybranych, chociaż wielkiej liczbie się zdaje, iż jest powołaną, — to znów ta strona kwestyi, przez którą ona wpływa do ogólnego systematu europejskiego, nie może dla nikogo być obojętną, bo jest niejako społeczną. Systemat obecny oparty na idei państwa, tak dalece zindywidualizował społeczność, że w owym ogromnym łańcuchu, w jaki ją ujął, ogniwami są nietylko państwa, kraje i prowincye, ale wszyscy. Każdy pojedynczy człowiek jest ogniwem, i najłatwiej się o tem

przekona, gdy zwróci uwagę na to, że czuje każdy ruch gdziekolwiek się takowy w społeczności odbywa, choćby nie wiem jak odległy i na pozór całkiem dlań obcy; że go czuje jakby uderzenie elektryczne, nie w łokciu wprawdzie jak owego płynu, ale w kieszeni, która ostatecznie jest ogólnym, bo jedynie wspólnym i możliwym punktem indywidualnego zetknięcia się w dzisiejszym systemacie politycznym i społecznym. Prawdziwość i dotykalność porównania, niechaj tu pokryje trywialność użytego wyrażenia.

Niema więc, istotnie mówiąc, kwestyi, którąby uważana pod tym względem, zupełnie obojętną być mogła. Systemat państw wyrabia się coraz bardziej, coraz nowe ogłasza zasady, coraz obszerniejsze przybiera rozmiary, coraz ściślejszą postępuje polityką, coraz więcej nabywa spójni przez nowe atrybucye przejęte przez *państwo*, coraz też wybitniejsze musi mieć następstwa. Podstawę wspólności zasad i solidarności interesów, ogłosi traktat paryzki; oświecać i kierować jest zadaniem państwa; orzekł w ostatniem swem przemówieniu cesarz Francuzów. Nie ma już mowy o porządku społecznym, o bezpieczeństwie publicznem, słowem, o rządzeniu, ale o oświacie i kierunku moralnym. I słusznie: bo skoro państwo zastąpiło społeczność, czyli raczej skoro ideę społeczności pochłonęła idea państwa, a w tej są tylko indywidua, wszystkie dawniejsze spójnie w społeczności istniejące obok rządu, do którego przywiązywało się wyobrażenie państwa, dzisiejszy systemat państwa połączyć w sobie musi; nietylko więc spójnie materyalne ale i moralne. Polityka sama na to nie wystarczy. Dla tego wszystkie niemal kwestye polityczne są oraz i społecznemi, dla tego wszystkie one wszystkich obchodzą, bo w takim systemacie solidarność całej społeczności jest loicznem następstwem. Każda kwestya skoro się tylko przeniknie głębiej jej istotę, idzie na korzyść idei państwa i po-

większa siłę panującego systematu. Usiłowania wychodzą tutaj z dwóch na pozór przeciwnych nawet sobie biegunów społecznych, z góry i z dołu: szkoła Proudhona, rozwinięta w nowem jego dziele „o giełdzie“, spotyka się w idei państwa z Radą stanu francuzką, zaprowadzającą podatek od wartości ruchomych czyli akcyj, papierów i t. d.

Lecz opuszczając owe pole socyalne, na które zrobiono tu wycieczkę, jedynie dla wykazania, że zajęcie publiczne towarzyszyć winno każdej kwestyi, choćby na pierwszy rzut oka całkiem obcej, i wracając na pole polityczne, uderzają przedewszystkiem dwie kategorye, pod które wszystkie prawie bieżące kwestye i sprawy podciągnąć się dadzą. Do pierwszéj należą kwestye, które wychodząc z systematu państw, nie przynoszą z sobą pierwiastków obcych lub przeciwnych idei państwa, których przeto załatwienie może przedstawiać nieskończenie wiele politycznych trudności, ale w których zastosowanie ścisłe systematu, nie natrafia na zasadnicze anomalie; — do drugiej liczyć należy kwestye, których źródło leży gdzie indziej niż w systemacie dziś przyjętym, których istotę niejako przemienić wypada, zanim się nagiąć dadzą do przyjęcia ogólnej pracy, koniecznej tam, gdzie idea państwa jest bezwzględną podstawą.

W pierwszej kategoryi mieści się naprzykład kwestya wschodnia, taka jak w r. 1853 postawioną była, wywołana równowagą państw, przyznająca Turcyi cechę państwa europejskiego, dająca się zapisać w systemacie obecnym z wszystkiemi swemi gałęziami, wyjąwszy samej jednej sprawy multańsko-wołoskiej, tak, że na konferencyach paryzkich innej zasady prócz idei państwa próżnoby kto upatrywał; — w tejże samej kategoryi widać kwestyę neapolitańską taką, jak ją rozumiały Francya i Anglia, kiedy żądały od Neapolu wspólności za-

sad w imieniu solidarności interesów europejskich bez żadnego dla narodowości włoskiej względu.

W drugiej zaś kategoryi mieszczą się kwestye takie jak neufchatelska, duńsko-niemiecka, do których załatwienia z innego punktu wyjść potrzeba aniżeli z idei państwa, które dopiero z systematem pogodzić należy, bo zostają z nim w sprzeczności; które nie popierają wprost istniejącego systematu, bo do niego nie przystają, ale które usunąć wypada już dla tego samego, że inne mając źródło na innej opierają się zasadzie i dopóki trwają, są żyjącą w systemacie anomalią. Kwestye te są po prostu spuścizną dawnego systematu, zastąpionego nowym opartym na idei państwa. Żaden systemat polityczny nie mija bez pewnych pozostałości, pewnego testamentu, bez kodycyllów, którym następca od razu zadosyć uczynić nie jest w stanie. Do liczby takich właśnie kodycyllów należą przedewszystkiem kwestye powstałe z owych położeń niektórych krajów lub prowincyj, mających odrębne prawa i przywileje, należących do składu państw całkiem sobie narodowością obcych. Położenia te mieszane, bardzo naturalne w dawnym systemacie, w obec idei państwa, są całkiem anormalne. I tak Neufchatel był kantonem szwajcarskim, a król pruski był zarazem księciem neufchatelskim; ale Szwajcarya w imie idei państwa, zniosła prawa zwierzchnicze kantonów, zaprowadziła centralizacyą związkową i wcieliła Neufchatel w ogólną harmonię państwa, tak, że prawa księcia neufchatelskiego są nadwerężone i nadal ostać się nie mogą. Tu narodowość była po stronie idei państwa. Lecz w sporze duńsko-niemieckiem całkiem dzieje się przeciwnie. Prowincye niemieckie Holsztyn i Lauenburg, należą do Danii, mają atoli właściwe konstytucye, zastrzegające im narodowość niemiecką i odnoszące się do Związku niemieckiego tak dalece, że król duński z tego tytułu ma głos w Bundes-

tagu. Ale król duński chcąc państwo swoje zorganizować w jedną całość, chcąc, jak się noty duńskie wyrażają, zaprowadzić ową harmonię i jednostajność we wszystkich częściach monarchię jego składających, jakiej wymaga koniecznie idea państwa, nakłada konstytucyę wspólną dla wszystkich prowincyj, która gwałci prowincyonalne konstytucye Holsztynu i Lauenburga, a Austrya i Prusy ujmując się za prawami zawarowanemi w układach i traktatach, chcą sprawę tę powołać przed Bundestag frankfurtski. Wyraźna więc w obu razach anomalia z systematem opartym na idei państwa. Nie była ona dawniej, bo związek takowych prowincyj z państwem do którego należały, odnosił się do korony czyli do osoby monarchy; dzisiaj korona podobnie jak społeczność zlała się także z ideą państwa i jedną stanowią całość. Monarcha czyli korona uwzględniać mogła prawa narodowości, ale państwo zna tylko interes państwa. Stąd też kwestye z owego dawnego stanu rzeczy powstałe, są nader trudne i uporczywe, bo się opierają na historyi, na tradycyach, na różnicy wyznań, języka, pochodzenia, obyczajów, słowem na żywiołach, które wszystkie miały moc prawa w dawnym systemacie narodów, opierającym się nierównie więcej na prawie natury, jak na prawie publicznem, czyli na prawie czysto politycznem, traktatowem jak systemat dzisiejszy.

Sprawa neufchatelska toczy się obecnie przed trybunałem konferencyi, która, o ile wiadomo dotąd zgodzić się nie zdołała na punkt wyjścia do stosownego załatwienia tej kwestyi. Dziwić to nie może: w przeszłym miesiącu wykazanem było na tem miejscu jak trudno rozeznać co w tej kwestyi rzeczywiście jest faktem a co prawem. Sprawa duńsko-niemiecka nie została dotąd uznaną za sprawę europejską, niepodciągnięto jej przeto jeszcze przed najwyższy trybunał. Jeżeliby jednak do tego przyszło, żeby Bundestag miał orzekać w sporze

między prowincyami niemieckiemi do Danii należącemi a Danią, trudno przypuścić aby król duński na to się zgodził, a spór wkrótce stałby się europejskim. Dotąd odbywa się on w notach gabinetowych między dworami wiedeńskim, berlińskim a kopenhadzkim. W rozbiór szczegółowy tej kwestyi nader zawikłanej w sferach dyplomatycznych wdawać się niepodobna; wypadałoby powtarzać mnóstwo znanych dokumentów i aktów, które zresztą wyświecają tylko chwilowe położenie polityczne kwestyi, ale jej istoty czyli zasady nie zmieniają bynajmniej. Istota sporu, jak powiedziano wyżej, polega na tem, że król duński działając w duchu idei państwa, nałożył ogólną konstytucyę na wszystkie prowincye, zmieniając konstytucye prowincyonalne prowincyj niemieckich, poprzedniemi traktatami zawarowane. Prowincye niemieckie stawiają opór, nie chcą przyjąć konstytucyi, a Austrya i Prusy bronią tych odrębnych praw przysługujących rzeczonym prowincyom.

Spór jednak, zapominać nie trzeba, odbywa się na polu dzisiejszego systematu państw; przeto jak się domyślać łatwo, nie ma tu mowy o narodowości, a nawet w memorandum gabinetu duńskiego, w akcie niesłychanej długości, do którego odesłać można każdego ktoby tej kwestyi dyplomatycznej chciał się wyuczyć, nie ma ani razu wzmiankowanego wyrazu: narodowość. Wyraz ten zastąpiony jest przez „prawa prowincyonalne". Nie chodzi tu atoli o' wyrazy ale o rzecz. Owe prawa prowincyonalne, są tak dalece prawami narodowości, że nawet idzie w nich o utrzymanie języka, o który się Holsztyn bardzo silnie dobija. Tych to więc praw prowincyonalnych bronią Austrya i Prusy, odwołując się do poprzednich z Danią układów i grożąc w razie gdyby przedstawienia ich nadaremnemi się okazały, odesłaniem całej sprawy przed Bundestag.

Ostatnia ta okoliczność jest w sprawie duńsko-niemie-

ckiej najważniejszą, z jakiejkolwiek strony uważać ją przychodzi. Odwołanie się do owego reprezentanta Niemiec związkowych, reprezentanta wszystkich narodowości niemieckich, czyli jednem słowem rasy germańskiej, tłomaczy aż do pewnego stopnia postępowanie Austryi i Prus w sporze z Danią. Inaczej dziwićby może musiała polityka dwóch wielkich mocarstw, państw w najściślejszem tego wyrazu znaczeniu, czynników tak potężnych i konsekwentnych w systemacie opartym na idei państwa, a występujących tak energicznie przeciw monarsze starającemu się właśnie ideę tę przeprowadzić w swych krajach za pomocą jedności centralizacyjnej i administracyjnej, występujących w obronie praw prowincyonalnych, to jest narodowych, które się głównym warunkom tej idei sprzeciwiają i w wyraźnej z nią zostają anomalii. Odwołanie się to do Bundestagu dwóch wielkich mocarstw, z których każde śmiało spór na własną rękę byłoby w stanie prowadzić, każe się domyślać że bodźcem głównym ich polityki, jakkolwiek nieuznanym, jest interes rasy germańskiej. Austrya i Prusy nie bronią narodowości holsztyńskiej lub Lauenburga, ale bronią praw prowincyonalnych tych krajów, dla tego, że mieszkańcy Holsztynu i Lauenburga, są Niemcami czyli należą do rasy niemieckiej. Bronią zaś interesów tej rasy tem silniej przeciwko Danii, im więcej widzą objawiające się w państwach nadbaltyckich symptomata pewnego połączenia się w imieniu rasy skandynawskiej. Pomimo całej zawiłości aktów dyplomatycznych i pomimo ostrożności właściwej polityce gabinetowej, odkrywa się wnikając aż do głębi tego sporu, wystąpienie dwóch ras przeciw sobie. Dla tego jeżeli król duński ustąpić nie zechce, Bundestag w Frankfurcie orzecze o środkach przymusu i Niemcy jako Niemcy, jako rasa z różnych państw złożona, działać mają.

Czy działanie takowe nastąpi? przewidzieć trudno,

lubo nie ma żadnego w tem niepodobieństwa, nastąpiło to bowiem raz już i to niedawno, w r. 1848 w imie jedności niemieckiej. Owa jedność była po prostu ruchem rasy, ale przywdziwszy nazwę i zbroję wymarzoną w mózgach filozoficznych polityków kościoła ś. Pawła, w praktyce politycznej do niczego doprowadzić nie mogła. Gdyby jednakowoż działanie takie Niemiec związkowe powtórnie do skutku przyjść miało, czy nie wywoła ono oddziałania w rasie skandynawskiej? czy na widok grożącego niebezpieczeństwa nie stanie traktat podobny do tego jaki podpisany został w czasie sprawy wschodniej kiedy teatr wojny na Baltyk się przenosił? czy wystąpienie Niemiec nie pobudzi ducha w państwach skandynawskich do nowych demonstracyj, schlebiających tem więcej dumie narodowej, iż oparte są na historyi i świetnych wspomnieniach?...

Rzecz zaprawdę zastanowienia godna, czemu ilekroć mowa o rasach, czemu każdy symptomat świadczący o żywotności tej kwestyi ras tyle ciekawej i ważnej, gdziekolwiek on się objawi, przyjęty bywa przez większą część organów w publicystyce europejskiej z pewnem urąganiem, szyderstwem, sceptycyzmem; czemu wywołuje niejako uśmiech rzecby można lekceważenia i drwin, gdyby mu nie towarzyszył prawie zawsze grymas obawy lub trwogi? To ostatnie uczucie każe się domyślać, że owa kwestya nie jest w ich obliczu całkiem utopią, bo czczej utopii nikt się nie obawia. Gwałtowność, z jaką przeciw niej występują, dowodzi również, iż ukazujące się od czasu do czasu jej objawy, nie uchodzą ich uwagi. Oburzenie to i nadzwyczajna niechęć, byłaby całkiem naturalną w pismach jakkolwiek już dziś bardzo rzadkich, broniących dawnego stanowiska narodowości, ale właśnie na kwestye ras powstają z największą zaciętością pisma zasadzie narodowości najnieprzychylniejsze: zwolenniki stanowcze idei państwa, żądają-

ce jej bezwzględnego zastosowania w systemacie politycznym. Wszakże zdaje się nie potrzebować dowodzenia twierdzenie, że jeżeli idea państwa nie może się pogodzić z samodzielnością i odrębnością pojęcia narodowości, i w zastosowaniu praktycznem swych następstw usuwać ją musi, to również i w kwestyi ras giną narodowości i zlewając się w jedność, tracą właściwe sobie cechy i prawa. Idea państwa i idea rasy, spotykają się właśnie w tym punkcie, że usuwają kwestye narodowości, tak jedne jak drugie; pierwsza za pomocą centralizacyi administracyjnej, druga za pomocą centralizacyi rodowej. Owe kwestye narodowości, przedstawiającei tyle trudności w obecnym systemacie, opartym na ide państwa, są również największą przeszkodą jaką natrafia w swem rozwinięciu kwestya ras gdziekolwiek się objawia; bo tak jednej jak drugiej głównem narzędziem jest indywidualizowanie: pierwszej pod względem społecznym, drugiej pod względem historycznym i tradycyjnym. Im silniej też występuje jaka narodowość, tem wyraźniej roztacza koło niej swe teoretyczne dotąd ponęty kwestya ras, aby ją w swem łonie pochłonąć. Jest to tak dalece prawdą, że materyalna wielkość narodowości nie wchodzi tu prawie w rachubę, ale głównie moralny jej upór czyli trwałość. I tak: ruch skandynawski grupuje się koło Norwegii, najmniejszej ale najzaciętszej narodowości z dawnego królestwa Kanuta. Narodowość Holsztynu nie mogąca żadną miarą iść w porównanie z narodowością saską lub bawarską, wywołuje właśnie ruch rasy niemieckiej o jakim mowa.

Dotknąwszy już tego przedmiotu, pominąć także nie można wskazówki nader ważnej, jaką zwykle spuszczają z uwagi wzmiankowane powyżej pisma, że owa kwestya ras wystąpiła bardzo niedawno, że postępuje ona w umysłach w miarę jak się rozwija właśnie obecny systemat, że jakkolwiek pochwycić się nie da i nie jest

żywiołem materyalną cechę mającym, wpływa jednak nieraz na politykę i nie jednem postanowieniem gabinetowem kieruje. Są państwa całkiem na nią obojętne, są inne, które do niej wielką przywięzują wagę, jak się to bardzo dobitnie w sprawie Multan i Wołoszczyzny wykazuje. Lekceważyć jej przeto nie można. Ma ona pewne znaczenie w teraźniejszości, a kto wie w jakiejby się ukazała postaci, gdyby zasłonę przyszłości uchylić się nieco dało. Usuwa ona wraz z ideą państwa narodowości: czyżby jej przeznaczeniem być miało tę dawną podstawę zastąpić w nowym systemacie?.. Nasuwa się na myśl ta ewentualność tem bardziej, że niewiadomo jeszcze dokąd społeczność doprowadzi ruch w tym kierunku w jakim postępuje. Czy rozczłonkowanie społeczności obejdzie się nadal bez żadnej więcej spójni, prócz tej jakiej dostarczyć jej może idea państwa? Forma, w którą ujmuje ona indywidua składające gmach społeczny, wydaje się jakby sklepienie z nadzwyczajną dokładnością i ścisłością związane, ale podstawa nie odpowiada owym przymiotom kopuły. Podstawa częstokroć nie jest jednolita: indywidua jedno państwo składajace, czują zapewne ową równość w obec idei państwa u góry, ale nieraz grunt, na którym stoją nieodpowiada bynajmniej zaprowadzonej w górnych sferach harmonii. Stąd największe trudności w przeprowadzeniu dokładnem systematu, stąd anamolie i kwestye w polityce. Tam gdzie podstawa jest jednolita, gdzie nie ma różnic rażących u dołu, jak naprzykład we Francyi, tam społeczność ujęta w formę idei państwa mniej czuje niedogodności systematu (bo każdy systemat swe niedogodności mieć musi), tam także wykonanie warunków systematu opartego na idei państwa jest łatwiejsze i doskonalsze. Kwestya ras pracując nad zrównaniem tej podstawy nie zdajeż się przychodzić w pomoc idei państwa tam właśnie gdzie działanie tej ostatniej jest naj-

mniej skuteczne?... Urzeczywistnienie teoryi ras nie byłożby usunięciem anomalii w zastosowaniu praktycznem idei państwa?... Systemat państw, oparty na rasach, byłżeby ostatniem słowem idei państwa, przeprowadzonej w społeczeństwie i polityce?...

Powtórne to oddalenie się od przedmiotu i to jeszcze w sferę zawsze śliskich i niebezpiecznych przewidywań odległej przyszłości, może tylko tem się wytłomaczyć, iż dowodzi raz jeszcze jak dalece kwestye bieżące choćby najbardziej na pozór obce, zasługują na uwagę. Ukrywają one bowiem prawie zawsze w swej istocie żywioły, na których się wykształca obecny systemat i wskazówki dalszego kierunku ogólnej polityki. Spór duńsko-niemiecki dostarcza i pierwszych i drugich. Jest w nim kwestya ras, czyli mówiąc inaczej, językiem czysto politycznym, jest interes niemiecki. Dla tego Austrya i Prusy musiały w nim wziąść udział: Austrya, jako dziedziczka cesarstwa niemieckiego i państwo Europy środkowej; Prusy jako państwo niemieckie, uważające się za reprezentanta Niemiec. Antagonizm, jaki w Niemczech te dwa mocarstwa rozdziela, nie pozwalał aby jedno tylko wzięło tę sprawę w ręce; tenże sam antagonizm układa taka jedność między niemi, taką zgodę w sposobie zapatrywania się na tę kwestyę, że noty z Wiednia i Berlina wspólnie w jednej i tejże samej osnowie przesyłane bywają do Kopenhagi. Ani jedno też ani drugie mocarstwo w sporze tym ostatecznie rozstrzygać nie może i niechce, ani nawet rozstrzygać wspólnie, i sprawa przed trybunał całych Niemiec ma być pociągniętą.

Ależ w tej chwili sprawa duńsko-niemiecka według wszelkiego prawdopodobieństwa staje się europejską. Bundestag jest bezsprzecznie trybunałem kompetentnym dla spraw niemieckich; lecz tutaj jest także żywioł skandynawski. Dania może nieuznać trybunału Bundestagu na tej zasadzie, że nikt w własnej sprawie wyrokować

nie jest mocen. Nadto król duński ma swe prawa zwierzchnicze, przysługujące każdemu niepodległemu państwu, ma swoje prawa zwierzchnicze i Bundestag. Któż zgodzi jedne i drugie jeżeli staną w sprzeczności?.. Na to pytanie dawniej znajdowano odpowiedź: w wojnie; w dzisiejszym systemacie odpowiada na nie solidarność interesów. Sprawa duńsko-niemiecka pójdzie zapewne tą samą koleją, jak inne sprawy europejskie, i chociaż tutaj interes rasy znaczną odgrywa rolę, idea państwa zechce bezwątpienia okazać swą wyższość, wyższość praktyki nad teoryą. Wdadzą się w spór inne państwa: znajdą się traktaty, które je do tego kroku upoważnią, gdyby na to sam już interes europejski nie wystarczał. Powołanie sporu duńsko niemieckiego przed Bundestag, i łatwo przewidzieć się dający spór Danii w tym razie, będzie niejako hasłem do nowych konferencyj wielkich mocarstw nad prawami prowincyonalnemi Holsztynu i Lauenburga. Czy będą chciały Niemcy jako rasa stanąć przed owym najwyższym wprawdzie trybunałem europejskim, ale zawsze złożonym z państw tylko?... czy będą chciały oddać pod jego wyrok interes czysto niemiecki?... czy będą wolały wystawić się na ewentualności jakie z odrzucenia tych następstw obecnego systematu politycznego wyniknąć mogą?...

Spór więc duńsko-niemiecki w dość ciasnych obecnie szrankach zamknięty, przybrać może ogromne europejskie rozmiary. Wszystko zależy od dalszego rozwinięcia, od usposobienia Danii, a głównie od dalszego postępowania Austryi i Prus. Jakiem ono będzie, tego najściślejsze rozumowanie określić nie zdoła. Bo jeżeli trudno jest człowiekowi odstąpić od loiki w myślach, to jeszcze nierównie trudniej być loicznym w działaniu. Prawda ta niezaprzeczona w życiu prywatnem, ma także swoje zastosowanie i w polityce.

MAURYCY MANN.

KRONIKA.

Kraków w marcu.

Po zapustnych zabawach nastały postne rozrywki i zatrudnienia poważne: posiedzenia naukowe, wystawa obrazów, koncerta na ubogich, wreszcie kazania popołudniowe naszych Rawinjanów i Wenturych. Zajęcia te zdolne są podnieść umysł, zagrzać serce, wytknąć dążnościom cel szlachetny, uzacnić samą nawet zabawkę. A choćby je nawet chcieć poczytać jedynie za luźnego umysłu zajęcie, to i tak jeszcze jakaś cząsteczka wpływu ich przylgnie tu i owdzie, i byle w działaniu tém nie ustawano, to jako pył naniesiony wiatrem utworzy z czasem na nagiéj opoce lub suchym piasku warstwę urodzajnéj ziemi, jeśli go zrosi deszcz ożywny; tak i cząsteczki owego wpływu moralnego raz po raz osadzając się, przyczynią się do tego, że jałowe umysły i wyschłe serca stać się mogą kiedyś zdolnemi do przyjęcia plennego ziarna.

Miesiąc marzec podzielony między te ważne i poważne zajęcia, nosił na sobie cechę niejako na pół religijną, jako czas wielkiego postu i praktyk kościelnych, a na pół artystyczną i naukową.

Trzéj głównie kaznodzieje: XX. Golian, Serwatowski i Langier, że o innych nie wspominam, garną około siebie tłumy pobożnych. Odmienny każdego z nich rodzaj wymowy, osobnych niemal ściągał słuchaczy. Różnica, że się tak wyrażę, wykładu, jaka między nimi zachodzi, mylne zrodziła mniemanie u niektórych osób, zwłaszcza u tych, co wczytawszy się w kontrowersye rozpraw parlamentowych, czegoś podobnego upatrują na ambonie. Jako w izbach sejmowych pewni mówcy wyobrażają ducha pewnych stronnictw przezwanych po większéj części mianem prawéj, lewéj i środka, tak i słuchaczom tym wydaje się niekiedy, że owi trzéj kaznodzieje są wyobrazicielami pewnych dążności czy téż kierunków w Kościele. Tymczasem odmienność ich kazań jest tylko odmiennością formy; wykład ich na jednych i tych samych niewzruszonych wspiera się posadach, też same głosi zasady i w tym samym idzie kierunku. To co w kazaniu każdego z nich jest ludzkiego, jako: zewnętrzna budowa stylu, sposób wyrażania się, układ okresów, kwiecistość lub prostota języka, przewaga zapału lub przekonania, jest ich samych własnością, przymiotem i cechą, i to tylko mogłoby się stać przedmiotem uwag i spostrzeżeń. Nie zapuszczam się tu jednak w ocenienie każdego z rodzajów wymowy tych trzech kaznodziei, bo raz, że to co tu piszę, nie powinno być, jeśli mi wysoko sięgnąć wolno, horacyuszowym lub laharpowym zbiorem prawideł; powtóre, że nie poczytuję ich za współzawodników ubiegających się o przyznanie sobie wieńca demostenesowego. I tak jeszcze nie zapełnią oni sobą kazalnic wszystkich kościołów krakowskich, znajdzie się miejsce i dla innych; a lubo nie każdemu dane jest być mowcą, a tem bardziéj mowcą religijnym, wszelako przykład tych kaznodziei powinien być w ogóle zachętą dla osób stanu duchownego do ćwiczenia się w zawodzie kaznodziejskim.

Biorąc bowiem rzecz ze stanowiska wyłącznie religijnego, wieleż to razy zdarzyło się widzieć niejednemu księdza na ambonie każącego do pustych ławek, a co najwięcéj, do małéj garstki takich słuchaczy, którzy ściśle pilnując praktyk religijnych, a zewnętrzną ich tylko zachowując formę, słuchali kazania w taki sposób, iżby do nich zastósować można to co powiedział Krasicki

w jednéj z bajek swoich: „Uchowaj Panie Boże takiéj pobożności!“ Zbiory lepszych kazań drukowanych, nie mają bynajmniéj przeznaczenia formularzy; stanowią one tylko studya i wzory na których się w wymowie kaznodziejskiéj kształcić można. Wypisy z nich, a chociażby nawet wypracowania oryginalne czytane na ambonie, nie zastąpią nigdy żywego słowa, które duch mowcy przelewa w ducha słuchaczy. Wypracowanie pisemne, choćby łączyło w sobie wszystkie zalety stylu, nie zbędzie się nigdy widocznéj cechy rozprawy lub traktatu, i nigdy nie będzie kazaniem.

Jeżeli wymowa kościelna dość rzadką jest dziś u nas, to tem rzadszą wymowa świecka. Nie masz pola, na któremby ją uprawiano, niemasz miejsca gdzieby jéj użyć się dało; ztąd łatwiéj o dobrze piszących niż o dobrze mówiących. Jeżeli przeto zdarzy się jaka sposobność lub potrzeba przemówienia, unika się pierwszéj o ile można, a drugą byle czém się zbywa. Dla tego też z takim podziwem i uwielbieniem przysłuchiwaliśmy się niedawno głosowi nowego Prezesa Towarzystwa naukowego przy zagajeniu pierwszego posiedzenia publicznego. Głos ten zdawał nam się być ostatnim zabytkiem tradycyi już zaginionéj; i może dla tego z takiem upodobaniem mowca zatrzymał się na współczesnéj jeszcze sobie za młodu przeszłości, że wspomnienie jéj przenosiło go w te czasy i te koła, gdzie słowo miało wagę i znaczenie czynu, bo za niem czyn w ślad postępował, i że go otaczało tymi ludźmi, których głos był potęgą. Oto z téj mowy suchy skielet przeszedł do druku: życie z niéj uleciało; bo jakże oddać ów drżący dźwięk w którym zapał ducha szarpał się z wątłością sił fizycznych starca, jakże opisać spokojną powagę mowcy dowodzącą pewności w siebie, jakże przedstawić ton raz żałoby drugi raz nadziei? Zdawałoby się, iż dłużéj przetrwać powinny w pamięci słuchacza wyrazy i wyrażenia mowy, pewne jéj okresy, wreszcie główne myśli, niżeli ten jéj ton i koloryt, a przecież tu przeciwnie się stało, niewiem czy dla niezwykłości widoku mowcy zabierającego głos publicznie, czy też że był on reprezentantem epoki już minionéj któréj rysów dopatrywać w nim chciano. Bywa też niekiedy, że człowiek zapomina o ważném jakiém zdarzeniu, a nie zapomni rysów

osoby przypadkowo spotkanéj. Tak i téj przemowy nie zapomnimy, chociaż może niejedno dzieło Towarzystwa naukowego krakowskiego pójdzie w niepamięć.

Dawnemi laty korzystając z téj pory postu i z pobytu zamożniejszych rodzin w mieście, dawano pod ten czas widowiska na cele dobroczynne, jako to: teatra, koncerta lub urządzano loterye fantowe. Tego roku ograniczono się jak dotąd na jednym koncercie amatorskim, lubo nieamatorskich koncertów i nie na cele ogólne, mieliśmy już kilka. Muzyka niesłychane u nas czyni postępy, nie iżby się doskonalić miała, lecz że się popularyzuje. Jako w Grecyi starożytnéj jest dziś ona jednym z głównych przedmiotów wychowania. Dawniéj nie była tak rozpowszechnioną, jakkolwiek śpiewano nie tylko po kościołach, lecz i w domu także pieśni nabożne; kantyczki, gorzkie żale, psalmy, należały do codziennego po wieczerzy zajęcia, i piękne téj muzyki dotąd zachowały się pomniki. Śpiewano i przy tańcu i przy różnych obrzędach, lecz zwyczaj ten zaledwie jeszcze na wsi się przechowuje. Od upowszechnienia jednak fortepianu dyletantyzm przybrał rozmiary ogromne, a fortepian jest właśnie takiem narzędziem muzycznėm, że bezkarnie nadużywać się pozwala. Śpiew natomiast zupełnie zaniedbany, i niepodobieństwem dziś złożyć jaki taki chór głosów. Nie mówię ja tu tego ze względu na ów koncert amatorski, bo mógłbym przytoczyć z programu jego parę imion któreby surowszym niż nasze wymaganiom zadosyć uczynić umiały, lecz wyniesieniem ich nie chciałbym poniżyć innych. Wzmianka jednak o tym koncercie nastręczyła mi te kilka słów o muzyce, a zwłaszcza o muzyce w Krakowie. Zostaje ona właśnie w odwrotnym stosunku z liczbą grających. Dużo brzęku—mało dźwięku. Muzyka straciła swoją poetyczną i uczuciową stronę, a stała się niemal umiejętnością empiryczną, w której głównie idzie o pokonanie trudności. Koncercista popisuje się niemi jak biegły dyalektyk i im daléj zaszedł na tém polu tém stoi wyżéj. Nie dziw przeto, że zmysł publiczny nie może znaleść zadowolenia tam gdzie nic nie przemawia do jego serca. Koncert przeto wtedy tylko ściąga słuchaczy, kiedy nie jest sam dla siebie celem, ale jedynie środkiem. Cel też uświęca nieraz środki i dla

tego to zdarzają się przypadki że sala koncertowa jest napełnioną słuchaczami. Wprawdzie chcąc ich ściągnąć uciekać się niekiedy potrzeba nawet i do gwałtu, i przykładając jedną ręką bilet do piersi, wyciągać drugą po banknot. Na téj tylko drodze zbierać jeszcze można laury muzyczne. Przejezdni artyści chwytają się nieraz tych sposobów przez pośrednictwo usłużnych przyjaciół lub protektorów, zwłaszcza jeśli nie są w tém szczęśliwém położeniu aby sławę ich roztrębywano nie po samych tylko afiszach. Jeden ze znanych skrzypków Mieszko Hauser opisując artystyczne przygody swoje na wyspach morza południowego, wyznaje szczerze, że bez szarlatańistwa i sztuczek kuglarskich, bez wózka Dulkamary i bębnów głoszących jego przybycie, byłby nie miał o czém wsiąść na statek, a jednak mówi on, że inny to tylko rodzaj reklamy aniżeli ten jakiego używają w Europie. Wyznaje, że między łamanemi sztukami z jakiemi się popisywał na swoim instrumencie w Pradze, Wiedniu i Paryżu, a temi jakiemi wzbudzał podziw na dworze królowéj Pomare lub u Krezusów w Melbourne i Adelaide, zachodziła tylko ta różnica, jaka zachodzi między kuglarzem włochem a chińczykiem.

Może od hałaśliwych tegoczesnych oper wrócićby należało do smętnéj dumki lub wesołéj piosnki, żeby na tym prostym pokarmie odzyskać smak zepsuty wybrednemi przysmakami; może aby upadłą również muzykę kościelną podnieść, przypomnieć sobie wypada poważne i proste pienia nabożne, zastępywane dzisiaj jakąś kombinacyą obcą charakterowi muzyki uroczystéj. Nie jesteśmy tu wprawdzie zepsuci zbytkiem muzyki kościelnéj, bo oprócz zamkowej, żywiącéj się resztkami dawnéj wziętości, i maryackiéj z organem dobrze nadpsutym i orkiestrą nieobsadzoną należycie, a składaną zwykle przypadkiem i dobrą wolą amatorów, reszta kościołów nie posiada nawet dobrych organistów. A przecież dla kraju kilku milionowego gęsto parafiami okrytego, przydałaby się szkoła organistów. Przedmiot ten jednak za daleko by mię odciągnął od pierwotnego zadania, a pozostaje mi jeszcze kilka słów do powiedzenia o otworzonéj od miesiąca wystawie obrazów.

Sto kilkadziesiąt dzieł sztuki malarskiéj wylicza dotychczasowy katalog wystawy. Gdyby chcieć uczynić z nich wybór godny głębszego ocenienia, wypadłoby przedsiębrać kilkakrotne brakowanie, iżby zebrać samą śmietanę wystawy. Wystawa tegoroczna ma to do siebie, iż z pośród wielkiéj liczby dzieł prawdziwie zasługujących na uwagę, nie dałoby się wybrać jednego, któremuby palmę pierwszeństwa przyznać można; natomiast wszelako, koniec szary nie zachodzi tak daleko jak w roku przeszłym. Czy to że większą okazywano surowość w przyjmowaniu obrazów, czy że pseudo-artyści dużo z miłości własnéj straciwszy nie narzucali się z robotami swemi, dość, że oprócz kilku tego rodzaju prac zmuszających do rozpaczania nad losem artysty, jeżeliby wcześnie zawodu sobie innego nie obrał, reszta mierności jest znośna. Przypatrując się znów wystawie ze względu na rodzaje, uderza ta okoliczność, że obrazów historycznych nader mało, religijnych tylko kilka, a zresztą po większéj części widoki, które przeważną téj wystawy składają liczbę dzieł lepszych.

Cztery religijne obrazy celują w tym rodzaju: N. Panna, ołtarzyk zamykany, Hübnera z Drezna; święta Rodzina, Rejchana ze Lwowa; Narodzenie Chrystusa, Piotrowskiego z Królewca; N. Panna, Schönherra z Drezna. Z tych czterech obrazów, trzy przedstawiają N. Pannę. Przedmiot ten po tylekroć traktowany przez pierwszych mistrzów nie może zapewne nastręczyć pomysłu tak nowego, aby ten nie przypominał czegoś już znanego. Nie idzie wszakże za tem, aby dziwne stawiać żądanie malarzom Rodziny świętéj, żeby z figur znanych i mniéj więcéj tradycyjnych typów stwarzali jakiś pomysł w układzie nigdy i nigdzie nie napotykany. Dość, by to nie była kopia. Maleńki ołtarzyk Hübnera z drzwiczkami malowanemi na sposób drzewnéj mozajki, zadziwiające przedstawia wykończenie w drobnych główkach figur, a sposób malowania i przezroczystość ciała przypomina dawną szkołę niemiecką. Prace Hübnera odznaczają się w ogóle natchnnieniem i są jakoby mgłą poetyczności owiane, a przytém technika wyborna, pracowite wykończenie bez wymuskania. Obraz Rejchana na wielkie rozmiary pomyślany i wykonany, daje w głównéj figurze Dzieciątko Jezus, w obec którego Matka Boska mniéj

już zwraca uwagi. Trzymanie Chrystusa w pół, lubo już znane, jednak tak jest naturalne, że artysta musiał powtórzyć koniecznie tę wielką kompozycyę. Figura ś. Jana odznacza się w tym obrazie oryginalnością i wielkiem uczuciem. Narodzenie Chrystusa Pana przez Piotrowskiego, widziane już na wystawie paryzkiéj w roku 1855, jest jakoby w rodzaju „Nocy“ Corregia. Kompozycya wielka, lecz do jej zrozumienia przeszkadzają i układ figur i sprzeczność światełka białego gwiazdy z mocném jéj a żółtawem odbiciem na głowie jednéj z osób. Dużo obraz ten traci iż ramy jego pstre nie dozwalają wyjść na wierzch właściwemu kolorytowi. Schönherra z Drezna N. Panna z Chrystusem, ś. Janem i barankiem, także ze znanych ułożona pozycyj, jest wdzięcznym obrazem.

Pomiędzy widokami pierwsze zajmują niezawodnie miejsce dwa obrazy morskie Schmidta i Weissa z Berlina, szczególniéj spodni z nich jest oddany z taką uderzającą prawdą, schwycony w chwili, jakby się fale wstrzymały żeby malarzowi dać sposobność wiernego oddania każdego zagięcia, każdego ich spienienia. Dziwna przezroczystość wody dozwalająca zmierzyć nawet grubość fali, sprawia wrażenie tak uderzające, że nawet dla tych co nigdy morza nie widzieli, obraz ten musi się wydawać wiernem schwytaniem natury.

Widoki morskie Boratyńskiego z Florencyi, widoki Neapolu i Ischii oba przez Jaeckla, widoki miast holenderskich Meyerheima, Hermanna, wszystkich trzech z Berlina, widoki szwajcarskie Baumgartnera, Ochsa i Engelhardta, a szczególniéj pierwsze zasługują na zaszczytną wzmiankę. Z malarzy krajowych których szczupły jest poczet, odznaczają się wszakże sumiennością roboty widoki Szydłowca i Sandomierza Szermentowskiego z Warszawy.

Owczarnia Robbego z Berlina pierwsze zajmuje miejsce w obrazach zwierząt, i liczyć się może do najcelniejszych w tym rodzaju utworów.

Z obrazów treści potocznéj akwarella Aleksandra Orłowskiego przedstawiająca jarmark, jest utworem w duchu teniersowym, pełna charakterystyczności i prawdy, w rysunku poprawna, w układzie osób śmiała, gdyż pomimo pomieszania licznych grup, nie masz tam za-

gmatwania. „Czeladnik“ Karsta nieco w karykaturę przechodzi, jakkolwiek cecha niemiecka tego obrazka, może ją w oczach polskiego widza bardziéj podnosi. Śmierć złodzieja leśnego Schmelzera z Drezna, w szczegółach wyborny obraz, lubo niektóre figury znane już gdzieindziéj, mniéj zwraca uwagi, bo kompozycyę tę pozbawia traiczności figura leśniczego. Gdyby była ona została po za głównym tematem jak np. strzelec, byłaby tylko uzupełnieniem obrazu, ale wmieszawszy się w dramat w postaci zbyt patetycznéj, odrywa uwagę od głównych figur. Obraz Löfflera ze Lwowa, scena w strojach hiszpańskich, całym układem i wykonaniem technicznem, a może i przypomnienicm dobrych mistrzów szkoły flamandzkiéj wielce zająć może, lubo sam przedmiot zbyt nam dziś obcy.

Krużganki Marcina Zalewskiego z Warszawy mogłyby posłużyć za wzór dla innego artysty który nam dał prace swoje w tym rodzaju.

Między portretami celują Tepy akwarelle, z których głowa Mickiewicza wielkości naturalnéj ma być na premię tegoroczną wyryta; Bonawentury Dąbrowskiego z Warszawy, którego portret olejny uderza szczególnym kolorytem; Moraczyńskiego „Staruszka“ obraz wielkich zalet; Rejchana portret Karola Lipińskiego; Kornelego Szlegla, a do téj liczby policzyć także trzeba portret kobiecy Piotrowskiego, mimo że mu dano napis: „Zaproszenie na schadzkę“.

Władysław Łuszczkiewicz oprócz wielkiego obrazu X. Skargi u drzwi kościoła ś. Barbary o którym już pisano dawniéj, a który policzonym być może do lepszych dzieł tego artysty, dał przed parą dniami Kochanowskiego z Urszulką. Wprawdzie Urszulkę tę wyobrażano sobie nieco starszą niż ją artysta odmalował, jednakże główka dziecięca jest wielkiéj piękności i łączy w sobie charakter dziecka z pewną zadumą. Główkę tę z całego obrazu najwyżej cenią.

Umierający Zygmunt August i Giżanka akwarella Straszyńskiego z Petersburga powszechnie jest chwaloną, lubo postać Giżanki ma w sobie coś teatralnego. Głowa króla jest wyborna, a cały obraz wykończony pracowicie i harmonijnie, pomimo przeważającego kolorytu czerwonawego.

Wejście jenerała Dąbrowskiego do Rzymu przez Suchodolskiego należy do lepszych prac tego artysty.

Możnaby tu jeszcze wymienić nie jedno, gdyby chcieć ściśle trzymać się zapowiedzianego rozgatunkowania, lecz i tak ta wzmianka choć w tak ciasnych zamknięta ramkach parę zajęła kartek. Jedno jeszcze pominiętém wszakże tu być nie może, to jest obrazki akwarellowe Ksawerego Preka obywatela z Galicyi, który z nadzwyczajną dokładnością i miniaturowém wykończeniem przypominającém nieco chiński sposób malowania, dał kilkanaście obrazków przedstawiających ubiory ludu w różnych okolicach kraju. Nie są to wszelako proste tylko rysunki ubiorów, lecz zarazem typy rysów z nadzwyczajną prawdą oddanych. Zbiór taki, nad którym artysta nieustannie, jak słyszeliśmy pracuje, wielkiéj jest wartości, a ze względu na pracowite i ścisłe trzymanie się natury, jedynym zapewne w swoim rodzaju. Warto aby kiedyś obrazki te przez litografię rozpowszechnić się zdały, bo zostawiają daleko za sobą dotychczasowe wydania ubiorów wiejskich jakie wychodziły w Paryżu i Warszawie, a gdzie nieraz miejsce stroju wiejskiego zastąpił *costume de fantaisie*.

Kilka te pobieżnie rzuconych spostrzeżeń nad tegoroczną wystawą zamknąć najwłaściwiéj wzmianką o nadeszłych w chwili kończenia téj kroniki dwóch obrazach. Pierwszym z nich jest „Góral“ Gersona bawiącego obecnie w Paryżu; drugim wielki pastel Maleszewskiego także z Paryża, przedstawiający wieśniaczkę. Obraz Gersona wyobraża górala spuszczającego się w niziny; po za nim śniegi i śniegi, powietrze szare, mgliste, wietrzne, szczyt chałupy wyglądającej z pośrodka śniegów. Twarz górala pełna wyrazu a wierna, mięsza się w niéj fizyczne cierpienie z moralném, a cała postać żywa i ruchoma; od razu widzieć, że idzie i idzie spiesznie. Do namalowania tego pięknego obrazu użyto tak mało farby, że dziwić się trzeba, jak jednym pociągiem pędzla artysta wydobyć umiał światło i cień szarawy.

Pastel Maleszewskiego prześlicznie wykonany, trzyma środek między olejnym a miniaturą, tak dalece artysta umiał użyć farb świetnie a przytém delikatnie. Wieśniaczka ta ma wprawdzie nieco maniery, lecz zapomina się o tém przy wdzięku całości, tak jak patrząc na

Basię w „Krakowiakach i Góralach“ nie szuka się w niéj dziewki wiejskiéj.

Na tém kończę moje marcowe sprawozdanie, które mię zaprowadziło w dziedzinę sztuki i zmusiło być szarym końcem kronikarzy berlińskiego i paryzkiego. Tymczasem nie znajdzie tu ani głębokości pierwszego ani trafności sądu drugiego; lecz jeśli to i owo z tego co powiedziałem, całkiem inaczéj ci się wyda szanowny czytelniku, to przez wzgląd iż czytać to będziesz w dniu 1 kwietnia, wyobraź sobie, że cię umyślnie zwieść chciałem, żem to napisał na *Prima aprilis.*

Lwów w marcu.

Wielkopostne wieczory, cichszéj natury niż karnawałowe podają sposobność do rozmowy dłuższéj, treściwéj, poważniejszéj, o tém co myśl i czasy niosą. Wprawdzie ostatnie niewiele ciekawego mają dla nas, wszelako rzecz o komecie często występuje, i zadziwia tém szczególniéj, że ją stroją w dziwy i strachy, iż wygląda jak owo Horacego: *Humano capiti cervicem equinam.* Toć słusznie i z zadowoleniem słyszeć się daje tu i owdzie głos zwracający wyobrażenia w naturalną logiczną koléj. Chciałbym wam przytoczyć te słowa, które wyrzekł poważny mąż przy owéj wielkopostnéj herbacie, zapytany przez ciekawych, czy też trwożliwych, co myśli o komecie i o przepowiedni niemieckiego astronoma. Wspomniawszy po krótce, co Bessel i inni twierdzą o przyrodzie komet i o niepodobieństwie jakiéj katastrofy; o tém, żeśmy, jak twierdzi angielski astronom Hind, dnia 26go czerwca r. 1819 przejechali się przez ową nader subtelną istotę komecianą, niewiedząc o tem i nieczując żadnéj zmiany w sobie ani koło siebie — tak daléj co do trwogi i strachów rzecz prowadził: „Wyobraźnia ludzka“ mówił on „zawsze jest czynną, tak śród wytężonéj pracy umysłowéj, jak i we śnie. Wielka to mistrzyni; wiele wynalazków, arcydzieł sztuki, nowych kierunków w praktyce życia jéj winniśmy; lecz ileż błędów, widziadeł, urojeń zradza, kiedy się wymknie z pod wodzy wiary i rozumu; kiedy nas opuści

trzeźwość, by rozróżnić urojone kształty, jéj podrzutki od rzeczywistych wynikłości. Najczynniejsze umysły doznały tych dobrych i złych darów wyobraźni. Dusze wyższego nastroju wzlatują na jéj skrzydłach w górne krainy wiedzy: biada im, jeżeli fantazyi zbyt wiele zaufali. Ludziom zajętym sprawami ziemskiemi wskazuje ona nowe drogi do wynalazków, nowe środki do celów, ale ileżto zawodów liczy człowiek polityk, człowiek przemysłu, człowiek handlu, rękodzieł. Sztukmistrzowi, poecie odsłania ona nowe kształty w krainie piękna— ale ileż razy ujęli oni mgliste widmo za ideał, karykaturę zamiast postaci posągowéj! Nawet w zatrudnieniach życia powszedniego na jakiemkolwiek stanowisku fantazya twórcza niesie czynnéj myśli pomoc; ale czasem, gdy jéj się zanadto zwierza, niejednego figla spłata.

— Więc najlepiéj być nieczynnym, to niezbłądzimy, bo fantazya niema pola uwodzić na bezdroża— odezwała się z uśmiechem pewna młoda dama.

— We śnie jesteśmy zupełnie nieczynni, odrzekł mowca, a ileż to tam złudy!

— Przepraszam, nie tak myślałam. Jeżeli ktoś np. niema żadnego zakresu pewnego dla swéj czynności, jeżli zresztą nielubi trudnić się ani pracą umysłową, jak pan nazywasz, ani jakiém inném zajęciem.

— A, pani mówisz o próżniakach! Tych wyobraźnia wiedzie do plotek i bajek, jak znowu osoby trwożliwe, hypochondryczne, do wynajdywania własnych udręczeń, zmartwień, trwóg, z któremi walczą nieszczęśliwi jak rycerz z Manszy z wiatrakami, póki ich brzask dzienny nie wyprowadzi z błędu. W obu razach jest to sprawka wyobraźni, która bierze górę nad rozsądkiem. Pozwól pani przytoczyć przykład. Jakiś astronom niemiecki napisał o zjawieniu się komety w tym roku, i o możliwym kierunku jéj biegu względem ziemi. Ileż baśni nie przyczepiono u nas do tego zbliżenia się komety! Niektórym już od strachu herbata towarzyska niesmakuje, inni zapominają patrzeć co dzień na kursową cedułkę telegrafem przysłaną, innym preferans nie udawał się jak przedtem. Ale powiadają, że się człowiek ze wszystkiem oswoi, więc powoli wrócili do herbaty, do kursowych cedułek, do preferansa. Aliści jakby raca z ukrycia wylatuje nowa plotka: Wieliczka, czyli raczéj kościół i do-

mów dwadzieścia i trzy tamże zapadło się. Już wieść oblatuje miasto, z ust do ust leci — jak kania kołuje w powietrzu, a gąsięta tu i owdzie truchleją: „to kometa daje znać o sobie!“ „Stójcie czekajcie! wszakże telegraf coś o tem doniesie!“ Czekają dzień jeden i drugi, przyszła nareszcie i poczta. — „Otóż wasze strachy wieliczkowskie i komeciane; wróćcie do herbaty, do waszego preferansa, jeżeli wam brak lepszego zatrudnienia. Nie frasujcie się kometą ani Wieliczką: *es ist schon dafür gesorgt, dass die Bäume nicht in den Himmel wachsen* powiedzial drugi niemiec, nie słuchajcie wybryków fantazyi pustéj lub trwożliwéj; jedna stawia samołówki na zające, druga spłoszona widmami wyśnionemi w strachu, odlatuje jak nietoperz w trwożliwą gromadkę, i niepokoi kogo może.

— A pan też przypadkiem czy nie myśli kiedy o komecie? Niech też pan się przyzna, przerwała owa młoda dama.

— Niemam pani czasu na to, odpowiedział mowca. Myśli moje od rana do wieczora bierze w sekwestr obowiązek i praca; trzeba więc myślenie o tem zdać na kogoś innego.

— A na kogóż przecie? — ciekawość powszechna.

— Już to najlepiéj i najsłuszniéj na pana Boga; on urządziwszy raz ten zégar świata, dokładniéj bieg jego rozumie, niż jakiś tam astronom niemiecki. A zresztą jeżeli jeszcze trzeba myśleć o tem, to niech myślą ci, którym trudno zabronić, bo...

Czy zabrakło słowa, czy je umyślnie cofnął — a wszyscy na mówiącego patrzą.

Podratował go ksiądz proboszcz, który słowu dał nowy kierunek:

— Bo niemają silnéj wiary i ufności w Opatrzność! Wierzą i ufają na pół; i dla tego ta wiara niezdolna żadnéj próby. Wszak jéj niestać na opór bajkom, co rozsiewają tchórze.

Otóż argument, lepszy niżeli teorya Bessla i Hinda o kometach. —

Nasze towarzystwo rolnicze wybrało pana Ksawerego d'Abancourt, właściciela Łowczy w obwodzie żółkiewskim na dyrektora szkoły dublańskiéj. Mielibyśmy wiele pochlebnego powiedzieć, tak o trafności wyboru, jak i

o osobistem uzdolnieniu i chęciach nowego dyrektora-zastępcy. Wszakże w rzeczach zawisłych od wolnéj samodzielności ludzkiéj, nie powinno się nigdy uprzedzać opinii publicznéj, i niejako nadawać jéj z góry ten lub ów kierunek. Naszém zdaniem należy to do sumienności literackiéj. Publiczność nasza nieprzywykła (dzięki niebu!) do tych praktyk zagranicznéj prassy, która używa języka często według politycznych okoliczności, nie według rzeczywistości.

Dyrekcya teatru lwowskiego zakończy wkrótce szereg przedstawień przeznaczonych dla oceny komitetu, który ma zdać sprawę o stanie sceny i uzdolnieniu aktorów. Jakem wam niegdyś o tém pisał, publiczność już dawno wydała wyrok o stanie sceny naszéj i o dyrekcyi, a jak się okazuje, siedm przedstawień nie zreformowało tego wyroku. Aby mieć jakieś wyobrażenie o tym stanie sceny naszéj i o jéj artystycznem kierowaniu, wspomnę tylko pobieżnie, że w zapowiedzianéj sztuce popisowéj: *Szklanka wody*, aktor z wyłącznym talentem do niższéj tylko komiki, występuje w roli ministra Bolingbroke. U nas aktor na scenie jest jakby w pułku na Kaukazie: „ty budiesz muzykant, a ty budiesz sapożnik“ choćby nigdy nie grał, nigdy butów nie robił. To też u nas mówią już tylko o komedyi, każda komika wyższa, komika z sytuacyi, przechodzi w śmieszność indywidualną, we farsę, a postacie kontuszowe już od dwóch lat przeszły w karykatury. *Zemsta* Fredry i prawie część większa jego sztuk nie mogą być grane; tak samo i wielka część dramatów Korzeniowskiego. Opieramy się tu na faktach i odwołujemy się do głosu publicznego.

Zbiór numizmatyczny po ś. p. hr. Łosiu kupiła w całości hrabina z Mostowskich Starzeńska z Królestwa Polskiego. Pozostały jeszcze książki treści numizmatycznéj, których jest przeszło 200 tomów do sprzedania.

Wiedeń w marcu.

Kiedy we Włoszech północnych, zacząwszy od Wenecyi aż do Genui, panuje od początku tego miesiąca

podług listów z rzomaitych stron, najpiękniejsza wiosna, tu po kilku dniach ciepła i pogody, wpadliśmy znowu w śnieg i błoto, chroniąc nosy i uszy od przenikających wiatrów jak wśród zimy szalami i futrami, czem kto może. Meteorologowie twierdzą dumnie, że ten fenomen już oddawna przepowiedzieli. Rzecz w gruncie łatwa do pojęcia w Wiedniu, gdzie nawet w kwietniu i maju można podobne przepowiednie nieraz zupełnie ujrzeć potwierdzonemi. Nigdzie może wiosna nie jest mniej pewną i niestalszą. Moda nakazując powitanie jej urzędowe na Praterze w dzień 1 maja, znalazła się już często ukaraną za swe dobre chęci. Widziałem nawet jak w roku przeszłym po dość ciepłym i pogodnym poranku, wysypaną publiczność na tę przechadzkę, prawdziwie z deszczem i śniegiem zmieszana zawierucha, nagle do domów zapędziła. Jaki będzie maj teraźniejszy, meteorologowie przepowiedzą to nam zapewne w czerwcu. W głowach zaczyna się przewracać na wieść o nadzwyczajnej komecie i o końcu świata, i ludność mało dba o potoczne zmiany powietrza, a pragnie już tylko żeby źle lub dobrze, do lipca dostać się mogła. Niespokojność jest w naturze ludzkiej, i zdaje się jakoby do życia była koniecznie potrzebną. Sam sen, ten zbliżony obraz śmierci, która ma być początkiem wiekuistego spoczynku, rzadko kiedy schodzi bez miotających duszą naszą marzeń. Przy otwartych oczach, marzenia te, lub tym podobne, zajmują nietylko duszę lecz i ciało. Cóż więc dziwnego, że tak bliski koniec świata, porusza mniej lub więcej spokojne nawet skąd inąd umysły, i obudza leniwe wyobraźnie. Wszakże gdy każdy o tem mówi, nikt temu nie wierzy. Ręczyć wam przynajmniej mogę, że dotąd o żadnym testamencie zrobionym z tego powodu, niesłyszałem. Rzecz wprawdzie ciekawa, kogoby wśród ogólnego zniszczenia, można było mianować swym spadkobiercą.

Tymczasem ponieważ świat trwa, mówmy o świecie. Życie nasze tak prywatne jak ogólne, tu przynajmniej w Wiednin, nie zapowiada bynajmniej, abyśmy się na rozstanie z niém już byli przygotowali. Pomimo dni skruchy i pokuty, które tym razem przyszły po dwakroć w porę, duch wesołości i zabaw ożywia chwile oszczędzone od pracy lub od obowiązków rodzinnych i religijnych.

Rano i wieczorami kościoły pełne. Lecz z południa można pomimo zimna i słoty, widzieć massy ludności po ulicach i na przechadzkach, a pod noc po teatrach lub publicznych zebraniach. Koncerta zajmują na takowych pierwsze miejsce. Zliczyć je byłoby trudno: zdać z nich sprawę jeszcze trudniej. Znudziłbym wreszcie czytelników krytyką lub pochwałami uwertur, sonat, warjacyj, rondów, odegranych na rozmaitych instrumentach przez obojej płci artystów. Ograniczam się przeto do zapisania dwóch imion, uznanych głosem publiczności za dwie gwiazdy tego firmamentu. P. Bazzini skrzypek i panna Kastner pianistka, utrzymają i wzmocnią swą sławę dalszą pracą i usiłowaniami. W grze obu jest dowód niepospolitego już dzisiaj talentu i dobrego ukształcenia. P. Bazzini ma do czynienia z instrumentem pełnym życia i wdzięku, w ręku kierowanem uczuciem, smakiem i nauką. Na wszystkich tych przymiotach mu nie brakuje. Czas poprowadzi go do doskonałości i postawi na równi z pierwszymi w tym zawodzie. Panna Kastner jest również młodą i ma przed sobą świetną przyszłość.

W teatrach od dni kilku ruch nadzwyczajny. Prawie każdy z nich przynosi coś nowego. W Burgu komedya francuzka „*Les faux bons-hommes*“ znalazła pod nazwiskiem „*Biedermänner*“ przyjęcie odpowiednie tej wziętości, której używa w Paryżu. Publiczność tutejsza oswaja się coraz więcej z płodami dramaturgii francuskiej. Tłumaczenia lepszych sztuk zajmują w repertoarze Burgu znaczne miejsce. P. Laube nie mogąc zdobyć się na dzieła oryginalne, wszedł na tę drogę i znalazł na niej oklaski i pieniądze. Wszakże teatr narodowy niemiecki, pierwsza pod wielu względami scena dramatyczna na przestrzeni od Renu do Odry, powinienby myśleć o utrzymaniu przynajmniej tego stanowiska, które dawniej pod tym względem zajmował. P. Laube usprawiedliwia się brakiem pisarzów i artystów. Wymówka słuszna, lecz mało pocieszająca. Wierzyć wszakże trudno, patrząc na sztuki oryginalne, które się przedstawiają czasami w Burgu, i na młode zwłaszcza aktorki mające już zapewnione utrzymanie prrzy teatrze na całe życie, żeby się nie znalazło lepszych na rozległych ziemiach Rzeszy niemieckiej. Musi więc przyczyna tego niedostatku w teatrze Burgu gdzie indziej spoczywać. Kasa cesarska jest za-

można i hojna. Trzebaby może przeto życzyć żeby administracya troskliwa jak dotąd o los artystów, była trudniejszą w ich wyborze.

Opera cesarska niemiecka nieszczęśliwsza jeszcze w składzie, odpoczywa teraz na laurach, które zbiera na jej polu i pod jej okiem pani Ristori. Dwanaście przedstawień danych przez tę świetną artystkę, ustaliły w tutejszej publiczności wysokie o jej talencie przekonanie. Lecz wyznać trzeba, że go nie podniosły. Wina główna w samej pani Ristori. Od niej zależał bowiem wybór otaczających ją aktorów i aktorek, a następnie i wybór sztuk. Owóż kompania teraźniejsza jeżeli nie słabsza, to przynajmniej nie lepsza od tej, z którąśmy widzieli panią Ristori przed rokiem. Aktorowie prawie wszyscy albo mierni albo nawet całkiem nieudolni. Aktorki niektóre ładne, wszystkie młode ale bez talentu i bez wprawy. Z takiemi żywiołami, wybór dzieł do przedstawienia był trudny, i powodzenie przedstawionych nie zupełnie zadowalniające. Sama pani Ristori, godna tej sławy jaką ją okryła Europa, zdała się publiczności wiedeńskiej, która pierwsza otworzyła jej wrota do świątyni, mniej świeżą i trochę jakby zmęczoną tak fizycznie jak artystycznie. I przeczyć trudno, lubo widząc ją po za sceną, nienależałoby się zgodzić na pierwszy przynajmniej z tych zarzutów, żeby w nich nie było trochę prawdy. Siły olbrzymie wystarczyłyby zaledwo tej pracy, w której pani Ristori pędzi swe życie od pierwszej swej młodości i którą zamieniła prawie w drugą naturę od lat kilku. W podróży lub na scenie: oto obraz tego życia. Dniem przed pierwszem swem przedstawieniem w Wiedniu, znajdowała się jeszcze w wagonie na drodze z Tryestu: teraz właśnie wyjechała do Paryża, gdzie natychmiast występuje. Do zniesienia tylu trudów, trzeba nietylko siły, lecz zapału i natchnienia. Ktokolwiek wszakże w umysłowym zawodzie biegł tym torem, wie z doświadczenia, ile to zdrowia kosztuje. Panna Rachel leczy się ze skutków tej świetnej walki w Kairze. Pani Ristori spokojna i szczęśliwa w życiu domowem uniknie może podobnej ostateczności. Zresztą gdziekolwiek się obróci, uniesie z sobą wdzięczne tutejszej publiczności wspomnienie. Z nowych jej utworów, najwięcej się tu podobała „*Medea*“. W roli królowej Elżbiety, jest więk-

cej portretem niż osobą, z winy autora sztuki, który zamiast tragedyi, napisał biografią. W „*Rosamundzie*“ charakter osoby zniżył w przekonaniu widzów urok talentu artystki. Lecz w ogólności, były to piękne i zajmujące wieczory.

Nowa fraszka w teatrze na Widyniu „*Mehlgreisslerin*“ podoba się swą rubasznością. Aktorowie pobieleni mąką, wyglądają jak upiory. Aktorki dla uniknienia może tego porównania, wyglądają od różu, jak czerwienne tuzy. Publiczność śmieje się i klaska. Czyż to nie dosyć? W *Carlteather* idą podobne krotochwile jedne za drugiemi jak na kołowrotku. Po „*Umsonst*“ i „*Armen von Paris*“ obie zagmatwane i nudne gawędy, ukazały się teraz na afiszu: „*die Recrutirung in Krawalwinkel*“ i „*die Putzmacherin*“ niemniej dziwnej budowy utwory. Lecz i tu publiczność co wieczór liczna i zadowolniona.

Teatr francuzki skończył swe przedstawienia. P. Brindeau wyjeżdża z kompanią do Wenecyi. Przyrzekł i zobowiązał się wrócić z lepszą do Wiednia w roku przyszłym. Kontrakt z p. Pokornym podpisany na lat 10. Jest to dowód że artyści nie boją się skończenia świata.

Berlin w marcu.

Dokończam zarysu sztuki rzeźbiarskiej w Berlinie wymienieniem znakomitszych uczniów Raucha i dzieł ich. Największej pomiędzy nimi sławy dostąpili podziśdzień: Drake, Kiss i Rietschel, dwaj pierwsi zamieszkali w Berlinie, ostatni w Dreźnie. Realistyczny charakter monumentalnych dzieł, wychodzących ze szkoły berlińskiej, skreśliłem wyżej. Uczniowie Raucha nie odstępują od niego, chyba w utworach, do których treść biorą z idealnego lub starożytnego świata. Portretowe posągi nowoczesnych monarchów, wojowników, ludzi stanu, nauki, sztuki, publicznej zasługi, odziane są nie klasyczną draperyą, lecz konwencyonalnym czasu swego, stanu lub osobistego upodobania, mniej więcej idealizowanym ubiorem. Nowożytny płaszcz, zwyczajny zastępca starożytnej draperyi, osłania zarazem po większej części niepoetyczność pojedynczych części spodniego ubioru.

Ukształconego smaku i talentu rzeźbiarskiego rzeczą jest, dane formy i kroje nowoczesnych szat spoić w harmonijne, i plastycznemu charakterowi posągowej osoby jak najwięcej odpowiednie ubranie. Wyznać należy, że wymienionym z nazwiska uczniom Raucha, nie braknie w tym względzie ani smaku ani talentu.

Fryderyk Drake urodził się 23 czerwca 1805 r. w Pyrmoncie, a zatem w tej samej części Niemiec, co Rauch, nauczyciel i mistrz jego. Ojciec był mechanikiem, do którego zawodu i syn się sposobił, najprzód w domu, potem w Kassel, w chwilach wolnych od pracy, oddając się milszemu od mechaniki zatrudnieniu rzezania z drzewa i słoniowej kości różnych figur i figurek. Młodzieńcem wybierał się „pour corriger sa fortune“ do Petersburga, owego eldorado przychodniów niemieckich za panowania cesarza Aleksandra. Kupiona przypadkiem w domu ojca za wysoką cenę przez przejezdnego cudzoziemca jedna z snycerskich prac jego, przedstawiająca głowę Chrystusa, nasunęła mu myśl zostania rzeźbiarzem. Zamiast do Rosyi, udał się do Berlina, polecony będąc Rauchowi przez krewnych jego w Pyrmoncie. Przyjęty do jego pracowni, zrobił wkrótce takie postępy, że będącego bez sposobu życia, i zarabiającego sobie na nie tylko przez dorywcze prace mechaniczne, Rauch wziął do mieszkania swego i przypuścił do współpracownictwa około najznakomitszych dzieł swoich. Tak przez lat kilka pracując, ukształcił się Drake na samodzielnego mistrza. Pierwszemi utworami jego były: Najświętsza Panna z Dzieciątkiem z marmuru, nabyta przez poprzednią cesarzową rosyjską; Żniwiarka z marmuru; Grupa umierającego rycerza, któremu geniusz wieniec sławy pokazuje; Popiersia Raucha, Schinkla, Wilhelma i Aleksandra Humboldtów, bardzo zachwalone tak z charakterystycznego podobieństwa jak z artystycznego wykonania.

W roku 1836 wystąpił Drake po raz pierwszy z kolosalną monumentalną statuą Justusa Moesera, owego osnabryckiego męża stanu z drugiej połowy zeszłego wieku, który naprzekor przewrotnym zasadom czasu, słowem i czynem wypowiadał i stwierdzał: że prawda i uczciwość są i w życiu państw i narodów pierwszą powinnością. Statua odlana w bronzie, uważana za arcy-

dzieło, wystawiona jest na placu katedralnym w Osnabrueck. Następném większém dziełem Drakego, dokonanem w r. 1844 z sztuku, jest ośm kolosalnych figur w siedzącej postawie, zdobiących białą salę zamku królewskiego w Berlinie, a wyobrażających ośm prowincyj monarchii pruskiej. Około tegoż czasu wykonał Drake dla miasta Szczecina kolosalny posąg króla Fryderyka Wilhelma III z marmuru. W kilka lat później posąg marmurowy tegoż króla, wystawiony nakładem mieszkańców Berlina w Thiergarten, którego monarcha ten był szczególnym upiększycielem. Król wybornie portretowany, z odkrytą głową, w surducie wojskowym do góry zapiętym bez epoletów, jak zwykł był chodzić, w postaci tej przedstawia się żywo pamięci berlińczyków. Powiadają o nim, że miewał często łatane bóty. Przypadek zrządził, że w posągu wyłamał się kawałek marmuru z obuwia, który musiał być sztucznie napowrot wsadzony. Tak więc i znana oszczędność i wielka prostota w publicznem i prywatnem życiu tego króla znalazły przypomnienie w posągu, stającym się przez to najpopularniejszym z pomników tego rodzaju w nowszym czasie wystawionych. Przyczynia się do tego także prześliczna płaskorzeźba, opasująca okrągły piedestał posągu, a przedstawiająca w nader powabnej kompozycyi idylliczne życie w wolnej naturze ludu obojej płci i wszelkiego wieku. To wszystko jest „hoechst poetisch und gemuethlich“, zwłaszcza gdy się zważy, że się znajduje w miejscu przez sztukę ogrodniczą aż do zbytku upiększonem. Posąg zdaje mi się wtedy przedstawiać nie osobę króla, lecz ogrodnika lub założyciela parku, w którym stoi.

Do znakomitszych dzieł Drakego należy dalej jedna z ośmiu kolosalnych grup z kararyjskiego marmuru, które dwa lata temu wzniesiono na moście zamkowym w bliskości arsenału. Grupa przedstawia powracającego z zwycięzkiej wojny rycerza, któremu Wiktorya zabiera się włożyć wieniec sławy na głowę. Grupy te, których połowa przedstawia Minerwy uczące młodych rycerzy sztuki robienia bronią, czyniły początkowo wiele hałasu w Berlinie. Powodem do tego była zupełna nagość kilku figur męskich. Oburzała się mianowicie przeciw temu bigoterya świętoszków *Gazety krzyżowéj* i pruderya

starych bab i panien. Mianowano to zgorszeniem i skandalem publicznym. Znalazł się nawet gorliwiec, który usiłował rzuceniem kamienia oddalić główną przyczynę zgrozy. Na szczęście wykonując to pod zasłoną nocy, która właśnie powinna go była uczynić pobłażającym, nie trafił do celu, i uszkodził tylko nieznacznie inną przyzwoitą część ciała. Nazajutrz postawiono straż na moście, aby barbarzyńcom estetycznym odjąć chęć czynienia napaści na kształty przyrodzenia. Gdyby od nich zależało, toby wszystkie statuy i statuetki Amorków, Afrodyt, Faunów, Bachantek, Perseuszów, Theseuszów, Jasonów, Herkulesów, Merkurych, a za niemi wszystkich szermierzy olimpijskich, wreszcie samego Apollina, tego bezwstydnego golca w gronie udrapowanych Muz, na dnie morza potopiono. Dziś hałas betbruderów i betschwester berlińskich ustał. Przypomniano im, że Berlin nie napróżno nosi miano Aten nad Sprewą. Oko się przyzwyczaiło i nikt się nagością grup zamku królewskiego nie gorszy. Aspazye berlińskie nie zapuszczają zasłon na twarz, gdy przezeń przechodzą. Sztuka ma czystość dziewicy, i nie jest jej zadaniem budzić zmysłowe chuci i myśli, gdy piękności natury w nagich postaciach przedstawia. Patrzącego winą jest, gdy innego wrażenia doznaje; dowodzi przez to, że patrzeć nie umie.

Ostatniem dziełem Drakego jest wykończona dotąd dopiero w modelu kolosalna monumentalna statua elektora saskiego Jana Fryderyka, pamiętnego z czasów reformacyi obrońcy protestantyzmu. Statua zamówiona jest przez uniwersytet jenański, którego elektor ten był przed trzema wiekami założycielem. Odlana w bronzie, wystawiona będzie w mieście Jenie. Elektor przedstawiony jest od stóp do głów w rycerskiej zbroi, podobnie jak Raucha Bolesław W. w Poznaniu, głowę tylko pokrywa lekki baret książęcy. Prawą ręką wspiera się na wielkim szerokim mieczu z rękojeścią kształtu krzyża, w lewej trzyma otwartą biblię; z ramion spada płaszcz bez rękawów, którego szeroki gronostajowy kołnierz spięty jest na piersiach złotym łańcuchem ujętym w kosztowną klamrę. Najtrudniejszem zadaniem dla rzeźbiarza było, nadać historycznej postaci elektora, który był niezmiernie otyły, taki kształt, aby na tém piękność

form estetycznych nie cierpiała. Artysta umiał i tę trudność pokonać przez nader genialne ułożenie draperyj płaszcza, podtrzymywanych lewą ręką, w której biblia, przyciągniętą łokciem ku piersi. Model posągu, wystawiony tego roku w pracowni artysty na widok publiczny, zyskał powszechne pochwały. Twórca, pracując nad nim, o mało nie postradał życia. Spadł bowiem z rusztowania i niebezpiecznie się potłukł. Praca była przez długi czas wstrzymana, i to jej opóźnienie jest przyczyną, że posąg w tym roku, na który przypada 300-letnia rocznica założenia uniwersytetu w Jenie, nie będzie zapewne postawiony.

Drugim z sławniejszych uczniów Raucha jest August Kiss, albo Kisz, pochodzenia polskiego z Górnego Szląska z Pless czyli z Pszczyny, gdzie się 11 października 1802 r. urodził. Wyszedłszy ze szkoły Glewickiej, trudnił się początkowo robieniem modeli do giserni żelaza. W r. 1822 przybył do Berlina, zapisał się jako uczeń do akademii sztuk pięknych i zaczął następnie kształcić się w rzeźbiarstwie pod okiem Raucha. Kilka drobniejszych prac, przeznaczonych na ozdoby architektoniczne domów i kościołów, nie zwróciły jeszcze były na niego uwagi publicznej. Głośnem zrobiła dopiero imię jego grupa Amazonki, znana dziś w całym artystycznym świecie. Model jej, wystawiony po raz pierwszy w roku 1839 na widok publiczny w Berlinie, wywołał tak wielki zapał, że na odlanie go w bronzie zebrano w krótkim czasie w mieście z dobrowolnych składek 40,000 talarów, i w r. 1843 kolosalne dzieło to stało już na wielkich schodach starego muzeum. Grupa przedstawia nagą Amazonkę siedzącą na koniu, z wytężonem do góry ramieniem, aby utopić oszczep w głowie leoparda, który rzucił się z przodu na konia i pochwycił go kłami po nad prawą łopatką, a pazury łap zapuścił mu w brzuch. Koń chce się rzucić w górę z boleści; nim padnie bez tchu na ziemię, oszczep Amazonki przeszyje łeb leoparda. Wyborna to kompozycya i doskonałe wykonanie, prawdziwa grupa, z trzech pięknych i szlachetnych w swoim każde rodzaju jestestw, w jedną całość zlana, ruchem jednej chwili w trojakim wyrazie na wskroś przejęta. W naturalnych rozmiarach sprawiałaby większy jeszcze efekt. W jakiej teraz jest

wielkości, zmuszona stać na podwyższeniu, nie dozwala oku wolnego i jasnego wszystkich części na jeden raz przejrzenia. To jest nawet w ogóle jej wadą, że tylko częściami oglądać ją można; a na miejscu, na którem dziś stoi, nie można jej zgoła z żadnego punktu korzystnie widzieć. Patrząc zaś z przodu, widzi się tylko nieforemne masy grzbietu leoparda i zadarty łeb konia, zasłaniające całkiem postać Amazonki. W każdym razie grupa powinna stać na wolnym placu i na niższym postumencie. Tak stał pierwszy jej model, który po części i dla tego tak powszechnie się podobał. Wiadomo, że na wystawie londyńskiej 1851 r. grupa Amazonki utrzymała się jako arcydzieło przed sądem opinii całego świata. Egzemplarz ten, wykonany z bronzowanego cynku, zakupiony był do Ameryki. O ile wiem, nie objawił podobno dotąd nikt wątpliwości, czy grupa Amazonki jest we względzie kompozycyi oryginalnym pomysłem Kissa. Nigdzie przynajmniej nie zdarzyło mi się o tem czytać, a ustnie objawiona wątpliwość moja znajdowała zawsze zaprzeczenie, nawet pomiędzy artystami, którzy zwykle zazdrośni są w punkcie sławy. Widziałem jednak przed kilku laty pomiędzy rycinami pomników starożytnych na własne oczy sztych zupełnie takiej samej grupy, i przypominam sobie jak dziś, żem się niezmiernie zdziwił, że oczywisty plagiat we względzie pomysłu można tak publicznie ogłaszać za utwór oryginalny. W sztuce rzeźbiarskiej jest bardzo wiele naśladowania. Piękniejsze nowożytnych pomników draperye, są po większej części brane z starożytnych wzorów. Mówiłem już o tem wyżej. Ale przywłaszczyć sobie cały pomysł dzieła, i podawać go za powstały w własnej głowie, to mi się wydawało zanadto śmiałem. Wolałbym być w błędzie, bo Kiss ma prawdziwy talent jak o tem świadczą inne równie znakomite jego dzieła.

Do nich liczę konny posąg Fryderyka W. w bronzie, który mu prowincya szląska wystawiła w Wrocławiu; potem posąg stojący Fryderyka Wilhelma III, także w bronzie, wystawiony w Poczdamie; dalej posąg tegoż króla konny, również z bronzu odlany, znajdujący się w Królewcu. W posągu tym zamierzył artysta wyrazić na raz jeden kilka stron historycznej osobistości tego monarchy; zamierzył wystawić go jako bohatéra, jako

prawodawcę i jako ojca ojczyzny. To w sztuce rzeźbiarskiej nie ma sensu. Artysta zmuszony zatem był uciec się do zewnętrznych oznak, aby zadaniu swemu jako tako zadość uczynił. Posąg stoi na wspaniałym postumencie, który zdobi sześć alegorycznych żeńskich figur naturalnéj wielkości, a pomiędzy niemi znajdują się płaskorzeźby, przypominające ważniejsze chwile panowania tego monarchy. Myśl jakiejś apoteozy, która się w całym tym pomniku przebija, nie mówi właśnie na jego korzyść. Pomnik wystawiony był 1851 r. Ostatniemi dziełami Kissa są: Ś. Michał pokonywający smoka, w bronzie, ofiarowany przez panującego króla Księciu Pruskiemu na pamiątkę przytłumionej przez niego rewolucyjnej wojny w Badeńskiem, umieszczony w willi księcia na Babelsbergu pod Poczdamen; oraz kolosalna konna statua ś. Jerzego, walczącego z smokiem, mająca być odlana z bronzu, dotąd niewykończona. Jeden egzemplarz statuy ś. Michała, wykonany w cynku, przesłany był W. Księciu badeńskiemu i znajduje się w Karlsruhe. Kiss jest członkiem berlińskiej akademii sztuk pięknych i profesorem rękodzielniczego instytutu.

Trzecim z wspomnianych na początku z nazwiska uczniów Raucha, wyszłych na znakomitych mistrzów, jest Ernest Rietschel, podziśdzień profesor rzeźbiarstwa w akademii sztuk pięknych w Dreznie. Urodzony d. 15 grudnia 1804 r. w Pulsnitz w Saksonii, odebrawszy pierwsze początki artystycznego ukształcenia w Dreźnie, dostał się w r. 1826, opatrzony funduszem przez saskiego ministra Einsiedla, do pracowni Raucha w Berlinie. Otrzymawszy akademiczne stypendyum od swego rządu, udał się w r. 1830 do Włoch, skąd jednak już w następnym roku powrócił, aby na wezwanie królewskie rozpocząć pierwsze wielkie swoje dzieło: kolosalną siedzącą statuę króla saskiego Fryderyka Augusta. Po ukończeniu tejże, następowały szybko po sobie liczne mniejsze i większe prace: dekoracyjne, do gmachu uniwersytetu lipskiego, do teatru drezdeńskiego, do berlińskiego domu opery; popiersia członków królewskiej familii saskiej, statua Cerery z marmuru, grupa P. Maryi klęczącej przy ciele Chrystusa naturalnej wielkości, zamówiona przez króla pruskiego, popiersia Lutra i elektora saskiego Augusta II dla Walhalli; kolosalna bron-

zowa statua Thaera, postawiona 1850 r. w Lipsku, takaż Lessinga, postawiona r. 1853 w Brunszwiku; wiele płaskorzeźb, między którémi znajomsze piękne cztery pory roku, liczne drobne statuetki itp.

Rietschel hołduje także realistycznemu kierunkowi plastyki rzeźbiarskiej. Odziewa i on po większej części statuy swoje konwencyonalnym ubiorem czasu, jak to widać na wspomnianym posągu Lessinga. Takiegoż ubioru użył do kolosalnych posągów Goethego i Schillera, zamówionych przez W. Księcia wejmarskiego, których ukończone modele były tego roku wystawione w Dreznie. Goethe przedstawiony jest w ubiorze dworskim, Schiller w długim surducie, z żabotem, z szerokim kołnierzem i z niedbale zapiętą kamizelką. Krytyka chwali tę surową realistyczność, która oddana ma być w kształcie tak charakterystycznym, że idealna postawa tych półbożków literatury niemieckiej nic zgoła na tém nie cierpi. Posągi, po odlaniu ich z bronzu, mają być wystawione w Weimarze d. 3 września 1859 r., jako w dniu stuletniej rocznicy wielkiego wieszczów niemieckich mecenasa, ówczesnego panującego księcia Karola Augusta, któremu panujący dziś wnuk jego Karol Aleksander chce także wystawić posąg, i w dniu rzeczonym położyć przynajmniej kamień węgielny do niego, ponieważ do skończenia posągu czas jest już za krótki. Oprócz już wspomnianych, mają być jeszcze wystawione w Weimarze posągi Wielanda i Herdera, także dłuta Rietschla. Weimar stanie się grobowcem wielkich ludzi niemieckich. Jeżeli Berlin przybiera nazwę Aten nad Sprewą, Monachium Aten nad Isarą, to Weimar może bez przesady nazywać się Atenami nad Ilmą, chyba że woli mianować się Florencyą niemiecką.

Krótko się sprawię o innych rzeźbiarzach berlińskiej szkoły, nie chcąc rzeczy już i tak dość długiej przeciągać powtórnie do nowego listu. Do starszych wiekiem i głośniejszych z imienia liczę najprzód Kalidę, polskiego pochodzenia z Górnego Szląska, mówiącego dotąd po polsku. Na wystawie londyńskiej była jego grupa, Bachantka pieszcząca się z tygrysem, leżąc na nim wywrócona na wznak całem ciałem i głową, bez żadnej odzieży, figury naturalnej wielkości, z białego marmuru. Dzieło to odznacza wielka śmiałość, że nie powiem zu-

chwałość kompozycyi, wynajdująca takie właśnie pozy, i mająca zaufanie, że je odda zgodnie z prawdą natury i wymagalnościami estetyki. Jedno i drugie artysta spoił po mistrzowsku. Dla Anglików grupa ta była jednak „shoking“ i musiała być częściowo osłonioną. Ariadna Danneckera w Frankfurcie, jest, prawdę mówiąc, bez wyrazu życia, porównana z namiętną Bachantką Kalidy. Oprócz wielu drobniejszych grup, płaskorzeźb i figur, Kalide zrobił także kolosalny posąg pewnego górnika szląskiego, którego nazwiska sobie nie przypominam, wystawiony, zdaje mi się, w Glewicach w Górnym Szląsku. Kalide kształcił się we Włoszech.

Herman Heidel, rodem z prowincyi nadreńskiej, ukształcony we Włoszech, należy do najświatlejszych i z sztuką starożytną najszczegółowiej obeznanych rzeźbiarzy berlińskich. Kierunek jego jest więcej idealny niż realistyczny. W duchu pierwszego zrobił z białego marmuru piękną statuę Ifigenii, zamówioną przez króla, i grupę Edypa i Antygony, do której podała mu myśl, jak mniemam, podobna grupa naszego Sosnowskiego. W duchu realistycznego kierunku, wykończył właśnie model do kolosalnej statuy Haendla, którą kompozytorowi temu postanowiło wystawić miasto Halla, gdzie się Haendel urodził. Dla mineralno-fizykalnego instytutu miasta Kiel, zrobił Heidel kilka medalionów i figur sławnych badaczów przyrodzenia i filozofów, jako to: Galileusza, Dekarta, Ottona Guerike, Newtona, Wernera, Leopolda Bucha i Cuviera. Posąg, który prowincya nadreńska postanowiła wystawić w Bonie lub Kolonii Fryderykowi Wilhelmowi III, niewiadomo dotąd, czy będzie zlecony Kissowi albo Heidlowi. Obadwaj zrobili do niego modele.

Z pomiędzy innych rzeźbiarzy, których tu jest cała turba, przytaczam imiennie Gustawa Blaesera, członka akademii, któremu obecnie polecono wykonanie płaskorzeźb i figur do wielkiego mostu na Wiśle pod Czczewem; jedna z grup stojących na moście zamkowym jest jego dziełem; Hermana Schievelbeina, zajętego obecnie także pracami do mostu na Wiśle, członka akademii; Ludwika Wichmana, profesora i członka senatu akademii; Wilhelma Wolffa, którego grupa na moście zamkowym jest bezwątpienia ze wszystkich najpiękniejszą;

Troschela, Schindlera, Aleksandra Gillego, Genschowa, Dietricha, Reinholda Begasa, Arnolda; z kobiet Elizę Huessener i Elżbietę Ney (z rodziny sławnego marszałka), uczennice Raucha.

Nasz Sosnowski kształcił się także przez dłuższy czas w Berlinie, mając własną pracownię, a obcując najwięcej z Tieckem, którego więcej cenił niż Raucha, z powodu czucia i prawdy natury, rozlanych w jego utworach. Na tem kończę rzecz o rzeźbiarstwie.

Paryż w marcu

Millaud i „Kwestya Pieniężna“ — „Kwestya Pieniężna“ i Millaud, dwie rzeczy w końcu jednoznaczne: oto główny przedmiot który od miesiąca jest tłem rozmów i treścią feletonów paryzkich. Nawet wół tłusty zaćmiony blaskiem złotego cielca, mimo świecących rogów czapraku szkarłatnego uznał niższość swoją i z winnym respektem skromnie na bok ustąpił. — Kometa zaś, czując, że ognisty jéj ogon zblednie obok ogona jakim w otwarte wrota Amfitryona ciągną wszystkie najjaśniejsze gwiazdy tutejszego literackiego firmamentu, umyślnie przybycie swe opóźniła, jeżeli, (jak to podejrzywa Babinet) już nie przejechała *incognito*.

Dziennikarze i literaci jeszcze pod wrażeniem wspaniałéj uczty, którą w swym pompejańskim pałacu wyprawił im sześć razy milionowy Millaud, dotąd uspokoić się nie mogą, a wyczerpawszy wszystkie znane przymiotniki uwielbienia, silą się na tworzenie nowych, któreby z *delakroasową* jaskrawością malowały ich wdzięczność i sympatyę dla wielkiego sztuk pięknych i beletrystyki protektora.

Méry w ostatnim „*Kuryerze*“ jeszcze do owéj biesiady powraca, i ze wschodnią fantazyą opowiada wejście Lamartina na pokoje Turcareta. „Ci co widzieli Lamartina wchodzącego do *nowego* domu Diomeda, mówi Méry, nie zapomną nigdy téj chwili. Zaledwie spokojna postać wieszcza zajaśniała w tłumie, zaledwie to wielkie imie które nam zwraca wszystkie wzruszenia życia, przebiegło z ust do ust, wszystkie umysły zespo-

liły się w jednem uczuciu uwielbienia, wszystkie czoła pochyliły w niemej admiracyi! Jednocześnie, przypadek zawsze zręczniejszy od wyrachowania, sprawił, że uczniowie Konserwatoryum zaśpiewali chór z „*Comte Ory*“. Rossini witał Lamartina! Wirgiliusz w pompejańskiej nymfei Florusa nie słyszał bratnich głosów uwiązanych w równie boską girlandę tonów!“

Inni, niemniej sławni i zasłużeni literaci, piszą sonety do pani Millaud, lub opiewają trzynasto zgłoskowym wierszem *la grâce parfaite* z jaką ex-faktorka przyjmuje dostojnych gości.

Po takich to strefach galopuje teraz imaginacya poetów francuzkich, biczowana żądzą robienia pieniędzy. Dawniej kłócono się o klasyków i romantyków, jedni potępiali Szekspira, drudzy go wynosili pod niebiosa, inni na skrzydłach myśli lecieli odkrywać nowe światy umysłowe. Dzisiejsze filozofy, bardy i publicyści, zaniechawszy tych dróg tak dawniej uczęszczanych, ścigają się na drodze interesów. Bursa jest Italią nowych towarzyszy Eneasza. Pieniądze! *that is the question*, wołają dziś ucywilizowane Hamlety — szukajcie naprzód pieniędzy, a wszystko inne będzie wam dodane: oto ich hasło.

I wszyscy ci niezmordowani uprawiacze szatańskiéj winnicy, są wysianém ziarnem narodu, wszystko to ludzie którzy stanowią umysłową arystokracyę swego kraju, co byli przyjaciołmi owych kobiet przedniego gustu i wysokiej intelligencyi, które jeszcze tak niedawno przewodniczyły wybranym; ludzie, co się wychowali w owych salonach wybornego smaku, gdzie umiano rozmawiać nie gadając, dowcipkować nie raniąc, zaprzeczyć nie drażniąc, politykować bez nietolerancyi, nauczyć bez pedanteryi — ludzie co stali na czele rządu, co byli ministrami sprawiedliwości za Republiki, co napisali „Girondynów“, redagowali z Proudhonem „Ludową Trybunę“ wyszydzali szczęście Milionera, przeklinali na scenie Bursę — ludzie co mają zawsze na pogotowiu pełne usta morałów, i pełne biblijnych cytacyj arkusze.

Za prawdę, możnaby z tych Paryżanów ułożyć obraz podobny do tego na którym Couture przedstawił *Les Romains de la Décadence*, gdzie obywatele nieśmiertel-

nego Miasta, bezwładni, na purpurowych łożach leżą jak trupy na deskach Morgi, uwieńczeni różami, wsparci na wszetecznicach których otarte z bielidła twarze sinieją pod wejrzeniem jutrzenki... możnaby ich oprawić w takież ramy: dać im pod nogi zlane winem mozajki, nad głową zawiesić pompejańskie sufity, a pod posągami przodków w miejscu stoików spisujących ich grzechy na woskowanych kartach, postawić nowych Laokoonów których wąż zwątpienia ścisnął przy bankietowym ich stole i wygryzł z serca może ostatnią nadzieję... Byłby to obraz straszniejszy od orgii rzymskiéj, bo przedstawiający nie pijane pogany u nóg Wenery, ale trzeźwych Chrześcian u nóg żydowskich... Lecz taki przedmiot musi czekać swego Juvenala albo Petrona, coby go z oburzeniem lub ze śmiechem malował — słabym zrywać się nań nie wolno.

Zanim się pojawi ten przykry obraz spodlenia, na który patrząc, będzie można zawołać z poetą: „chociaż mi serce pęka, śmiech mniezbiera“ spojrzyjmy na *Umęczoną Chrześciankę* ostatni obraz Delarocha, tak uroczy iż wpatrzywszy się w niego, czujesz ukojenie i jakby odradzającą się nadzieję, że ten kataklizm pieniężny co tak trzęsie dziś światem, wszystkiej wiary i miłości nie pochłonie.

Są w życiu artystów chwile, w których dziwne spotykają ich odwiedziny; gość tajemniczy przez zamknięte drzwi wchodzi, przybliża się cichutko do pracującego malarza, odbiera mu paletę, siada na jego miejscu i pracuje aż do zmroku. Czego dotknie płomiennym pędzlem, to wnet nieśmiertelném żyje życiem; myśl obleka się w formę jak w gazową tunikę; światłość pała z obrazu; wszystko co się oddać nie dało, samo wytryska; marzenie ukryte w głębi duszy wypływa na wierzch i przemienia się w cudną rzeczywistość. — Ideał pozuje chętnie tajemniczemu Artyście bez nazwy, twórcy wszystkich arcydzieł. Nie przerywać dopóki maluje ów Bezimienny, a skoro zniknie, szanować jego pracę — oto tajemnica mistrzów.

Krótko przed śmiercią Delarocha, Nieznajomy gość chcąc mu nagrodzić długie życie poświęcone sztuce i uwieńczyć tyle sumiennéj pracy, zjawił się w pracowni

wielkiego malarza, i dokończył rozpoczęty wizerunek *Młodéj Męczennicy*.

Ostatni ten obraz zupełnie różny od poprzednich utworów Delarocha odznaczających się zawsze pewnością linij i trzeźwością kompozycyi, nosi niezatarty ślad pomocy nadziemskiego mistrza — szczególną cechę idealności, która pogrąża widza w nieopisaną rozkosz nie dającą się wysłowić ani przybić na papierze, równie jak zapach fijołków co ulatuje wnet z pod ręki, któraby go we flakonie uwięzić chciała.

Ponieważ więc niepodobna opisywać tego obrazu, opowiem ci tylko układ jego, ażebyś mógł go sobie wymalować kolorami własnéj fantazyi.

Sciemnia się. Noc w błękitnéj szacie wkrótce zmrok zastąpi. Pierwsza gwiazda jak dyament pali się na ciemno-lazurowém niebie: na tle téj jeszcze przezroczystej ciemni, sterczy brunatne Tybru wybrzeże, na którém dwie osoby stoją zadziwione: rybak Transteweranin z siecią przewieszoną przez plecy, i odziana płachtą niewiasta. W dole widać łódź ich przywiązaną do lądu. Oboje stanęli jak wryci i patrzą w rzekę na któréj dziwne dzieją się rzeczy.

Wody Tybru zdają się posrebrzone blaskiem miesiąca, choć go nie ma na niebie po nad niemi; światła obrączka nakształt obciętego brzeżku księżyca w pełni, unosi się i drży i wacha... jakby czekała na rozstrzygający się jakiś sąd w niebie, jakby szukała głowy na któréj ma pozostać.

Pod światłem tego niebieskiego ognia, oparta na poduszce z fali zielonéj, płynie głowa cudownéj piękności; twarz martwéj dziewicy srebrno-matowej białości jak kwiat nenufary, topnieje wśród jasnych włosów unoszonych wodą — oczy ma zamknięte jakby spała; na wpółotwartych ustach bladych jak listek róży Bengalu, igra lubość ożeniona z uśmiechem zachwycenia. Nic piękniejszego ani czystszego, jak ta twarz prześliczna, bielsza od wymarzonych niebianek, cudowniejsza od rojeń poety.

Zastygłym ruchem wstydu męczennica przyciska do piersi skrzyżowanemi rękami białą tunikę, któréj mokre fałdy wszystkie jej wdzięki oddają wiernie; ręce krępuje powróz... męczeńska branzoleta, którą chrze-

ścianka wolała od złotego pierścienia prokonsula. Kształt reszty ciała tonącego w przezroczystéj wodzie i otulonego w przezroczyste draperye, które fala wedle kaprysu zwija i rozwija, łatwo odgadnąć aż do stopy niknącej w głębinie.

Taka wizya dwa razy nie objawia się artyście; dlatego Delaroche uwieczniwszy ją na płótnie, już więcéj nie malował.

Patrząc na liliową twarz męczennicy przyszło mi na myśl, że tak musiała wyglądać Marya Malczewskiego zanim ją wydobyto z fatalnego jeziora — i żal mi się zrobiło że poeta nie na fali ale na łożu położył ten najidealniejszy niewieści wizerunek. Może być że Delaroche, którego syn umie po polsku, tegoż doznał uczucia słuchając przekładu *Ukraińskiej powieści*, i uderzony jéj pięknością, dorzucił doń jeden pominięty obraz. Kto wié czy męczennica miłości nie natchnęła męczennicy myśli Chrystusowéj?

Pierwszogo kwietnia w pałacu Sztuk Pięknych, obok sławnego *Hemicyklu*, ustawioną zostanie wystawa wszystkich dzieł Delarocha. Zbiór ten będzie nader ciekawy. Delaroche zawsze unikał wielkich popisów. Na wystawę paryzką 1855 roku, na której Ingres i Delacroix uszczknęli tyle świetnych wawrzynów, nie dał ani jednego obrazu. Od 1836 roku dzieła jego znane są tylko ze sztychowanych kopij, originały ukryte po książęcych galeryach, w większéj części wcale niebyły wystawiane na widok publiczny; ztąd pochodzi, że Delaroche chociaż bardzo sławny, mało jest znany, przeto wystawa jego obrazów pożądańsza od innych.

Tymczasem otwarto wystawę fotografii, zajmującą dla tego, że wskazuje niemal dzień za dniem rozwijanie się tego wynalazku i postęp jego od czasów Daguerra. Począwszy od maleńkich nieudolnych prób na blasze, wykonanych jeszcze w 1827 roku, aż do wielkich na parę metrów, wybornych fotografij jakie dziś robią w Paryżu, zgromadzono tu wszystkie rodzaje i odcienia téj tak bardzo dziś rozpowszechnionéj sztuki.

Prace każdego narodu ugrupowane osobno, nastręczają ciekawe porównania. Każda grupa ma swoją odrębną, bardzo wyraźną cechę — z czego pokazuje się, że fotografie nie są tak wyłącznie dziełem maszyny,

jak się zdaje, i że artysta kładzie tu tak dobrze swoją indywidualność jak w inne dzieła sztuki. — Od ustawienia figur, ułożenia draperyi, obrania przedmiotu, oświecenia go i retuszowania, zależy głównie piękność fotografii, która o tyle tylko warta, o ile człowiek własnego ducha w nią wleje; dowodem fotografie angielskie, zawsze sztywne i martwe, chociaż odbite z dziwną dokładnością.

Ze wszystkich prób wystawionych, francuzkie są niezawodnie najlepsze, gdyż mają najwięcéj życia. Perrier, Rousseau, Schaeffer, wicehrabia Vigier, pani Leghait, a mianowicie Nadar, pod względem gustu nie mają sobie równych fotografów.

I cóż więcéj? Cóż jeszcze słychać w Paryżu?— zapytasz nie zaspokoiwszy dotąd ciekawości. — Nic, już wszystko powiedziałem — więcéj nic się niedzieje.

— Ale, zawołasz zniecierpliwiony, to być nie może, dziać się tam coś musi, jakżeby się w Paryżu nic niedziało? Z resztą, wiesz przecie że korespondentowi ze stolicy świata krótkim być nie wolno, że lakonizm jest mu zakazany pod przekleństwem, przez wszystkich krytyków. — Wiem, wiem, że teraz u was korespondencye na łokcie się mierzą, a recenzenci jeżeli ganią, to to tylko, że o tem było za krótko, o tem za zwięźle, o tem zaledwie wzmianka — za co w końcu korespondent tylko wdzięczny być może, i dla tego samego chciałby pisać jak najwięcéj — ale nie będąc poetą trudno improwizować, a opowiadać niema co. Powtarzam, nic się nie dzieje. *Revue des Deux Mondes* w ostatnim poszycie nie dała nawet literackiego przeglądu. *Charivari* wyczerpawszy do dna kwestye krynolin i komety, a kwestye bursowych kołowrotów zakończywszy parodyą Dantejskiego wiersza:

„*Per me si va nella horsa dolente;*
Per me si va nella perduta prima;
Per me si va nel eterno riporto,
Lasciate venti soldi voi ch'entrate"

marudzi, nie wiedząc co napocząć. W teatrach dotąd posucha. W księgarniach same przedruki.

Czemu przypisać tak bezprzykładną niepłodność, nie wiadomo. Żadna znana przeszkoda nie krępuje umysłów — przeciwnie — łaskawsze jak zwykle nieba w styczniu dozwalały pączkom rozkwitać, jesień zimowała w Paryżu; w lutym słychać było przed Tortonim lipcową frazę: „*Garçon, une glace Vanille*“ — wiosna przybywa, wino się dobrze znaczy, urodzaj pewny, koniec świata odwołany — słowem, wszystko jak najlepiej — a mimo to w umysłach stagnacya. Obiecują nowe dzieła i nowe sztuki, ale dotąd na przekor snu faraonowego, siedem krów chudych poprzedza siedem krów tłustych. Czekajmy póki nie przejdą.

Rzym w marcu.

Jeszcze mi brzmią w uszach słowa: *cinis es et in cinerem reverteris*, już całe tygodnie postu upłynęły, a ja muszę wam jeszcze prawić o karnawale, którego ostatnie chwile były tak świetne i ożywione. Bo go się też wszędzie spotykało. Karnawał po salonach, w pałacach i w teatrze. Karnawał na ulicach z całym mu towarzyszącym orszakiem kwiatów, *confetti*, ubiorów bogatych lub dziwacznych. Wszędzie tańce, bale kostiumowe, *festini* czyli bale maskowe, a nareszcie i przyjazd Adelaidy Ristori. W pałacu Colonna bal u posła francuskiego hr. de Rayneval, potem trzeci i ostatni u francuskiego jenerała hr. de Goyon, zkąd pojedziemy na bal ubogich do pałacu księcia Doria, który na ten cel otworzył po raz pierwszy wielkie sale swojej galeryi obrazów. Trudno sobie wyobrazić bardziej czarujący widok. Wystawcie sobie rzęsisto oświecone arcydzieła Poussina, Rafaela, Tycyana, Velasqueza, Sassoferata i wielu innych, a przy nieruchomych pięknościach jakie penzel nieśmiertelnych mistrzów rozwinął długim szeregiem na ścianach wspaniałych komnat, żywy szereg piękności wijący się i migający wśród olbrzymich piramid i bukietów z najrzadszych kwiatów. Natłok cudzoziemców był niesłychany, a między dostojnemi gośćmi widzieliśmy królowę Hiszpańską Krystynę, Maksymiljana króla Bawarskiego i wszystkie prawie posel-

stwa. Ztąd udamy się na bal kostiumowy na Monte Cavallo do Księstwa Zagarolo. Żebym miał talent *Kuryera Warszawskiego* w opisaniu szczegółowo każdego kostiumu z osobna, mógłbym zapewne niejedną czytelniczkę zająć, a sobie zapełnić kilka kartek korespondencyi, ale kiedy się rzeczy mają inaczej, powiem tylko, że mnie najwięcéj uderzył kadryl złożony z samych strojów narodowych włoskich, jak na przykład z Albano, Frascati, Nettuno, Ischia i t. d. który wszedł z muzyką *en tête* z tamburynem i mandoliną, a który z prawdziwym zapałem i giętkością południową przetańcował *saltarellę*. Do tego kadryla wyjąwszy jednej angielki, dobrały się najładniejsze damy włoskie z tutejszego towarzystwa, a tę ich piękność typową podnosił jeszcze malowniczy strój w jakim występowały księżna Poli, księżna Gallicano, margrabiny Vitelleschi i Campello, panny hr. Malatesta, Catucci i de Codore i lady Augusta Proby.

Z przykrością przychodzi mi tu wyznać, że po tym kadrylu najpiękniejszy i najbogatszy był kadryl Rosyan w narodowych strojach, ale przez wzgląd na delikatny słuch waszych czytelników nie wymieniam nazwisk, pięknych lub niepięknych istót północy.

Dalej znowu widzisz cztery kwiaty a słuszniej mówiąc cztery pączki pielęgnowane każdy przez swego ogrodnika. Ten bukiet to są księżniczki Doria, Barberini, Buoncompagni i Witgenstein. A że każdy kwiat żyje w innym miesiącu, więc za niemi idą cztery pory roku: księżne Zagarolo (gospodyni domu) i Gabrielli, margr. Calabrini i księżniczka Caetani.

Nie zapomnijmy także czterech żywiołów w osobach margrabin Copranica i Lavaggi i pań Rumbolt i Barnaby.

W takiej liczbie strojów, naturalnie, że i dziwaczne znaleść się muszą. Każdy się mimowolnie zatrzymał przed flegmatycznym anglikiem przedstawiającym w niebieskiej tunice *powietrze*. Miał jak bożek Merkury na głowie i u nóg skrzydła, a na plecach parę tychże takiej wielkości i objętości, iż mógł prawie iść w zawody z balonem pana Gavarniego. Gdy zmiarkował że się śmiano w około niego, z najzimniejszą krwią zdjął skrzydła, wziął je pod rękę, wyszedł, wsiadł do

powozu i na drugi dzień ów mieszkaniec sfer niebieskich wyjechał napowrót do Anglii.

Nareszcie zamknął karnawał rzymski świetny nader bal dany przez hr. Colloredo posła Austryackiego w odnowionym i przepysznie urządzonym pałacu weneckim, który jako stary zabytek z XVgo wieku i niegdyś mieszkanie Papieżów, jest jednym z najobszerniejszych gmachów we Włoszech.

Sławna i dobrze wam znana Adelajda Ristori występowała tutaj w następujących sztukach: *Pia de Tolomei, Medea, Maria Stuart, Francesca di Rimini* i w komedyi *la Locandiera.*

Londyn w marcu.

Rozpoczynając me literackie sprawozdanie z ubiegającego miesiąca, winienem raz jeszcze czytelnikom przywieść na pamięć, com w miesiącu lutym był nadmienił, że obszary literatury angielskiéj tak są niezmierne i tak trudno i niemal niepodobna ogarnąć rozmaitości jéj płodów pod jeden ogólny widok, iż najwięcéj co wśród takiéj obfitości da się zrobić, jest uszczknąć tu i owdzie jak się zdarzy na bujnych jéj niwach jaki kłosek, jaki bławatek i poprzestać na wskazaniu rozszrezenia się na wsze strony jéj różnorodnéj kultury. Na tem jedynie, czyli że tak powiem na pobieżnych rzeczach trzeba nam ciekawość naszą ograniczać, bo gdzie myśl wolna tam przestrzeń jéj działania nieda się rozmierzać.

Dziś chcę zwrócić waszą uwagę na jedno ważne przedsięwzięcie, a w czem dobrze zrozumiana gorliwość obywatelska u was — jak z *Czasu* wyczytuję — samą Anglię wyprzedziła, bo co jeszcze jest tu w projekcie, to w Galicyi weszło już w wykonanie. Cześć więc Galicyi! Przedsięwzięciem tem o którem chcę tu mówić, jest zamiar wydawania dawnych dokumentów historycznych w archiwach rządowych dotąd przechowywanych. Projekt ten podany jest rządowi od Sir John Romilly, któremu z urzędu swego jako *Master of the Rolls*, od kilku lat zawiadywanie nad archiwami publicznemi się dostało. Wiele z tych ciekawych dokumentów z wie-

kiem zbutwiało, wiele przez niedbalstwo poginęło, niemało ich poszło nawet na makulaturę; aby więc pozostałość zabytków tych, zwłaszcza z wieków dawniejszych, od zbutwienia i zupełnéj zagłady uratować, Sir John Romilly proponuje cały zbiór ich ogłosić drukiem. Robotę tę rozkłada na 10 lat, a na dokonanie téj pracy żąda funduszu, czego pewnie parlament mu nieodmówi. Co się tak gdzieindziéj dokonywa narodowym nakładem, to się u nas robi nakładem prywatnym— temci więcéj zasługi. Jak to przedsięwzięcie się dokona, będzie ono tak szacownym dziejowym pomnikiem jak *Reimeri Foedera*, a może i szacowniejsze od tego dzieła, które mu zapewne posłuży za wzór, zwłaszcza że nawet dawne a rzadkie kroniki, jak słyszę, mają być w niem objęte. Nowina ta napełnia radością miłośników historyi do której równie gust jak liczba zwiększa się w miarę jak przywiązanie ich do kraju wzrasta i unosi dumą. Jakim to skarbcem będzie dla przyszłych historyków kładąc im tyle świeżych materyałów pod rękę, materyałów których Hume, Mackintosh, Hallam, Macauley i Alison mozolnie po archiwach wyszukiwać musieli, co utrudzało ich pracę, a wydanie dzieł ich opóźniało. Czém według Bakona za jego czasów były *Compendia* nauk fizycznych, zbiorem oschłych faktów, bez ładu i naturalnego związku, pomieszanym jak talie kart na los szczęścia, a teorye wszechświata stwarzano raczéj z mózgu aniżeli z samego świata, tem według zdania wielu były poniekąd, dla braku potrzebnych materyałów, dotychczasowe historye angielskie, bez ścisłego związku wypadków i wynikających z nich następstw. Toż samo i z równą prawdą możnaby o historyach innych krajów i o naszéj powiedzieć.

W podobnym rodzaju lubo na mniejszą skalę, bo tylko w objętości dwóch tomów, wyszło w tych dniach dzieło pod tytułem: *State paper Correspondence* i t. d. wydane przez Jana Kemble. Zawiera ono zbiór dokumentów historycznych tudzież listów od różnych osób, wyjaśniających stan polityczny i społeczny Europy, począwszy od roku 1688 czyli od wstąpienia na tron angielski Domu Hanowerskiego aż do nowszych czasów. Przy czem dołączył wydawca biografie rozmaitych osób, panujących, dyplomatów i uczonych, zajmujących ważne

stanowiska w owéj epoce. Dokumenta w obcych językach, z francuzkiego i niemieckiego tłómaczył na język angielski, snać dla wygody swych ziomków nielubiących nic czytać co nie jest po angielsku. Znaleźć tam między innemi można ciekawe listy księżnéj Karoliny Anspach i listy Leibnica który w tenczas dyplomatyczną missyę u dworu St. James odbywał, jakoteż opisy różnych osób, Newtona, Stepney i biskupa Burnet, z którymi ten filozof niemiecki wielki luminarz swego wieku, miał naukowe związki. Trwała wówczas zacięta wojna między Anglią a Francyą. W niéj, jak Leibnitz roku 1693 utrzymywał, więcéj chodziło o zwycięztwo Niemcom niżeli Anglii, bo mówił: „Jeźli Ren dostanie się Francyi, cóż się stanie z kolegium Elektorskiem? *Sed surdis fabulam.* Na króla Jakuba II wygnańca z Anglii, a niechcącego włożyć żałoby po śmierci swéj córki królowéj Angielskiéj, która była na ospę umarła, Leibnitz taki epigram napisał.

Anglia reginam deflet, pater abstinet unus:
Non potuit gentem deseruisse magis.

Wielką przysługę wydaniem tych korespondencyj zrobił Kemble dla dziejopisów i powieściopisarzy téj nowszéj epoki; biografowie także wiele zasiłków w nich dla siebie znajdą. Nie od rzeczy tu będzie, kiedy dodam: kto jest ten Kemble? Jest on synem sławnego aktora Kembla a wnukiem pani Siddons najsławniejszéj z aktorek teatru angielskiego, muzy jak ją zwano, tragedyi. Oddany na ukończenie nauk do uniwersytetu götyngskiego polubił nadewszystko archeologię. W niéj posiada rozległe wiadomości, a osobliwie w dawnéj anglo-saksońskiéj literaturze i historyi. Jest to niejako Grimm - Szafarżyk - Maciejowski angielski. Wszystkie dzieła jego, jakie dotąd wydał, są też w ich rodzaju i mają wielką powagę w uczonym świecie.

Ostatnie zwycięstwo torysów w izbie niższéj, które można poczytać za ich przegraną, równie nieszczęsny wpływ wywarło na ich dziennikarstwo. Wydawcy ich trzech dzienników: *Morning Herald*, *Standard* i *St. James Chronicle*, wszyscy od razu zbankrutowali. Dzienniki te przez prawników przyaresztowane, są wysta-

wione na sprzedaż z osobna lub wszystkie trzy razem, ktoby zechciał je nabyć, inaczéj przestaną już od 1 lipca wychodzić. To oczywiście dowodzi wielkiego upadku zasad torysowskich, kiedy pisma ogłaszające je, a które od tylu lat trwały, przestają mieć swych czytelników, tak dalece, że utrzymać się niemogą. Inną przyczyną tego upadku jest taniość takich dzienników jak *Star* i *Telegraph* wychodzących w cenie 1 penny, a wybijanych do 40,000 egzemplarzy na dzień. Cztero i pięciopensowe dzienniki oprócz *Timesa*, takiéj konkurencyi wytrzymać niemogą.

Rzadko zdarza się poetom być bogatymi a rzadziéj jeszcze by który z nich bogaczem umierał. Rzadkie te przypadki zdarzają się jednak w krajach gdzie dziedziczne bogactwa niewyłączają koniecznie zamiłowania do poezyi, lecz owszem stają się tem silniejszym bodźcem do niéj. Czternaście miesięcy temu jak wam doniosłem o jednym z takich, o Samuelu Rogers bogatym bankierze londyńskim, miłośniku sztuk pięknych i poecie (Obacz *Dodatek* z stycznia 1856 str. 280), dziś donoszę o ś. p. Kenyon, jako o należącym do tegoż rzędu rzadkich ludzi. Niewydał on więcéj jak dwa tomy swych poezyj, a czy zyskał na nich co czy nic, zapewne mu o to niechodziło; lecz powszechnie był znanym jako przyjaciel poetów i przestający ciągle w ich towarzystwie. Ile zaś ich przyjaźń dla siebie cenił, najlepszym będzie dowodem kiedy powiem jak swym majątkiem, który był znaczny, rozrządził. Po różnych zapisach dla swych krewnych i bliższych przyjaciół mało z imienia znanych publiczności a przeto mało kogo interesujących, pozapisywał on testamentem rozmaite summy dla uczonych a osobliwie dla poetów, z którymi w związkach przyjaźni zostawał za życia. Najpierwsza na liście takich zapisów jego stoi:

Elżbieta Browning, poetka, na	4,000	fst.
R. Browning, mąż jéj, także poeta . .	6,000	„
B. Proctor (Barry Cornwall) poeta . . .	6,500	„
Dr. Henryk Southey	8,000	„
Katarzyna Southey, córka poety Roberta Southey	2,500	„

Jan Forster i Jerzy Scharf, dwaj popularni pisarze, oraz Panizzi naczelny bibliotekarz Muzeum Brytańskie-

go; dla każdego z nich po 500 fst. z dodatkiem całego zasobu wina w piwnicy. . . . . 1,500 fst.

W. S. Landor peota ośmdziesiątletni, Henryk Chorley, pani Jameson autorka i Sir Charles Fellowes, dla każdego po 100 fst. . . . . 400 fst.

Dwaj wykonawcy testamentu, obaj autorowie jeden z nich Tomasz Hawthorne . . . . 20,000 fst.

Drugi Jakób Booth . . . . 5,000 „

Dla Szpitala Uniwersytetu londyńskiego . 5,000 „

Niemam do tego nic dodać jak tylko załączyć moje najgorętsze życzenia aby i dla waszego Jagielońskiego Uniwersytetu równie jak dla poetów polskich zdarzył się taki współbrat poeta, niemniéj bogaty i niemniéj chojny.

Zwyczajem jest w Anglii najważniejsze częstokroć czynności odbywać przy obiadach. I tak, królewskie towarzystwo literackich funduszów na wsparcie zubożałych autorów obchodzi swą rocznicę, i z téj okazyi ma być coroczny wielki obiad. Na tym obiedzie tego roku prezydować będzie hr. Granville, mąż naczelne miejsce zajmujący w Radzie Stanu, i niedawno, jak wiecie, nadzwyczajny poseł na koronacyą w Moskwie. Jestto jednym z pięknych rysów charakteru narodu angielskiego, że ludzie tak poważni jak on i na najwyższym szczeblu społeczeństwa stojący, przewodniczą zebraniom literackim i dobroczynnym, ściągając swą obecnością pierwsze w kraju znakomitości na około siebie. Przy takich ucztach bywają mowy wystawiające cel i zalety instytucyj i zbiera się składka pomiędzy gośćmi.

Zdarzyły się niedawno trzy smutne przypadki otrucia strychniną. Przez brak stósownych urządzeń strychninę dotąd przedawano po sklepach korzennych, i kupowano ją w paczkach papierowych na wygubienie myszy, szczurów i domowego robactwa; ale przez nieostrożność lub niedbalstwo mogła łatwo dostać się do szuflad z cukrem, kawą, herbatą, — i tak stać się mimowolnie przyczyną zatrucia pokarmów. Rozpisały się więc teraz obszernie dzienniki aby téj trucizny niewolno było przedawać po sklepach korzennych, ale tylko po aptekach, i to nawet z wielką ostrożnością i nie bez ścisłych przepisów. Nie dla tego jednak robię tę wzmiankę, lecz że inna ważniéjsza rzecz z nią się łączy. Według zdania

tutejszych lekarzy, niema żadnéj, choćby w skutkach najstraszniejszéj trucizny, którąby się niedała zneutralizować, czyli na którąby niebyło antydotu. Na niektóre już znaleziono takie antydota i są one znane, na drugie zaś szukać ich należy. Na strychninę, wydobywaną jak wiadomo z ziarn wroniego oka, najskuteczniéjszym antydotem, według Dr. Wilson, ma być kamfora; w dwóch przypadkach on tego doświadczył. Radzi on brać kamforę wewnątrz zwyczajnym sposobem, a w najgorszym razie pacyentom robić nawet injekcye, połączaiąc to z kąpielą zrobioną z kamfory. Odkrycie to, jako i innych podobnych antydotów, zastąpiłoby w niebezpieczeństwach otrucia pompowanie, jaki środek zwykle w takich razach za jedyny był dotąd używany.

Przyjęte jest przysłowie na zachodzie, że światło przychodzi nam ze wschodu. Jakby na sprawdzenie tego przysłowia, promień tego światła jak słychać, ma zawitać tu do nas tą razą z Turcyi. Rząd turecki ma wkrótce nam przysłać do Paryża dwóch swych znakomitszych uczonych, Husseyna Efendego i Suleymana Efendego w celu założenia dwóch oryentalnych katedr. Pierwszego obowiązkiem będzie dawać publiczne odczyty dla Machometan o arabskiéj i perskiéj literaturze, a drugi ma wykładać naukę języka tureckiego dla Chrześcian. Podobne katedry są już i gdzieindziéj ustanowione, jak np. w Akademii oryentalnéj w Wiedniu.

Pisaliście już dawniéj o założeniu w Prusiech wschodnich dziennika hebrajskiego *Ha Magid* pod redakcyą rabina Silbermanna; dziennikarstwo niemieckie zostaje również przeważnie pod sterem i kierunkiem Izraelitów. Niemożna powiedzieć żeby Izraelici zamieszkali w Anglii, osobliwie w Londynie, gdzie się ich do 35,000 znajduje, a między nimi bogacze jak Rothschildowie, Montefiory, Goldsmidy. Coheny i Salomonsy, żeby mówię i ci zupełnie zaniedbywali tę gałęź piśmiennictwa. Nie piszą wprawdzie po hebrajsku, bo jako zbyt zmodernizowani tego języka nieznają, a w potrzebie wzywać muszą pomocy Izraelitów polskich których powołują na rabinów do synagog i hebrajszczyzną ich żywią się; lecz natomiast w angielskim języku wydają swój dziennik pod tytułem: *Jewish Cronicle*. Od kilku lat to pismo wychodzi i ciekawym jest zbiorem wiadomości tyczących

się wyznawców starego zakonu. Przytaczam tu na przykład wyjątek z tego com w niém wyczytał o „Wiecznym tułaczu Żydzie“, który jak wiadomo, podał za naszych dni Eugeniuszowi Sue przedmiot do wielce zajmującéj powieści. *Kronika* żydowska w ten sposób objawia swe zdanie o nim: „Powiastka o żydzie tułaczu nigdy nieumierającym od czasu ukrzyżowania Jezusa aż do dziś dnia, upowszechniła się po wszystkich krajach w Europie. Podobnie jednak, jak to się dzieje z wszystkiemi bajkami, niezgadzają się o nim. Raz opowiadają, że kiedy Jezus był prowadzony na śmierć upadając pod ciężarem krzyża, chciał wypocząć przed domem szewca zwanego Aswerus; ten wypadł z domu i odepchnął go ode drzwi. Jezus wtedy spojrzawszy na niego rzekł: „Ja spoczywać będę, a ty będziesz chodził dopóki ja nie powrócę.“ Od owego dnia niemiał też Aswerus pokoju, lecz ustawicznie wędrował. Drugą wersyę téj legendy daje Mateusz z Paryża, mnich żyjący w trzynastym wieku. Według niego, kiedy Jezus był od Piłata wyprowadzony na śmierć, Kartafilius który był odźwiernym pałacu, potrącił go z tyłu nogą, mówiąc: „Prędzéj Jezusie, po co tak zwlekasz?“ Jezus obrócił się do niego poważnie i rzekł: „Ja pójdę, ale ty będziesz czekał aż ja przyjdę.“ I ten w skutek tego jeszcze żyje i tuła się z miejsca na miejsce w bojaźni przyszłego gniewu, mającego spełnić się na nim. Trzecia powiastka dodaje nadto: że ten wędrujący żyd co sto lat z choroby umiera, lecz znów do życia wraca i nabywa zdrowia i siły; ztąd to po upływie nawet tylu wieków niewygląda sędziwszym nad siedemdziesiątletniego starca. Tyle o legendach i o ich podstawie. Żaden z dawniejszych pisarzy nieczyni o tym żydzie wzmianki. Pierwszy co z nią występuje jest mnich z trzynastego wieku — z wieku w którym, jak wiadomo, świat był obałamucony tumanem monachalnych bredni. Duch jéj niezgadza się także z duchem religii chrześcijańskiéj. Pomimo tego, baśń ta znalazła wiarę u gminu i rozszerzyła się po całym świecie. Niewytrzyma ona próby historycznéj, lecz spoczywa w niéj myśl ukryta, symbol tułactwa żydowskiego, które się nieskończy aże Chrystus powróci, bo u żyda ustaje tułactwo z dniem dopiero nawrócenia.

Warszawa w marcu.

Z żalem przychodzi mi rozpocząć dzisiejszą korespondencyę doniesieniem, iż nadużycia które się tak w zeszłych latach we Francyi i w Anglii zagęściły i u nas zaczynają się już pojawiać. W tych dniach znikł kasyer pewien przed zdaniem rachunków, z przejrzenia których okazało się deficytu dziesięć tysięcy rubli srebrnych. Zostawił sześcioro dzieci i żonę bez żadnego prawie funduszu. Poszukiwania dotąd żadnego nie przyniosły owocu. Niektórzy mówią o samobójstwie. Kasyer ów posiadał nieograniczone zaufanie domu w którego usługach zostawał, życie jego bowiem aż do téj nieszczęsnéj chwili było bez zarzutu.

Wprawdzie to nadużycie dobréj wiary, bardzo skromném się wydaje przy olbrzymich kradzieżach francuskich i angielskich przemysłowców; w każdym jednak razie jest to dowód epidemii która wraz ze zbytkiem, życiem nad stan i przesadą w strojach, napadła na nas. Trzebaby prędkich i skutecznych lekarstw, a gdzie ich szukać?...

Z literatury naszéj nie wiele teraz wyciśnie. Rozbudza się powolutku dążenie do dzieł poważnych, których przez długi czas nikt prawie nie wziął w rękę; teraz naprzykład jednocześnie wiem o kilku tłumaczeniach Danta i Szekspira. Dawniéj żaden wydawca nie odważyłby się na podobny nakład, zaledwie odważano się wydawać te rzeczy częściowo po łyżeczce, a teraz o ile wiem, Szekspir już się drukuje a Dante idzie do druku. Słownik encyklopedyczny Orgelbranda warszawskiego, do którego materyały przygotowują się powoli, dowodzi także większego niż niegdyś zaufania nakładców w publiczności, bo wiadomo wszystkim, że przed dwudziestu kilku laty podobneż przedsiębiorstwo Glücksberga upadło z braku prenumeratorów.

W literaturze odznaczają się dwa stronnictwa i walczą przeciw sobie: jedni są za pracą i przemysłem, drudzy za poezyą i porządkiem dawnym. Dwa dzienniki stanęły jako szermierze obu tych partyj. Dano już kilka wystrzałów, ale były to tylko podjazdowe. Radzibyśmy, żeby do prawdziwej wojny nie przyszło. Za szczupłe są ramy moich listów abym miał się wdawać w rozbiór

tak ważnej kwestyi; zdaje mi się jednak, że przemysł i praca w żadnym razie poezyi na przeszkodzie stać nie mogą. Zagęścił się u nas w Warszawie nowy rodzaj spekulacyi książkowéj. Ponieważ wielu z naszych księgarzy nie zna wcale obcych języków, trafiają się autorzy, ze znaném już nazwiskiem, którzy im sprzedają za swoje oryginalne, nędzne tłumaczenia powiastek francuzkich ze zmianą tylko nazwisk, albo cudze nędzniejsze jeszcze ramoty. Tacy ludzie, którzy nie umieją uszanować własnego nazwiska i powołania, powinniby pamiętać przecież, że rzucają cień na piśmiennictwo krajowe przez te liche sztuczki, które żadną miarą za dowcipne mistyfikacye, jakiemi oni je mieć chcą, ujść nie mogą. Księgarz godzi się w dobréj wierze i płaci dobremi pieniędzmi, a pokazuje się w końcu że kupił kozła za barana. Może by i dzieła owych autorów, gdyby wywięzując się sumiennie z kontraktu własne swoje oryginalne oddali prace, możeby mówię ich dzieła nie były większéj niż te liche podrabianki wartości, ale w każdym razie jest to nadużyciem dobréj wiary publicznéj—i skompromitowaniem firmy księgarza o którą on jako kupiec dbać powinien.

Z teatralnych nowin nie wiele. Przyjechała do Warszawy panna Bogdanow znana tancerka, przyjmowana z wielkim zapałem za pierwszéj bytności swojéj u nas. Skutkiem jéj przybycia podwyższono cenę miejsc, i zaraz na pierwszém przedstawieniu teatr nie był pełny. Tylko loże wszystkie zajęte, a z innych miejsc wiele pustych. Tego się nigdy nie zdarzało podczas przedstawień „Żydówki" i cieszę się wielce z téj reakcyi. Pisałem wam już, że dyrekcya teatrów urządziła abonament na dwanaście przedstawień z rzędu bez zniżenia ceny. „Żydówka" sprawiła, że wszystkie prawie loże były zaabonowane, i chodzono na nędzne balety, byleby utrafić na dwa albo trzy przedstawienia ulubionéj opery. Teraz dyrekcya zaufana w tem powodzeniu ogłasza iż nie będzie inaczéj ogłaszać abonamentu jak tylko na *sześćdziesiąt* przedstawień z rzędu, i to również bez najmniejszego zniżenia cen. To trochę za wiele. Dyrekcya teatru walczy sama przeciwko sobie, i wątpię żeby znaleźli się tacy, którzyby się zgodzili zapłacić tysiąc kilkaset złotych, na zbliżającą się porę letnią, za żądane

i nie żądane widowiska, chociażby nawet panowie Boorns i Chapman którzy na szczęście wyjechali od nas z kwitkiem, mieli drugi raz nawiedzić Warszawę.

Mieliśmy dwa nowe debiuty: Piaseckiego i panny Gąsowicz. Piasecki jest synem ulubionego niegdyś artysty który występował na naszéj scenie w rolach pierwszych kochanków. Syn w tychże samych rolach zamierza występować. Widać w nim talent, ale szkoła zła, trochę na manierę prowincyonalnych teatrów zakrawa. Jest nadzieja jednak że się wyrobi, bo nie brak w nim chęci i zapału do sztuki—a i powierzchowność ma przyjemną i głos nie zły, które to przymioty zwłaszcza pierwszy, ważne są w rolach jakie sobie przyswoić zamyśla. — Panny Gąsowicz nie widziałem, nie mogę więc sądzić o niéj, chwalą ją jednak ogólnie. Mieliśmy tu jedno przedstawienie komedyi Drzewieckiego pod tytułem „Skąpiec", rzecz tak słaba pomysłem i tak licho obrobiona, że nawet publiczność nasza najbardziéj pobłażająca ze wszystkich publiczności, okazywała oznaki niezadowolenia. I wystawcież sobie, w téj ramotce dramatycznéj potrafiono jednak znaleść coś tak niebezpiecznego, że ją zakazano zaraz po pierwszém przedstawieniu. Dyrekcya, autor i aktorzy, powinniby być wdzięczni cenzurze za to dobrodziejstwo, oszczędziła im bowiem zmartwienia w upadku. Wątpię żeby przy całych usiłowaniach artystów „Skąpiec" mógł był przetrzymać więcéj nad dwa przedstawienia. A trzeba wam wiedzieć, że ta sztuka była już przez cenzurę raz do grania pozwoloną i teraz ją cofnięto po zagraniu. Podobno zaszła jakaś skarga, że tam ma być ktoś obrażony, zresztą nie mogę wam tego dokładnie opowiedzieć, bo mnie takie drobnostki mało obchodzą. To tylko pewna, że obecnie odbywa się rewizya wszystkich sztuk dawniéj dozwolonych, jak to miało miejsce przed rokiem czy dwoma z książkami z których wiele zakazano. Cenzura kontroluje sama siebie. Jest to nauka dla literatów żeby się nie skarżyli, bo pomiędzy tymi co ich kreślą, znajdują się także Kainy i Able.

Mówią tu o smutnym wypadku który miał się zdarzyć w Pułtusku czy w Płocku. Professor jakiś zabił ucznia! Chłopak ów był bardzo słabowity, i miał otrzymać za jakieś szkolne przewinienie chłostę siedmiu czy

ośmiu rózg. Po odliczeniu tychże upadł zemdlony na ziemię, a profesorowi się zdawało że udaje, i dla oduczenia go od grania komedyi, kazał mu plagi do dwudziestu doliczyć. Ten naddatek miał podobno spowodować śmierć chłopca. Może to było jakie chorobliwe usposobienie, może attak nagły. Możliwém jest jednak że chłosta przyczyniła się do tego, zwłaszcza iż nie jest nigdzie we zwyczaju więcéj jak dziesięć a najwięcéj piętnaście plag dawać dzieciom. W każdym razie sądzę iż wyniknie ztąd śledztwo sądowe. Byłoby pożądaném żeby ono wpłynęło na zwolnienie trochę zbyt wojskowéj subordynacyi zaprowadzonéj u nas po szkołach. Nie można skóry uczniów równać ze skórą owego sołdata dezertera, który przeprowadzany przez rózgi w Prusach, zasnął podczas operacyi, tłumacząc się po obudzeniu go tém iż on nie jest przyzwyczajony do tak lekkich uderzeń, i że to go połechtało do snu.

Dochodzą mnie pewne wiadomości, że w okolicach pogranicznych wielkiego księstwa Poznańskiego, zwłaszcza w Mławskiem, pojawiają się missye duchowne przybywające z księstwa, a nakłaniające chłopów do wstrzemięźliwości. Podobno już nawet znaczna liczba włościan w tamtych stronach zawiązała się w towarzystwo i nie pije wcale wódki. I cóż powiecie na to, że niektórzy obywatele sarkają skrycie na missye, nie śmiejąc otwarcie przeciw nim działać, bo im propinacya upada. A niechby szukali w czém inném dochodu dla siebie, a niekoniecznie w téj propinacyi która demoralizuje lud wiejski, pozbawia go rzadkiego grosza a często sił do pracy. Bo wszystko dobrze, zgadzamy się na wszystko, dopóki interes nasz osobisty nie cierpi na tem. Ale jeżeli jakiekolwiek ulepszenia mają się dziać z ujmą naszych kieszeń, wówczas powstajemy rozgniewani i groźni i krzyczymy że te wszystkie ulepszenia to zaguba kraju. Tak było, tak jest i dla tego wiele dobrych pomysłów nie może dojść do skutku.

O teatrze u hr. Uruskich i innych bieżących nowinach zbyt wiele już macie relacyj, żebym miał wam jeszcze mój pacierz klepać za panią matką. Rozkoncertowaliśmy się na dobre i to na wszelkie sposoby. Warszawa widać pragnie odrobić dawne zaległości. Ale nie chcę się wdawać w szranki *Tygodnika Warszawskiego*

który w szpaltach waszego dziennika specyalność koncertową uprawia z powodzeniem. Co do mnie, jestem trochę w tych sprawach opinii Hen. Hr. Rz. który twierdzi, żeby chętnie chodził na opery, gdyby tam nie śpiewano.

Wiadomo wam, że znani dobrze w historyi niedawno upłynionéj epoki żołnierze, wychodząc z kraju żeby walczyć w oddalonych stronach, zachowywali w woreczkach trochę ziemi rodzinnéj, brali te woreczki na piersi, żeby nosić na sercu drogą pamiątkę. Teraz fakt ten powtarza się *au rebours*. Kilka z dam naszych, wyjeżdżając z Paryża, gdzie bardzo miłe pozostawiły wspomnienia, wzięły trochę błota paryzkiego, i przy powrocie do kraju w tenże sam sposób zawiesiły je na sercu.— Smutny to zaiste kontrast i bardzo byłby niepocieszającym dla nas, gdybyśmy tych dam nie uważali za wyjątki.

GAZETKA LITERACKA

Kraków. Skutkiem rozpoczętych na nowo czynności Towarzystwa Naukowego zaczynają się już drukować Roczniki Towarzystwa w trzech oddziałach: nauk Moralnych, Przyrodniczych, Archeologii i Sztuk pięknych. Życzyćby należało aby Towarzystwo wróciło do dawnego systemu praktykowanego w Warszawie i Krakowie, to jest, żeby taki Rocznik zawierał tom jeden, nie zaś trzy oddzielne małe zeszyty; połączenie bowiem wszystkich rospraw w jednym tomie pozwala odrazu objąć ogół rocznych czynności naukowego ciała; gdy przeciwnie podział zeszytowy na materye, zniża poważne roczniki do zwykłych broszur.

W Wydawnictwie katolickiem wyszedł: *Miesiąc Maryi* poświęcony Naj. Pannie przerobiony z włoskiego przez X. Ignacego Hołowińskiego. Dostojny pasterz powiada w przedmowie: „Tłumaczyłem z włoskiego tę książeczkę, lecz starałem się zastósować do kraju. Odmieniłem przeto niektóre medytacye; często dnie całe są moje wszystkie a ułożyłem przykłady, które brałem ze śś. Polskich, sądząc jak Skarga powiada, że bliski a dawny przykład rychlej porusza ku naśladowaniu cnót i nabożeństwa starożytnego.“ — Wkrótce toż Wydawnictwo ogłosi kazania tegoż znamienitego kościelnego mowcy, które mają być kwiatem wymowy kaznodziejskiéj.

W Drukarni Czasu wyszedł: *Przewodnik* dla podróżujących do Wód Szczawnickich ułożony po polsku i po niemiecku p. J. W. Szalaja.

Lwów. w drukarni zakładu narodowego Ossolińskich drukują dalej trzeci tom słownika Lindego który doprowadzony już do 60 arkuszy; przytém drugi zeszyt kazań o męce pańskiéj. Jabłoński tłoczy teraz siodmy zeszyt swego zbioru pisarzów polskich, a zamierza z 9tym zeszytem tegoż rozpocząć wydawanie klassyków polskich nie przerywając pierwszego. Zbiór ten nowy obejmie pisma znakomitych pisarzów albo dotąd drukiem nieogłoszone, albo

znajdujące się w nader rzadkich exemplarzach. Gdyby taką sobie obierali drogą inni wydawcy nasi, zyskałaby na tem literatura nasza jeśli pojawią się te rzadkości, przeciwnie nie wiele ztąd korzyści, jeśli te same dzieła będą drukowane nieustannie, reszta zaś albo w zbiorach rękopi mów się kryje i jest niedostępną, albo dla rzadkości exemplarzy mało komu znana.

— Wtej że drukarni rozpoczął się druk trzeciego tomu rysów dziejów polskich H. Schmitta, który składać się będzie z 4 zeszytów i obejmie przeciąg czasu od roku 1295—1495. We wstępie do tego tomu będzie zarys dziejów Prus i Litwy od czasów najdawniejszych aż do połączenia się ich z Polską.

Sanok. W drukarni Pollaka wyszły dalsze zeszyty *Biblioteki Parafialnéj* dla ludu katolickiego, wydawanéj p. X. Załuskiego proboszcza Brzozowskiego. W czterech ostatnich zeszytach mieści się: Krzyż Chrystusów zbawienie, żywot i zmartwychstanie nasze. Jest to zbiór modlitw, nauk i pieśni religijnych starannie dobranych, mogących podnieść ducha religijnego nietylko w prostaczkach ale i ludziach wyższego stanu.

Przemyśl. *Biblioteki polskiéj* wydawanéj przez K. J. Turowskiego a nakładem M. Dzikowskiego wyszedł trzeci zeszyt obejmujący dalszy ciąg *Dzieł J. Kochanowskiego*; wydanie bardzo ozdobne, i nadzwyczaj przystępne, gdy cały Kochanowski kosztować będzie 1 złr. 48 kr. wraz z ryciną. Sposób jakim wydaje p. Turowski wiersze, odkąd przeniósł wydawnictwo z Sanoka do Przemyśla, zupełnie odpowiada wymaganiom typograficznym, kiedy w dawniejszych przedrukach, Sanockich szczególniéj w poezyjach Brodzińskiego, tytuły nie- wyróżniają się od textu i takie sprawiają wrażenie na czytelniku jakby to był jakiś dramat, kiedy to są tylko urywkowe rymy.

Z tejże drukarni i nakładem M. Dzikowskiego wychodzi dziełko: Chwile zastanowienia się dla ludzi myślących p. J. K. 15 arkuszy 8vo.

Wiedeń. W drukarni Uniwersyteckiéj Zamarskiego wyszło nowe tłumaczenie *Fabioli* ozdobne drzeworytami, pięknie drukowane i najstaranniéj tłumaczone. Jest to przekład pani Maryi Mochnackiéj, jak dowiadujemy się z autografowanego listu samego kardynała Wisemana pisanego do Autorki, w którym to liście upoważnia ją do podjęcia tego przekładu. Wstęp opatrzony jest przedmową wybornie skreśloną, o któréj powiemy obszerniéj na właściwem miejscu.

— W tejże drukarni wyszła broszurka pod napisem: *Do Wincentego Pola*, zawierająca zbiór pochwalnych rymów na cześć jego ułożonych. Jest tu śpiew z muzyką A. Bieńkowskiego a słowami ks. X. M.; następnie wiersz ks. K. M. z powodu poematu Mohort — drugi także ks. K. M. z powodu poematu Wit Stwosz — trzeci p. M. B. A. z powodu poematu Makowe Ziarnko — nakoniec p. R. B. J. z powodu poematu Pamiętniki B. Winnickiego. Wiersz na Makowe Ziarnko najwięcéj ma zalet.

Poznań. Żupański wydał żywot Jana Pawła Lelewela pułkownika inżynieryi a najmłodszego brata naszego historyka który urodził się w Warszawie w roku 1796 a umarł 1847 w Szwajcaryi w Bernie i oprócz zdolności fachowych miał jeszcze dar malowania. Z pism jego pozostały: Dziennik podróży i pobytu w Petersburgu oraz pamiętnik pisany w miesiącu kwietniu 1832. r. pod tyt. Praga. Dru-

kował zaś następujące prace: 1) Le compte rendu sur les opérations du desechement du Seeland, rapport et replique. 2) Bericht über die Troknung des Seelandes, 3) Vorschlag zur Anlegung eines Bassin bei dem See.

Warszawa. Marcowy zeszyt Biblioteki Warszawskiéj zawiera następujące artykuły:

— Wycieczka na Litwę: Wspomnienia podróży przez Ferdynanda Nowakowskiego...

— Ideał piękna w muzyce i jakie się jéj stanowisko w dziedzinie sztuk należy... przez J. M. Wiślickiego. Przegląd literatury zagranicznéj. Literatura angielska współczesna: Karol Mackaj poeta, — Karoliny Dent. Myśli i rzuty. Tomasz Read. — Pani Busk i jéj dzieło. Sredniowieczni papieże, cesarze, królowie i krzyżowcy czyli Niemcy Włochy i Palestyna w XII i XIII wieku.— Emersona Zarysy Anglii.— Klemensa Machhani, Kuzko czyli podróż do dawnéj stolicy Penee i Lima. — Wycieczka do stolicy nowożytnego Peru. — Odkrycie drogi północno zachodniéj. — Henryk Daltan: Historya Guyanny brytańskiéj. — Alex. Frybes.— Indyjskie roczniki prowincyi Guzeratu...

— Wykopaliska w Manieczkach przez Antoniego Białeckiego...

— Zarysy kosmogoniczne. Budowa wszechświata, jego wielkość i dzieje utworzenia się, napisał Apolinary Zagórski (dokończenie)...

— Kronika Paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Eugeniusz Delacroix w Akademii. Quatre ans de regne, óu en sommes nous? przez Dra. Verona — Raport pana Sainte Beuve o dziełach dramatycznych. Opera Verdego Rigoletto. — Połów pereł. — List wydawcy piosneczek Bérangera. — Wiadomości literackie...

— O sporach jurysdykcyjnych w zakresie sądownictwa zwyczajnego cywilnego, przez Augusta Haylmanna...

— Poezyja. Narodowe pieśni Serbskie. Przełożył na język polski Edward Brzytysław. Kronika Literacka. Franceska z Rimini. Tragedyja Silvio Pellico, przekład Juliana Bartoszewicza przez A. C. Rzecz o Tragedyi starożytnéj i nowożytnéj przez Bartłomieja Podgórskiego. Dom mojéj Babki przez Walerego Wielogłowskiego Kraków 1856. przez K. Wła. Wojcickiego — Henryk III Walezyjusz. —

— Józef Korzeniowski wykończył dramat oryginalny wierszem miarowym, w 5-ciu aktach p. n. „Cyganie".

— Pamiętnika Religijno-moralnego na rok b. wyszły dwa zeszyty (ogólnego zbioru tom XXXII) i obejmują; 1) Człowiek ze względu na oznaki dziejowe i cielesne przez E. Miłosza. przekład z dzieła H. Hollarda. 2) O obowiązkach pisarzy chrześciańskich, mowa zmarłego A. F. Ozanama. przekład J. I. Kraszewskiego, 3) Opisanie kościoła grobu Pana Jezusa: wyjątek z pielgrzymki ks. Burnick ego Bernardyna prowincyi litewskiej, który tę podróż odbywał w latach 1762—1775. A Muchlinski zamierza w całości ogłosić drukiem rękopism pielgrzymki ks. Burnickiego i prostuje zdanie ś. p. arcybiskupa Hołowińskiego. który: , lubo nie zupełnie pochlebnie o niéj się odzywa, wiele atoli wiadomości prawie dosłownie z niej wypisał, i w opisaniu Jerozolimy wszędzie jak widać, radził się naszego pobożnego i światłego. pielgrzyma: zdaje się że i ks. Drohojowski miał ją pod ręką. Język tej pielgrzymki, swą czystością i prostotą, przymiotami rzadkiemi u naszych pisarzy z owé epoki za-

służuje równie jak i sam przedmiot aby niepozostawała dłużéj w ukryciu.“ Oczekiwać będziemy ogłoszenia co rychléj téj szacownéj pracy, która blizko wiek cały nieznaną była czytelnikom polskim. 4) Wykład słów Genezy w rozdziale III wierszu 17—19 p. X. W. Serwatowskiego. 5) O paliuszu; przedmiot ciekawy z powodu konsekracyi arcybiskupa naszego. 6) Artykuły umówione między pełnomocnikami N. Cesarza Jegomości i pełnomocnikiem Jego Świątobliwości papieża w Rzymie d, 22. lipca (3 sierpnia) 1847 r. dotyczą one wyłącznie dyecezyj rzymsko - katolickich w Cesarstwie). 7) Bibliografia duchowna. W dziale tym czytamy też sprawozdanie o rozprawie J. Gołuchowskiego: „Swiatowość w stosunku do obyczajów uważana“ Kraków 1856. Zeszyt drugi obejmuje: 1) O hymnie św. Kazimierza wraz z przekładem pieśni (obok z textem łacińskim) na cześć Matki Bokiéj; i hymn na cześć św. Kazimierza (z nutami). 2) Młoda dziewica; przez Maryą z Mikułowskich Walewską. 3) Statystyczne wiadomości o duchowieństwie w Galicyi. 4) Wzięcie paliusza przez arcybiskupa metropolitę warszawskiego. 5) Wiadomości naukowe i bibliografia duchowna. 6) Kronika kościelna i rozmaitości.

— Nakładem A. Nowoleckiego księgarza, legenda Jana Chęcińskiego p. n.: „Jałmużna,“ ogłoszona w „Rozrywkach“ p. Pruszakowéj, wyszła w oddzielném odbiciu.

— Wzorów sztuki średniowiecznéj w dawnéj Polsce, seryi drugiej wyszły razem zeszyty XI i XII. Obejmują: 1) Puhar godowy szklany cechu krakowskiego kapeluszników z r. 1664 z napisem: „Wilkommen Bracia wypijajcie raźnie. Kto spełni, stanie mu za łaźnie.“ Wierzymy, że pijący mógł się zapoić, bo puhar ten obejmuje półtora garnca.— E. Rastawiecki w objaśnieniu tłumaczy nam wyraz „Wilkommen“ w napisie na czele będącym: iż puhary powitalne, tym wyrazem oznaczano u nas dawniéj. 2) Malowanie ścienne w kaplicy przy kościele Lędzkim; zabytek z wieku XIVgo. 3) Malowanie na stropie kościelnym we wsi Libuszy z r. 1523. 4) Chorągiew zwana Mahometa, zdobyta przez Jana IIIgo pod Wiedniem, która dotąd jest zawieszoną pod sklepieniem Bazyliki św. Jana w Lateranie,

—Bibl. mówi o przekładzie „Koranu“ wprost z oryginału. Tłumaczenie odznacza się wybornym językiem i jasnym stylem. Praca ta wykonana przez jednego z obywateli starego Podlasia wyznania mahometańskiego, z rodu Tatarów, już jest skończoną. Jeden z przedsiębierczych naszych księgarzy zamyśla tę ciekawą księgę Mahometa ogłosić drukiem.

— Dowiadujemy się, że Antoni Pietkiewicz (Adam Pług) pisze wierszem wspomnienia swoje z lat młodych p. n.: „Pamiątki domowe“ i dwie powieści: pierwszą „Mandaryni i missyonarze“ drugą p. n.: „Apostoł.“

— Rosprawę ks. Malinowskiego umieszczoną w Bibliotece Warszawskiéj, w któréj podawał rady wydawcom słownika języka polskiego, Piotr Dobrowski przetłumaczył na język rosyjski i czytał na sessyi Akademii Petersburskiéj.

— „Pieśni ludu polskiego“ Oskara Kolberga, wyszedł zeszyt 5 z nutami, tekstem i przedmową do całego dzieła. Wspomniawszy o wydanych dotąd zbiorach pieśni słusznie mówi: że prace te „objawiły się tylko w pół życiu, w połowie swojéj istoty, bo treść i melodya uzupełniają się, podno-

szą wzajemnie, jednę wspólną stanowią całość; a często melodya, ta część mniéj określona, mniéj materyalna, stanowi całą piękność pieśni. Muzyka jest głównym przedmiotem niniejszego zbioru; do każdéj pieśni dołącza właściwą jéj nutę. Do tego zeszytu dołączył wydawca rycinę przedstawiającą gospodarza i wieśniaczkę z okolic Wilanowa i Czerniakowa, zalecające się jak wszystkie przy tym zbiorze dołączone wiernością kostiumu, oblicza zdjętego z natury i całéj postaci.

— Księgarz i typograf p. Orgelbrand przygotowywa nowy szereg dzieł rozmaitych, które są już pod prasą; przytoczym z nich ważniejsze nakłady: Cantu historya powszechna tom 11ty i ostatni. Żywoty biskupów wileńskich p. X. Al. Osińskiego, 3 tomy z portretem autora. Stawiskiego Edmunda: Poszukiwania do historyi rolnictwa krajowego. Juliusza S.; Pisma rozmaite. Czarkowskiego P.: Mównictwo, czyli poczęcie się i pierwotny rozwój mowy Bohów Słowian naszych praojców. Z powieści: Starosta Hołobucki, Z. Kaczkowskiego. J. I. Kraszewskiego: Podróż do miasteczka— Starościna bełzka J. K. Gregorowicza: Strzecha domowa. S. Pruszakowéj: Obrazki dramatyczne wierszem. Wł. Wolskiego: Bakałarz. Leśniewskiéj Bron: Zbiór powiastek dla młodocianego wieku. Ks. A. Putiatyckiego: Theologia moralis 2 tomy. — Podróż do Tartaryi, Tybetu i Chin w latach 1841—46 przez Huc, przekład Alex. Kremera, 2 tomy. Mowy poufałe proboszcza ks. Reguis, przekład ks. Rzewuskiego, i Wieniec niebieski ks. Stoger, przekład tegoż pióra ks. Willanta kaznodziei katedry krakowskiéj, kazania i w. i.

— Nakładem M. Frühlinga wyszedł drugi tomik pism A. Malczeskiego, z życiorysem autora, p. K. Wł. Wójcickiego, str. 107. Nakładem tegóż księgarza wyjdzie w taniém wydaniu Kirgiz G. Zielińskiego.

Paryż. Z dniem 1szym Marca wyszedł pierwszy zeszyt czasowego pisma: *Revue franco-slave*, mieszczący w sobie następujące artykuły, najwięcéj tłumaczone z dzieł polskich, rosyjskich, czeskich, serbskich i t.d. jako to: Katarzyna II. i wpływ francuzki w Rosyi, p. Gałaszewa. Rewolucya w r. 1688 i Macaulay jéj historyk, p. Słomczewskiego. — Mazanderan i wybrzeża perskie, p. Barona Bode.— Obrazy Litewskie, J. Chodźki. — Wspomnienia z wygnania na Syberyi, p. Ewę Felińską. — Organizacya armii pruskiéj r. 1806, p. hr. Orłowa. Z powodu dawniejszéj wzmianki w korespondencyi z Paryża, umieszczonéj w *Czasie* o tym Przeglądzie, odbieramy następujący list od Redakcyi:

„W dzienniku *Czas* pod rubryką „Nowiny Paryzkie“ była wzmianka o Przeglądzie, który wychodzić będzie pod tytułem: „*Przegląd Francuzko - Słowiański*“ „Revue Franco-Slave;“ do szczegółów jakich dostarczył korespondent paryzki, dodana była uwaga, która stać się może szkodliwą dla interesu tego Przeglądu.

„Mam zaszczyt przesłać obecne objaśnienia, licząc na bezstronność Redakcyi i mając nadzieję, że zechce je umieścić w dzienniku.

„Uwaga uczyniona w dzienniku zazwyczaj dobrze poinformowanym i bardzo oględnym, ma znaczenie twierdzenia. Powiada Redakcya, że „jeśli nie dziś, to później Przegląd Francuzko-Słowiański, stanie się organem wyłącznym interesów i polityki rosyjskiéj“ co daje powód czytelnikom do wątpienia o szczerości naszych zamiarów.

„Jest to wymierzone na nas obwinienie, na którego odparciu wiele nam zależy, jako wystawiającem zupełnie w fałszywém świetle powód założenia naszego Przeglądu; a to nie przeczytawszy nawet programu, który zaledwie kilka dni temu, jak został ogłoszony; a tém bardziéj, nie czytając Przeglądu w mowie będącego, a którego pierwszy numer dotąd nie wyszedł; nie mogąc mieć bliższéj znajomości tego pisma, nad prosty anons bardzo lakoniczny, i który przy największéj wolności tłómaczenia, nie może dać domyślać się tego, o co nas *Czas* posądza.

„Dla wyjaśnienia prawdy, niechże nam wolno będzie powiedzieć w kilku słowach to, co zamierzamy robić. Przegląd Francuzko-Słowiański jest przeznaczony, aby odpowiedział interesowi, jaki Francya przywiązuje do tego wszystkiego, co dotycze Europy wschodniéj; ma on zostać organem rozmaitych narodowości Słowiańskich, dając sposobność ich publicystom do połączenia swych pism na gruncie neutralnym.

„Sądzimy, że przedsiewzięcie nasze jest w interesie ogólnym; naprzód, czyniąc spostrzeżenia nad rozwojem, który się coraz bardziéj objawia w najrozmaitszych kierunkach na łonie narodowości Słowiańskich; zapatrując się na każdego z nich z osobna, porównywając ich między sobą, a nawet naznaczając każdemu miejsce na jakie zasługuje; powtóre, śledząc punkt widzenia na jakim stawiają się te ludy dla ocenienia Europy a szczególniéj Francyi, to czego u nas wiedzieć nie mamy rzeczywiście żadnego sposobu; nakoniec dając poznać ich sąd, którego przedmiotem są zasoby, literatura, sztuki i t.d. we Francyi i w reszcie Europy.

„Zamierzamy przeto badać Słowian w tém co mają najbardziéj interesującego, we wzajemnych stosunkach między sobą i w stosunkach ich do Zachodu, który dotąd posiada o nich tylko wiadomości niepewne, a najczęściéj błędne. Nie zamierzamy wszakże ustalać zgody pomiędzy zbyt różniącemi się opiniami rozmaitych narodowości słowiańskich; to powstrzymywanie wreszcie nakazuje nam nasze położenie. Tém mniéj zamierzamy wspierać jednę partyą, z wyłączeniem drugiéj. W ten sposób ograniczać się będziemy na przedstawieniu rzeczy, pozostawiając każdemu staranie wyciągnienia z niéj takich wniosków, jakie z jego punktu widzenia będą następstwem faktów. Skutkiem naszéj bezstronności, prace mające się publikować, będą pisane z zupełną niepodległością.

„Po takiém szczérem objaśnieniu mamy nadzieję że Redakcyi nie pozostanie żadne powątpiewanie we względzie ducha, jakim się kieruje Dyrekcya Przeglądu Francuzko-Słowiańskiego. Usiłowaniem naszém zawsze było zasłużyć sobie na możność pozostawania w dobrych stosunkach z *Czasem*. Z tego powodu bardzo nam było bolesném otrzymanie pierwszego ciosu — o którego prawości nie wątpimy — ze strony organu, dla którego zawsze czujemy jąk największą sympatyą.

„W nadziei że Redakcya zechce przyjąć łaskawie nasze objaśnienia, mamy zaszczyt pozostawać z głębokim szacunkiem

Z. Amèro
Dyrektor Przeglądu Francusko-Słowiańskiego.

Paryż dnia 25 Lutego 1857 r.“

Odpowiedź. Do powyższego listu tłumaczącego tak wyraźnie cel Przeglądu, to tylko dodać możemy na usprawiedliwienie się nasze że przed niewodem ryb nie łowimy, a tem samem

nie mamy zwyczaju potępiać przedsięwzięcia nim weszło w wykonanie, jeżeli zaś przedwczesny sąd zapadł, to pochodził on ze skwapliwości naszego paryzkiego korrespondenta; z naszéj zaś strony niedodaliśmy ani słówka ubliżającego, tem więcéj że nawet *Dz.* *Czas* niéma osobnéj rubryki na *Nowiny Paryzkie.*

— W drukarni Martineta wyszło dzieło przez X. Y. Z. napisane pod tytułem: Rosya i Europa — także: Sprawozdanie towarzystwa literacko historycznego z r. 1855.

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowied.— Antoni Czapliński Rząd. Druk.

SPIS PRZEDMIOTOW

w zeszycie marcowym zawartych.

Przedpłata na **Dodatek miesięczny** „Czasu“ wraz z dziennikiem:

dla miejscowych rocznie 26, półrocznie 13, kwartalnie 7 złr. mk.

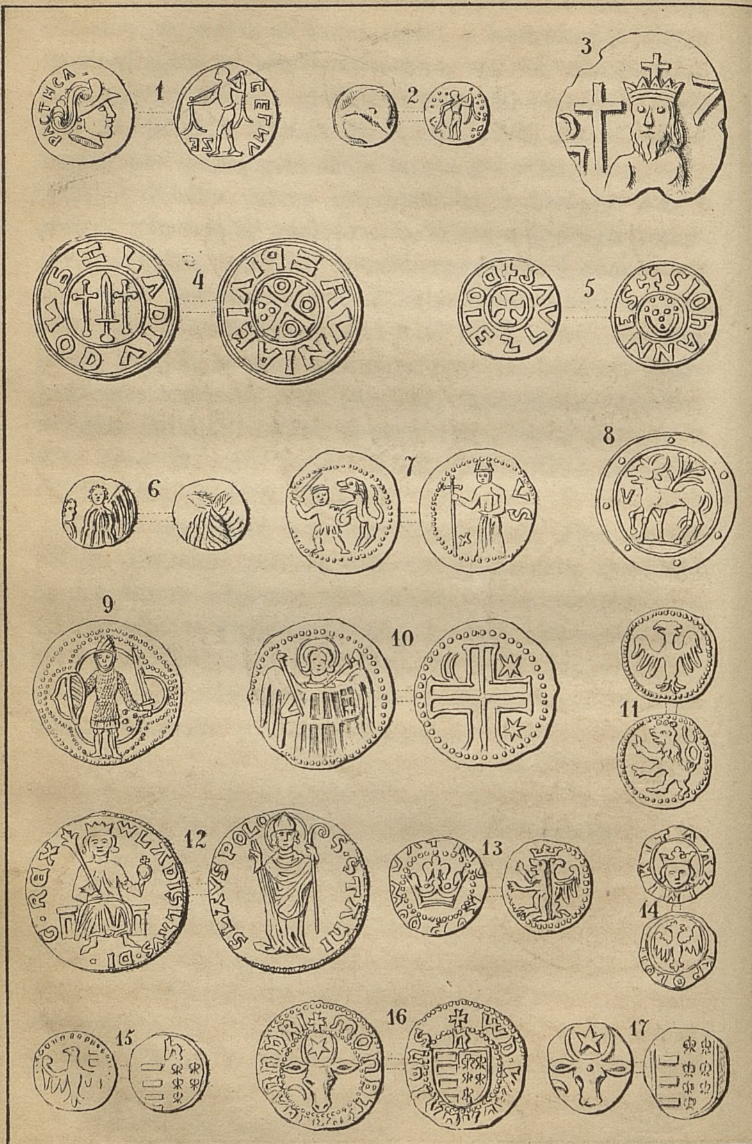
zamiejscowych wraz z przesyłką „ 30, „ 15, „ 8 „ „

Dodatku miesięcznego *osobno* prenumerować nie można.

Dodatek miesięczny wychodzi w zeszytach od 12 do 15 arkuszy druku z dniem ostatnim każdego miesiąca.

☞ Dla zagranicznych pojedynczy zeszyt **Dodatku miesięcznego** sprzedaje się w Biórze Administracyi „Czasu“ po złr. 2 mk.

Egzemplarzy *gratis* Dodatku miesięcznego nie daje się.



Litogr. Czasu w Krakowie

Rys. T. Ż.



Litogr. Czasu w Krakowie. Rys. T. Ż.

pojmować to

edy sam czło
wiadczał wi
atenczas prz
wi swemu n

by, których
ami, bądź p
ulegały niez
co obdarzon
dzić świat
prawdziwiéj
onać, niż te
valają bujać

mogłaby ba
po którego
lnego świata
pisarzy pami
awałoby się
pisze pami
y opisy czer
dź jako akto
vozdawca op
publiczna z
st coś naksz
ń, wypadków
grali niepo
jakąś osob
ie taki pam
sy uchodząc
ększe horyzo
którego hist
społeczeńst